

Mark
Billingham

KOKON

Zabił trzy kobiety.
Czwarta tyle szczęścia
nie miała.



Mark Billingham

KOKON



Inspektor Tom Thorne na tropie inteligentnego i niebezpiecznego mordercy. Ten wyjątkowo wyrafinowany przestępca zabił już trzy kobiety. Czwarta, choć żywa, tyle szczęścia nie miała.

Psychopata z premedytacją wywołuje u niej udar, który prowadzi do syndromu zamknięcia. Ofiara zostaje wprowadzona w stan uspienia. Zwyródnialec wciąga nieustępliwego Thorne'a do zabawy w kotka i myszkę, ujawniając swoje sadystyczne obsesje.

Mark Billingham należy do czołówki brytyjskich autorów powieści kryminalnych. Od kilku lat książki z cyklu o inspektorze Tomie Thorne zdobywają najbardziej prestiżowe nagrody. Każda z nich trafia na najwyższe miejsca bestsellerów „Sunday Timesa”.

„Kokon to jedna z najlepszych debiutanckich powieści, jakie czytałem. Mark Billingham umiejętnie łączy soczysto nakreślone postacie z intrygującą, dającą do myślenia akcją i dylematami codziennego życia. Intryga kryminalna wciąga od pierwszej strony. To naprawdę pasjonująca lektura”.

George P. Pelecanos

cena 29,90 zł



Patroni medialni:

POLSKA THE SUNDAY TIMES



Mark Billingham

KOKON

Przełożył
Robert P. Lipski

G+J

Tytuł oryginału: *Sleepyhead*

Copyright © 2001 by Mark Billingham

All rights reserved.

Stranger in the House by Elvis Costello.

Copyright © 1978 Sideaways Songs

administered by Plangent Visions Music Ltd.

Copyright to the Polish Edition © 2008 G + J

Grüner + Jahr Polska Sp. z o.o. & Co.

Spółka Komandytowa

02-677 Warszawa,

ul. Wyalazek 4

Dział handlowy:

tel. 0-22 640 07 25, 607 02 56 (57, 59) w. 221, 380,

faks 0-22 607 02 61

Sprzedaż wysyłkowa:

Dział Obsługi Klienta,

tel. 0-22 607 02 62

Redakcja:

Joanna Ziolo

Korekta:

Magdalena Szroeder

Projekt okładki:

www.maszynowicz.pl

Redakcja techniczna:

Mariusz Teler

ISBN: 978-83-60376-72-0

Skład i łamanie: KAŹKA,

Warszawa

DrukOpolgrafSA

Dla Claire. Za wszystko. Jesteś moją czekoladką.

Podziękowania

Chciałbym podziękować wielu osobom z różnych powodów:

Doktorowi Philowi Coburnowi za porady eksperta, chory umysł i szampańskie chwile; Carol Bristow za pomoc przy sprawach związanych z procedurą policyjną; profesorowi Sebastianowi Lucasowi ze szpitala św. Tomasza; Nickowi Jordanowi, Bernadette Ford i Davidowi Holdstockowi z wydziału ds. kontaktów z prasą Metropolitan Police; Caroline Allum; Hilary Hale, mojej błyskotliwej redaktorce, oraz wszystkim z wydawnictwa Little, Brown za ich nieograniczony entuzjazm; Sarah Lutyens, mojej agentce, za meble; Rachel Daniels z London Management; Peterowi Cocksowi za zdjęcia; Howardowi Prattowi za dźwięki; Mikeowi Gunnowi za żarty; Paulowi Thorne'owi za lekturę w wolnym czasie.

A także mojej matce Pat Thompson za trzydzieści dziewięć lat. Pamiętaj, co mówiłaś o głośnych krzykach w księgarni...

Prolog

Roger Thomas,

CZŁONEK KRÓLEWSKIEGO KOLEGIUM PATOLOGÓW

Dr Angela Wilson
Koroner
Southwark

26 czerwca 2000

Droga Angelo,

W związku z naszą ostatnią rozmową piszę do Ciebie, by przelać na papier pewne zebrane, dające do myślenia szczegóły, które możesz zechcieć załączyć do mego raportu z autopsji (A2698/RT) p. Susan Carlish, dwudziestosześcioletniej ofiary udaru odnalezionej w jej domu 15 czerwca.

Autopsja została przeprowadzona w szpitalu św. Tomasza 17 czerwca. Zgon nastąpił wskutek rozległego zawału wywołanego zatorom arterii głównej, ten zaś spowodowało spontaniczne przerwanie tętnicy szyjnej. Jako że badanie zostało przeprowadzone dwanaście godzin po śmierci denatki, nie mogłem wykonać testu na niedobór protein C i S. Pomijając ten fakt i biorąc pod uwagę, że panna Carlish paliła papierosy tylko od czasu do czasu, nie mamy tu do czynienia z typowymi czynnikami zwiększającymi ryzyko udaru. Odkryłem także pewne drobne uszkodzenia na szyi denatki, łącznie z naderwaniem więzadeł na wysokości pierwszego i drugiego kręgu szyjnego, choć mogły one powstać wcześniej, w trakcie odgięciowego urazu kręgosłupa szyjnego czy podczas uprawiania forsownych ćwiczeń sportowych. We krwi stwierdzono ślady benzodiazepanu. W trakcie przeszukania lokalu odnaleziono receptę na valium, wypisaną na nazwisko współlokatorki panny Carlish przed osiemnastoma miesiącami.

Choć nie mam wątpliwości co do przyczyny zgonu i przyznaję, że prowadzone przez policję śledztwo zabrnęło w ślepią uliczkę, zamierzam skontaktować się w tej sprawie z kilkoma kolegami po fachu, a kopię niniejszego listu rozesłać do wszystkich wydziałów

patologii i biur koronera w całym Londynie. Ciekaw jestem, czy ktokolwiek z nich miał do czynienia z ciałem ofiary udaru (zwłaszcza kobiety w wieku 20-30 lat) wykazującym obecność którejś z następujących osobliwych cech:

Brak typowych dla tej przypadłości czynników ryzyka. Zerwane więzadła w szyi. Beznodiazepan we krwi.

Gdybyś miała chęć porozmawiać o moich odkryciach z perspektywą przeprowadzenia drugiej autopsji, z przyjemnością z tobą na ten temat pogawędzę.

Z poważaniem
Roger Thomas

Dr Roger Thomas, członek KPP, konsultant patomorfolog

PS Stan ciała (które skrzypiało jak świeżo wyczyszczone kalosze) nie był dla stróżów prawa niczym nadzwyczajnym ani nie wzbudził większego zainteresowania właścicieli zakładu pogrzebowego, lecz mnie wydał się co najmniej niepokojący z wyżej wymienionych powodów.

CZEŚĆ PIERWSZA

PROCEDURA

- Obudź się, Śpiąca Królowo...

Do tego światła, głosy, maska i słodka struga świeżego tlenu w moich nozdrzach...

A wcześniej?

Ja i dziewczęta trzymamy się za ręce, by wspólnie zaśpiewać „I Will Survive”, co sprawia, że wszyscy donżuani z Camberwell, w białych skarpetkach, obecni w klubie biorą nogi za pas...

Teraz tańczę sama. I to przy bankomacie, Boże jedyny!

Jestem nielicho wstawiona. To był niezapomniany wieczór.

Mocuję się, aby włożyć klucz do zamka.

W aucie siedzi facet z butelką szampana. Co świętuje? Łyczek szampana po wypiciu całego morza tequili na pewno nie zaszkodzi.

Jesteśmy w kuchni. Czuję dziwny zapach, jakby mydła. I czegoś jeszcze. Czegoś desperackiego.

Ten mężczyzna jest za moimi plecami. Klęczę. Gdyby mnie nie podtrzymał, wylądowałabym na podłodze. Czy aż tak dużo wypilałam?

Jego dłonie są teraz na mojej głowie i szyi. Jest bardzo delikatny. Mówi, żebym się nie martwiła.

A potem... już nic...

1.

Thorne nie znosił powszechnie wyznawanego poglądu, że policjanci są zahartowani. Zahartowany gliniarz był zupełnie nieprzydatny Jak stara zastygła farba. On był po prostu... zrezygowany. Z powodu bezdomnego ze strzaskaną czaszką i słowem „lump” wyciętym na piersi. Pół tuzina harcerek zdekapitowanych za sprawą pijanego kierowcy autobusu i niskiego mostu. A także znacznie drastyczniejszych przypadków. Z rezygnacją patrzył w szkliste oczy kobiety, która straciła syna i, przygryzając dolną wargę, jakby mimowolnie sięgała po czajnik. Thorne był zrezygowany z tych wszystkich powodów Ostatnio z powodu Alison Willetts.

- To uśmiech losu, słowo daję.

Był zrezygowany, myśląc o tej drobnej istotce w ciele dziewczyny, omotanej płataniną medycznych kabli, rurek i przewodów, jako o czymś przełomowym. Uśmiech losu. Odrobina szczęścia. A przecież jej właściwie tam nie było. Szczęście, że w ogóle ją znaleźli.

- No to jak, kto spieprzył sprawę? - Detektyw konstabl David Holland słyszał, że Thorne był z natury bezpośredni i konkretny, ale nie spodziewał się takiego pytania niedługo po tym, jak zjawił się przy łóżku dziewczyny.

- Cóż, szczerze mówiąc, ona nie pasuje do profilu. To znaczy prowadziła aktywny tryb życia i jest bardzo młoda.

- Trzecia ofiara miała zaledwie dwadzieścia sześć lat.

- Tak, wiem, ale proszę na nią spojrzeć.

Zrobił to. Miała dwadzieścia cztery lata, a wyglądała jak bezbronne dziecko.

- Cała ta sprawa była traktowana jak zwykłe zaginięcie. Do czasu, gdy miejscowi chłopcy odnaleźli jej chłopaka. - Thorne uniósł brew. Holland instynktownie sięgnął po notes: - Ee... Tima Hinneana. To

najbliższa jej osoba. Mam jego adres. Powinien zjawić się tu później. Odwiedza ją codziennie. Byli razem od osiemnastu miesięcy - dwa lata temu ona przeprowadziła się tu z Newcastle, by podjąć pracę jako pielęgniarka na oddziale dziecięcym.

Holland zamknął notes i spojrzał na przełożonego, który wciąż wpatrywał się w Alison Willetts. Zastanawiał się, czy Thorne wiedział, że reszta zespołu nazywała go wańką-wstańką. Nietrudno było odgadnąć, skąd wzięło się to przezwisko. Ile wzrostu miał Thorne... Metr sześćdziesiąt pięć, metr sześćdziesiąt osiem? Ale nisko położony środek ciężkości i krępa sylwetka pozwalały przypuszczać, że nawet popchnięty nie dałby się przewrócić i błyskawicznie powstałby do pionu. Coś w jego oczach mówiło Hollandowi, że tamten za nic nie dałby się powalić.

Jego ojciec znał gliniarzy takich jak Thorne, ale ten był pierwszym, z jakim Holland miał okazję pracować. Uznał, że lepiej jeszcze nie chować notesu. Wańka-wstańka wyraźnie miał o wiele więcej pytań. W dodatku ten facet miał dziwny zwyczaj zadawania ich nawet bez otwierania ust.

- Tak... no więc ta dziewczyna wraca do domu po upojnej nocy... to było tydzień temu, we wtorek... i kończy na progu recepcji ostrego dyżuru szpitala Royal London.

Thorne skrzywił się. Znał ten szpital. Wspomnienie bólu, jakiego doświadczył po operacji przepukliny pół roku temu, wciąż było przeraźliwie świeże w jego pamięci. Uniósł wzrok, gdy do pokoju zajrzała pielęgniarka w niebieskim uniformie, by zerknąć najpierw na nich, po czym na zegar. Holland sięgnął po legitymację, ale pielęgniarka już zamknęła za sobą drzwi.

- Kiedy ją przyjęto, wyglądało to na przedawkowanie. A potem dowiedziano się o tej dziwnej niby-śpiączce i przeniesiono ją tutaj.

Kiedy jednak odkryto, że to udar, nie próbowano połączyć tego z Bekhendem. Nie sprawdzono, czy ma we krwi benzodiazepan, i nie skontaktowano się z nami.

Thorne spojrzał na Alison Willetts. Przydałoby się przyciąć jej grzywkę. Widział jak jej wywrócone do góry gałki oczne poruszają się

w oczodołach. Czy wiedziała, że tu byli? Czy ich słyszała? Czy pamiętała?

- Skoro pan pyta, odpowiem, że moim zdaniem jedyną osobą, która spieprzyła sprawę, jest sam zabójca.

- Przynieś nam herbatę, Holland.

Thorne ani na chwilę nie odrywał wzroku od Alison Willetts i tylko cichy skrzyp i szurnięcie drzwi uświadomiło mu, że Holland wyszedł. Detektyw inspektor Tom Thorne nie chciał stanąć na czele operacji Bekhend, ale z wdzięcznością przyjął pierwszą nadarżającą się okazję przeniesienia z nowo powstałej Grupy ds. Przepęstw Szczególnych. Restrukturyzacja wszystkim dała się we znaki, a Bekhend była przynajmniej prostą operacją w starym stylu. Mimo to nie pragnął nią dowodzić w przeciwieństwie do kilku znanych mu osób. Oczywiście operacji przyznano priorytet, a on należał do ludzi, którzy z ogromnym wahaniem zabierali się do spraw, których rozwikłania nie byli pewni. A ta sprawa była naprawdę dziwna. To nie ulegało wątpliwości. Wiedzieli o trzech zabójstwach; każda ofiara poniosła śmierć wskutek silnego nacisku na tętnicę główną. Jakiś szaleniec atakował kobiety w ich domu, szprycował prochami i wywoływał u nich udar.

Wywoływał udar.

Hendricks był jednym z bardziej doświadczonych patologów, ale tydzień temu Thorne'owi wcale nie było miło w jego laboratorium, gdy tamten przyłożył wilgotne dłonie do jego głowy i szyi, aby zademonstrować mu zabójczą technikę. - Co ty, u licha, wyprawiasz, Phil?

- Zamknij się, Tom. Jesteś nafaszerowany prochami po same uszy. Mogę z tobą zrobić, co zechcę. Teraz przechylę ci głowę w bok i nacisnę ten punkt, aby zablokować tętnicę. To wymaga specjalistycznej wiedzy. Zastanawiam się, kto wchodzi w rachubę. Komandos? Ekspert od sztuk walki? Tak czy owak, cwany drań. Nie zostawił żadnych śladów. Rzecz jest prawie nie do wykrycia.

Prawie.

Christine Owen i Madeleine Vickery należały do grupy podwyższonego ryzyka udaru: jedna w średnim wieku, druga nałogowa

palaczka. Obie odnaleziono martwe w ich domach, w przeciwnych dzielnicach Londynu. To, że ich ciała zostały niedawno umyte mydłem karbolowym, nie uszło uwagi patologów prowadzących sekcje. Choć mąż Christine Owen i współlokatorka Madeleine Vickery uznali, że to dziwne, nie mogli wyprzeć się (ani wyjaśnić) obecności kostki mydła karbolowego w łazience. U obu ofiar odkryto ślady środków uspokajających; w wypadku Owen wyjaśniono to przyjmowaniem leków antydepresyjnych, a Vickery, jak się okazało, od czasu do czasu brała narkotyki. Te tragiczne, lecz, jak dotąd przypuszczano, naturalne zgony nie zostały ze sobą połączone.

Jednak Susan Carlish nie należała do osób z grupy podwyższonego ryzyka i narażonych na udar, a środki uspokajające znalezione w jej kawalerce w podejrzanej butelce bez nalepki stanowiły nierozwiklaną zagadkę. Ale dopiero zerwane więzadła w szyi okazały się szczególnie łączącym te trzy przypadki. Dokonał tego pewien wyjątkowo bystry i dociekliwy patolog. Nawet Hendricks musiał przyznać, że wykazał się on nadzwyczajną czujnością. Niezwykłą przenikliwością umysłu.

Ale nie był aż tak przenikliwy jak zabójca.

- Tom, on bawi się stosunkami procentowymi. Mnóstwo ludzi w tym mieście zalicza się do grupy podwyższonego ryzyka udaru. Dajmy na to ty.

- Że co?

- Wciąż masz złotą kartę w Threshers, prawda?

Thorne już miał zaprotestować, ale powstrzymał się. I tak zbyt często wściekał się na Hendricksa.

- Wybiera trzy różne obszary Londynu, wiedząc, że szanse, by ktokolwiek połączył ze sobą te ofiary, są cholernie nikłe. Robi swoje, a my drepczemy w miejscu.

Thorne wstał, wsłuchując się w jednostajny rytm respiratora Alison. Określano to mianem zespołu zamknięcia. Alison prawdopodobnie nadal mogła widzieć, słyszeć i odczuwać. Prawie na pewno miała świadomość tego, co działo się wokół niej. I nie była w

stanie się poruszać. Nie mogła ani drgnąć. Nie miała władzy nawet nad najdrobniejszymi mięśniami.

Zespół nie był adekwatnym określeniem. To był wyrok. A co ze skurwielem, który go wykonał? Czy to jakiś świr trenujący sztuki walki? Albo agent tajnych służb? To najbardziej prawdopodobne. Nie mieli lepszych kandydatów. Przynajmniej na razie...

Trzy różne obszary Londynu. Zrobił się niełichy bałagan. Trzej komendanci siedzący przy okrągłym stole, licytujący się o to, który z nich ma większego wacka, z trudem przygotowali operację Bekhend.

Jeżeli chodziło o skład zespołu, Thorne nie miał powodów do narzekania. Tughan był co najmniej skuteczny, a Frank Keable sprawdził się jako policjant, choć bywał trochę zbyt zachowawczy. Thorne będzie musiał rozmówić się z nim na temat Hollanda i jego notesu, którego ani na chwilę nie chował. Czy w wydziale nie było choćby jednego konstabla z pamięcią lepszą niż u złotej rybki?

- Sir?

Złota Rybka pojawił się z herbatą.

- Kto zwrócił naszą uwagę na Alison Willetts?

- Konsultant do spraw neurologii, ee... doktor...

Holland chrząknął i przełknął ślinę. W obu rękach trzymał plastikowe kubki z gorącą herbatą i nie mógł sięgnąć po notes. Thorne postanowił zachować się uprzejmie i wziął od niego kubek. Holland wyjął notes.

- Doktor Coburn. Anne Coburn. Ma dziś wykłady w Royal Free. Umówiłem pana na spotkanie z nią dziś po południu.

- Jeszcze jeden lekarz, któremu jesteśmy winni podziękowanie.

- Tak i kolejny szczęśliwy traf. Jej mąż to konsultant patolog David Higgins. Wykonuje dla nas wiele prac jako ekspert. Opowiadała mu o Alison Willetts, a on na to: „To ciekawe, ponieważ...”.

- Co to ma być? On jej to, a ona jemu na to... Pogawędki sobie urządzili na temat autopsji? Może jeszcze w łóżku, po szybkim numerku? Kto to słyszał?

- Nie wiem. Sam będzie pan musiał ją o to zapytać.

Odstępując na bok, by przepuścić pielęgniarkę, która przysłała wymienić Alison kroplówkę, Thorne uznał, że nie należy odkładać na później tego, co może zrobić od razu. Oddał Hollandowi kubek z nietkniętą herbatą.

- Zostań tu i zaczekaj na Hinnegana.
- Ale jest pan umówiony dopiero na wpół do piątej.
- Wobec tego przyjdę na spotkanie trochę wcześniej.

Pokonał labirynt korytarzy wyłożonych czerwonym popękany linoleum w poszukiwaniu najszybszej drogi do wyjścia i ucieczki przed odorem, którego każdy człowiek przy zdrowych zmysłach nienawidzi z całego serca. Intensywna terapia mieściła się w nowym skrzydle Narodowego Szpitala Neurologii i Neurochirurgii, ale woń była obecna nawet tutaj. Środki odkażające, skonstatował, w szkole używano czegoś podobnego, a ta myśl sprawiła, że cofnął się we wspomnieniach do zapomnianych czasów przedszkolnych koszmarów. To była inna woń.

Dializ i śmierci.

Zjechał windą do głównej recepcji, której imponująca wiktoriańska architektura zdumiewająco kontrastowała z nowoczesnym otwartym planem nowej części szpitala. Kamienne tablice na ścianach rozaczały aurę dawno minionej świetności, podobnie jak zakurzone drewniane plakietki z nazwiskami konsultantów tej placówki. Chlubę tego miejsca stanowił naturalnej wielkości portret Diany, księżnej Walii, byłej patronki szpitala. Obraz był udany, w przeciwieństwie do popiersia księżnej stojącego na cokole opodal. Thorne zastanawiał się, czy było ono dziełem któregoś z pacjentów.

Gdy zbliżył się do wyjścia, miotane półgłosem przekleństwa i pochylające się w jego stronę ociekające parasole w rękach osób wchodzących do budynku uświadomiły mu, że lato miało się ku końcowi. Półtora tygodnia sierpnia i po lecie. Stał pod wykwintnym szpitalnym portykiem z czerwonej cegły i mrużąc oczy, spojrzął poprzez strugi deszczu w stronę, gdzie stał jego samochód, przy barierkach okalających Queen Square. Ludzie szli mimo ulewy z pochylonymi głowami, przecinając na ukos trawniki lub zmierzając

do stacji metra przy Russell Square. Ilu było wśród nich lekarzy i pielęgniarek? W promieniu półtora kilometra znajdowało się wiele szpitali oraz klinik specjalistycznych. Z miejsca, gdzie stał, widział gmach szpitala dziecięcego przy Great Ormond Street. Postawił kołnierz i przygotował się do biegu.

W pierwszej chwili pomyślał, że to mandat, gdy wyszarpnął kartkę zza wycieraczki. Kiedy jednak wyciągnął kartkę A-4 z foliowej koszulki i rozłożył, zdał sobie sprawę, że było to coś zupełnie innego. Ostrożnie włożył ją z powrotem do koszulki, wytarł z kropel deszczu i wlepił wzrok w liścik napisany zgrabnie na maszynie. Po pierwszych czterech słowach przestał zwracać uwagę na strużki deszczu ściekające mu po karku.

DROGI DETEKTYWIE INSPEKTORZE THORNE. CO MOGĘ POWIEDZIEĆ? PRAKTYKA CZYNI MISTRZA. CZY NIE ZAZDROŚCI JEJ PAN TEJ DOSKONAŁOŚCI. . . TEGO DYSTANSU? PROPONUJĘ. BY WZIAŁ PAN POD ROZWAGĘ KONCEPCJĘ TEJ WOLNOŚCI. PRAWDZIWEJ WOLNOŚCI. CZY KIEDYKOLWIEK SIĘ PAN NAD NIĄ ZASTANAWIAŁ? PRZYKRO MI Z POWODU INNYCH. NAPRAWDĘ. NIE ZAMIERZAM URAŻAĆ PAŃSKIEJ INTELIGENCJI KOMUNAŁAMI NA TEMAT CELÓW UŚWIĘCAJĄCYCH ŚRODKI, LECZ POWIEM TYLKO, ŻE PRZY WIELKICH PRZEDSIĘWZIĘCIACH NALEŻY BRAĆ POD UWAGĘ ODPOWIEDNI MARGINES BŁĘDU. WSZYSTKO ZALEŻY OD NACISKU. INSPEKTORZE THORNE, ALE PAN PRZECIEŻ WIE JUŻ NA TEN TEMAT WSZYSTKO. A TAK MÓWIĄC POWAŻNIE, TOM, MOŻE CIĘ KIEDYŚ ODWIEDZĘ. . .

Nacisk...

Thorne rozejrzał się dokoła, jego serce biło jak szalone. Ktokolwiek zostawił ten liścik, musiał być niedaleko, samochód stał w tym miejscu od niedawna. Dostrzegł jedynie ponure, mokre od deszczu twarze i Hollanda lawirującego między kałużami i biegnącego przez ulicę w jego stronę.

- Chłopak tej dziewczyny właśnie przyszedł. Musiał pan minąć się z nim, wychodząc.

Wyraz twarzy Thorne'a sprawił, że konstabl stanął jak wryty i zamilkł.

- Wiesz co, Holland? Alison to nie była fuszerka.

- Oczywiście, że nie. Chciałem jedynie powiedzieć, że...

- Posłuchaj. On tego właśnie chce. - Wskazał na szpital. - Rozumiesz? - Koszula lepiała mu się do pleców. Deszcz i pot. Sam ledwie mógł to zrozumieć. Z trudem był w stanie uwierzyć w wypowiedziane przez siebie słowa. Holland patrzył z ustami rozdziawionymi ze zdumienia, zasluchany w słowa, które tak wiele kosztowały inspektora. Słowa, które jeszcze zanim zostały wyartykułowane, uświadomiły Thorne'owi, że nie powinien się zgodzić na udział w tej operacji.

- Alison Willetts nie jest jego pierwszą pomyłką. To pierwsza z jego ofiar, z którą zrobił to, co chciał.

Tim nie radzi sobie z tym najlepiej. Miał tak dziwnie zduszony głos, kiedy rozmawiał z Anne. Anne? Jestem z nią po imieniu, a przecież się nawet nie znamy. Mimo to ma miły głos. Lubię nasze wieczorne pogawędki. Są z natury rzeczy dość jednostronne, ale przynajmniej ktoś wie, że coś się tu dzieje. Że wciąż ktoś tu jest.

Nawiasem mówiąc, czy wspominałam już o testach? Są naprawdę wyjątkowe. No, przynajmniej niektóre. Jest specjalny zestaw, dosłownie zestaw w pudełku, którym sprawdza się, czy jesteś kompletnym warzywem, czy nie. Aby sprawdzić, czy znajdujesz się w permanentnym stanie wegetatywnym (PSW). Mam to na przemian z permanentnym poziomem wegetatywnym (PPW), ale psw jest poważniejsze. Badaniom poddawane są wszystkie zmysły. Uderza się dwoma kawałkami drewna jeden o drugi, żeby ocenić, czy słyszysz, i sprawdzić, czy zareagujesz. Nie jestem pewna, co właściwie zrobiłam, ale wydawali się zadowoleni. Mogliby darować sobie klucie mnie szpikulcem i to coś, co podtykają mi pod nos, a co przywodzi mi na myśl rzeczy, jakie wdychasz, gdy masz naprawdę ciężką gripę. Ale rekompensuje mi to badanie smaku. Bo dają ci whisky. Parę kropel, na język. To szpital wręcz wymarzony dla mnie.

Testy przeprowadziła Anne. Wydaje mi się całkiem atrakcyjna jak na osobę w jej wieku. Nie widzę jej zbyt wyraźnie, ale mam o niej swoje wyobrażenie. Nawet nie dostrzegam kształtów. Widzę raczej cienie kształtów. I niektóre z tych widmowych sylwetek to bez wątpienia policjanci. Tim wydawał się mocno podenerwowany, gdy rozmawiał z jednym z nich. Jak się zorientowałam, był bardzo młody.

Mężczyzna pod domem, ten z butelką szampana... co on właściwie zrobił? Zmienił mnie w straszną nudziarę, a co poza tym? Coś mi zrobił, coś mi uszkodził, ale nie czuję, żeby cokolwiek mnie bolało.

Nie wyczuwam żadnych świeżych ran.

Wszystko inne wydaje się jak świeża blizna.

Czy mnie dotknął? Czy będzie ostatnim, który kiedykolwiek mnie dotknął?

Daj spokój, Tim. Ja żyję. To nadal ja. Wciąż jestem sobą. Przynajmniej w pewnym sensie. Ty coraz bardziej się załamujesz, a ja podśpiewuję w myślach „Dziewczynę w śpiączce”...

To miło, że Carol i Paul mnie odwiedzili. Chryste, mam nadzieję, że ta cała afera nie zepsuje ślubu.

2.

- Czy szukamy lekarza?

Kiedy tylko zadał pytanie, Thorne wiedział, o czym pomyśli Holland. Nie ulegało wątpliwości, że Anne Coburn należała do lekarek, na które większość mężczyzn patrzyła z nieskrywaną przyjemnością. Na temat których większość mężczyzn wymyślała uszczypliwe żarciki o lodowatych dłoniach i zachowaniach w sypialni. Była wysoka i szczupła. Elegancka, pomyślał, jak ta aktorka z serialu *Rewolwer i melonik* i grająca później rolę wrednej baby w starym sitcomie. Thorne uznał, że była po czterdziestce, o rok, dwa lata starsza od niego, i choć niebieskie oczy sugerowały, że mogła być kiedyś blondynką, wołał jej włosy takie, jakie były teraz - krótkie i srebrzyste. Siedząc na skraju niedużego, zasłanego różnymi rzeczami biurka i sącząc kawę, wydawała się niemal rozluźniona. Przynajmniej w porównaniu z dniem wczorajszym.

Odprawiła go z Royal Free, okrutnie sobie zeń podrwiwając. Thorne wciąż jeszcze słyszał śmiech blisko trzydziestu studentów, gdy noga za nogą maszerował wzdłuż korytarza. Dla obecnych w sali prawdziwym wytchnieniem od badań rezonansowych mózgu musiała być scena, gdy wykładowczyni w krótkich żołnierskich słowach spławiła natarczywego policjanta. Anne Coburn nie lubiła, gdy jej przerywano. Przeprosiła za incydent telefonicznie, kiedy Thorne zadzwonił, by umówić się na ponowne spotkanie przy Queen Square, gdzie pracowała. I gdzie opiekowała się Alison Willetts.

Upiła łyk kawy i powtórzyła pytanie Thorne'a. Mówiła zwięźle, kompetentnie i spokojnie. Miała całkiem miły głos. Ten głos mógł wyrzucić spore wrażenie na studentach medycyny lub zastraszyć niejednego pacjenta w średnim wieku.

- Czy szukamy lekarza? Cóż, na pewno to ktoś, kto zna się na medycynie. Aby zablokować tętnicę główną i wywołać udar, trzeba

mieć wiedzę z zakresu medycyny Aby wywołać udar, który spowoduje zespół zamknięcia, potrzeba czegoś więcej. Znacznie więcej... Nawet gdyby ktoś wiedział, co chce zrobić, wątpliwe jest, aby mu się udało. Można próbować tego po wielekroć, bez powodzenia. Mówimy tu o milimetrach.

Te milimetry kosztowały życie aż trzy kobiety; Thorne w myślach ujrzał twarz Alison Willetts. Nie, cztery kobiety, poprawił się w duchu. Może powinni uważać się za szczęściarzy i dziękować Bogu za wprawę, do jakiej doszedł ten szalenciec. Albo, co bardziej prawdopodobne, niepokoić się, że teraz, gdy opanował swoją technikę do perfekcji, spróbuje to powtórzyć. Doktor Coburn jeszcze nie skończyła.

- Poza tym pozostaje kwestia transportu.

Thorne pokiwał głową. Sam też zaczął już to rozważać. Holland wyglądał na zakłopotanego.

- O ile mi wiadomo, przypuszczacie, że Alison doznała udaru w swoim domu, w południowo-wschodnim Londynie - rzekła Coburn. - Musiał więc utrzymać ją przy życiu przez całą drogę do szpitala Royal London, który jest oddalony o co najmniej...

- Osiem kilometrów.

- Zgadza się. Po drodze musiał mijać inne szpitale. Dlaczego pojechał akurat tam?

Thorne nie wiedział, ale sprawdził to i owo na własną rękę.

- Jadąc z Camberwell do Whitechapel, musiał minąć trzy duże szpitale, nawet gdyby wybrał najkrótszą drogę. Jak mógł utrzymać ją przy życiu?

- Najprawdopodobniej za pomocą gruszki i maski. Zapewne zatrzymywał wóz mniej więcej co dziesięć minut, aby zrobić użytek z gruszki, naciskając ją kilka razy, i zaaplikować jej w ten sposób powietrze. To wydaje mi się najbardziej oczywistym i najprostszym rozwiązaniem.

- A więc to jednak lekarz?

- Tak, myślę, że tak. Najprawdopodobniej niedoszły absolwent medycyny. Być może kręgarz, ewentualnie odczytany fizjoterapeuta. Nie mam pojęcia, od czego powinniście zacząć.

Holland przestał gorączkowo zapisywać w swoim notesie. - To jak szukanie igły od strzykawki w stogu siana.

Wyraz twarzy Coburn uświadomił Thorne'owi, że to stwierdzenie wydało się jej równie zabawne jak jemu.

- Wobec tego lepiej od razu zabierz się do poszukiwań, Holland - rzucił do niego Thorne. - Zobaczmy się jutro. Złap sobie taksówkę.

Zmierzając obok doktor Coburn w stronę pokoju Alison, Thorne z każdym krokiem czuł narastającą zgrozę. To straszna myśl, ale byłoby mu łatwiej, gdyby Alison była jedną z „pacjentek” Hendricksa. Mimowolnie zaczął się zastanawiać, czy i dla Alison to rozwiązanie nie byłoby łatwiejsze. Dotarli do skrzydła Chandlera i windą wjechali na drugie piętro, gdzie mieścił się ostry dyżur.

- Nie lubi pan szpitali, prawda, detektywie inspektorze?

Dziwne pytanie. Thorne nie mógł uwierzyć, że ktokolwiek mógł lubić szpitale. - Spędziłem w nich zbyt wiele czasu.

- Z zawodowej konieczności czy...? - Nie dokończyła. Jak powinna to ująć? - Czy amatorsko?

Thorne spojrział na nią. - W zeszłym roku przeszedłem drobną operację. - Ale nie to go tak dręczyło. - Poza tym moja matka spędziła wiele czasu w szpitalu. Zanim umarła.

Coburn pokiwała głową. - Udar.

- Trzy. Osiemnaście miesięcy temu. Naprawdę zna się pani na pracy mózgu, prawda?

Uśmiechnęła się. On także. Wysiedli z windy.

- A co do mnie, to była przepuklina

Tablice na ścianach zafascynowały Thorne'a. Zachowanie ruchu i równowagi. Dolegliwości wieku podeszłego. Demencja. Była nawet klinika badań nad migrenami i bólami głowy Wszędzie roило się od ludzi, ale ci, których mijali, nie wyglądali na rannych czy cierpiących. Nie zauważył żadnej krwi, bandaży czy gipsowych opatrunków Korytarze i poczekalnie wypełniali ludzie poruszający się wolno i z rozmysłem. Wyglądali na zagubionych lub może zdeorientowanych.

Thorne zastanawiał się, jak postrzegali jego.

Zapewne tak samo.

W milczeniu minęli stołówkę, z której dobiegał cichy gwar rozmów, typowy, zdaniem Thorne'a, raczej dla dużej fabryki albo biurowca. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek udało im się przyrządzić posiłek, który nie byłby przesiąknięty tą wszechobecną wonią.

- A co z lekarzami? Czy jesteśmy na pańskiej czarnej liście?

Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy próbowała wziąć go pod włos. I wtedy przypomniał sobie twarze tych cholernych studentów medycyny. Jeśli chodziło o tę kobietę, pozostawała dla niego zagadką.

- Cóż, na razie nie. Zbyt wielu lekarzy wspomagało nas przy tym przypadku trafnymi spostrzeżeniami. Pani również.

- Myślę, że to zasługa mojego męża - rzekła zdecydowanym tonem, bez cienia fałszywej skromności.

Wychwyciła szybkie spojrzenie Thorne'a w stronę jej palca serdecznego, gdzie powinna znajdować się obrączka. - Może powinnam raczej powiedzieć, mojego prawie eksmęża. Rozwódzimy się. A to była tylko taka przypadkowa uwaga z jego strony. Jedna z tych rzadkich chwil spokoju pomiędzy kolejnymi etapami szaleństwa, w których dominuje pytanie: Jak u licha mamy poradzić sobie z tym rozwodem?

Thorne spojrział przed siebie, nie mówiąc ani słowa. Chryste, to było takie brytyjskie! Zachowywał się jak typowy angol!

- Co z porcelaną? Kto zatrzyma kota? A wiesz, że w Londynie grasuje szaleniec, który wywołuje u kobiet udar mózgu? Wie pan, tego typu sprawy...

Lęk. Śmierć. Rozwód. Thorne zastanawiał się, czy może powinien podjąć temat kryzysu na Bliskim Wschodzie.

- Czterdzieści osiem godzin po tym, jak do nas trafiła, przeprowadziliśmy rezonans magnetyczny mózgu. Wystąpił obrzęk wokół więzadeł szyjnych - to te jasne, białe plamy na zdjęciach. Można je dostrzec u ofiar odgięciowego urazu kręgosłupa szyjnego, ale w przypadku Alison wydało mi się to czymś niezwykłym. W dodatku mąż powiedział mi...

- A co z midazolamem?

- Wybrany przez niego benzodiazepanem? To był bardzo sprytny wybór, gdyż wszystko wskazywało na to, że ten właśnie środek zostanie podany Alison w szpitalu. Czy to nie idealny sposób na zatuszowanie swojej działalności?

Thorne zamyślił się. Znajdowali się przed pokojem Alison.

- Czy możemy to sprawdzić?

- Zrobiłam to. I nie pomyliłam się. Znam anestezjologa, który miał tej nocy dyżur w Royal London. Raport toksykologiczny potwierdził we krwi Alison obecność midazolamu, ale i tak by jej go podano, ten właśnie środek podano jej na uspokojenie na izbie przyjęć ostrego dyżuru. Mimo to krew pobrano jej rutynowo, gdy tylko została przyjęta, więc sprawdziłam wyniki. Midazolam był obecny także w pierwszej próbce. Właśnie wtedy postanowiłam skontaktować się z policją.

Thorne pokiwał głową. Lekarz. To musiał być lekarz. - Gdzie jeszcze używa się midazolamu?

Zamyśliła się przez chwilę. - To dość wyspecjalizowany preparat. Na intensywnej terapii. Na urazówce. Na anestezjologii. To wszystko.

- Skąd mógł go zdobyć? Ze szpitala? Czy tego rodzaju leki można nabyć przez internet?

- Nie w takich ilościach.

Thorne wiedział, że oznaczało to konieczność skontaktowania się ze wszystkimi szpitalami w kraju w celu sprawdzenia, czy w którymś z nich zarejestrowano kradzież midazolamu. Nie był pewien, jaki okres wchodził w rachubę, jak daleko w przeszłości powinien grzebać. Pół roku? Dwa lata? Wolał wykazać się nadgorliwością i nadmierną ostrożnością. Poza tym był pewien, że Hollandowi przydadzą się nadgodziny.

Coburn otworzyła drzwi do pokoju Alison.

- Czy ona nas słyszy? - spytał Thorne.

Odgarnęła Alison włosy z twarzy i uśmiechnęła się do niego z pobłażaniem. - Cóż, jeśli nie, to nie dlatego, że ma jakieś problemy ze słuchem.

Thorne zaczerwienił się. Ależ z niego kretyn. Dlaczego ludzie w szpitalach zawsze mówili szeptem?

- Szczerze mówiąc, nie jestem pewna. Pierwsze oznaki są pomyślne. Mruga na każdy gwałtowniejszy dźwięk, ale wciąż jeszcze musimy przeprowadzić pewne badania. Tak czy owak, mówię do niej. Ona już wie, który z archiwistów jest alkoholikiem i który z konsultantów robi to z trójką swoich studentek.

Thorne uniósł brew pytająco. Coburn usiadła i ujęła Alison za rękę.

- Proszę wybaczyć, detektywie inspektorze, dziewczęta chcą pogadać na osobności!

Thorne mógł jedynie patrzeć na nią, oplecioną mnóstwem kabli i rurek i podłączoną do różnych urządzeń. Przewody i maszyny z przyłączoną do nich młodą kobietą. Wsłuchał się w syk powietrza włączanego automatycznie przez respirator do płuc Alison; czuł pulsowanie jej skomputeryzowanego tętna i pomyślał o jakimś lekarzu, gdzieś tam, który z całą pewnością znajdował się na jego czarnej liście.

Siedział na stacji metra, usiłując określić, ile życia zostało biznesmenowi, którego miał przed sobą. Uwielbiał tę grę.

To była naprawdę cudowna chwila, kiedy wczoraj Thorne spojrział wprost na niego. Tak naprawdę nie zdołał go zobaczyć; trwało to niewiele ponad pół sekundy i wyglądał na zwykłego przechodnia w kapturze, ale była to dla niego swego rodzaju premia. Wyraz twarzy policjanta uświadomił mu, że pojął on treść liściku. Teraz mógł się odprężyć i cieszyć tym, co musiało zostać zrobione. Po powrocie do domu położył się w wannie i wszystko jeszcze raz przemyśli. Będzie rozmyślał o twarzy Thorne'a. A później prześpi się parę godzin. Czekają go jeszcze mnóstwo pracy

Mężczyzna naprzeciw niego wydawał się mieć rumieńce. Kolejny ciężki dzień z biurze. Miał twarz palacza, bladą i upstrzoną plamami. Popękane naczynka na policzkach były zapewne oznakami kiepskiego krążenia i nadużywania alkoholu. Małe kremowe narośla na powiekach

niemal na pewno oznaczały znacznie podwyższony poziom cholesterolu i zatory tętnic.

Biznesmen zgrzytnął zębami, przewracając kolejne strony gazety
Dawał mu najwyższej dziesięć lat.

Jego poobijany niebieski ford mondeo sunął gładko przez niemal puste o tej porze ulice w stronę Marylebone Road; Thorne włożył kasetę Massive Attack i rozsiadł się wygodnie w fotelu. Gdy chciał się odprężyć i wyciszyć, włączył Johnny'ego Casha, Grama Parsonsa albo Hanka Williama, ale nic nie mogło się równać z hipnotycznym, wszechogarniającym rytmem muzyki, na którą był o dwadzieścia pięć lat za stary, aby zebrać myśli. Jak zawsze, gdy z głośników popłynęły dźwięki *Unfinished Sympathy*, wyobraził sobie wyraz niedowierzania na twarzy nastoletniej asystentki w sklepie muzycznym. Ta wyszczekana gówniara uznała go zapewne za starego dziwaka, który udaje, że w dalszym ciągu trzyma rękę na pulsie. Twarz przyszczatej nastolatki zmieniła się w atrakcyjniejsze oblicze Anne Coburn. Zastanawiał się, jaką muzykę lubiła. Prawdopodobnie klasyczną, ale za dziełami Mozarta i Mendelssohna zapewne znajdował się jeden lub dwa albumy Hendricksa. Co by pomyślała o jego zamiłowaniu do trip-hopu i garażowego speeda? Chyba kupiłaby tę teorię o podstarzałym dziwaku. Zatrzymał się na świetłach, opuścił szybę i struga rytmicznych dźwięków dotarła do snobki w stojącym obok saabie. Thorne patrzył przed siebie. Kiedy światło zmieniło się na żółte, odwrócił się, puścił do niej oko i łagodnie ruszył z miejsca.

A po powrocie do centrali? Czekał go tam gwar kompetentnych, zdawałoby się, przekonujących głosów, szelest przekładanych z miejsca na miejsce akt oraz brzęczenie i piski faksów oraz modemów Thorne wybijał rytm na kierownicy Tłem do tego montażu odpowiedniej procedury będzie ściana; tablica z nazwiskami, datami i wyszczególnionymi działaniami, nad nią zaś znajdować się będą zdjęcia: Christine, Madeleine i Susan. Ich pogodne oblicza nie zdradzały smutnej prawdy, ale dla Thorne'a zawsze zdawały się skrywać cień ostatecznych, nieznanych doznań. Dezorientacji.

Przerażenia. Żalu. W chwili śmierci. Podkreślił muzykę. W zakładach i biurach w całym Londynie pracownicy zerkali ukradkiem na dziewczęta z kalendarza: Ponętną Sandrę, Niegzeczna Ninę, Zepsuta Wendy. Dni, tygodnie i miesiące odmierzały Thorne'owi pełne wyrzutu twarze Martwej Christine, Martwej Madeleine i Martwej Susan.

Jak leci, Tommy'?

Christine Owen, lat trzydzieści cztery Znależona w pokoju. Obok niej stała miska z porcją ugotowanego, zimnego już spaghetti.

Zrób coś z nimi, Tom, do cholery, dobra?

Madeleine Vickery, lat trzydzieści siedem. Zmarła w kuchni, na podłodze.

Proszę, Tom...

Susan Carlish. Lat dwadzieścia sześć. Jej ciało odnaleziono w fotelu. Oglądała telewizję...

Powiedz nam, co zamierzasz zrobić, Tom.

Sporządzą listy, z całą pewnością długie listy zadań do wykonania i osób do sprawdzenia. Policjanci będą zadawać setkom osób te same pytania, robiąc przy tym notatki, a funkcjonariusze wyższego szczebla zajmą się zbieraniem zeznań, wykonywaniem telefonów i sporządzaniem własnych notatek, które trzeba będzie następnie zestawić i porównać z pozostałymi, i kto wie, może po pokonaniu długości kilku tysięcy pastwisk i zdarciu więcej niż kilku par butów szczęście uśmiechnie się do nich...

Wybaczcie, dziewczęta, na razie nic nie mamy.

Nie dopadną tego typu, działając wyłącznie w zgodzie z procedurą. Thorne już teraz nie miał co do tego wątpliwości. To nie było przecucie gliny, jakże wygodne u autorów powieści kryminalnych - po prostu to wiedział. Zabójca mógł dać się złapać. Owszem, istniała taka możliwość. Psychologowie i eksperci od sporządzania profilów najgroźniejszych przestępców przyznawali, że ludzie ci tak naprawdę w głębi duszy chcieli, aby ich schwytano. Będzie musiał przy najbliższej okazji zapytać, co o tym sądziła Anne Coburn. Nie miał nic przeciwko temu, aby stało się to prędzej niż później.

Thorne wjechał na parking i wyłączył muzykę. Spojrzał na brudny brązowy budynek, gdzie założyła swoją bazę grupa operacyjna Bekhend. Starą stację przy Edgware Road przeznaczono do zamknięcia już wiele miesięcy temu i była dziś całkiem opustoszała, ale puste biura powyżej nadawały się idealnie na siedzibę grupy operacyjnej takiej jak Bekhend. Było to doskonałe miejsce dla ludzi, którzy nie musieli pracować tam codziennie. Istne monstrum - jedna wielka sala główna i kilka mniejszych pokoi po bokach dla poszczególnych członków zespołu.

Przez chwilę bał się wejść do środka. Wyszedł z samochodu i oparł się o maskę, aż nieprzyjemne uczucie minęło.

Gdy poczłapał w kierunku drzwi, podjął decyzję. Nie pozwoli nikomu zawiesić na ścianie zdjęcia Alison.

Czternaście godzin później Thorne dotarł do domu i zadzwonił do ojca. Rozmawiali tak często, jak tylko mógł Thorne, i widywali się jeszcze rzadziej. Jim i Maureen Thorne'owie wyjechali z północnego Londynu do St Albans przed dziesięcioma laty, ale odkąd zmarła jego matka, Thorne poczuł, że dystans między nim a ojcem coraz bardziej się powiększa. Teraz obaj byli sami, a ich rozmowy telefoniczne stały się przeraźliwie trywialne. Ojciec zawsze starał się opowiedzieć mu nowy zasłyszany w pubie dowcip albo pikantną historyjkę, a Thorne słuchał ich z przyjemnością. Lubił, gdy ojciec rozbawiał go do łez, ale jeszcze bardziej lubił słuchać, gdy to on się śmiał. Pomijając wymuszoną lekkość tych telefonicznych rozmów, podejrzewał, że jego ojciec nie miał wielu okazji do śmiechu. A ojciec wiedział doskonale, że syn nie miał ich prawie w ogóle.

- A teraz kilka nowych dowcipów, Tom.
- Dawaj, tato.
- Co ma trzycentymetrowego wacka i wisi głową w dół?
- Nie wiem.
- Nietoperz.

To nie był najlepszy żart.

- A co ma dwudziestotrzycentymetrowego wacka i wisi głową do góry?

- Nie mam pojęcia.

Jego ojciec odłożył słuchawkę.

Usiadł i przez kilka minut milczał. A potem zaczął łagodnym tonem: - Może, patrząc z perspektywy, ten liścik za wycieraczką był trochę zbyt... pretensjonalny. To do mnie niepodobne. Nie jestem tego rodzaju osobą. Chyba chciałem przeprosić za inne. Cóż, skoro mam być szczery, muszę przyznać, że jakaś część mnie chciała się tym trochę pochełpić. Myślę, że Thorne jest człowiekiem, z którym mógłbym porozmawiać. Wydaje się, że umiałby zrozumieć, jak dumny jestem z osiągniętego sukcesu. Perfekcja to wszystko, czyż nie? Czy nie tego mnie właśnie uczono? Słowo daję. Dobrze mnie tego nauczono.

- Chcę tylko powiedzieć, że doszło do szamotaniny, i nie twierdzę, że nie popełnię więcej żadnych błędów, ale to, co robię, daje mi prawo do potencjalnych pomyłek, nieprawdaż? Ta, z którą się udało... prawdziwą frustracją jest dla mnie fakt, że mogę jedynie wyobrazić sobie, jak dobrze się teraz czuje podłączona do tych wszystkich maszyn. Bezpieczna i czysta. Może się zrelaksować i błędzić gdzieś myślami. Żadnego bałaganu. A skoro czuję się dumny, że umiem wyzwolić ciało od tyranii tego, co miałkie, pretensjonalne i psujące się, oczywistą rzeczą jest, że nie można mnie za to potępiać. Uważam, że to jedyna prawdziwa wolność, o którą warto walczyć. Uwolnienie od niezdarnych ruchów. Od nabijania guzów i siniaków. Od naszej... wrażliwości na bodźce. Od całego tego owczego pędu i monotonnej codzienności. Czystość i odpowiednie regularne odżywianie. Nadzór maszyn i ciągła opieka. Usuwanie z naszych ciał tych obrzydliwych płynów. Ale przede wszystkim świadomość. Świadomość tych wszystkich cudów na bieżąco, odbieranie ich bezpośrednio w chwili, gdy następują. Co trup może wiedzieć o tym, że ktoś go myje? Wiedzieć i czuć wszystkie te rzeczy - to musi być naprawdę cudowne.

- Boże, o czym ja myślę? Przepraszam, komu jak komu, ale tobie nie muszę o tym wszystkim mówić.
- Prawda, Alison?

Wczoraj przysły mnie odwiedzić Sue i Kelly z oddziału dziecięcego. Mój wzrok znacznie się poprawił. Zobaczyłam, że Sue jak zwykle przesadziła z użyciem kredki do oczu. Krąży wiele nowych plotek. Co prawda, odkąd tu jestem, nie tak wiele jak zazwyczaj, ale mimo to jest ich całkiem sporo. Mary, oddziałowa, tylko wkurza wszystkich, siedząc na tyłku i poprawiając literówki na kartach noworodka. Mały Daniel wciąż nie może się pozbierać. Podobno płakał za mną cały ubiegły tydzień. Powiedziały mi, że wyjechałam na wakacje do Hiszpanii. Powiedziały mi, że gdy już dojdę do siebie, wszystkie ululamy się na odlotowej imprezie, a poza tym, że wolałyby tu leżeć zamiast mnie, niż zmieniać brudne pampersy za trzy funty sześćdziesiąt za godzinę...

I to w zasadzie tyle.

W końcu odrobina prawdziwej sensacji-rewelacji. Zmywarka do kaczek czy coś takiego, co mają na oddziale, zapchała się. Wiem, że to nie brzmi zbyt ekscytująco, ale wszędzie było pełno wody i wszystkie pielęgniarki musiały brodzić po kostki w wodzie, wkurzone jak jasna cholera.

Pojęcie ekscytacji jest chyba względne.

Śniła mi się mama. Była młoda jak wtedy, kiedy chodziłam do szkoły. Ubierała mnie, ja klóciłam się z nią o to, co włożyć, a ona płakała i płakała bez końca...

Śnił mi się też mężczyzna, który mi to zrobił. Śniło mi się, że był tu, w tym pokoju, i mówił do mnie. Natychmiast rozpoznałam jego głos. Ale był to również głos, który znałam i słyszałam już po tym, co mnie spotkało. Mózg mi się lasuje. Ten mężczyzna usiadł przy moim łóżku i trzymając za rękę, próbował powiedzieć mi, dlaczego zrobił to wszystko. Ale tak naprawdę nic z tego nie rozumiałam. Mówił mi, że powinnam być szczęśliwa. Ten głos mówił, że powinnam się cieszyć, i z uśmiechem podał mi butelkę szampana, z której się napiłam.

Chyba musiałam zaprosić go do mieszkania. Najwyraźniej tak właśnie było. Policja pewnie też wie. Ciekawe, czy powiedzieli Timowi?

Teraz, gdy sny są dla mnie najbliższe wszelkim doznaniom, są takie żywe i coraz wyrazistsze. Byłoby cudownie, gdyby można było nacisnąć guzik i wybrać to, o czym chce się śnić. Ktoś musiałby, rzecz jasna, nacisnąć ten guzik za mnie, ale wybór rodziny i przyjaciół ze zdrową domieszką odrobiny brudu byłby mile widziany.

Bądź co bądź, w obecnym stanie, czyli całkiem popieprzona, o seksie i innych tego rodzaju przyjemnościach mogę już tylko pomarzyć, zgadza się?

3.

Thorne myślił się co do lata: po dwutygodniowym samotnym wypoczynku wrócił do pracy z nowymi siłami, w przepoconych ciuchach, które domagały się jak najszybszego uprania. Zdawał sobie sprawę, że cuchnie, gdy siedział, ociekając potem, w gabinecie Franka Keable'a. Rozmawiali o listach.

- Koncentrujemy się na lekarzach pracujących obecnie rotacyjnie w Londynie Wewnętrznym.

Frank Keable był tylko o rok lub dwa lata starszy od Thorne'a, ale wyglądał na pięćdziesięciolatka. To raczej jakaś skaza genetyczna niż stres czy napięcie. Policjanci uważali, że zacząłłysieć, gdy wszedł w okres pokwitania; jego włosów niebezpiecznie zbliżała się do nasady karku. Hormony odpowiedzialne za stymulację włosów musiały omyłkowo skoncentrować się na brwiach, które wznosiły się ponad jego niebieskimi oczami jak wielkie szare gąsienice. Brwi te były nader wymowne i przydawały mu aury mądrości, co w jego wypadku można uznać za przychylność losu. Nikt nie miał mu tego za złe, to niewielka rekompensata dla kogoś, kto wyglądał jak przekarmiona wyłysiała sowa.

Keable zrobił użytek z jednej gąsienicy, unosząc ją w pytającym geście.

- Może przydałoby się rozszerzyć zakres poszukiwań, Tom. Wciąż dmuchamy na zimne, ale spodziewamy się najgorszego. Nie brak nam ludzi.

Thorne skrzywił się sceptycznie, lecz Keable wydawał się pewny siebie.

- To duża sprawa, Tom, wiem o tym. Gdybyś potrzebował ludzi, aby rozszerzyć krąg działań w terenie, przydzielę ci ich.

- Wobec tego poproszę o nich. Lista jest bardzo długa. Ale jestem przekonany, że to ktoś stąd.

- Masz na myśli ten liścik?

Thorne znów poczuł ciężkie krople deszczu wpadające mu za kołnierz koszuli i spływające między łopatkami. Wciąż czuł plastikową koszulkę, którą trzymał w palcach, czytając wiadomość od zabójcy, podczas gdy krople deszczu zalewały mu oczy.

Zabójca musiał wiedzieć, w którym szpitalu leżała Alison. Najwyraźniej uważnie śledził całą sprawę. Zarówno to, co działo się z nią, jak i poczynania policji.

- Tak, liścik. I lokalizacje. Sądzę, że chce być w pobliżu, aby mieć oko na wszystko.

Aby nadzorować swoje dzieło.

- Czy uważasz, że powinniśmy obstawić szpital?

- Z całym szacunkiem, ale tam się aż roi od lekarzy... Przynajmniej na razie uważam, że to miałyby się z celem. - Powiódł wzrokiem w stronę wiszącego na brudnożółtej ścianie kalendarza z widokami West Country. Keable pochodził z Bristolu... Upał sprawił, że trudno było zebrać myśli. Thorne rozpiął jeszcze jeden guzik przy koszuli. Poliestrowa. To nie było zbyt rozsądne. - Czy można włączyć na trochę ten wiatrak?

- Och, wybacz, Tom.

Keable wcisnął guzik czarnego biurowego wiatraczka, który zaczął się obracać w jedną i w drugą stronę, zapewniając Thorne'owi co trzydzieści sekund zbawienny podmuch chłodnego powietrza. Keable rozsiadł się wygodniej na fotelu i wydał policzki. - Nie sądzisz, że uda nam się rozwikłać tę sprawę, prawda, Tom?

Thorne zamknął oczy, gdy wiatraczek przesunął się w jego stronę.

- Tom, czy chodzi o sprawę Calverta?

Thorne spojrział na kalendarz. Minęły już dwa tygodnie, odkąd odnaleźli Alison, i nie posunęli się nawet krok naprzód. Dwa tygodnie tłuczenia głową o ścianę i jedyny efekt to uporczywy ból głowy.

W głowie Keable'a pojawiło się zatroskanie lub zbliżone mu uczucia. - Sprawy takie jak ta... to całkiem zrozumiałe...

- Nie wygłupiaj się, Frank.

Keable wychylił się gwałtownie do przodu. Autorytatywnie. - Nie jestem obojętny... na nastroje, Tom. Ta sprawa ma charakterystyczny posmak. Jest... nietypowa. Nawet ja to czuję.

Thorne zaśmiał się. Byli starymi kumplami. - Nawet ty, Frank?

- Mówię poważnie, Tom.

- Calvert to stara historia.

- Mam nadzieję. Potrzebuję, żebyś był skupiony i skoncentrowany, a nie sfrustrowany i nawiedzony.

Keable nie miał pewności, ale wydawało mu się, że Thorne pokiwał głową. Mówił dalej, jakby ta wymiana zdań w ogóle nie miała miejsca.

- Sądzę, że jeśli go dopadniemy, uda się nam postawić go przed sądem. Po pierwsze nie powinniśmy mieć problemów z dopasowaniem czcionki użytej w liście do maszyny.

Keable westchnął i przytaknął głową. Staroświecka maszyna do pisania to w pewnym sensie łut szczęścia, dużo łatwiej ją zidentyfikować niż, dajmy na to, drukarkę laserową, ale mimo to wciąż potrzebowali głównego podejrzanego. Wielokrotnie znajdował się w podobnej sytuacji. Trudno wyrażać się entuzjastycznie o dowodach, gdy są one przydatne dopiero po aresztowaniu podejrzanego. Należało postępować zgodnie z procedurą, ale tak czy owak, najważniejsze było schwytywanie sprawcy. Keable wiedział, że procedura stanowiła jego mocną stronę. Jako oportunistą umiał wykorzystać swoje wady i zalety, aby pozostawić innych funkcjonariuszy, w tym także Thorne'a, daleko w tyle. Zdawał sobie sprawę z własnych słabości i inni do doceniali. Umiał odnajdować ukryte talenty w innych i wiedział, czego brakowało jemu samemu. To on tworzył fundament całego zespołu. Był bardzo lubiany. Pomagał, jeśli tylko mógł, i nie zabierał ze sobą pracy do domu. Sypiał smacznie i cieszył się udanym małżeństwem - w przeciwieństwie do innych funkcjonariuszy. Także Thorne'a.

- On, prędzej czy później, popełni błąd, Tom. Kiedy tylko namierzemy, skąd skradziono ten preparat, zaczniemy zacieśniać krąg podejrzanych.

Thorne nachylił się bardziej w stronę wiatraka. - Jeżeli można, chciałbym wybrać się teraz do szpitala przy Queen Square. Nie było mnie tam przez pewien czas i ciekawi mnie, jak sobie radzi Alison.

Keable pokiwał głową. To nie była najbardziej udana próba podbudowania czyjegoś morale, ale też nie spodziewał się entuzjastycznej reakcji ze strony Thorne a. Chrząknął, kiedy Tom wstał, podszedł do drzwi i odwrócił się.

- Liścik był genialny sam w sobie, Frank. To najkrótszy raport koronera, jaki kiedykolwiek widziałem. Poza tym mycie ciała nie ma dla niego charakteru rytuału. Jest po prostu bardzo, ale to bardzo ostrożny.

Keable odwrócił wiatraczek do siebie. Nie był pewien, co spodziewał się usłyszeć od niego Thorne. - Zastanawiałem się, czy powinienem zrobić wśród chłopaków zrzutkę na kwiaty. To znaczy, myślałem o tym, ale...

Thorne pokiwał głową.

- Tak, wiem. Nic nie wskazuje, aby warto było to robić.

- Są naprawdę cudowne. Miło, że pan o tym pomyślał. - Anne Coburn skończyła układać kwiaty i podniosła rolety w pokoju Alison. Promienie słońca wpadające przez okno sprawiały, że twarz dziewczyny wydawała się trochę zaróżowiona.

- Zamierzałem przyjść wcześniej, ale...

Skinęła głową z wyrozumiałością. - Mimo to mógł pan chociaż napisać liścik z życzeniami rychłego powrotu do zdrowia. Należą się jej gratulacje.

Thorne spojrział na Alison i natychmiast zrozumiał. Trudno było zauważyć brak jednego urządzenia wśród tylu różnych podtrzymujących życie maszyn. Oddychała samodzielnie. Oddech był płytki, prawie nieśmiały, ale mimo to radziła sobie sama. Miała teraz rurkę wprowadzoną do tchawicy i przykrytą maską tlenową.

- Wczoraj wieczorem odłączyliśmy ją od respiratora i przeprowadziliśmy zabieg tracheotomii.

Thorne był pod wrażeniem. - Ekscytujący wieczór.

- Tutaj wciąż się coś dzieje. Jakiś czas temu mieliśmy tu małą powódź. Widział pan pielęgniarke w kaloszach?

Uśmiechnął się. - Widziałem dziwny film wideo...

Pierwszy raz usłyszał jej śmiech; był perwersyjnie zmysłowy.

Thorne skinął głową w stronę kwiatów, które zerwał przy garażu po drodze tutaj. Wcale nie były tak cudowne, jak o nich mówiła Anne Coburn. - Ostatnim razem poczułem się głupio, no wie pani, z tym zniżaniem głosu do szeptu. Pomyślałem, że skoro ona słyszy, to pewnie musi też czuć zapachy...

- Och, te poczuje na pewno.

Nagle Thorne znów uświadomił sobie, że jest straszliwie spocony pod pachami. Odwrócił się, by spojrzeć na Alison. - A skoro już o tym mowa... wybac, Alison, muszę okropnie cuchnąć. - Poczul pewne zakłopotanie, nie doczekawszy się odpowiedzi. Miał nadzieję, że przywyknie do mówienia do kobiety z jedną rurką w szyi, a drugą w nosie. Nie była w stanie odchrząknąć. Ani unieść dłoni, która błada i ciężka spoczywała na różowej narzucie w kwiaty. Po prostu... nie była w stanie. A mimo to Thorne miał egoistyczną nadzieję, że dobrze o nim myślała i że go polubiła. Chciał do niej mówić. Teraz poczul, że musi do niej mówić.

- Wystarczy, że nadrobi pan zaległości - rzekła Coburn. - Ja to właśnie robię. Często ucinamy sobie pogawędki.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł nienagannie ubrany mężczyzna w średnim wieku, który na pierwszy rzut oka wydał się mieć na głowie watę cukrową zamiast włosów.

- Och... - Thorne zauważył, jak rysy Coburn w jednej chwili zeszywniały. - Jestem teraz trochę zajęta, David.

Patrzyli na siebie nawzajem. Coburn przerwała nieprzyjemną, pełną powagi ciszę. - To detektyw inspektor Thorne. David Higgins. Już niebawem były małżonek. Pomocny patolog.

- Miło mi. - Thorne wyciągnął rękę, a mężczyzna w nienagannie skrojonym garniturze uściśnął ją, nie patrząc nawet na niego - ani na Alison.

- Mówiłaś, że to będzie odpowiednia pora - rzekł mężczyzna, uśmiechając się krzywo.

Najwyraźniej chciał być miły przez wzgląd na Thorne a, ale nie wychodziło mu to najlepiej. Z bliska wata cukrowa okazała się włosami ufarbowanymi na platynowy blond - kretyński pomysł w wypadku faceta, który miał co najmniej pięćdziesiąt pięć lat, a wyglądał, jakby zjawił się tu prosto z planu *Dynastii*.

- Bo sądziłam, że tak będzie - odparła oschle Coburn.

- To moja wina, panie Higgins - wtrącił Thorne. - Wpadłem bez uprzedzenia.

Higgins podszedł do drzwi, poprawiając krawat. - Wobec tego radzę, aby więcej pan tak nie wpadał. Zadzwoń do ciebie później, Anne, umówimy się na inny termin. - Bezgłośnie zamknął za sobą drzwi. Z korytarza dobiegły stłumione dźwięki krótkiej rozmowy i do pokoju weszła pielęgniarka. Nadeszła pora na kąpiel Alison.

Anne Coburn odwróciła się do niego. - Co zwykle jada pan na lunch.

Siedzieli w głębi sali miłego baru kanapkowego przy Southampton Row. Bagietka z szynką i serem brie oraz woda mineralna. Kanapka z serem i pomidorem plus kawa. Dwoje zajętych zawodowców.

- Jakie są szanse, że stan Alison w znaczący sposób...

- Obawiam się, że zerowe. Oczywiście to zależy, co rozumie pan pod pojęciem „znaczący sposób”, ale musimy być realistami. Istnieją udokumentowane przypadki pacjentów, których stan poprawiał się na tyle, że mogli obsługiwać skomplikowany wózek inwalidzki. W Stanach sporo się robi w tej dziedzinie, są komputery obsługiwane specjalnymi joystickami zamocowanymi przy głowie pacjenta, ale prognozy są w sumie dość mizerne.

- Czy we Francji nie było przypadku, kiedy pewien pacjent podyktował całą książkę, posługując się mrugnięciami, czy coś w tym rodzaju?

- *Motyl i skafander*. Powinien pan to przeczytać. Ale to tylko wyjątek potwierdzający regułę. Wzrok Alison reaguje na głosy, a ona sama zachowała zdolność mrugania powiekami, jednak trudno w tej

chwili powiedzieć, do jakiego stopnia ma nad tym kontrolę. Nie spodziewałabym się, że zdoła w ten sposób podyktować panu zeznanie.

- Nie dlatego o to zapytałem... W każdym razie, nie tylko dlatego.
- Thorne odgryzł spory kęs kanapki.

Spojrzała na niego, mrużąc oczy, i poufnym tonem rzekła: - No dobra, zna pan już moją katastrofalną sytuację osobistą. A co z panem? - Upiła łyk wody mineralnej i patrzyła, jak żuje. Jej brwi uniosły się w teatralnym geście. Zaśmiała się krótko, gdy próbował odpowiedzieć z pełnymi ustami, a potem ponowił próbę przełknięcia przeżuwanego kawałka kanapki.

Aż w końcu: - „Katastrofalną”?

- Ja tylko... Ma pan kogoś?

Thorne nie mógł rozszyfrować tej kobiety. Zjadliwy temperament, perwersyjny śmiech i bezpośrednie pytania. Wszelkie próby owijania w bawełnę wobec niej mijały się z celem.

- Jeżeli o mnie chodzi, jestem po przejściu z fazy „katastrofalnej” do zwykłej „szarej codzienności”.

- Czy to typowe przejście?

- Chyba tak. Niekiedy zdarzają się też krótkie „żałosne” okresy, ale tylko sporadycznie i nie u wszystkich.

- No to pięknie. Będę mieć to na uwadze.

Thorne patrzył, jak sięga do torebki po papierosa. Wyjęła paczkę. - Mogę?

- Oczywiście - odparł Thorne. Zapaliła papierosa. Przyglądał się, jak wydmuchuje dym kącikiem ust, z dala od niego. Od tak dawna już nie palił.

- Nie podejrzewa pan nawet, jak wielu lekarzy pali. Więcej, niż mógłby pan przypuszczać. W tym także onkolodzy. Szczerze mówiąc, dziwię się, że nie ma wśród nas więcej ćpunów. Pan nie pali, prawda?

- Thorne pokręcił głową. - Policjant, który nie pali. Coś takiego. Wobec tego pewnie lubi pan zajrzeć do kieliszka?

Uśmiechnął się. - Myślałem, że skoro tyle pani pracuje, to raczej nie ma pani czasu na oglądanie telewizji.

Jęknęła z rozkoszy, zaciągając się dymem.

Thorne, uśmiechając się powoli, z namaszczeniem odpowiedział na pytanie: - Lubię zajrzeć do kieliszka, ale tylko wtedy, gdy nie jest pusty...

- Miło mi to słyszeć.

- Myślę, że to wszystko, jeżeli chodzi o mnie i o wizerunek typowego gliny Nie jestem religijny, nie cierpię opery i choćby mnie ćwiartowali, nie rozwiązałbym ani jednej całej krzyżówki.

- Wobec tego musi pan być pasjonatem. Tak to się mówi, kiedy ktoś jest oddany swojej pracy? Jest pan jak nawiedzony. Zgadza się?

Thorne wciąż się uśmiechał. Zachichotał z cicha, gdy odwracając się, spojrział w stronę kontuaru. Kiedy wychwycił spojrzenie kobiety za ladą, uniósł pustą filiżankę, prosząc o kolejną kawę.

- A czy „katastrofalna sytuacja” i „szara codzienność dotyczą także dzieci?

Thorne odwrócił się. - Nie. A u pani?

Jej uśmiech był szeroki i zaraźliwy jak wietrzna ospa.

- Jedno. Rachel. Szesnaście lat, istny stos kłopotów.

Szesnaście? Thorne uniósł brwi. - Czy kobiety wciąż zżymają się, gdy pyta się je o wiek?

Oparła łokieć o blat stołu i podparła podbródek na dłoni, usiłując nadać swemu obliczu srogi wygląd. - Ta owszem.

- Przepraszam. - Thorne udał zawstydzenie. - A ile pani waży?

Zaśmiała się w głos. To nie był perwersyjny, lecz zwykły, szczery, dźwięczny śmiech. Thorne także się zaśmiał i wyszczerzył do kelnerki, która przyniosła mu drugą kawę. Ledwie postawiła ją na stoliku, gdy dał się słyszeć sygnał pagera Coburn. Spojrzała na urządzenie, zgasiała papierosa i podniosła torebkę z podłogi. - Może nie jestem lekomanką, ale lykam cholernie dużo tabletek na niestrawność.

Thorne zdjął swoją kurtkę z oparcia krzesła. - Odprowadzę panią.

W drodze do Queen Square znów trochę oddalili się od siebie. Pogawędka o babim lecie ustąpiła miejsca niezręcznemu milczeniu, zanim pokonali połowę drogi. Kiedy dotarli do jej gabinetu, Thorne

przystanął w drzwiach. Czuł, że powinien już iść, ona jednak zatrzymała go ruchem ręki i wykonała pospiesznie krótki telefon. Wezwanie nie było pilne.

- A jak rozwija się dochodzenie?

Thorne wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Już podczas lunchu spodziewał się, że do tego dojdzie. Kiedyś mógł bez końca wciskać ludziom kit, ale wykorzystywał tę umiejętność tak często względem przełożonych, że nie próbował nawet posługiwać się nią w stosunku do osób, z którymi nie miał długotrwałych zatargów.

- Prognozy są... marniutkie.

Uśmiechnęła się.

- Co dzień w gazetach napotyka się jakieś kretyńskie artykuły o uzbrojonych rabusiach robiących podkop do sklepu stojącego obok znanego banku albo o złodziejach zasypiających w domach, do których się włamali, ale prawda jest taka, że większość osób, która weszła w konflikt z prawem, wcale nie chce, aby je złapano. W wypadku zabójców mamy szansę, gdy chodzi o zatargi rodzinne albo zbrodnie na tle seksualnym.

Usiadła wygodniej na krześle i napiła się wody. Thorne patrzył na nią. - Przepraszam. Nie chciałem wygłaszać prawdziwej przemowy

- Nie, naprawdę mnie to zaciękało.

- Popęd seksualny sprawia, że ludzie przestają myśleć, stają się nieuważni. Podejmują zbędne ryzyko i w końcu, prędzej czy później, powinie im się noga. Jakoś nic nie wskazuje na to, aby ten facet działał nierozważnie. Cokolwiek nim kieruje, na pewno nie jest to popęd seksualny.

Jej oczy stały się nagle zimne i beznamiętne. - Na pewno?

- Nie z fizycznego punktu widzenia. To zboczeniec, ale...

- To, co robi, jest takie dziwaczne i chore.

W tym stwierdzeniu było zawartych tyle oczywistych prawd, że Thorne nie próbował go nawet komentować. Zdziwiło go natomiast, że użyła czasu teraźniejszego. Byli tacy, co sądzili i mieli nadzieję (podobnie jak on), że nie zajdzie konieczność wieszania na ścianie

kolejnych zdjęć. Jednak on wiedział swoje. Na czymkolwiek polegała misja, którą uroił sobie ten mężczyzna, cokolwiek starał się osiągnąć, faktem było, że polował na kobiety i zabijał je w ich domach. Co więcej, rajcowało go to. Thorne poczuł, że się czerwieni.

- Brak tutaj konwencjonalnego wzorca. Wiek ofiar zdaje się nie mieć dla niego większego znaczenia, grunt, żeby były dostępne. Wybiera kolejne kobiety, a gdy nie udaje mu się osiągnąć tego, co sobie zamierzył, zwyczajnie je porzuca. Umyte i czyściutkie, siedzące w fotelu albo leżące na podłodze, tak by mogli się o nie potknąć ci, którzy je kochają. Nikt nic nie widział. Nikt nic nie słyszał.

- Z wyjątkiem Alison.

Znów zapadła niezręczna cisza, bardziej duszna niż powietrze w tym małym ciasnym gabinecie. Thorne poczuł, że echo jego riposty odbija się od ścian jak zbłąkana kula. W jego głosie nie było nawet cienia zwyczajowej irytacji, gdy zadzwoniła jego komórka. Z wdzięcznością odebrał telefon.

Detektyw inspektor Nick Tughan kierował centralą Bekhendu: gromadził i porządkował zebrane informacje i co więcej, jak mało kto przestrzegał procedury. Jego głos z głębokim dublińskim akcentem mógł uspokoić lub przekonać przełożonych. Jednak w przeciwieństwie do Franka Keable'a Tughan nie znał za grosz swoich możliwości, nie wiedział, co było jego atutem, a co mankamentem, i nie miał cierpliwości do ludzi pokroju Thorne'a. Na obecnym etapie operacji wszystko toczyło się pod jego dyktando, a on realizował swój plan z niezłomną skutecznością. Nigdy nie tracił panowania nad sobą.

- Natrafiliśmy na kradzież sporej ilości midazolamu. Dwa lata temu w szpitalu Leicester Royal zaginęło pięć gramów preparatu.

Thorne sięgnął ponad biurkiem po pióro i kartkę papieru. Anne podsunęła mu bloczek. Zaczął zapisywać szczegóły. Może jednak sprawca popełnił błąd.

- Dobra, wyślij Hollanda do Leicester, niech spisze wszystkie szczegóły. Będziemy też potrzebować listy wszystkich lekarzy, którzy

pracowali tam tylko tymczasowo, powiedzmy od dziewięćdziesiątego siódmego w górę.

- Od dziewięćdziesiątego szóstego w górę. Już się tym zająłem. Przekaję ci ją.

Tughan wyprzedzał go o krok i doskonale się bawił. Thorne wiedział, co byłoby jego następnym posunięciem. - Oczywiście pytanie, jakie się nasuwa, brzmi... czy zachodzi jakaś zbieżność?

- Kilka w South-East i Londynie. Ach, jest też jedno szczególnie ciekawe nazwisko. Ten mężczyzna pracuje w Royal London.

Ciekawe - to właściwe stwierdzenie. Anne Coburn wychwyciła je od razu. Skoro wychodzimy z założenia, że Alison została zaatakowana w swoim domu, to dlaczego akurat Royal London? Czemu nie najbliższy szpital? Thorne zapisał nazwisko, przełknął skierowane pod jego adresem gorzkie słowa, powstrzymał się przed ciętą ripostą i odłożył słuchawkę.

- To chyba dobra wiadomość. - Nie przeprosiła, że podsłuchiwała rozmowę.

Thorne coraz bardziej ją lubił. Wstał i sięgnął po kurtkę. - Miejmy nadzieję. Pięć gramów midazolamu. To dużo?

- Jeszcze jak. Aby uśpić przeciętną dorosłą osobę, używamy nie więcej niż pięciu miligramów tego preparatu. Dożylnie, ma się rozumieć.

Wstała i obeszła biurko, aby odprowadzić go do drzwi. Mijając go, zerknęła na kartkę, której Thorne nie zdążył jeszcze zabrać, i stanęła jak wryta.

- O Boże! - Sięgnęła po nią w tej samej chwili co Thorne; nie powinien był jej pokazać tego, co widniało na kartce, ale nie mógł się przecież z nią mocować. No i co z tego, że ją zobaczy? Otworzył drzwi. - Czy ten człowiek to pański... podejrzany, detektywie inspektorze? - Obeszła biurko i ciężko usiadła na krześle.

- Przykro mi, pani doktor. Mam nadzieję, że pani rozumie. Nie mogę...

- Ja go znam - rzekła. - Znam go wyjątkowo dobrze.

Thorne zatrzymał się na progu. To wszystko było coraz bardziej niezręczne. Procedura nakazywała mu niezwłocznie wyjść i przysłać kogoś, aby spisał zeznanie. On czekał jednak na to, co mu powie lekarka.

- Owszem, pracowałem w Leicester, ale na pewno nie mógł mieć nic wspólnego z kradzieżą tych leków.

- Pani doktor...

- I jeżeli chodzi o Alison Willetts, ma niepodważalne alibi.

Thorne zamknął drzwi. Słuchał z uwagą.

- Jeremy Bishop był anestezjologiem, którego wezwano na ostry dyżur tej nocy, kiedy przyjęto tu Alison. On się nią zajmował. Pamięta pan? Mówiłam, że go znam. To on powiedział mi o midazolamie.

Thorne zamrugał powoli. Martwa Susan. Martwa Christine. Martwa Madeleine.

Daj spokój, Tommy, przecież musisz mieć coś, aby kontynuować śledztwo?

Otworzył oczy. Coburn kręciła głową. Zobaczyła datę na kartce.

- Przykro mi, panie inspektorze, ale choć nie cierpi pan konstabla Hollanda...

Thorne otworzył usta i zaraz je zamknął.

- ...wysyłanie go do Leicester to strata czasu. Człowiek, którego pan szuka, jest z pewnością sprytny, ale nie ma pewności, że kiedykolwiek pracował w szpitalu Royal.

Thorne upuścił trzymaną w rękę torbę i ponownie usiadł.

- Czemu zaczynam się czuć jak doktor Watson?

- Pierwszy sierpnia to dzień rotacji. Przypuszczenie, że aby skrócić sporą ilość jakiegoś preparatu ze szpitala, trzeba w nim pracować, jest zazwyczaj uzasadnione i zgodne z prawdą. Owszem, personel szpitalny jest liczny, często bywa zapominalski i omylny, nieraz dochodzi do różnego rodzaju przeoczeń, ale w wypadku preparatów wyjątkowo niebezpiecznych wszystkich obowiązują ściśle i złożone procedury postępowania.

Znów to ulubione słówko Thorne'a.

- Leczę w dniu przenosin, kiedy zaczyna się rotacja, wszyscy stają się trochę ospali i zaniedbują regulamin. Pracowałam w szpitalach,

skąd pierwszego sierpnia mógłby pan wynieść urządzenia do dializy nerek albo wywieźć całe łóżko z leżącym na nim pacjentem. Przykro mi, ale wcale nie jest powiedziane, że sprawca tej kradzieży musiał pracować w szpitalu Leicester Royal.

Susan. Christine. Madeleine. *Cokolwiek, Tommy. Jakikolwiek trop. Cokolwiek...*

Thorne wyjął z kieszeni telefon komórkowy, aby oddzwonić do Tughana.

To była pierwsza kolejka, za którą zapłaciła Helen Doyle, ale i tak już martwiła się, ile wydała. Parę markowych butelek, kilka rumów z colą i z jej kieszeni zniknęło trzy razy więcej, niż zarabiała za godzinę.

Chrzanić to. Były urodziny Nity, a ona nie robiła tego często.

Postawiła drinki na tacy i przeniosła wzrok w stronę stolika w rogu, gdzie siedziały jej koleżanki. Trzy z nich znała jeszcze ze szkoły, a dwie pozostałe niemal równie długo. W pubie było pustawo, a obecni klienci raczej nie wyglądali na zadowolonych z hałasu, jaki czyniły. Cała gromadka jak na komendę wybuchnęła śmiechem; Jo miała najbardziej piskliwy głos i śmiała się najgłośniej. Zapewne Andrea opowiedziała kolejny pikantny dowcip...

Helen wolno podeszła do stolika, pozostałe dziewczęta powitały ją gromką owacją, gdy postawiła tacę, i rzuciły się na drinki, jakby jeszcze nie piły tego wieczoru.

- A chrupek nie kupiłaś?
- Przykro mi. Zapomniałam...
- Skleroza.
- Opowiedz jej ten kawał...
- Ile lodu on tu nawrzucał, do cholery!

Helen upiła łyk i spojrzała na etykietę na butelce. Nie było napisane, co zawierała. Sporo już wypiła. Szprycery, drinki, koktajle. Nie była pewna, co konkretnie pije, ale podobały się jej kolory i czuła się trendy z wąską chłodną butelką w garści. Czuła się ważna. Nita wypiła połowę rumu z colą. Jo dopiła piwo i czknęła głośno.

- Czemu to pijesz? To jak soczek.

Helen poczuła, że się czerwieni. - Lubię ten smak.

- Wcale nie ma ci smakować. O to w tym właśnie chodzi, co nie?

Nita i Linzi zaśmiały się. Helen wzruszyła ramionami i upiła kolejny łyk. Andrea szturchnęła ją. - Jak wiesz co!

Rozległ się jęk. Jo włożyła sobie dwa palce do gardła. Helen wiedziała, o czym mówiły, ale jakaś jej część wołała pozostać nieświadoma. Andrea niemal bez przerwy mówiła o seksie.

- Powiedz nam raz jeszcze, Jo, jakiego miał dużego.

Śpiewający striptizer to był pomysł Andrei i Nicie chyba się spodobał. Helen uważała, że był całkiem do rzeczy, przystojny, nasmarowany oliwką i na jego widok aż się zaczerwieniła, ale wiersz o Nicie wypadł dość marnie. Widziała, że był zakłopotany podobnie jak ona, kiedy Jo chwyciła go za przyrodzenie, i przez chwilę naprawdę się denerwował. Zaraz jednak uśmiechnął się i pozbierał swoje rzeczy z podłogi, podczas gdy dziewczęta gwizdały i pohukiwały radośnie. Helen także gwizdała i pokrzykiwała, choć żałowała, że nie była bardziej pijana.

- W sam raz!

- Jeśli jest większy, niż mieści się w ustach, to już czyste marnotrawstwo!

Helen nachyliła się do Linzi. - Jak praca?

Linzi była jej najbliższą przyjaciółką, ale przez cały wieczór nie miały okazji swobodnie porozmawiać.

- Do kitu. Chyba to rzucę... Znajdę sobie coś lepszego, w czym będę się mogła wykazać.

- No jasne.

Helen uwielbiała swoją pracę. Pieniądze były kiepskie, ale ludzie mili i choć musiała dzielić się zarobkami z mamą i tatą, u których mieszkała, jakoś wiązała koniec z końcem. Nie zamierzała wyprowadzać się z domu, dopóki nie pozna jakiegoś atrakcyjnego faceta. Jaki sens miało wynajmowanie tandetnej kawalerki, jak zrobiła Jo czy Nita?

Andrea też mieszkała nadal z rodzicami. Bóg jeden wie, gdzie i kiedy uprawiała seks, o którym tyle mówiła...

Z szafy grającej dobiegły dźwięki: *Let Me Entertain You*. To była jedna z jej ulubionych piosenek. Zaczęła kiwać głową do rytmu i cicho nucić pod nosem. Przypomniała sobie pierwszą dyskotekę i chłopaka z kolczykiem w uchu, smutnymi brązowymi oczami i oddechem przesyconym wonią jabłeczniaka. Kiedy rozległ się chórek, pozostałe dziewczęta przyłączyły się, a Helen zamilkła.

Zadzzwonił dzwonek, a barman krzyknął coś niezrozumiale. Andrea i Jo chciały zamówić jeszcze jedną kolejkę. Helen uśmiechnęła się, wiedziała jednak, że powinna już wracać. Rano będzie się źle czuła i ojciec będzie na nią czekał. Kręciło się jej w głowie i wiedziała, że powinna była wcześniej pójść do domu, a przed wyjściem wypić herbatę. Powinna się też przebrać. Czuła się nieswojo w czarnej roboczej spódniczce i skromnej bluzce. Po drodze do domu kupi jeszcze chrupki. I rybę dla taty.

Andrea wstała i oznajmiła, że wszystkie składają się na ostatnią kolejkę. Helen śmiała się wraz z nimi, opróżniła butelkę i sięgnęła do torebki po drobniki.

Thorne siedział z zamkniętymi oczami, słuchając Johnny'ego Casha. Pokręcił głową z boku na bok, chłonąc z lubością każde chrupnięcie chrząstki. Teraz człowiek w czerni o mrocznym, groźnym głosie ostrzegał, że wyrwie się ze swej zardzewiałej klatki. Thorne otworzył oczy i powiódł wzrokiem po swoim małym, przytulnym mieszkanku - nie uważał go za klatkę, ale wiedział, o co chodziło Johnny'emu.

Mieszkanie z jedną sypialnią i ogródkiem było nieduże, za to łatwe w utrzymaniu i znajdowało się na tyle blisko ruchliwej Kentish Town Road, że nigdy nie brakowało mu mleka czy herbaty. Ani wina. Para na piętrze była cicha i nie sprawiała problemów. Mieszkał tu niespełna sześć miesięcy, odkąd sprzedał dom w Highbury, ale znał każdy jego cal. Którejś fatalnej niedzieli wyposażył całe mieszkanie w meble z Ikei, a przez następne trzy tygodnie zajmował się ich składaniem, przez kolejne cztery miesiące zaś żałował swego pochopnego kroku.

Nie mógł powiedzieć, że był nieszczęśliwy, odkąd odeszła Jan. Byli rozwiedzeni od trzech lat, a ona opuściła go prawie pięć lat temu, ale mimo to wciąż nie czuł się z tym dobrze. Uznał, że wyprowadzenie się z ich wspólnego domu do nowego mieszkania odmieni wszystko. Pozostawał optymistą. Jakkolwiek bliskie były mu otaczające go rzeczy, nie czuł z nimi żadnej więzi... żadnych sentymentów. Były po prostu funkcjonalne. Mógł wstać z fotela i położyć się do łóżka w parę sekund, ale łóżko było zbyt nowe i jak dotąd sypiał w nim samotnie.

Czuł się jak anonimowy biznesmen w pozbawionym numeru pokoju hotelowym.

Może byłoby lepiej, gdyby Jan opuściła go z powodu jego pracy. Często spotykał się z podobnymi przypadkami - stanowiły one również główny temat obyczajowy wielu seriali policyjnych - żona gliniarza nie może znieść, że dla jej ślubnego ważniejsza jest praca... Cóż za banał... Jan nigdy nie była typową żoną gliniarza i odeszła z własnych powodów. Jedyne incydent z jej udziałem związany z całą tą aferą był całkiem innego rodzaju i miał miejsce w środowe popołudnie; prócz Jan uczestniczył w nim jej wykładowca z kursu kreatywnego pisania. To była jej pasja. Twórczość literacka. Brała udział w kursach regularnie, co tydzień. Dopóki Tom nie dowiedział się, na czym naprawdę polegały te wykłady.

Przyłapał ich na gorącym uczynku. W środku dnia, przy zaciągniętych zasłonach.

Świece przy łóżku... Boże jedyny...

Jan powiedziała później, że nigdy nie zrozumiała, czemu Thorne go nie uderzył. Nigdy jej tego nie powiedział. Nawet gdy ten chudy palant wyskoczył z łóżka z dyndającym fajfusem, rozpaczliwie szukając okularów, Thorne wiedział już, że go nie tknie. Pozwalając, by fala bólu zalała go od stóp do głów, wiedział, że nie zniósłby jej krzyków, wyrazu nienawiści malującego się w jej oczach i widoku Jan spieszącej na ratunek temu małemu dupkowi, który siedząc skulony przy drzwiach szafy, skomląc, próbowałby zatamować krew buchającą z nosa.

Kilka tygodni później zaczął na niego przed college'em i poszedł za nim. Obserwował, jak tamten robi zakupy. Jak rozmawia ze studentami na ulicy i pojechał za nim do domu. Ten cwaniaczek miał małe mieszkanie w Islington, z kilkoma kolorowymi rowerami przykutymi łańcuchem przy wejściu i plakatami w oknie. To mu wystarczyło. Ta świadomość. Po prostu wiedział.

Jesteś mój, gdybym kiedykolwiek postanowił cię załatwić.

Ale już po pewnym czasie zaczął się wstydzić swego zachowania. I odpuścił. Obecnie powracał do tematu wyłącznie późną nocą, gdy miał pod ręką czerwone wino, a w tle słychać było piosenkarzy o mrocznych, groźnych głosach.

Owszem, zabierał ze sobą pracę do domu - zwłaszcza po Calvercie, kiedy przez pewien czas różne rzeczy zaczęły mu umykać - ale prawda była taka, że pobrali się zbyt młodo. Ot i wszystko. Byli wtedy za młodzi. Może gdyby mieli dzieci...

Thorne zaczął przeglądać program telewizyjny na łamach „Standarda”. Wtorkowy wieczór, a w telewizji chłam. Gorzej nawet. Na Sky o ósmej był mecz, Spurs kontra Bradford. Zupełnie o tym zapomniał. U siebie, przeciwko Bradford - trzy punkty prawie mieli w kieszeni. Teletekst, najlepszy przyjaciel każdego fana piłki nożnej, przekazał mu złą nowinę.

Osunęła się plecami po jego nogach, pośladki oparły się na piętach, kłykcie dotykały wypolerowanego parkietu. Stał za nią z rękami zaciśniętymi na jej karku; przygotowywał się. Rozejrzył się po pokoju. Wszystko było na miejscu. Sprzęt znajdował się na wyciągnięcie ręki - tuż obok.

Jej usta otworzyły się i spomiędzy warg wypłynął wilgotny gulgot. Wzmógł uścisk na jej szyi. Wszelkie słowa były teraz zbyteczne, a poza tym dość już od niej usłyszał.

Półtorej godziny wcześniej patrzył, jak gromada dziewcząt się rozchodzi. Dwie poszły w stronę metra, a dwie na przystanek autobusowy. Jedna podreptała niepewnie wzdłuż Holloway Road. Jest stąd, skonstatował. Może zechciałaby się z nim napić.

Skreślił w lewo, przejechał całą długość przecznicy i wyjechał na główną ulicę, jakieś dwadzieścia metrów przed nią. Odczekał przy skrzyżowaniu, dopóki nie zbliżyła się do niego, i wysiadł z samochodu.

- Przepraszam... ale... chyba się zgubiłem - rzekł lekko bełkoczącym głosem. Udawał człowieka podpitego, ale nie pijanego. I elokwentnego.

- Dokąd chce pan dojechać?

Była czujna. Skądinąd słusznie. Ale tu nie miała się przecież czego bać. Facet po prostu źle skreślił i wylądował wśród nieznanym mu uliczek. Zdjął okulary, udając, że ma kłopoty ze wzrokiem...

- Do Hampstead... przepraszam... trochę za dużo wypilem... Szczerze mówiąc, chyba nie powinienem prowadzić.

- Nic się nie stało, kolego. Ja też dziś trochę wypilałam...

- Spacerek od klubu do klubu?

- Nie, byłam w pubie, na urodzinach koleżanki... świetna imprezka.

Doskonale. Cieszył się, że była szczęśliwa. Tym bardziej powinna mieć w sobie wolę życia. A zatem...

- Pewno nie masz ochoty na kieliszek przed snem?

Sięgając przez otwarte okno do wnętrza auta, szarmanckim gestem wyjął butelkę.

- O rany, a co ty świętujesz?

Chryste, co sprawiało, że te dziewczyny dostawały świra na widok butelki szampana? To jak hipnotyzowanie kogoś za pomocą złotego zegarka.

- Zwinąłem flaszkę z przyjęcia. - Zachichotał. - Strzemiennego?

Prawie pół godziny. Trzydzieści minut bezsensownego prymitywnego bełkotu, dopóki nie zaczęła odpływać. Ani na chwilę nie przestawała mówić. O chłopaku Nity... kłopotach Linzi w pracy... opowiedziała też kilka pikantnych żarcików. Uśmiechał się, kiwał głową, śmiał się, rozważając, jak lepiej wyrazić brak zainteresowania jej historyjkami. W końcu zaczęła opadać jej głowa, słowa zły się w niezrozumiały bełkot i nadszedł czas, by nie rzucając się w oczy, usadowić dziewczynę na tylnym siedzeniu samochodu i odwieźć ją do domu.

Mężczyzna wykonał następnie krótki telefon i ułożył ją w odpowiedniej pozycji.

Teraz Helen nie była już taka gadatliwa. Znów ten gulgot, wilgotny, pełen desperacji.

- Cii, Helen, rozluźnij się. To nie potrwa długo.

Ułożył kciuki po obu stronach kościstej wypukłości u podstawy czaszki i zaczął wymacywać odpowiednie mięśnie, przez cały czas mówiąc do niej: - Czujesz te dwa odcinki mięśni, Helen?

Jęknęła.

- To sternocleidomastoideus. Wiem, kretyńsko długie słowo, bez obawy. Te mięśnie sięgają aż do twojego obojczyka. Mnie chodzi o to, co znajduje się poniżej... - Sapnął głośno, odnajdując to, czego szukał.

- O, jest.

Powoli, jeden po drugim zacisnął palce na tętnicy szyjnej i zaczął coraz mocniej uciskać.

Zamknął oczy i w myślach odliczał sekundy. Dwie minuty powinny wystarczyć. Poczul coś, jakby dreszcz przesywający jej ciało i przenikający przez cienkie chirurgiczne rękawiczki do czubków jego palców. Pokiwał głową z powagą, podziwiając herkulesowy wysiłek, który był konieczny do wykonania nawet tak drobnego ruchu.

Zaczął myśleć o jej ciele i o tym, jak mógłby go dotykać. Mógł z nią zrobić, co tylko by zechciał. Mógł zdjąć dłonie z jej głowy i wsunąć je pod bluzkę albo spódnicę dziewczyny. Mógł ją odwrócić i rozwierając zęby, spenetrować jej usta. Ale nie zrobi tego. W wypadku innych też o tym myślał, ale nie chodziło tu przecież o seks.

Po dłuższym zastanowieniu uznał, że takie myśli były całkiem zdrowym, normalnym impulsem. Czy inni mężczyźni, mając kobietę w swej mocy, nie myśleliby dokładnie o tym samym? Zwłaszcza że to było takie proste. Takie łatwe. Oczywiście. Ale to nie był dobry pomysł. Nie chciał, by tamci... sklasyfikowali to, co zrobił, jako przestępstwo na tle seksualnym.

To byłoby proste, zbyt oddaliłoby ich od tropu.

No i wiedział wszystko o DNA.

Z gardła Helen wydobył się cichy warkot. Czulią wszystko, była świadoma wszystkiego i wciąż stawiała opór.

- Już niedługo... Bądź cicho, proszę.

Usłyszał cichy stukot i nie obracając głowy, spojrział w dół, gdzie jej palce tłukły spazmatycznie o parkiet. Adrenalina na próżno próbowała walczyć z działaniem narkotyku. Może jej się udać, pomyślał, przecież tak bardzo chce żyć. Minuta czterdzieści pięć sekund. Przykładając usta do jej ucha, wyszeptał: - Dobranoc, śpiąca królowo.

Przestała oddychać.

Nadszedł krytyczny moment. Jego ruchy musiały być szybkie i precyzyjne. Złagodził nacisk na tętnicę, brutalnie pchnął jej głowę naprzód, aż dotknęła podbródkiem klatki piersiowej. Odczekał kilka sekund, po czym w ten sam sposób szarpnął jej głowę do tyłu, aż mógł spojrzeć z góry na jej twarz. Oczy miała otwarte, żuchwę obwisłą, po jej brodzie ściekała strużka śliny. Zwalczył w sobie pragnienie, aby ją pocałować, i przesunął jej głowę do wcześniejszej, centralnej pozycji. Wrzucił na luz. Uchwycił ją pewnie i mocno i wplótł palce w jej długie brązowe włosy, zanim silnym skrętem odwrócił jej głowę w lewo, ponad ramieniem.

I przytrzymał.

Potem skręt w prawo. Ponad prawym ramieniem. Każdy skręt uszkadzał tętnicę szyjną. Teraz wszystko zależało od niej.

Delikatnie ułożył jej ciało w pozycji bezpiecznej. Obficie się pocił. Sięgnął po szklankę zimnej wody i usiadł na krześle, aby ją obserwować. Czekał, czy zacznie oddychać. Umysł miał pusty i nie mrugając powiekami, skoncentrował całą swoją uwagę na twarzy i klatce piersiowej. Oddechy będą krótkie i płytkie, on zaś patrzył i czekał na najmniejszy ruch. Co kilka sekund pochylał się i sprawdzał, czy puls jest wyczuwalny

Ciało Helen nie poruszało się.

Dziesięć minut szalonego naciskania gruszki i pokrzykiwania: - No dalej, Helen, pomóż mi! - Krzyczał jej prosto w twarz. - Musisz być silna.

Nie była dość silna.

Osunął się na krzesło zdyszany. Spojrzał w dół na pozbawione życia ciało. Przy jej bluzce brakowało guzika. Otaksował wzrokiem zwykłe czarne buty stojące obok dziewczyny, jeden przy drugim. Opodał w misce ze stali nierdzewnej leżała cała jej biżuteria. Tanie bransoletki i duże szpetne kolczyki.

Oplakiwał ją i równocześnie nienawidził jej.

Musiał wziąć się do roboty. Teraz pozostało mu już tylko pozbyć się ciała. Szybko i sprawnie. Możliwie w jak najprostszy sposób.

Zaczął ją rozbierać.

Thorne podniósł butelkę czerwonego wina stojącą przy fotelu i nalał sobie następny kieliszek. Może czterdziestoletni mężczyźni czuli się lepiej w swoich małych, przytulnych mieszkankach. Czterdziestoletni mężczyźni o złych nawykach i o niebo bardziej zakręceny niż muzyka Glenna Millera i innych nowych kapel, na których byli o dwadzieścia lat za starzy Zamiłowanie do country and western niewiele pomagało.

Johnny śpiewał o wspomnieniach. Thorne upomniał się w myślach, by przy następnej okazji pominąć tę piosenkę. Czy Frank miał rację, gdy pytał, czy sprawa Calverta wciąż nie dawała mu spokoju?

Weź jedne, świeże, delikatne zwłoki...

Zresztą to nie było jego brzemię. Nie pamiętał, od kogo je przejął. Miał tylko dwadzieścia pięć lat. Przełożeni przyjęli na siebie odpowiedzialność, tak jak zresztą powinni. Nie dano mu szansy, by mógł wyjść z tego z honorem. Czy zrobiliby to?

Jeden mężczyzna, zwolniony...

Nie do niego należała decyzja o zwolnieniu Calverta po przesłuchaniu. Już czwartym. Co wydarzyło się w tamtym korytarzu i później w tamtym domu, było dla niego jak relacja ze zdarzeń, o których czytał, podobnie jak wszyscy inni. Czy naprawdę czuł, że to Calvert był sprawcą? A może to był szczegół, który dopisała później jego wyobraźnia w świetle tego, co zobaczył tamtego poniedziałkowego poranka? Kiedy już wszystko wyszło na jaw, jego udział w tym wszystkim został w znacznej mierze pominięty.

Cztery dziewczynki, martwe...

Poza tym cóż znaczyła jego trauma - Boże, ale kretyńskie słowo - w porównaniu z cierpieniem rodziny tych małych dziewczynek, które mogłyby przecież dalej żyć? Które mogłyby mieć dziś własne dzieci.

Z tego są utkane wspomnienia.

Sięgnął po pilota i wyłączył piosenkę. Zadzwoił telefon.

- Tom Thorne.
- Mówi Holland. Chyba mamy kolejne ciało.
- Chyba?

Żołądek podszedł mu do gardła. Calvert uśmiechający się i wychodzący z pokoju przesłuchań. Alison wpatrująca się w przestrzeń. Martwa Susan, martwa Christine czy martwa Madeleine zaciskające kciuki.

- Wygląda tak samo. Jeszcze nie wiemy na pewno, ale chyba nie ma na ciele żadnych śladów.

- Adres?
- W tym właśnie sęk. Ciało leży na dworze. W lesie, za stacją Highgate.

To tylko kilka minut jazdy, zwłaszcza o tak późnej porze. Dopił wino.

- Lepiej przyślij po mnie wóz, Holland. Trochę wypilem.
- A najlepsze jest to...
- Najlepsze?
- Mamy świadka. Ktoś widział go, jak pozbywał się zwłok.

Wyczuwam, że Tim chciałby wiedzieć, od kogo są te kwiaty. Nic nie powiedział, ale wiem, że na nie patrzy. Nie zapytał mnie. Może właśnie dlatego, że miał pytanie, na które chciał poznać odpowiedź, a nie chodziło mu tylko o jednostronne konwersację z byłą dziewczyną, która obecnie jest, praktycznie rzecz biorąc, warzywem.

Wybacz, Tim. Ale nic nie mogło cię na to przygotować, prawda? Przecież niejedno wspólnie przeżyliśmy. Święta, spotkania ze znajomymi. Nie miał niestety okazji poznać moich rodziców. Szczęściarz. Spotkanie z jego rodzicami to był prawdziwy koszmar! Ale przecież nie braliśmy tego w rachubę, bo niby czemu. Jak byś się zachował, gdybym wylądowała pod respiratorem, była kompletnie sparaliżowana, nie mogła mówić, nie miała łączności ze światem? Takie tematy nie są poruszane w pogawędkach dwojga młodych zakochanych osób, czyż nie?

Aha, muszę dodać, że od niedawna mam także dmuchany materac, który ma uchronić mnie przed odleżynami. To zapewne dość duży komfort. I wydaje dźwięki. Ciche, mechaniczne. Czasami budzę się i leżę w ciemnościach, zastanawiając się, czy ktoś w sali obok nie zabrał się właśnie do nocnych porządków i nie postanowił poodkurzać.

Podajrzewam, że Anne zagięła parol na tego gliniarza. Przyznaję, że facet wydaje się miły. Miłszy niż jej eks, który sprawia wrażenie bufona. A policjant jest zabawny. Chyba się zlałam, kiedy przeprosił za to, że jest spocony i cuchnie. Usłyszałam, jak Tim pyta jedną z pielęgniarek o kwiaty. Nie było dołączonego do nich liścika i pielęgniarka poszła spytać którąś z koleżanek. Teraz Tim chyba podejrzewa, że mam romans z policjantem. Z tego gliniarza musi być naprawdę niezły dziwak, skoro ma słabość do tanich żółtych jaskrów i wyjątkowo uległych dziewcząt, które nigdy nie odpowiadają.

Jak brzmiał ten stary dowcip o doskonałej kobiecie? Gdybym była nimfomanką, a mój ojciec był właścicielem browaru, miałby wszystko, o czym marzy każdy mężczyzna.

4.

Ford sierra zatrzymał się za furgonetką policyjną. Gdy tylko Thorne wysiadł z auta, zorientował się, że będzie ciężko. Nawet o drugiej nad ranem było parno, ale zbierało się na deszcz. Cenne materiały dowodowe przypadną, gdy całe to miejsce zamieni się w błotnistą, rozmokniętą breję. Fotografowie, funkcjonariusze do spraw zabezpieczenia miejsca zbrodni i członkowie ekip ekspertów sądowych wykonywali swoje obowiązki szybko, sprawnie i skutecznie. Wiedzieli, że nie mają dużo czasu. Wszystko, co naprawdę użyteczne, odnajdywano w ciągu pierwszej godziny. Złotej godziny. Tughan na pewno wszystkim się zajął. I sprawdził prognozę pogody. Przy tej sprawie to była dla nich pierwsza okazja, aby wykazać się na miejscu zbrodni, i nikt nie zamierzał podejmować zbędnego ryzyka.

Thorne zszedł po stromych schodach prowadzących do stacji metra przy Highgate i wiodących do Queens Wood, splachetka lasu ciągnącego się wzdłuż Archway Road. Gdy tak szedł, widział błyski lamp łukowych przesączające się przez drzewa. Widział postacie ekspertów sądowych w białych plastikowych kombinezonach, kucających nad czymś, co zapewne było ciałem, w poszukiwaniu pojedynczych zblakanych włókien albo włosów pozostawionych na ubraniu dziewczyny. Słyszał krótkie rzucane zdawkowo polecenia, syk fleszów aparatów fotograficznych i nie cichnący szum przenośnego generatora. W przeszłości bywał na wielu, zbyt wielu, miejscach zbrodni, ale tym razem czuł się, jakby oglądał w działaniu Drużynę A. Taką determinację miał okazję widzieć tylko raz. Nie było pogwizdywania w ciemnościach ani wisielczego humoru. Nigdzie, jak okiem sięgnąć, nie zauważył termosu z herbatą.

Dopiero gdy się schylił, by przejść pod barierką, i zaczął nakładać plastikowe ochraniacze na buty, które podał mu przechodzący obok

funkcjonariusz, Thorne zdał sobie sprawę, jak trudne było przebadanie tego konkretnego miejsca zbrodni. Pojął też, jak zimny i bezwzględny był zabójca, porzucając zwłoki tutaj. Ciało leżało przy wysokim metalowym parkanie oddzielającym chodnik na całej długości stoku wzgórze. Po jednej stronie była główna ulica, a po drugiej szeroki na kilkadziesiąt metrów zagajnik, ciągnący się w dół stromego zbocza aż do stacji metra przy Highgate. Aby dostać się do ciała, trzeba było wspiąć się po zboczu i przejść przez zagajnik. Choć wydeptano tam ścieżkę, dostęp do zwłok wciąż pozostawał utrudniony. Ziemia była twarda i wyschnięta, ale wystarczyła dziesięciminutowa ulewa, aby zmienić ją w błotnistą breję. Zanim zdolaliby osłonić miejsce zbrodni polietylenowymi namiotami, byłoby już po herbacie. Gra niewarta świeczki. Miał nadzieję, że szybko uda im się zdobyć to, czego szukali. Miał nadzieję, że było czego szukać.

Dave Holland zbiegał po zboczu w jego stronę. W świetle lamp łukowych jego sylwetka była wyraźnie widoczna. Thorne bez trudu spostrzegł też notatnik w dłoni konstabla. Nie wyglądał jak gliniarz, uznał Thorne, raczej jak prefekt. Nawet z meszkiem zarostu, jasnymi, równo przyciętymi włosami i rumianą cerą stanowił obiekt ciągłych komentarzy w rodzaju: czy dzisiejsi policjanci nie wyglądają młodziej niż dotychczas? Starsze panie go uwielbiały. Thorne nie był do niego przekonany. Ojciec Hollanda służył w policji, a Thorne wiedział z doświadczenia, że zawsze bywały z tym problemy. Nawet nie porusza się jak gliniarz, stwierdził. Gliniarze nie zbiegali po stoku jak kozica. Poruszali się raczej jak... ambulansy.

- Herbaty?

Dobrze, może był trochę naiwny. Ale herbata była zawsze.

- Nie. Opowiedz mi o tym świadku.

- Dobrze, tylko niech się pan za bardzo nie podnieca.

Thorne sposepniał. A więc nie miał co liczyć na przełom.

- Mamy rysopis, ale bardzo pobieżny.

- To znaczy?

- Wzrost, budowę ciała, czarny samochód. Ten świadek, George Hammond...

Znów ten cholerny notes. Miał ochotę wetknąć go temu kretyńskiemu konstablowi głęboko do tyłka.

- ...znajdował się na ścieżce sto metrów dalej, przy głównej ulicy. Sądził, że facet wyrzuca worek ze śmieciami.

Thorne wziął to już wcześniej pod uwagę. Ten facet musiał podjechać i przerzucić ciało przez ogrodzenie. Z daleka ciało mogło przypominać worek ze śmieciami.

- I to wszystko? Wzrost i budowa ciała.

- Trochę więcej wiemy o samochodzie. Podobno był bardzo ładny. Drogi.

Thorne powoli pokiwał głową. Świadkowie. Kolejna rzecz, która potęgowała w nim uczucie rezygnacji. Nawet najbystrzejsi przedstawiali sprzeczne wersje jednego i tego samego zdarzenia.

- Wzrok pana Hammonda nie jest już taki jak kiedyś. To starszy człowiek. Wyprowadzał akurat psa. Czeką teraz w samochodzie.

- Niech poczeka. Ogrodzenie ma prawie dwa metry wysokości. Ile wzrostu mógł mieć według naszego świadka ten mężczyzna?

- Metr osiemdziesiąt pięć, metr osiemdziesiąt osiem. To dość drobna dziewczyna.

Thorne zmrużył lekko oczy i spojrzał w stronę światła. - Dobrze. Za chwilę utnę sobie małą pogawędkę z niedowidzącym panem Hammondem. Miejmy to już za sobą.

Phil Hendricks pochylał się nad ciałem, jego włosy związane w koński ogon wciśnięte były pod krzykliwy żółty czepek. Technicy skończyli już zdrapywanie i oklejanie, teraz przyszła pora na Hendricksa. Thorne obserwował nazbyt dobrze mu znane rutynowe czynności przeprowadzane przez patologa, który sprawdził temperaturę i dokonał wstępnych oględzin zwłok. Mniej więcej co minutę podnosił się nieznacznie z głuchym stęknieniem i mówił coś do małego dyktafonu. Jak zawsze każdy, najdrobniejszy nawet szczegół całej procedury był rejestrowany na filmie przez policyjnego

kamerzystę. Thorne'a zawsze zastanawiali ci ludzie. Niektórzy z nich postrzegali chyba siebie jako filmowców; jednego osobiście złażał za typowo reżyserskie teksty w rodzaju: „cięcie” czy „kończymy”. Niektórzy mieli charakterystyczny błysk w oku, zdający się mówić: „Powinieneś wpaść do mnie do domu i rzucić okiem na materiały, które zamierzam pokazać chłopakom na Gwiazdkę”. W głębi duszy zastanawiał się, czy oni wszyscy nie marzyli o tym, że któregoś dnia zjawi się u nich ktoś z telewizji i zaproponuje wyreżyserowanie kolejnego odcinka którejś z telenowel. A może był wobec nich za surowy Wobec Hollanda również. Może po prostu nie przepadał za spodniami wyprasowanymi w kant i mokasynami. A może po prostu chodziło o to, że Holland był od niego niższy rangą i zawsze był pod ręką.

Czy on sam był taki? Piętnaście lat temu. Na najlepszej drodze wiodącej prosto w przepaść.

Hendricks zaczął pakować sprzęt i uniósł wzrok, by spojrzeć na Thorne'a. Wielokrotnie wymieniali podobne spojrzenia. Ale niewprawnemu oku „przekazanie pałeczki” mogło wydawać się równie zdawkowe jak zmiana grającego przy stole bilardowym. Patolodzy powinni być chłodniejsi niż większość ekspertów, lecz pomimo nosowego głosu i specyficznego poczucia humoru Thorne doskonale wiedział, co naprawdę czuł Hendricks. Nieraz widział go roniącego łzy nad kuflem piwa. Thorne nigdy nie odwzajemnił mu się tym samym.

- Gdybyś mnie zapytał, powiedziałbym, że facet robi się nieostrożny.

Hendricks zaczął się bawić jednym ze swoich kilku kolczyków. Gdy Thorne liczył je ostatnio, miał ich osiem. Okulary o grubych szklach przydawały mu aury uczoności, ale kolczyki i słabość do ekstrawaganckich nakryć głowy czyniły go, delikatnie mówiąc, postacią barwną i niekonwencjonalną. Thorne znał niezwykle „gotyckiego” patologa od pięciu lat. Był od niego młodszy o dziesięć lat i przeraźliwie skuteczny. Thorne bardzo go lubił.

- Nie pytałem, ale dzięki za spostrzeżenie.

- Nic dziwnego, że jesteś drażliwy, koleś. Dwa do jednego u siebie z Bradford?

- Dramat.

- Pewnie, że tak.

Thorne miał strasznie zeszywniały kark. Odchylił głowę do tyłu i wlepił wzrok w czyste nocne niebo. Wypatrzył Wielki Wóz. Zawsze go poszukiwał; to jedyny gwiazdozbiór, który potrafił rozpoznać na pierwszy rzut oka. - A więc to on, prawda?

- Będę miał pewność do rana. Chyba tak. Ale co ona tu robi? To cholernie ruchliwa ulica. Bez trudu ktoś mógłby go zobaczyć.

- I tak też się stało. Niestety został zauważony przez pana Magoo. Tak czy owak, nie sądzę, aby długo tu zabawił. Po prostu podjechał i pozbył się jej.

Hendricks odstąpił na bok, a Thorne spojrział na kobietę, która za kilka godzin zostanie zidentyfikowana jako Helen Theresa Doyle. Była taka młoda. Osiemnaście, dziewiętnaście lat. Bluzkę miała podciągniętą; ukazał się koleczyk w pępku. Nosiła duże okrągłe koleczyki. Przez podartą spódniczkę można było dostrzec paskudne zadrapanie na udzie.

Hendricks zatrzasnął swoją torbę. - Sądzę, że ta rana powstała, gdy jej ciało zahaczyło o wystający drut u szczytu ogrodzenia, kiedy ten łajdak przerzucał ją przez parkan.

Coś przykuło uwagę Thorne'a i spojrział w prawo. Jakies pięćdziesiąt metrów dalej patrzył na niego mały lisiek. A może lisica, pomyślał. Zwierzątko stało całkiem nieruchomo, obserwując dziwne poczynania. Znajdowali się na jego terytorium. Thorne'owi zrobiło się trochę wstyd. Słyszał, jak farmerzy i lobbyści będący zwolennikami polowań skarżyli się na brutalność, z jaką te zwierzęta zabijały swoje ofiary, wątpił jednak, by stworzenie, które zabijało, żeby wykarmić siebie i swoje młode, czerpało z tego przyjemność. Żądza krwi wymagała innej mentalności. Od szczytu wzgórza rozległo się wołanie i lis już miał rzucić się do ucieczki, ale się uspokoił. Thorne nie mógł oderwać wzroku od zwierzęcia, które wpatrywało się w sztucznie

oświetlony pejzaż ludzkiej brutalności i żądzy krwi. Prawdziwej brutalności. Minęło pół minuty, zanim lis obwąchał ziemię i zaspokoiwszy ciekawość, oddalił się powoli.

Thorne spojrział na Hendricksa. On także się przyglądał. Thorne wziął głęboki oddech i odwrócił się w stronę dziewczyny.

Sprzeczne emocje.

Widok ciała wzbudził w nim odrazę i gniew, że młode życie zostało tak bezlitośnie przerwane. Czuł również współczucie dla jej bliskich, a myśl, że będzie musiał się z nimi spotkać i stawić czoło ich wściekłości i smutkowi, przepelniała go zgrozą.

Ale czuł także swego rodzaju gorączkę.

Gorączkę miejsca zbrodni. Pierwszego miejsca zbrodni, jakaś rzecz mająca doprowadzić do przełomu w śledztwie mogła się znajdować w pobliżu, tuż koło nosa, i czekała, prosząc wręcz, aby ją znaleźli.

Jeżeli była tutaj, na pewno to znajdzie.

Jej ciało...

Miała liście we włosach. W długich brązowych włosach. I otwarte oczy. Thorne zauważył, że miała niezłą figurę. Próbował odegnać od siebie tę myśl.

- Wcześniej tak się nie spieszył, prawda? - zastanawiał się Hendricks. - Robił swoje powoli i dokładnie. Zadawał sobie tyle trudu, aby ułożyć je, jakby doznały udaru, oglądając telewizję albo przygotowując posiłek. Tym razem jakby wcale mu na tym nie zależało. Zrobił wszystko w strasznym pośpiechu.

Thorne spojrział na niego pytająco.

- Przed godziną, góra dwiema. Nawet jeszcze nie ostygła.

Thorne pochylił się i ujął dziewczynę za rękę. Hendricks zdjął czepek, a potem energicznym ruchem ściągnął rękawiczki, uwalniając niewielką chmurkę talku. Kiedy Thorne pochylił się, by zamknąć dziewczynie oczy, jego czaszkę wypełniło buczenie generatora. Głos Hendricksa zdawał się dobiegać z bardzo daleka.

- Wciąż czuję zapach karbolu.

Anne Coburn siedziała w ciemnym pokoju po upiornym dniu, który powinien był skończyć się już trzy godziny temu. W gazetach bez przerwy pisano o niedopuszczalnym wydłużaniu godzin pracy młodszym stażem lekarzom, lecz ci starsi też nie mieli łatwo. Spotkanie z administratorem, które miało trwać godzinę, a trwało trzy, zakończyło się dla niej uporczywym bólem głowy, który dopiero teraz powoli zaczął słabnąć. Migrena nie dawała jej spokoju przez dwa wykłady, konsultacje, kłótnię z archiwistką i walkę z górą papierkowej roboty. A David wciąż był z nią na wojennej ścieżce...

Siedziała na krześle, masując skronie. Chryste, ależ niewygodne te krzesła. Czy zaprojektowano je specjalnie, by goście jak najszybciej zostawili, co mieli zostawić, powiedzieli swoje i zwinęli żagle? Może gdyby David był nadal w domu, odpuściłaby sobie papierkową robotę, ale w tej sytuacji nie zrobiła tego. W domu będzie tak cicho. Rachel na pewno już leżała w łóżku, oglądając jakąś wymizerowaną ofiarę narkomańskiego nałogu z oczyma podkreślonymi grubą warstwą czarnej kredki, wyginającą się na wszystkie strony w MTV

Przez chwilę rozmyślała o córce.

Ostatnio nie działo się między nimi najlepiej. Egzaminów kosztowały jej córkę sporo nerwów. Rachel szukała po prostu sposobu, aby rozładować stres, ot i wszystko, co jednak nie zmieniało faktu, że stosunki między nimi były napięte. Anne postanowiła kupić jej prezent po zdaniu wszystkich egzaminów, w nagrodę za ciężką naukę. Może nowy komputer. Może powinna dać jej ten prezent wcześniej. Wciąż się nad tym zastanawiała.

I nagle pomyślała o Tomie Thornie.

Spojrzała na kwiaty, które przyniósł, i uśmiechnęła się, wspominając, jak przeprosił Alison za to, że... jak to określił? Cuchnie. Jej zdaniem pachniał całkiem przyjemnie. Jak mężczyzna. Był na swój sposób atrakcyjny. Musiała przyznać, że trochę ją pociągał. Zapewne była od niego o kilka lat starsza, ale instynktownie wiedziała, że nie należał do mężczyzn, dla których taki drobiazg mógł mieć jakieś znaczenie. I wyglądał, jakby z niejednego pieca jadł chleb.

Tacy faceci ją pociągali, i to od dawna, zanim jeszcze między nią i Davidem zaczęło się psuć. Od wielu lat, jeśli chodzi o ścisłość. To dziwne, ale po lewej stronie Thorne miał więcej siwych włosów. I zawsze podobały jej się brązowe oczy

Anne uświadomiła sobie nagle, że wypowiada swoje myśli na głos. Nocne rozmowy z Alison stały się dla niej codziennością. Pielęgniarki nieraz zastawały ją w jej pokoju w środku nocy. Nie mogła się doczekać kolejnej rozmowy z Alison. Pobudzenie funkcji mózgowych Alison było równie ważne jak reszta terapii, ale dla Anne te jednostronne dyskusje także pełniły istotną funkcję terapeutyczną. To dziwne i ekscytujące zarazem wyrażać najskrytsze myśli i nie być przy tym osądzoną. To jak spowiedź bez zadania pokuty A może gdzieś tam Alison jednak ją osądzała. Zapewne miała własne zdanie w wielu kwestiach. „Olej tego kretyńskiego gliniarza! Znajdź sobie przystojnego młodego studenta medycyny!”.

Któregoś dnia Anne dowie się, co naprawdę myślała Alison. Teraz buczenie maszyn powoli ją usypiało. Wstała, sięgnęła ręką i delikatnie wpuściła Alison krople do oczu, po czym zakleiła jej powieki plastrem, jak zawsze na noc. Zdjęła kitel, zwinęła i podłożyła sobie pod głowę, ponownie siadając na krześle. Zamknęła oczy, szepnęła „dobranoc” do Alison i natychmiast usnęła.

Do wpół do ósmej następnego ranka ciało zostało formalnie zidentyfikowane. Rodzice Helen Doyle zgłosili, że ich córka nie wróciła do domu, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy George Hammond widział, jak jej ciało było przerzucane przez parkan przy Queens Wood. Kilka godzin po ich pełnym trwogi telefonie Thorne, opierając się o ścianę, patrzył, jak przechodzili wolno korytarzem po wyjściu z kostnicy. Michael Doyle pochlipywał. Jego żona Eileen wpatrywała się ponuro w przestrzeń i ścisnęła męża za ramię. Jej szpilki stuknęły o kamienne stopnie, gdy wyszli na zewnątrz, by stawić czoło pierwszemu porankowi ich dalszego życia, już bez córki.

Thorne stanął, opierając się plecami o inną ścianę. Martwa Helen zajęła miejsce obok innych. Jeszcze milczała, ale było to tylko kwestią

czasu. Blisko czterdziestu funkcjonariuszy różnych stopni, wraz z łącznikami i personelem cywilnym, siedziało, czekając, aż Thorne do nich przemówi. Jak zawsze czuł się niczym kiepsko ubrany dyrektor szkoły wygłaszający przemowę do swego personelu. Słuchacze wymieniali uprzejmości albo szowinistyczne uwagi. Kilka kobiet z zespołu siedziało razem, starając się nie zważać na ironiczne komentarze kolegów, będące na poziomie sztubackich żarcików z podstawówki. Smużki dymu z papierosów snuły się leniwie ku zapalonym świetłówkom. Równie dobrze Thorne mógł znowu zacząć wypalać paczkę dziennie.

- Dziś, o wpół do drugiej w nocy w Queens Wood przy Highgate odnaleziono ciało Helen Doyle. Ostatnio widziano ją kwadras po jedenastej, gdy wychodziła z pubu Marlborough Arms przy Holloway Road.

Dziś rano ma zostać przeprowadzona autopsja, ale powinniśmy przypuszczać, że została zabita przez tego samego mężczyznę, który odpowiada za śmierć Christine Owen, Madeleine Vickery i Susan Carlish...

Martwe dziewczęta: *Och, Tommy, daj spokój. Przecież wiesz, że to był on.*

- ...jak również za usiłowanie zabójstwa Alison Willetts.

Ale to nie było usiłowanie zabójstwa, prawda? Zabójca tak naprawdę usiłował osiągnąć coś innego. Thorne nie potrafił ująć tego w słowa. Pewnie będą musieli wymyślić na to nowe określenie, kiedy już go złapią. Odchrząknął i mówił dalej.

- George Hammond, który odnalazł ciało, podał nam ogólny rysopis mężczyzny, którego widział, jak wyjmuje ciało z samochodu i porzuca je w zagajniku. Metr osiemdziesiąt dwa, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, średnia budowa ciała. Przypuszczalnie ciemne włosy. Być może okulary. Samochód granatowy albo czarny, możliwe, że kombi, marka na razie nieznana. Ofiarę uprowadzono w drodze z pubu do jej domu przy Windsor Road, czyli na dystansie około stu metrów, między jedenastą piętnaście a wpół do dwunastej. Jak dotąd nie mamy żadnych zgłoszeń, ale na pewno ktoś coś widział. Chciałbym odnaleźć tych świadków. Spróbujemy określić markę samochodu i zdobyć konkretniejszy rysopis...

Thorne przerwał. Widział, jak kilku funkcjonariuszy wymienia spojrzenia. Niecałą minutę zajęło mu przekazanie najistotniejszych informacji, strzępów danych, które miały pchnąć ich operację do przodu.

Frank Keable wstał: - Nie muszę chyba tego mówić, ale proszę o zachowanie szczegółów tej sprawy w ścisłej tajemnicy i nieujawnianie ich prasie. - Media nie zdołały jeszcze zwężyć tematu zabójstw ani tego, że za zbrodnie był odpowiedzialny jeden sprawca. Po pierwsze dlatego, że zabójstwa miały miejsce w różnych częściach Londynu i były upozorowane na nieszczęśliwe, lecz zgoła naturalne wypadki. Nawet policja miała z tym spory kłopot. Długo trwało, nim stróże prawa połączyli je ze sobą. Mimo to Thorne był bardzo zdziwiony: Bekhend działał od dobrych paru tygodni, a media miały przecież w policji swoich informatorów. Prędzej czy później gdzieś nastąpi przeciek i zacznie się przepływ pieniędzy z ręki do ręki. Tabloidy wymyślą dla zabójcy krzykliwy przydomek, lubiący pokazywać się w mediach politycy zaczną perorować o prawie i porządku, a Keable urządzi mu wykład o „konieczności wytrzymania pewnych nacisków”. Ale jak na razie było nieźle.

Keable skinął na Thorne'a. Mógł kontynuować.

- Helen Doyle miała osiemnaście lat. - Przerwał i parzył, jak koledzy potakują bezgłośnie i krzywią się z odrazą. Nie przerwał dla lepszego efektu. Czuł, że supeł w jego żołądku zaciska się, śliski, nie do rozwiązania.

Helen była niewiele starsza niż najstarsza ofiara Calverta.

- W przeciwieństwie do innych ofiar, nie została zaatakowana w domu. Można przypuszczać, że nie zrobił tego na ulicy, a metoda zabójstwa sugeruje, że nie mógł dokonać tego w samochodzie. Dokąd więc ją zabrał? - Thorne mówił jeszcze przez chwilę. To, co zwykle. Wciąż czekali na wyniki ekspertyz biegłych sądowych. Z nadzieją oczekiwali na rezultaty pierwszych testów, które miano przeprowadzić. Nie powinni tracić nadziei. To mógł być przełom, na który wszyscy czekali. Pora wziąć się do dzieła. W końcu go dopadną. Najwyższy czas. Do roboty, chłopcy..

Wyznaczono zespoły do przeszukania domów na określonym obszarze. Mówiono o planowanej telewizyjnej rekonstrukcji wydarzeń. A potem dało się słyszeć szuranie przesuwanych krzeseł, zamówiono kanapki. Frank Keable zaś został wezwany do gabinetu detektywa nadinspektora.

- I po co? Przecież wie doskonale, że do południa nie mam dla niego żadnych nowych informacji.

- Może chce podzielić się z tobą śniadaniem. Ty swoje już dzisiaj zjadłeś. - Thorne wskazał plamę po keczupie na koszuli Keable'a.

- Bzdury. - Polizał palec i spróbował zetrzeć jasnoczerwony ślad.

- Wczoraj wieczorem znów dał ciała i to mu się nie spodobało - rzekł Thorne.

Keable spojrział na niego, wciąż trąc plamę palcem i sięgając do kieszeni po chustkę.

- Wskazuje na to szybkość, z jaką pozbył się ciała. Po prostu chciał mieć ją z głowy, Frank. Po Alison był pewien, że już to rozgryzł, a gdy ponownie zawiódł, nielicho się wkurzył. Staje się niecierpliwy. I arogancki. Podjął spore ryzyko, porywając swoją ofiarę z ulicy. Te kobiety, te dziewczęta, są dla niego tylko ciałami, żywymi lub martwymi. Przeprowadza na nich całą tę skomplikowaną procedurę i chyba ma do nich pretensje, kiedy mu się nie udaje. Nie napotkaliśmy oznak brutalności i przemocy, ale należy przypuszczać, że facet jest wściekły.

- Skoro chce tak szybko pozbyć się ciała, to po co je myje? Czemu to ma służyć?

- Nie wiem. To... kwestia natury medycznej.

- Ten skurwiel zapewne traktuje tę czynność jak przygotowanie pacjenta do operacji. - Keable parsknął. Thorne spojrział ponad jego głowę. - Och, dajmy spokój, Tom. Czy nie o to nam właśnie chodziło? Jeżeli staje się niecierpliwy czy coś w tym rodzaju, to możemy przypuszczać, że prędzej czy później popełni błąd i da nam coś, co nas do niego doprowadzi.

- Albo zacznie zabijać szybciej. Minęły dwadzieścia dwa dni, odkąd zaatakował Alison Willetts. Poprzednią, Susan Carlish, zabił

sześć tygodni wcześniej...

Keable podrapał się w czubek głowy. - Wiem, Tom. - To była deklaracja skuteczności i kompetencji, ale Thorne potraktował to jak coś innego. Ciche wezwanie do zachowania spokoju. Ostrzeżenie. Ileż razy dostrzegał dokładnie to samo pod otoczką zatroskanego spojrzenia albo kilku rzuconych mimochodem pytań. Zwykle stykał się z taką sytuacją, gdy mieli już podejrzanego. Jakiegokolwiek podejrzanego. Poczul się przywołany do porządku, ale zrozumiał. Sprawa Calverta stanowiła częśćkę ich wspólnej historii. Była swoistą legendą jak Sutcliffe. Obaj w większym lub mniejszym stopniu byli dręczeni przez poczucie winy Tyle tylko że to on, a nie oni, był częścią owej legendy. Znalazł się w samym centrum tych wydarzeń.

Keable odwrócił się i pomaszerował w stronę windy. Samochód czekał na niego, aby zawieźć go na drugi koniec miasta, na spotkanie z nadinspektorem. Nacisnął guzik, żeby zjechać na dół, i raz jeszcze odwrócił się do Thorne'a. - Daj mi znać, gdy tylko Hendricks się odezwie.

Thorne patrzył, jak Keable wsiada do windy, i obaj powoli wzruszyli ramionami, wymieniając spojrzenia przez te kilka sekund, zanim drzwi kabiny zasunęły się z cichym szelestem. Keable powie szefowi, że wciąż czekają na wyniki testów, ale istnieje spore prawdopodobieństwo przełomu w śledztwie. Ktoś musiał widzieć, jak zabójca porywa tę dziewczynę. Właśnie na ten przełom wszyscy czekali.

Thorne zastanawiał się, czy powinien poruszyć temat, który nie dawał mu spokoju, odkąd za wycieraczką swego auta znalazł włożony liścik od zabójcy. Równie dobrze na kartce mogło być napisane: Złap mnie, jeśli potrafisz. Pozbycie się ciała Helen Doyle w tak prostacki i niechlujny sposób mogło stanowić zmyłkę, może sprawca w ten sposób naigrawał się z poczynań policji, ale jedno nie ulegało wątpliwości: morderca nie próbował już dłużej kryć się ze swoją zbrodniczą działalnością, ponieważ zdawał sobie sprawę, że gliny o nim wiedzą. Jeżeli świadomość, że policja wpadła na jego trop, wytrąciła go z równowagi, przez co stał się nieostrożny i mógł zacząć

popęłniać błędy, to Thorne mógł się z tego cieszyć. Zastanawiał się tylko, skąd zabójca miał te informacje.

Czemu, do cholery, nie mogą z tym nic zrobić? Umieją przeszczepiać ludzkie ucho myszy i sklonować pieprzoną owcę. Klonują cholerne owce, na litość boską, co jest chyba najgłupszą rzeczą od stworzenia świata, bo przecież wszystkie te zafajdane owce wyglądają kubek w kubek tak samo, a mnie tak naprawdę nic nie jest!

Tak naprawdę... nic mi... nie jest.

Udar. Takie zdawałoby się niegroźne słowo. A ja mam wrażenie, jakby rąbnięto mnie młotem pneumatycznym. Moja babcia miała udar, ale mogła potem mówić. Miała, co prawda, trochę bełkotliwy głos, a po lekach, które brała, zachowywała się dość dziwnie, lecz w sumie była zabawna. Wcześniej często żartowała sobie... no wiecie, z problemów starszych ludzi. Na przystanku autobusowym nigdy nie mówiła obcym, ile ma lat, ale to chyba oczywiste. Leki, które jej zaordynowali, zmieniły ją w podstarzałą poetkę awangardową. Leżała w łóżku, bredząc o motocyklach, które rzekomo miały przejeżdżać nocami przez oddział, i o pielęgniarzach, którzy wszyscy co do jednego chcieli się z nią kochać. To jakiś absurd - ta kobieta miała osiemdziesiąt sześć lat! Ale przynajmniej można ją było zrozumieć. Ten mężczyzna wywołał u mnie udar. Anne dokładnie wyjaśniła, co mi zrobił. Naruszył jedną z tętnic, jakoś ją powykręcał i wywołał udar. Dlaczego nie mogą jej odkręcić i odwrócić tego procesu? Wciąż mnie to zastanawia. Przecież muszą mieć od tego specjalistów? Ja tu leżę i wyję, a pielęgniarzki przychodzą i świergoczą do mnie, jakbym ucięła sobie popołudniową drzemkę, leżąc wygodnie na słoneczku. Do tej pory na pewno zakończyli już wszystkie testy. Muszą wiedzieć, że nadal tu jestem, że wciąż mówię do siebie, wygłaszając długie tyrady na przemian z jakimiś głupotami. Coraz bardziej to wszystko się na mnie odbija. Chyba mi w ogóle odbija. Widzicie? A niech mnie, wciąż jeszcze mam poczucie humoru!

Miałam rację co do Anne i tego gliniarza. Thorne'a. Znałam wcześniej kobiety takie jak Anne. Mają słabość do dwóch typów

mężczyzn: takich, którzy rozbudzają je intelektualnie, albo takich, co z miejsca próbują dobrać się im do majtek. Czy istnieją faceci mający w sobie cechy obu powyższych typów? Zapomnij. Nie ulega wątpliwości, do której kategorii zalicza się jej eks. Czas na zmiany. Moim zdaniem gliniarz nieźle trafił. Ma chłop fart, nie powiem. Ja od tej pory chyba będę zdana na facetów z pierwszej kategorii.

Tim po prostu usiadł dziś rano przy moim łóżku i tylko trzymał mnie za rękę. Nawet nie próbuje już do mnie mówić.

5.

Thorne przycupnął na skraju biurka Tughana w sali działań operacyjnych. Podczas gdy Tughan manipulował myszką i śmigał palcami po klawiszach, Thorne niemal zauważył, jak sztywnieje kręgosłup Irlandczyka. Wiedział, że mocno go rozdrażnił.

- Czy nie powinieneś czegoś teraz zrobić, Thorne?

Paul Hendricks pracował przez całą noc i zanim jeszcze Keable usiadł z nadinspektorem przy kawie i rogalikach, Thorne dysponował już informacją, o którą mu chodziło. Helen Doyle miała w organizmie sporą dawkę midazolamu i zmarła wskutek udaru. Pomimo miejsca, gdzie znaleziono ciało, i ewidentnego zerwania z dotychczasowym wzorcem działania, nie ulegało wątpliwości, że była piątą ofiarą zabójcy. Tyle udało się dotąd ustalić, ale eksperci sądowi zebrali jeszcze z bluzki i spódnicy Helen Doyle próbki włókien. Thorne sięgnął po telefon.

- I co z tymi włóknami? Czy już coś wiadomo?

- Daj nam czas, na miłość boską.

- Dobrze, wobec tego powiedz mi nieoficjalnie, czego mogę się spodziewać.

- To włókna z dywanu, być może z dywaniku w bagażniku samochodu.

- Możesz określić markę?

- Gdzie twoim zdaniem jesteśmy? W Quantico?

- Gdzie?

- Nieważne. Posłuchaj, wciąż nad tym pracujemy. Przydałby się nam materiał porównawczy...

Zmiana wzorca zaniepokoiła Thorne'a, ale tak czy inaczej, wciąż próbowali znaleźć odpowiedź na te same pytania. Jakich używał argumentów, aby dostać się do domów tych kobiet, a w wypadku Helen Doyle, jak udało mu się zaprosić ją do samochodu?

Ciało Helen Doyle, podobnie jak Alison Willetts i Susan Carlish, nie nosiło żadnych śladów przemocy, ale było nafaszerowane narkotykami. Środek uspokajający został jej podany zapewne w alkoholu. Ale jak? Czy zabójca obserwował Helen przez cały wieczór i dołał jej narkotyku do drinka, zanim wyszła z pubu? To byłoby trudne - towarzyszyły jej koleżanki, a poza tym musiałyby zgrać to wszystko w czasie, co graniczyło z niemożliwością. Skąd mógł wiedzieć, kiedy dokładnie narkotyk zacznie działać? Thorne postawił sobie za zadanie odnalezienie możliwie jak największej liczby osób, które były tego wieczoru w Marlborough. To oraz przeczesanie całego terenu od pubu do domu Helen Doyle oznaczało, że Thorne potrzebował wszystkich ludzi, jakich mógł mu przydzielić Frank Keable. O ile mógł mu ich przydzielić. Thorne liczył, że odnajdzie kogoś, kto widział Helen po wyjściu z pubu. Wciąż nie pojmował, czemu zabójca stał się tak zuchwały, ale wbrew pozorom napawało go to optymizmem, którego nie zaznał już od dawna.

- Czy mogę ci jakoś pomóc?

Tughan często się uśmiechał, ale jego oczy pozostawały zimne i beznamienne. Był chudy jak tyka i przeraźliwie bystry, a głos miał ostry i cięty niczym skalpel. To właśnie wąskie usta Tughana wyobrażał sobie Thorne przy słuchawce telefonu, kiedy jakiś szalencie dzwonił do Scotland Yardu z kolejną bardziej lub mniej zawołowaną groźbą. Thorne cenił Tughana i to, co wnosił do śledztwa; Thorne umiał dotrzeć do każdego akt, na których mu zależało, ale za cholerę nie umiał pisać na komputerze, a wygaszacze ekranu nie wiedzieć czemu wprawiały go w niemal hipnotyczne osłupienie. Kiedy pojawiały się nowe materiały dowodowe, to właśnie Tughan dochodził z nimi do ładu, posługując się programami porównawczymi i wyszukiwarką akt. Thorne wiedział, że gdyby piętnaście lat temu mieli Nicka Tughana zamiast tysiąca szarych teczek z aktami, gdyby zamiast klasycznej kartoteki dysponowali systemem komputerowym Holmes, Calvertowi zapewne nie udałoby się zrobić tego, co zrobił.

Hej, Tommy, daj sobie spokój ze sprawą Calverta, powiedz raczej, co z naszą sprawą?

- Tom?

- Tak, jasne... przepraszam, Nick. Masz tu może pod ręką listę porównawczą pracowników Leicester Royal?

Tughan stęknął, poruszył kursorem i dwukrotnie kliknął myszką. Drukarka pod przeciwległą ścianą zaczęła cicho buceć. Thorne miał nadzieję, że Tughan będzie dysponował gotowym już wydrukiem. W ten sposób mógłby szybciej pomaszerować do swego małego gabinetu i rozłożyć wydruk na biurku do gruntownej analizy, ale nie mógł pozazdrościć Tughanowi skuteczności. Zazdrościł mu niemal wszystkiego innego i odczucie to było obustronne.

Thorne spojrział na listę. Kilku lekarzy, którzy pracowali rotacyjnie w szpitalu Leicester Royal, w czasie gdy doszło tam do kradzieży midazolamu, było obecnie zatrudnionych w lokalnych placówkach. Informacja od Anne Coburn o znaczeniu daty osłabiła nieco jego entuzjazm co do dalszego podążania tym tropem, a odnalezienie ciała Helen Doyle, skądinąd słusznie, wymagało wyjątkowej uwagi wszystkich. Thorne wyczuwał jednak, że może to być naprawdę ważne. Całkiem możliwe, że data kradzieży preparatu była istotniejsza, niż sądził. Być może zabójca (jeżeli rzeczywiście był on zabójcą) wybrał ten dzień rozmyślnie, aby wyglądało, że złodziej był osobą postronną, spoza szpitala, choć w istocie był on tam zatrudniony. Wciąż przekopywali się przez znacznie dłuższą listę wszystkich lekarzy będących obecnie na rotacji i pracujących w lokalnych placówkach, którzy należeli do personelu Leicester w ubiegłych latach.

Nazwisko Jeremyego Bishopa widniało na liście drugie od góry.

Thorne dostrzegł dziwny grymas, jakby drwiący uśmieszek na twarzy Hollanda, gdy zjeżdżali windą na parking. - Czy on nie jest przyjacielem doktor Coburn?

- Tak, ona go zna. A facet teoretycznie ma niepodważalnie alibi.

To Jeremy Bishop jako pierwszy zajmował się Alison Willetts na izbie przyjęć ostrego dyżuru.

- Jednak Alison Willetts trafiła do Royal London z konkretnego powodu - wyjaśnił Thorne, jakby mówił do dziecka. - Chcę sprawdzić, kiedy dokładnie Bishop zjawiał się na oddziale i o której trafiła tam Alison.

Ironiczny grymas nie zniknął z twarzy Hollanda. Wiedział wszystko o wizycie Thorne'a przy Queen Square. Czy odwiedzał Alison Willetts, czy lekarkę, która ją prowadziła? Wiedział, że mogli sprawdzić Bishopa telefonicznie albo w najgorszym razie wysłać kogoś innego. Gdy wysiedli z kabiny i ruszyli w stronę auta, próbował przekonać sam siebie, że przyjaźń Bishopa i Anne Coburn, która zaprzętała jego myśli bardziej, niż powinna, nie stanowiła głównego powodu, dla którego chciał wyeliminować jego osobę ze śledztwa najszybciej, jak to możliwe.

Gdy wybrał się, by zjeść późne śniadanie, rozmyślał o tym, jak zmęczony wydawał się Thorne, zjawiając się w pracy o ósmej rano. Obserwował go, siedząc przy stoliku w barze naprzeciwko, i widział wyraźnie, jak policjant oparł się na chwilę o drzwiczki auta, zanim, powłócząc nogami, ruszył w stronę drzwi. Wcześniej trudno było nawet wyobrazić sobie Thorne'a powłóczącego nogami. To dlatego tak się ucieszył, gdy się dowiedział, że to on będzie prowadził śledztwo. Dlatego i z jeszcze jednego oczywistego powodu: Thorne był zawzięty. I uparty. To cechy, na których szczególnie mu zależało. A także na inteligencji. Facet, którego szukał, musiał być aż za sprytny, na swoje nieszczęście. O to mu właśnie chodziło. Tak czy owak, Thorne był doskonały. Zaniepokoił się jednak jego wymęczonym wyglądem. Miał nadzieję, że było to jedynie fizyczne przemęczenie i że detektyw inspektor nie zaczynał się wypalać. Nie, był po prostu wyczerpany - ze zrozumiałych względów - po... wydarzeniach minionej nocy. Szybko ją znaleźli. Był naprawdę pod wrażeniem. A więc Thorne miał ciężką noc. Mógł się pocieszyć, że nie on jeden.

Jedna na pięć. Spadek z dwudziestu pięciu do dwudziestu procent. Oczywiście wiedział od razu. Wykonał niezbędny telefon i zajął się

swoimi sprawami, ale już po minucie czy dwóch zrozumiał, że go zawiodła. Głupia, pijana świnia. Jego serce, które biło przyspieszonym rytmem w nadziei, że już wkrótce uda się do szpitala z następną pacjentką gotową do podłączenia do maszyn, bardzo szybko zwolniło tempo. Jej bezużyteczne, ociekające cholesterolem serce nie zaczęło znów bić. A przecież dał jej taką szansę. Ona jednak pozwoliła, by to żalosne, kretyńskie życie powoli i nieodwracalnie wysączyło się z jej ciała. Na pewno mieli już jego rysopis. Choćby nawet przybliżony i co z tego? Może widziano także jego wóz. Im więcej osób go widziało, tym lepiej.

Pochłonął tosta i spojrzął przez szybę wystawową na panoramę Londynu. Mgła zaczęła się unosić. Zapowiadał się piękny dzień. Przygotowanie Helen było równie proste jak pozostałych. A nawet łatwiejsze. Był w tym coraz lepszy. Wcześniej zdarzały mu się większe lub mniejsze wpadki, ale teraz podczas całej procedury był znacznie bardziej rozluźniony i odpężony.

Christine i Madeleine były z początku ostrożne i nieufne. To oczywiste, że miały opory, aby go wpuścić, ale były kobietami samotnymi, a on był przystojnym mężczyzną. Chciały porozmawiać. A on miał siłę przekonywania. Susan i Alison zaprosiły go nieomal natychmiast i niepohamowaną radością upiły się do nieprzytomności. Dosłownie. Zachichotał. Szampan to był strzał w dziesiątkę. Wcześniej myślał o palce lub paralizatorze, ale było z tym zbyt wiele zachodu i bałaganu, a on chciał uniknąć niepotrzebnej szamotaniny. Z szampanem musiał poczekać trochę dłużej, ale lubił patrzeć, jak powoli poddawały się działaniu narkotyku. Rozkoszował się świadomością, że wybrana ofiara już wkrótce znajdzie się całkowicie w jego mocy. Ta druga - której nazwiska nie zdołał poznać - dosłownie wyżyłowała całą butelkę. Ale musiał z niej zrezygnować - ponieważ źle zgrał całą operację w czasie. Mimo to był pewien, że nikomu o tym nie powiedziała. Na pewno trudno byłoby jej wytłumaczyć się przed mężem, kochankiem czy kochanką, dlatego była nieprzytomna, gdy on lub ona wróciła do domu. Z całą pewnością nie przyznała się, że zaprosiła obcego mężczyznę.

Z prawdziwą ulgą przyjął fakt, że mógł zająć się Helen w swoim domu. Nie znosił fałszu i obłudy. Nie znosił szwendania się po tych okropnych domach. Aż mu skóra cierpła, gdy miał pozostawiać kostki mydła i buteleczki z pigułkami w tych brudnych, zaniedbanych łazienkach. Zgroza. Zwinięte trykoty i brudne muszle sedesowe. Nie znosił dotykać tych kobiet. Ich głów. Nawet przez rękawiczki czuł, jak tłuste i brudne były ich włosy. Był gotów przysiąc, że coś się wśród nich... ruszało. Teraz jednak mógł pracować w czystym, komfortowym otoczeniu. Teraz wiedział, że oni wiedzieli, że on wie...

Zaczął pogwizdywać pod nosem wymyśloną przez siebie melodyjkę, przez cały czas rozpamiętując i starając się nie zasnąć. Te łagodne dźwięki uspokajały go, a tego potrzebował. Thorne nie był jedynym, który odczuwał dotkliwie wszelkie napięcia i stresy. Potrzebował więcej kawy Zamknął na chwilę oczy i pomyślał o Alison. Ona go nie zawiodła. Chciała żyć. Zastanawiał się, czy nie odwiedzić jej raz jeszcze, ale było to chyba nazbyt ryzykowne. Ochrona na oddziale intensywnej terapii została w ostatnich dniach znacznie wzmocniona. Powódź na oddziale to był niezły pomysł, ale niestety do jednorazowego wykorzystania. Zaczął odlatywać. Tak, będzie musiał wymyślić coś innego, jeśli chciał pójść tam zobaczyć raz jeszcze Alison i nie zostać przy tym złapanym.

I nie natknąć się na Anne Coburn.

- Boli cię, Alison? - Lekarze Anne Coburn i Steve Clark z uwagą wpatrywali się w spokojne, pobladłe oblicze. Zero reakcji. Anne spróbowała znowu. - Mrugnij raz na tak, Alison.

Po chwili pojawił się niemal cień ruchu - właściwie niezauważalne skrzywienie przy lewym oku Alison. Anne przeniosła wzrok na terapeutę, który robił zapiski w notatniku. Skinął na nią. Mówiła dalej: -Tak, czy to oznacza, że cię boli? Czy mam to traktować jako tak, Alison? - Nic. - Alison? - Steve Clark odłożył pióro. Lewa powieka Alison zatrzepotała trzykrotnie raz po raz. - Dobra, Alison.

- Może jest po prostu zmęczona, Anne. Na pewno masz rację. Teraz wszystko jest kwestią tego, aby nauczyła się nad tym panować.

Anne Coburn miała wiele uznania dla Steve'a Clarka. Był błyskotliwym terapeutą i miłym facetem, ale nie umiał kłamać. Nie był co do tego przekonany. W przeciwieństwie do niej. - Czuję się jak ktoś, kto wezwał fachowca do naprawy telewizora i okazuje się, że wszystko z odbiornikiem w porządku, i jest dokładnie na odwrót... Cholera, Steve, wiesz dobrze, o co mi chodzi...

- Myślę, że trochę za bardzo chciałabyś przyspieszyć ten proces.

- W granicach rozsądku, Steve. I skądinąd nie bez powodu. EEG wykazuje normalną aktywność mózgu.

- Nikt tego nie neguje, ale nie oznacza to, że ona ma zdolność komunikowania się ze światem. Przyznaję, że zaobserwowałem ruch, jednak nie jestem przekonany, czy został on wykonany świadomie.

- Nie chodzi tylko o mnie, Steve. Porozmawiaj z pielęgniarkami. Jestem pewna, że ona chce nawiązać kontakt. Że jest na to gotowa.

- Może być gotowa...

- I potrafi to zrobić. Sama widziałam. Dała mi do zrozumienia, że cierpi, że jest zmęczona. Ona... wita się ze mną, Steve.

Clark otworzył drzwi. Chciał już stąd wyjść. - Może nie służy jej presja towarzysząca takim... występom.

Później, gdy się trochę uspokoiła, Anne zdała sobie sprawę, że Clark starał się być wyrozumiały i pełen współczucia. Jak na razie była zła i sfrustrowana; denerwowała się także w imieniu Alison. - Ona nie jest aktorką występującą na scenie, a to nie są tanie teatralne sztuczki...

Ale tak właśnie mogło się wydawać.

Kiedy Holland wjechał nieoznakowanym roverem na cichą, otoczoną drzewami uliczkę w Battersea, najechał na złośliwie i podstępnie uniesiony ogranicznik prędkości z takim impetem, że musiał zostawić na nim kilka warstw lakieru, i w to w dość brutalny sposób obudziło jego przełożonego.

- Jezu, Holland...

- Przepraszam.

- Wiem, że to służbowy wóz, ale na miłość boską!

Promienie słońca aż oślepiały, a Thorne poczuł każdą z dwudziestu czterech godzin, odkąd nie zmrużył oka. Holland otworzył i przytrzymał dla niego drzwi samochodu. Thorne odniósł wrażenie, że tamten zrobił to nie przez szacunek dla przełożonego, lecz by uświadomić mu, że dzieląca ich różnica piętnastu lat z wolna zaczynała być coraz bardziej widoczna.

Jeremy Bishop mieszkał w eleganckim trzypiętrowym domu z niewielkim, ale dobrze utrzymanym ogródkiem od frontu. Dom miał zapewne cztery sypialnie. I był gustownie urządzone, jak mógł się domyślić Thorne, meblami „z epoki”, jak to się mówiło w kręgach cwanych specjalistów od wystroju wnętrz. Był wart pewnie z pół miliona. To wszystko i szykowne volvo stojące na podjeździe. Bishop z całą pewnością nie narzekał na brak funduszy.

Holland nacisnął dzwonek. Thorne uniósł wzrok i spojrzał w stronę okien. Zasłony wciąż były zaciągnięte. Po minucie lub dwóch drzwi otworzyły się, Holland dokonał prezentacji i on oraz Thorne zostali wprowadzeni do domu przez wyraźnie zaspianego Jeremyego Bishopa. Podczas gdy Holland stał usłużnie z boku, z nieodłącznym notesem w gotowości, Thorne osunął się na krzesło, z radością przyjął zaproponowaną mu kawę i zaczął się zastanawiać, czemu Jeremy Bishop wydał mu się taki znajomy. Thorne oszacował, że tamten miał czterdzieści kilka lat, pod pięćdziesiątkę, ale mimo zarostu na policzkach i podpuchniętych, zaczerwienionych oczu wyglądał dziesięć lat młodziej. Był wysoki, metr osiemdziesiąt pięć - metr osiemdziesiąt osiem; Thorne'owi przypominał doktora Richarda Kimble'a granego przez Harrisona Forda w kinowej wersji serialu *Ścigany*. Jego krótkie włosy przyprószyła siwizna, ale w połączeniu z okularami w drucianych oprawkach tylko dodawała mu ona dostojności. To potwornie zirykowało Thorne'a, on z posiwiałymi włosami wyglądał po prostu staro. Ten frajer zapewne nie miał nawet siwych włosów w kroczu. Bishop niewątpliwie musiał odgrywać główną rolę w erotycznych fantazjach Wielu studentek medycyny i młodych pielęgniarek. „Och, doktorze! Tu, w laboratorium?”.

Pomyślał o Anne Coburn. Próbował nie wyobrazić jej sobie rozbierającej się w laboratorium. Czy nie było już brzydkich lekarzy? Przypomniawszy sobie cuchnącą starą lekarzkę pediatrę, do której zabierano go w dzieciństwie, odrażającą jędrę z męską fryzurą i wąsikami, która śmierdziała zgliwiałym serem; zawsze miała w kąciku ust tłącego się papierosa i bez przerwy mamrotała coś niezrozumiale w języku któregoś z państw Europy Wschodniej. W przypadku Jeremy'ego Bishopa nie było mowy o tego rodzaju rozterkach. Jego wystudiowany głos mógł w okamgnieniu uspokoić miotanego atakiem epileptyka.

- Przypuszczam, że chodzi o Alison Willetts - powiedział.

Holland spojrzął na Thorne'a, który upił łyk kawy. Niech się tym zajmie konstabl.

- Skąd to przypuszczenie?

Thorne patrzył na Hollanda przez smużki pary unoszące się z nad filiżanki. Niezły początek: sarkazm, wyższość i odrobina agresji. Niech obiekt się rozluźni i poczuje swobodnie.

Bishop nie dał się sprowokować. - Alison Willetts została zaatakowana i odniosła poważne obrażenia. Zajmowałem się nią, a policja nie wysłała inspektorów w sprawie niezapłaconych mandatów za złe parkowanie. - Uśmiechnął się do Hollanda, który niezwłocznie przeszedł do drugiego punktu zgodnie z procedurą prowadzenia rozmów z osobami znajdującymi się w kręgu podejrzanych.

- Prowadzimy dochodzenie w sprawie bardzo poważnego przestępstwa, które...

- Znowu to zrobił?

Thorne niemal oblał się kawą, gdy nagle wyprostował się na krześle. Holland spojrzął na niego wyraźnie zakłopotany. Thorne zauważył wyraz rozbawienia na twarzy Bishopa, chyba ucieszyła go konsternacja konstabla. Bishop zapewne miał do czynienia z podobną sytuacją, gdy młodzi lekarze, postawieni w trudnej sytuacji, poszukiwali wsparcia i być może także otuchy ze strony starszego kolegi po fachu. Thorne uznał, że w tym wypadku powinien przejąć pałeczkę.

- Co niby miał znowu zrobić?

- Proszę posłuchać, być może nie powinienem wiedzieć o innych ofiarach. Wyniknęło to w kontekście troski o zdrowie i życie mojej pacjentki. Poinformowano mnie, że miały miejsce inne ataki. Anne Colanti i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi, inspektorze, o czym, jak sądzę, doskonale pan wie.

Thorne doskonale wiedział, że pomimo najszczerzych chęci Franka Keable'a ta sprawa nie zostanie utrzymana długo w tajemnicy. Prędzej czy później ktoś musiał puścić parę. Parę czego? Jaką parę? Zwykle para szła w gwizdek, a w tym wypadku? On, Thorne, miał trochę zmartwień. I był potwornie zmęczony...

- Przykro mi, że wyrwaliśmy pana z łóżka.

Bishop rozłożył szeroko ramiona i oparł je o górny brzeg kanapy.

- Cóż, inspektorze, obawiam się, że wyglądam nie lepiej niż pan.

Thorne uniósł brew.

- Spędzam wiele czasu z ludźmi, którzy z tego czy innego powodu niewiele śpiją. Oczywiście zdradzają to natychmiast. Miałem nocny dyżur. A pan?

Thorne zaśmiał się, udając przy tym, że ziewa. - Tak... ciężka noc. Miałem dużo pracy. A pan?

Bishop spojrzał na niego. - Ja... ee... nie. W zasadzie nie. Około trzeciej nad ranem miałem jeden przypadek przedawkowania i przed wpół do czwartej byłem już w domu. Ale nawet gdy nie wzywają, ciężko jest się odprężyć, bo przecież przez cały czas jest włączony pager. Dzięki Bogu za kablówkę.

- Było coś ciekawego?

- Cierpię na chroniczny syndrom kciuka. Sporo starych sitcomów, jakiś dziwny czarno-biały film i sporo golizny. - Uniósł wzrok i uśmiechnął się z niedowierzaniem do Hollanda. - Zapisuje pan to wszystko, konstablu?

Thorne zadawał sobie to samo pytanie. - Tylko tę wzmiankę o goliznie. - Najwyraźniej w życiu detektywa konstabla Hollanda brak

gwałtowniejszych emocji. Thorne zdziwił się, gdy zauważył, że Holland się zaczerwienił.

Bishop wstał i przeciągnął się. - Zamierzam jeszcze zaparzyć kawę. Który z panów reflektuje?

Thorne wszedł z nim do kuchni i rozmawiali jeszcze przez chwilę przy postawionym na gazie czajniku.

- O której godzinie zjawił się pan w szpitalu tej nocy, gdy na oddział przyjęto Alison Willetts?

- Wydaje mi się, że wezwanie na pager odebrałem około trzeciej. Jedna kostka cukru, zgadza się? - Thorne pokiwał głową i zaczekał, aż Bishop zacznie mówić dalej. - Pacjentkę znaleziono na zewnątrz, przy wejściu służbowym... ale pan na pewno już to wie... po czym zanesiono ją natychmiast na izbę przyjęć ostrego dyżuru.

- Czy zadzwonił pan, gdy otrzymał wezwanie na pager?

- Nie było takiej potrzeby. Wiadomość była krótka: czerwona trauma. W takich sytuacjach ubieram się i wychodzę. Czasami mam podany numer, pod który mogę oddzwonić, a kiedy indziej chodzi właśnie o to, żebym oddzwonił. W przypadku traumy po prostu wsiadam do samochodu i jak najszybciej jadę do szpitala.

- Kiedy sprowadzono Alison Willetts, był pan pierwszą osobą na oddziale, która się nią zajęła?

- Zgadza się. Sprawdziłem jej źrenice - reakcja zachodziła. Założyłem jej maskę z gruszką, zaintubowałem, podałem midazolam na uspokojenie, zaordynowałem tomografię i EEG, po czym przekazałem ją w ręce młodszego anestezjologa. - Bishop upił łyk kawy. - Przepraszam. Przepraszam, to musi brzmieć jak jeden z odcinków *Doktora Kildare'a*.

Thorne uśmiechnął się. - Raczej *Ostrego dyżuru*. Poza tym Kildare'owi często wystarczała mocna osłodzona herbata i parę aspiryn.

Bishop zaśmiał się. - W rzeczy samej. Poza tym pielęgniarki nie są aż tak atrakcyjne.

- Skoro więc otrzymał pan wezwanie o trzeciej, był pan na miejscu mnie więcej o wpół do czwartej?

- Mniej więcej. Jakoś tak.
- A Alison przywieziono na oddział za kwadrans czwarta?

Bishop upił łyk kawy.

- Czemu więc w ogóle pana wezwano?

- Obawiam się, że nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. To nic niezwykłego, można by długo się nad tym zastanawiać. Nieraz zdarzało się, że mnie wezwano, choć wcale nie było takiej potrzeby. A co się tyczy tej konkretnej nocy, nigdy się nad tym nie zastanawiałem. To znaczy, gdybym wiedział dokładnie, co się wydarzy - lub co później odkryjemy - może zwróciłbym większą uwagę na łańcuch wydarzeń rozgrywających się tej nocy. Wówczas było to dla mnie tylko rutynowe, choć alarmowe wezwanie. Przykro mi.

Thorne odstawił filiżankę. - Bez obawy. Jestem pewien, że wszystkiego się dowiemy

Bishop uśmiechnął się, wziął filiżankę Thorne'a, wylał resztki kawy do zlewu i otworzył zmywarkę do naczyń.

- Dowie się pan, dlaczego zostałem wezwany w tamten wtorek, cztery tygodnie temu? Życzę powodzenia, inspektorze.

Kiedy samochód sunął powoli w korku na Albert Bridge, Holland wolał raczej milczeć, niż zadać swemu przełożonemu któreś z nurtujących go licznych pytań. Po co w ogóle fatygowali się taki szmat drogi? Czy sądzi pan, że Jeremy Bishop smali cholewki do Anne Coburn? Czemu stale się mnie pan czepia? Dlaczego uważa się pan za lepszego od innych?

Przeniósł wzrok na Thorne'a, który osunął się na fotelu pasażera i miał zamknięte oczy. Ale nie spał.

Thorne odezwał się tylko raz, by powiadomić Hollanda, że nie wróćą jeszcze do biura. Nie otwierając oczu, polecił mu, by skręcił w prawo i pojechał wzdłuż rzeki w stronę Whitechapel. Nadeszła pora, by odwiedzić szpital Royal London i przekonać się, czy alibi Jeremyego Bishopa faktycznie było niepodważalne.

Możecie mnie nazywać Zdumiewającą Mrugającą Kobieta! Tyle tylko że coś kiepsko sobie radzę z występami, czyż nie?

Byłam kiedyś na randce z jednym aktorem. Opowiedział mi o śnie, który miał wielokrotnie; śniło mu się, że stoi na scenie i już ma odegrać swój ulubiony kawałek, gdy nagle wszystkie słowa ulatują mu z głowy jak dym uchodzący z komina. Tak samo poczułam się, kiedy Anne poprosiła mnie, abym mrugała. Chryste, tak bardzo chciałam dla niej mrugnąć. Nie... chciałam zamrugać dla siebie. Mogę to zrobić, wiem, że mogę. Robiłam to przez cały czas, kiedy nikogo przy mnie nie było, i wcześniej, kiedy Anne mnie o to prosiła. Zapytała, czy mnie boli, i mrugnęłam raz, na tak. Jedno mrugnięcie. Taki drobny w sumie ruch, a ja się poczułam, jakbym wygrała na loterii, przespała się z Melem Gibsonem i zdobyła roczny zapas czekolady.

Tak naprawdę poczułam się, jakbym wzięła właśnie udział w londyńskim maratonie. Kilka mrugnięć i jestem kompletnie wykończona. Ale kiedy ten terapeuta patrzył, nie mogłam tego zrobić.

Krzyczałam w myślach na moje powieki. Zupełnie jakby sygnał wygasł w moim mózgu. Ale powoli. Można to porównać do rozklekotanej starej lady sunącej wolno od jednego obwodu do drugiego, czy jak to się tam nazywa. Neuroautostrady czy jakoś tak. Była na dobrej drodze, ale utknęła gdzieś na skrzyżowaniu czy rozjeździe. Jakby straciła zainteresowanie. Wiem, że mogę to zrobić, ale nie panuję nad tym. Kiedy się nie staram, mrugam jak oszalała, a kiedy chcę to zrobić, za cholerę nie mogę.

Jeżeli mruganie to wszystko, co mi jeszcze pozostało, będę najlepszą mrugającą kobietą na całym tym parszywym łożu padole. Nie trać we mnie wiary, Anne. Nie opuszczaj mnie. Tyle chciałabym ci opowiedzieć. Przysięgam, będę mrugać za całą Anglię.

Wyczuwam nutę rozczarowania w jej głosie. Tak bardzo chciałabym się rozplakać. Ale nawet tego nie jestem w stanie zrobić...

6.

- Dokąd?
- Do Muswell Hill poproszę.
- Nie ma sprawy. A gdzie to jest?

Thorne westchnął ciężko, gdy prosta przejażdżka z jego mieszkania w Kentish Town stała się nagle nie lada przeprawą. To jego wina, że zamówił tanią taksówkę. Czemu był tak cholernym sknerą?

Próbował nie myśleć o sprawie - miał wolny wieczór. Udało mu się to do chwili, gdy taksówka dotarła do końca ulicy. Wolałby spędzić wieczór bez swoich osobliwych dziewcząt z kalendarza, ale to będzie raczej trudne, zważywszy, dokąd się wybierał i z kim miał się spotkać. Temat Jeremyego Bishopa był w wypadku Anne Coburn co najmniej śliski. Nie ulegało wątpliwości, że łączyła ich bliska znajomość. Czy było coś więcej? Thorne starał się o tym nie myśleć. Tak czy owak, ich znajomość utrudniała sprawy pod każdym względem, nie tylko proceduralnym.

Thorne nie znosił frazesów o gliniarzu posługującym się instynktem, podobnie jak nie cierpiał u policjantów zahartowania. Przeczucia to tylko same kłopoty. Jeżeli okazywały się mylne, powodowały zażenowanie, ból, poczucie winy i nie tylko. Ale jeszcze gorsze były te trafne. Policjanci... dobrzy policjanci nie radzili sobie z takim instynktem. Rozwijali go w sobie. Księgowi też są dobrzy w tym, co robią, ponieważ na co dzień mają do czynienia z liczbami. Nawet przeciętny gliniarz mógł wyczuć, kiedy ktoś kłamie. Tylko nieliczni wyrabiali w sobie o wiele głębsze wyczucie innego typu w stosunku do ludzi, z którymi się stykali.

Mieli pecha.

- Proszę bardzo.

Kierowca taksówki rzucił mu wyświechtaną mapę miasta. Chryste Panie, pomyślał Thorne, czy chcesz, żebym poprowadził ten złom za ciebie?

- Nie potrzebuję mapy. Pokieruję pana. Do Archway Road, a potem prosto.

- Dobrze. A w którą to stronę?

Thorne wyjrzał przez okno. Kolejny ciepły sierpniowy wieczór; przed wejściem do Forum stała kolejka ubranych w barwne podkoszulki nastolatków czekających na koncert. Gdy taksówka przejeżdżała obok, wyteżył wzrok, usiłując dostrzec nazwę kapeli, ale wychwycił tylko jedno słowo: ... Maniacs. Czarujące.

Mieszkał niespełna sto metrów od miejsca, gdzie się wychowywał i dorastał. Tu przeżył swoje młodzińcze lata. Kentish Town, Camden, Highgate. I Archway Przez pół roku pracował na posterunku przy Holloway Znał ulicę, przy której mieszkała Helen Doyle. Nieraz pijał w pubie Marlborough Arms. Miał nadzieję, że tego wieczoru dobrze się bawiła...

Jeremy Bishop.

Tak, wszystko zaczęło się od dziwnego wrażenia, którego natury wciąż nie potrafił określić, ale które przerodziło się w coś więcej. W ciągu kilku dni, odkąd go po raz pierwszy zobaczył, nieokreślone wrażenie zostało wsparte na solidniejszych podstawach.

Thorne szybko zrozumiał, dlaczego Bishop się uśmiechnął, gdy usłyszał, że policjant zamierza sprawdzić, z jakiego powodu otrzymał sygnał na pager tego wieczoru, gdy przyjeżdżało do szpitala Alison. Ze zdumieniem stwierdził, że zgłoszenia te były nie do wyśledzenia. Nie istniały oficjalne zapisy w rejestrach. Telefon na pager mógł zostać wykonany skądkolwiek. Żaden z potencjalnych kandydatów nie przypominał sobie, aby przywoływał Bishopa tamtej nocy, gdy przyjeżdżało na oddział Alison. Rozmawiał z oddziałową, archiwistą i anestezjologiem; ich relacje na temat wydarzeń tamtego wieczoru były mętne i niejasne, tak jak przewidywał Bishop. Był w szpitalu, kiedy przywieziono tam dziewczynę, ale jego alibi na okres pomiędzy uprowadzeniem a znalezieniem dziewczyny przy tylnym wejściu do szpitala nie było tak niepodważalne, jak sądziła Anne Coburn.

Nie potrafił jeszcze tego połączyć w całość, ale było wiele innych... szczegółów.

Przeszukanie okolicy, w której zniknęła Helen Doyle, zaczęło przynosić rezultaty. Po wyjściu z pubu widziały ją co najmniej trzy osoby. Jedną był sąsiad, który dobrze ją znał. Wszyscy świadkowie zgodnie stwierdzali, że rozmawiała z jakimś mężczyzną przy końcu ulicy. Mówili, że „wyglądała na zadowoloną”, „głośno mówiła” i „chyba była pijana”. Opis mężczyzny różnił się szczegółami, ale miał wiele cech wspólnych. Mężczyzna był wysoki. Miał krótkie siwiejące włosy i nosił okulary. Był po trzydziestce. Świadkowie myśleli, że to nowy chłopak Helen. Jej facet.

Wszyscy świadkowie mówili jeszcze o czymś. Helen piła szampana wprost z butelki. Już było wiadomo, jak podano ofierze narkotyk. Takie proste rozwiązanie. I takie podstępne. W miarę jak zdolność ofiar do stawiania oporu słabła, wszystkie czuły się... no właśnie, jak? Szczególne? Wyrafinowane? Thorne miał wrażenie, że zabójca postrzegał siebie dokładnie w tych samych kategoriach.

Kierowca włączył radio. Dały się słyszeć dźwięki starej piosenki Eurythmies. Thorne natychmiast wychylił się do przodu i polecił kierowcy, by wyłączył radio.

Kierowca zjechał z Al w prawo, w stronę Highgate Woods.

- To niedaleko Broadway, jasne?
- Broadway...

Thorne wychwycił w lusterku spojrzenie kierowcy. Przepraszające, ale bez zbyt dużego zaangażowania.

- Jeżeli kierowcy czarnych taryf kumają cza-czę, to co ty kumasz?
- Słucham?
- Nieważne.

Poprzedniego dnia odczekał trochę, zanim spotkał się z Frankiem Keable'em. Wchodząc do biura oficera dowodzącego, był przygotowany, aby podzielić się z nim swymi podejrzeniami - szczegółami wskazującymi na Bishopa. Dziesięć minut później wyszedł stamtąd z uczuciem, jakby właśnie opuścił Hendon.

- Bądźmy szczerzy, Tom. To prawda, że on nie ma niezbitego alibi, ale...
- Na czas żadnego z tych morderstw. Sprawdziłem...

- Masz jedynie drobiazgi, które nie wykluczają go z kręgu podejrzanych, a co z rysopisem? Dwoje świadków stwierdziło, że tamten miał trzydzieści parę lat.

- Wzrost się zgadza, Frank, a Bishop nie wygląda na swoje lata.

Właśnie wtedy Thorne uświadomił sobie, że to, co mówi, brzmi nieprzekonująco. Postanowił przerwać swój monolog, zanim powie coś nieodwracalnie rozpaczliwego: „W dodatku to lekarz! A poza tym... z całego serca go nie znoszę!”.

Tego samego wieczoru wszedł do swego mieszkania i usłyszał kobiecy głos płynący z salonu.

- ...w biurze. Raczej nie cierpię tych urzędzeń, przykro mi. Oddzwonił, proszę. Czekam z niecierpliwością.

Uśmiechnął się. Jak kobieta grzebiąca ludziom w głowach mogła być tak zdeprimowana przez zwykłe urządzenie, jakim jest automatyczna sekretarka? To go rozczuliło, ale ona na pewno pomyślałaby, że traktuje ją protekcyjnie. Podniósł słuchawkę.

- Tom?

O co pytała? „Czy to ty, Tom?”. A może: „Nie gniewasz się, że zadzwoniłam, Tom?”. Tak czy owak, odpowiedź była jedna i ta sama.

- Tak. Cześć...

- Mówi Anne Coburn. Przepraszam, plotłam trzy po trzy. Próbowałam złapać cię w biurze. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

Zapisał swój domowy numer na odwrocie wizytówki, którą od niego dostała. Rzucił kurtkę na oparcie sofy i przyciągnął telefon, by postawić go na krześle. - Absolutnie. Tyle tylko że dopiero wróciłem do domu. Czemu jesteś taka podniecona?

- Słucham?

- Mówiłaś, że czekasz z niecierpliwością, abym oddzwonił. Usłyszałem końcówkę wiadomości, którą dla mnie nagrywałaś.

- Ach, tak. Chodzi o Alison. Chyba naprawdę próbuje się z nami komunikować.

Schylił się po na wpół pełną butelkę wina, ale zaraz znowu się wyprostował. - Co takiego? To niesamowite!

- Co prawda dopiero zaczyna i niestety muszę dodać, że nie wszyscy są przekonani, że wykonywane przez nią ruchy nie są odruchowe i spontaniczne. Jednak mimo to chyba powinieneś sam się o tym przekonać. Musisz to zobaczyć.

- Tak. Oczywiście...

- On zabił następną dziewczynę, zgadza się?

Thorne usiadł prosto na krześle. Przytrzymując słuchawkę przy ramieniu, zaczął nalewać sobie solidny kieliszek wina. Czy wiadomość o tym przedostała się już do prasy? Nie widział krzykliwych nagłówków. A gdyby nawet, dziennikarze nie mogli połączyć tego zabójstwa z innymi. Skąd zatem ona...?

Bishop. Najwyraźniej to od niego się o tym dowiedziała. A ile ona powiedziała jemu o wcześniejszych zabójstwach? Musiał ją o to zapytać, ale rzecz jasna, dyskretnie.

- Posłuchaj, Tom, zrozumiem, jeśli nie będziesz chciał na ten temat rozmawiać...

- Nie, zamyśliłem się tylko. Tak. Znaleźliśmy kolejne ciało.

Tym razem to ona zamilkła na chwilę. - Wiem, mówiłam, że od Alison nie otrzymasz żadnych zeznań, i to prawda, przynajmniej w normalnym tego słowa znaczeniu, chociaż może... To znaczy... nie chcę, żebyś niepotrzebnie rozbudził w sobie złudne nadzieje, ale...

- Sądzisz, że ona może być w stanie odpowiadać na pytania?

- Na razie nie, ale z czasem, może. Oczywiście będą bardzo proste. Tak lub nie. Może uda się nam opracować system komunikowania się. Przepraszam. Znów zaczynam pleść od rzeczy. Na pewno musimy jeszcze o tym porozmawiać, ale ja tak bardzo chciałabym, żebyś wiedział...

- Cieszę się, że zadzwoniłaś.

I wtedy zaprosiła go na kolację.

Gdy tylko otworzyła drzwi, podał jej reklamówkę z butelką ulubionego czerwonego wina.

- Dzięki, nie musiałeś.

- Nie podniecaj się tak, to tylko reklamówka.

Zaśmiała się i postąpiła naprzód, by pocałować go w policzek. Jej perfumy miały urzekający zapach. Nosiła rdzawy top bez rękawów, kremowe płócienne spodnie i sportowe buty. Zdziwił się, choć wcale nie w negatywnym sensie, gdy stwierdził, że była od niego wyższa o trzy lub pięć centymetrów. Przywykł do tego. I czuł, że będzie się dobrze bawił. Jednak dobry nastrój opuścił go w jednej chwili, kiedy obejrzał się przez ramię i zobaczył mężczyznę krzątającego się w kuchni, na końcu korytarza.

Jeremy Bishop opierał się o kontuar, otwierając butelkę szampana. Anne odstąpiła na bok, aby wpuścić Thorne'a, i wychwyciła jego spojrzenie. - Przepraszam - szepnęła, wzruszając ramionami.

Kiedy Thorne zdjął skórzaną kurtkę, pochwalił wystrój mieszkania i przez chwilę zastanawiał się, co Anne miała na myśli. Przepraszam? Przecież nie mogła wiedzieć, co naprawdę myślał o Bishopie, za co więc przepraszała? Idąc w stronę kuchni, doszedł do pokrępiącego wniosku, że było jej przykro, ponieważ nie zostali sami. Bishop wyciągnął rękę, uśmiechnął się do niego. Thorne odpowiedział uśmiechem. Czy było mu przykro? Nie, raczej na pewno nie.

- Doskonale wycucie czasu, inspektorze. - Bishop podał mu kieliszek szampana.

Thorne przyjął go i lodowaty dreszcz przeszedł mu po plecach. Bishop zachowywał się tu jak u siebie, krążąc po kuchni swobodnie, jakby doskonale znał to miejsce. Nosił płócienne spodnie w kant i koszulkę bez kołnierzyka. Chyba była jedwabna. Zapewne nazywał ją bluzką. Thorne poczuł się przesadnie elegancki w koszuli i pod krawatem i odruchowo uniósł dłoń, by odpiąć guzik pod szyją.

Bishop opróżnił kieliszek. - Czy dolega panu jeszcze przepuklina?

- Słucham?

- Dowiedziałam się o tym, zaraz jak pan i konstabl wyszliście. Tylko niech pan nie mówi, że to pana nie denerwowało. Operacja przepukliny w zeszłym roku... to ja byłem anestezjologiem podczas zabiegu. - Nie czekając na odpowiedź - trochę by to trwało - odwrócił

się do Anne. - No dobrze, zamieszałem twój sos, Jimmy, a teraz muszę do toalety - Podał Anne swój kieliszek i minąwszy Thorne'a, ruszył w stronę schodów.

Stali w milczeniu, dopóki nie usłyszeli trzasku zamykanych drzwi do łazienki.

- Czy czujesz się przez to niezręcznie, Tom? Powiedz mi, jeżeli tak jest.

- Niby czemu miałbym się tak czuć?

- Nie zapraszałam go.

To dobra nowina. Thorne uśmiechnął się pobłaźliwie. - Nic się nie stało.

- Nie miałam pojęcia, że przyjdzie. Wpadł ot tak, przypadkiem, a ja nie mogłam go wyprosić. To byłoby nieeleganckie. Wiem, że go przesłuchiwałeś, choć to wydaje się absurdalne...

Thorne upił łyk szampana. Nie przepadał za szampanem.

- To jak?

- Ale o co chodzi?

- Czujesz się niezręcznie?

Niezręcznie to mało powiedziane. Thorne nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek zdarzyło mu się jeść kolację w towarzystwie głównego podejrzanego. Przypomniawszy sobie scenę w gabinecie Keable'a. No, powiedzmy, że był to tylko jego główny podejrzany.

Niemniej jednak całe to zdarzenie mogło być nawet interesujące. Znał już podstawowe fakty. Dwoje dzieci, żona, która zmarła. Cóż, powinien wykorzystać tę okazję, by rzucić... nowe światło na pewne sprawy. Anne patrzyła na niego z przejęciem. Nie odpowiedział na jej pytanie. Zamiast tego odwdzińczył się własnym.

- Jimmy?

- To ksywka z czasów studiów na medycynie. James Coburn. No wiesz, *Siedmiu wspaniałych*. To ten, co rzucał nożami.

- Pamiętam. A jak sobie radził ze skalpelami?

Zaśmiała się. - Jeżeli masz jakiegokolwiek podejrzenia względem Jeremiego, to pewnie stawia cię to w niezręcznej sytuacji, ale znam

co najmniej dwa powody, dla których powinieneś zostać i zjeść z nami kolację. Thorne nigdzie się nie wybierał, ale mimo to pozwolił, by spróbowała go przekonać. - Po pierwsze, bardzo bym się ucieszyła, gdybyś został, a po drugie, robię najlepsze spaghetti carbonara w całym północnym Londynie.

Kolacja była fantastyczna. Niewątpliwie to najlepszy posiłek, jaki miał okazję jeść Thorne od dłuższego czasu, ale nie zamierzał niweczyć wrażenia mało adekwatną pochwałą. O tym, że źle się odżywia, mógł poniekąd świadczyć rozpad jego małżeństwa i kurcząca się lista przyjaciół. Równie dobrze mogli mu przysłać kartkę okolicznościową z tekstem w rodzaju: Masz, czego chciałeś, Tom! Dziesięć najczęściej wybieranych przez Thorne'a numerów nie należało do jego rodziny i znajomych. Mógł jedynie mieć nadzieję, że nie wygra wycieczki. Dwa tygodnie na Lanzarote z kierownikiem Bengal Lancer i garstką przyszczatych roznosicieli pizzy na rowerach nie wydawały mu się atrakcyjną perspektywą spędzenia wolnego czasu.

- Mam nadzieję, że moje alibi się potwierdziło, detektywie inspektorze. - Bishop celowo podkreślił rangę Thorne'a. Ubaw, jaki z tego miał, uświadomił Thorne'owi, że chętnie podjąłby rzuconą rękawicę, ale Anne szybko przyjęła rolę łagodnej rozjemczyni.

- Daj spokój, Jeremy Tom na pewno nie chce o tym mówić. Albo nie może, nawet gdyby zechciał.

Thorne odetchnął z ulgą. Wolał nie podejmować tematu śledztwa. Chciał pozwolić, aby to Bishop mówił, i gdy napięcie zostało już rozładowane, nie zawiódł się. Bishop znał mnóstwo historyjek. Wydawał się wiecznie rozbawiony nie tylko własnym trajkotaniem, lecz również niezwykłością tej sytuacji i ich trójkąta. Thorne także potraktował to z ulgą. Anestezjolog zdominował konwersację, od czasu do czasu tylko usiłując wciągnąć do rozmowy Thorne'a.

- To gdzie właściwie mieszkasz, Tom?
- W Kentish Town. Przy Ryrand Road.
- Nie moja strona Londynu. Miło tam?

Thorne skinął głową. *Nie. Niezupełnie.*

Bishop był elokwentnym i rozrywkowym facetem - prawdopodobnie. Thorne robił, co mógł, aby śmiać się w odpowiednich momentach, choć czuł się niezręcznie, widząc, jak współuczestnicy kolacji z wprawą i delikatnością nawijają spaghetti na widelec.

- ...no i tych dwóch przyjemniaczków siedziało, gawędząc w najlepsze o kryzysie z wołowiną i jak zamierzają wykorzystać prawa konsumenta, aby zwalić to na Francuzów.

- Polityka na ostrym dyżurze? - Anne odwróciła się do Thorne'a. - Zwykle trwają tam niekończące się rozmowy w rodzaju: wiem, że to rozcięcie wygląda paskudnie, ale on nigdy dotąd nie tknął mnie nawet palcem, naprawdę!

- Poczekajcie, jak usłyszycie najlepsze... - Bishop dopił wino, po czym odczekał chwilę, aby dojść do puenty - Słyszałem, że zmawiali się, aby wszcząć ogólnokrajowy bojkot francuskich frytek!

Thorne uśmiechnął się. Bishop uniósł brwi, spoglądając na Anne, po czym oboje zachichotali i równocześnie powiedzieli: - Dwaj panowie NI.

Dusząc w sobie śmiech, Anne nachyliła się do Thorne'a. - Normalni Inaczej.

Thorne uśmiechnął się. - No jasne. Kretyni albo chów wsobny.

Bishop skinął głową. Thorne wzruszył ramionami. *Jestem tylko gliną i też nie grzeszę nadmiarem inteligencji.*

Anne wciąż chichotała. Właśnie wypili drugą butelkę wina i nawet jeszcze nie zjedli spaghetti. - Gdzieś tam jest jakiś lekarz, który ma za dużo wolnego czasu i wymyśla tego rodzaju żarciki. Jest ich mnóstwo, nie wszystkie miłe i delikatne.

- Daj spokój, Jimmy. Przecież to wszystko dla zgrywy. Założę się, że Tom też miał nieraz do czynienia z „rezerwistami”, czyż nie?

- Och, prawie na pewno. Ale o co chodzi? - Thorne uniósł brwi.

- Rezerwiści, czyli ludzie „jadący na rezerwie” - wyjaśniła Anne. - Ci, którzy są umierający Nie cierpię tej nazwy.. - Nalała sobie kolejny

kieliszek wina i odchyliła się na krzesło do tyłu, by zaraz znów się ożywić, kiedy Bishop wrócił do rozpoczętego tematu.

- Jimmy jest drażliwa i niektóre z żarcików czy powiedzonek pozwalających nam przetrwać kolejny dzień są dla niej żenujące. A tak na poważnie, te skróty myślowe bywają użyteczne w kontaktach z kolegami po fachu.

- A równocześnie pozwalają utrzymać pacjentów w błogiej nieświadomości?

Bishop uniósł kieliszek w dłoni. Thorne zauważył, że tamten miał pięknie wymanikiowane paznokcie. - W rzeczy samej. Jimmy też tego nie znosi, ale to niezbędna konieczność. Po co mamy mówić im rzeczy, których i tak nie rozumieją? A gdyby nawet rozumieli, smutna prawda przeraziłaby ich i zabiła resztki woli życia.

Anne zaczęła zbierać talerze.

- Zatem pacjent trzymany w nieświadomości jest lepszy od rezerwisty?

Bishop uniósł kieliszek w stronę Thorne'a w ironicznym salucie. - Ale to nie jest najlepsze. Mam często do czynienia z rezerwistami, jednak Jimmy specjalizująca się w przypadkach beznadziejnych jest nieomal patronką - opiekunką naszego szpitalnego warzywniaka. - Uśmiechnął się, ukazując garnitur doskonałych zębów. - Warzywniak to oddział dla tych, co są przypadkami beznadziejnymi, ale wciąż jeszcze kurczowo trzymają się życia.

Thorne słyszał, jak Anne w kuchni wstawiła naczynia do zmywarki. Przypomnił sobie szelmowski uśmiech na twarzy Bishopa, gdy ten kilka dni temu wstawiał do zmywarki filiżanki po kawie. Teraz uśmiechał się dokładnie tak samo. Thorne też wyszczerzył się do niego. - A co z Alison Willetts? Czy ona też jest w warzywniaku?

Thorne natychmiast zorientował się, że pomylił się, sądząc, iż to pytanie wytrąci Bishopa z równowagi. Nie docenił go. Na twarzy lekarza malowało się nieskrywane rozbawienie. Uniósł brwi i zawołał w stronę kuchni: - Jimmy, na pomoc! Jestem osaczony! - Odwrócił się do Thorne'a i nagle jego oczy na moment stały się zimne jak lód. -

Daj spokój, Tom. Czy nuta świętego oburzenia obecna w twoim ostatnim pytaniu ma sugerować, że naprawdę troszczysz się o swoje... ofiary bardziej niż my o naszych pacjentów? Że jesteśmy nieczułymi, bezdusznymi potworami, podczas gdy w wydziale śledczym aż się roi od wrażliwców i społeczników takich jak ty?

Chryste, Tommy, ale z niego zakłamany drań...

Susan, Maddy, Christine. I Helen...

- Niczego nie chcę sugerować. Tyle tylko że to wydało mi się dość grubiańskie i opryskliwe, ot i wszystko.

- Taka praca, Tom. Nie zawsze jest przyjemna i przyznaję, bywa nieźle płatna, o ile dasz radę przez siedem lat nie wychylać się przed szereg, a później nauczysz się iść na ustępstwa i całując odpowiednie tyłki, wespnieć się na właściwy poziom. To akurat nic nowego. Płacą nam za leczenie, nie za troskę o pacjenta. Prawda jest taka, że publicznej służby zdrowia nie stać na troszczenie się o pacjentów, we wszystkich aspektach tego słowa.

Anne postawiła na środku stołu wielki talerz z sernikiem. - Niestety. Kupny. Jestem nie do pobicia, jeśli chodzi o makaron, ale ciasta mi nie wychodzą.

Wróciła do kuchni, podczas gdy Bishop zaczął kroić sernik.

- Zawsze mówię studentom, że mają wybór. Mogą myśleć o pacjentach jako o Johnnie, Elsie, Bobie czy kim tam jeszcze i nie przesypiać kolejnych nocy...

Thorne podsunął mu talerz po porcję sernika. - Albo...?

- Albo mogą być dobrymi lekarzami i zajmować się ciałami. Żywe czy martwe, to zawsze ciała.

To samo, co Thorne powiedział wcześniej Keable'owi.

Pozwolisz, żeby to mu uszło na sucho, Tommy?

Nie wiem jeszcze, co zrobić. Czemu mi nie pomożecie? Czy to on? Czy on was zabił?

To jedyne pytanie, na które nigdy nie odpowiadają.

Thorne zaczął jeść. - I jaką decyzję podejmuje większość pana studentów?

Bishop wzruszył ramionami i włożył do ust kawałek sernika. Zachichotał. - Jest jeszcze jedno określenie.

- Słucham?

- WŚ. Jeszcze jeden skrót.

Thorne uśmiechnął się, gdy Anne wróciła do stołu i poczęstowała się sernikiem. Bishop chrząknął, aby zwrócić na siebie ich uwagę. Najwyraźniej wymyślił coś naprawdę błyskotliwego. Thorne odwrócił się do niego i czekał niecierpliwie. A oto i puenta...

- Wylęgarnia Świętoszków?

Bishop wyszedł pierwszy Uścisnął dłoń Thorne'a i... puścił do niego oko? Anne wyprowadziła go do sieni po kurtkę, pozostawiając Thorne'a siedzącego na sofie z kieliszkiem wina i słuchającego ich pożegnania. Zażyłość, jaka ich łączyła, coraz bardziej go niepokoiła. Reszta wieczoru, jakkolwiek miała wyglądać, musiała zostać rozegrana ze szczególną ostrożnością. Mówili cicho, ale bez trudu wychwycił nutę zadowolenia w głosie Bishopa, gdy całował Anne na pożegnanie. Thorne zastanawiał się, jak ironiczny i gadatliwy byłby anestezjolog, gdyby poczuł na gardle pięść inspektora. Albo gdyby trafił do dusznego, ciasnego pokoju przesłuchań. Zastanawiał się, co musiałby zrobić, aby tak się stało.

Usłyszał trzaśnięcie frontowych drzwi i wziął głęboki oddech. Teraz chciał zostać z Anne sam na sam i nie tylko dlatego, że mogła powiedzieć mu coś więcej o Bishopie.

Wróciła do salonu, by zobaczyć Thorne'a patrzącego w przestrzeń z szerokim uśmiechem na ustach. - Co cię tak rozbawiło? - Thorne wzruszył ramionami. Nie chciał palić za sobą mostów stwierdzeniem, że on także znalazł nowy skrót dla Jeremy ego Bishopa. Wyjątkowo adekwatny. WZ. Winny Zbrodni.

- A gdzie jest dzisiaj Rachel? Zamknęłaś ją w jej pokoju z kasetą wideo z koncertu Spice Girls?

- Wyszła, by świętować zdanie egzaminów.

- Boże, fakt. To przecież dziś. Pisano o tym w gazetach. - Zawyżano poziom wymaganej wiedzy. Przepaść pomiędzy chłopakami, a

dziewczętami coraz bardziej się powiększała. Sześciolatek zdał celująco test z matematyki. - Świątować? A więc dobrze jej poszło?

Anne wzruszyła ramionami. - Chyba całkiem nieźle. Może mogłaby lepiej się postarać, jeżeli chodzi o jeden czy dwa przedmioty, ale jesteśmy raczej zadowolone.

Thorne pokiwał głową i uśmiechnął się. - My? Hm... jesteś wymagającą matką.

Zaśmiała się, usiadła w fotelu naprzeciw niego i sięgnęła po swój kieliszek wina. Thorne wychylił się do przodu, aby sobie dolać.

- Opowiedz mi o żonie Jeremý'ego.

Westchnęła ciężko. - Pytasz mnie jako policjant?

- Jako przyjaciel - skłamał.

Myślała kilka sekund, zanim odpowiedziała. - Sarah była moją dobrą przyjaciółką. Znałam ich oboje jeszcze na studiach medycznych. Jestem matką chrzestną ich dzieci i właśnie dlatego wiem, że marnujesz czas, interesując się jego osobą. Nie chcę być niemila, ale to wszystko zaczyna być coraz bardziej... irytujące.

Thorne nie chciał skłamać, ale zrobił to. - To tylko rutynowa procedura, Anne.

Zrzuciła buty i podkuliła nogi pod siebie. - Sarah zginęła dziesięć lat temu... ale ty na pewno to wiesz.

- Znowu tylko podstawowe fakty.

- To było straszne. Nigdy się z tego nie otrząsnął. Wiem, że sprawia wrażenie... aroganckiego i pewnego siebie, ale byli naprawdę szczęśliwą parą i nigdy nie zainteresował się nikim innym.

- Nawet tobą?

Zaczerwieniła się. - Cóż, przynajmniej teraz już wiem, że to nie jest oficjalne pytanie.

- Całkiem nieoficjalne i przeraźliwie wścibskie, ale zastanawiam się.

- Byliśmy kiedyś razem, dawno temu, jeszcze na studiach.

- I od tej pory nie? Przykro mi...

- Mój mąż miał pewne podejrzenia, jeśli chcesz wiedzieć. David nigdy nie przepadał za Jeremym, traktował go jak rywala, choć nie dawałam mu podstaw potwierdzających jego podejrzenia.

Akurat, pomyślał Thorne.

Próbował nad sobą zapanować, a Anne wypila znacznie więcej od niego, ale zaczęło już kręcić mu się w głowie.

- Co robią jego dzieci?

James, lat dwadzieścia cztery, i Rebecca, lat dwadzieścia sześć, także lekarz. Te informacje i wiele innych zapełniały trzy strony notesu leżącego w szufladzie jego biurka.

- Rebecca jest ortopedą. Pracuje w Bristolu.

Thorne pokiwał głową, zaciekawiony. *Powiedz mi coś, czego nie wiem.*

- James w ostatnich latach zajmował się różnymi rzeczami. Delikatnie mówiąc, ma pecha, nie układa mu się najlepiej.

- A mówiąc niedelikatnie?

- Wykorzystuje ojca. Wyciąga od niego pieniądze. Jeremy ma do niego słabość. Są ze sobą bardzo blisko. James był w aucie, kiedy... zdarzył się wypadek. Sporo czasu minęło, zanim otrząsnął się z szoku. - Odetchnęła głęboko. - Nie rozmawiałam o tym od wieków...

Nagle Thorne poczuł się okropnie. Chciał ją przytulić, ale zamiast tego postanowił zaparzyć jeszcze jedną kawę. Oboje wstali równocześnie.

- Czarną czy...?

- Posłuchaj, Tom, muszę to powiedzieć. - Thorne uznał, że była odrobinę podpita. - Nie wiem, co myślisz o Jeremym, nie wiem, dlaczego z nim rozmawiałaś... ale cokolwiek tobą kieruje, chciałabym, abyś przestał marnować czas. Mówimy tu o jednym z moich najstarszych przyjaciół. Wiem, że lubi zgrywać zimnego, cynicznego doktora, ale to tylko poza. Maską, którą nakłada. Słyszałam te teksty setki razy. I wiem, że on bardzo się troszczy o swoich pacjentów. Jest żywo zainteresowany postępami w terapii Alison.

Alison. Jedyna osoba, o której powinni pomówić, ale nie zrobili tego.

- Właśnie miałem o tym z tobą porozmawiać. Wiesz, że staramy się zapobiec przeciekom informacji do prasy?

Jej oblicze spochmurniało. - Czy próbujesz coś w ten sposób zasugerować?

Jednak wciąż zachowywała jasność umysłu.

- Wygląda na to, że on sporo wie o sprawie, i zastanawiałem się...

Postąpiła krok w jego stronę. Nie obawiała się konfrontacji. – Wie sporo o sprawie z punktu widzenia medycznego, przyznając. Rozmawiamy o Alison regularnie i to oczywiście, że wie o innych atakach, ponieważ ma to wpływ na wszystkie inne sprawy.

- Przepraszam, Anne. Nie chciałem...

- To kolega, którego bardzo cenię i na którego dyskrecję mogę liczyć. Masz na to moje słowo, ale to chyba niewiele dla ciebie znaczy.

Spojrzała na niego i po raz pierwszy od tamtego porannego spotkania w sali wykładowej uświadomił sobie, jaką potrafiła wzbudzić w nim zgrozę. On nie umiał jej zastraszyć. Wtem coś w jego wyrazie twarzy rozbawiło ją i oblicze Anne złagodniało.

- Ile czasu upłynęło? Kilka tygodni? A to już druga poważna kłótnia między nami. To nie wróży nic dobrego, prawda?

Thorne uśmiechnął się. Jej słowa dodały mu otuchy. - Jeśli chcesz wiedzieć, tamten pierwszy raz zdążyłem już puścić w niepamięć.

- Co z tą kawą? Zaparzyła się już czy nie?

Gdy napełniał kubki gorącym naparem z ekspresu, zawołała do niego z salonu: - Włączę muzykę. Lubisz klasyczną? Nie, zaczekaj, niech zgadnę, co lubisz...

Thorne dołał mleka i pomyślał: to ci się nie uda, mowy nie ma... Odchrząknął. - Włącz, co chcesz... Zdaję się na ciebie.

Gdy wrócił z kawą do salonu, nieomal zaśmiał się w głos, bo odwróciła się do niego, trzymając w dłoni mocno już podniszczoną okładkę winylowego albumu *Electric Ladyland*.

Kiedy taksówka - czarna, nie zamierzał popełnić ponownie tego samego błędu - zawiozła go z powrotem do Kentish Town, w jego umyśle tłukło się echo wspomnień wieczornej rozmowy. Pamiętał każde słowo. Bishop szydził z niego.

Taksówka przejechała wzdłuż Archway Road w stronę Mostu Samobójców, a gdy mijali Queens Wood, Thorne odwrócił wzrok. Oczyma duszy ujrzał lisicę przemykającą bezszelestnie wśród drzew i wężącą z nosem przy ziemi. Królik wciąż jeszcze drga konwulsyjnie w szczękach zwierzęcia, pozostawiając ślad krwi na liściach i zeschniętych gałęziach, gdy lisica zabiera swoją ofiarę do nory. Tam jej młode rozszarpia królika na strzępy, wrywając kawałki bladego ciała Helen Doyle, podczas gdy ich matka czuwa opodal zastygła w bezruchu, wypatrując zagrożenia...

Thorne wlepił wzrok w witryny mijanych sklepów. Sklep meblarski, księgarnia, delikatesy, salon masażu. Zamknął oczy. Smutni, zmęczeni mężczyźni i zimne, kruche kobiety razem przez kilka minut, o których będą potem próbowali zapomnieć. Może to niezbyt przyjemny obraz, ale... lepszy. Przynajmniej na razie.

Wiedział, że Helen, Alison i pozostałe znów będą przy nim z rana, czając się w oparach kaca, teraz jednak chciał myśleć tylko o Anne. Ich pocałunek na progu zdawał się początkiem czegoś więcej i to w połączeniu z lekkim rauszem sprawiło, że od dawna nie było mu tak dobrze.

Postanowił, że mimo późnej pory zadzwoni do ojca, gdy tylko dotrze do domu. To było absurdalne. Miał czterdzieści lat. A mimo to chciał opowiedzieć mu o kobiecie, którą poznał, kobiecie mającej nastoletnią córkę. Rachel zjawiała się, akurat kiedy wychodził. Przywitał się z nią pospiesznie, po czym wyszedł, zanim matka zaczęła rугać córkę za późny powrót do domu.

Chciał powiedzieć ojcu, że „być może”, ale tylko „być może”, jeżeli sprawy się wyklarują, jeden z nich nie będzie już spędzał tyle czasu samotnie.

Zapłacił sześć funtów za kurs, dorzucił taksówkarzowi dwa funty napiwku i ruszył wzdłuż frontowej ścieżki, uśmiechając się jak kretyn. Dla taksjarza kurs z podpitym pasażerem to zawsze spore ryzyko, czyż nie? W grę wchodził hojny napiwek albo kałuża wymiocin na wycieracze. To czysty hazard. Cóż, temu akurat się poszczęściło.

Thorne, wkładając klucz do zamka, nucił pod nosem *All Along The Watchtower* i prawie nie zauważył mrocznej postaci, która

wyłoniła się z cienia i podbiegła do niego z tyłu. Odwrócił się w chwili, gdy z ust ukrytych pod kominiarką wyrwał się łoś zwierzęcy ryk, a potem uniesione ramię opadło. Pod jego czaszką rozbłysło oślepiające światło, a nogi zrobiły się miękkie jak z waty. I nagle film mu się urwał.

Przedmioty w salonie jego domu znajdowały się na dnie basenu. Stereo, fotel, na wpół pusta butelka wina skrzyły się i falowały przed jego oczami. Próbował odzyskać ostrość widzenia i równowagę, ale cały jego dobytek pozostawał odwrócony do góry nogami i wyglądał dziwnie obco. Uniósł wzrok. Sufit zaczął osuwać się ku niemu. Resztkami sił przewrócił się na brzuch, wtulił twarz w dywan i zwymiotował. A potem zasnął.

Obudził go głos. Szorstki i oschły. - Kiepsko wyglądasz, Tom. No dalej, stary...

Uniósł głowę i stwierdził, że w pokoju było pełno ludzi. Madeleine, Susan i Christine siedziały na sofie. Wszystkie założyły nogę na nogę. Jak sekretarki czekające na rozmowę kwalifikacyjną w sprawie pracy. Żadna na niego nie patrzyła. Z jednej strony stała Helen Doyle, wpatrując się w podłogę i nerwowo obgryzając paznokcie. Na fotelu przycupnęły ściśnięte razem trzy małe dziewczynki. Miały ładnie ułożone włosy i czyste białe koszulki nocne. Najmniejsza, mniej więcej pięcioletnia, uśmiechnęła się do niego, ale najstarsza autorytatywnie, jak matka, przyciągnęła ją do siebie. Czyjaś dłoń wyciągała się ku niemu i pomogła mu podnieść się na klęczki. W głowie mu dudniło. W gardle czuł smak żółci. Oblizwał wargi i poczuł na ustach skrzepnięte wymiociny

- No podnieś się, Tom. Świetnie, grzeczny chłopiec. A teraz otwórz oczy szeroko. Raz-dwa.

Przymrużył powieki, by spojrzeć na postać opierającą się o obramowanie kominka. Francis Calvert uniósł rękę na powitanie. - Witam, detektywie konstablu.

Brudnoblond włosy, pozółtkłe od tytoniowego dymu, były teraz mocno przerzedzone, ale uśmiech pozostał ten sam. Ciepły, przyjazny

i śmiertelnie przerażający Miał tyle zębów, a wszystkie zepsute. - Kopę lat, Tom. Zapytałbym, jak leci, ale widzę... Powalająca sprawa, no nie?

Próbował się odezwać, ale język miał sztywny jak kołek. Nie potrafił wydobyć z siebie głosu.

Calvert podszedł do niego, cisnął papierosa na dywan i jednym zabójczo szybkim ruchem wyciągnął rewolwer; Thorne spojrział rozpaczliwie na dziewczynki na fotelu. Ale już ich tam nie było.

Przynajmniej to zostało mu oszczędzone.

Wiedząc, co się teraz musi wydarzyć, ponownie skupił uwagę na Calvercie, jego głowa obróciła się na sztywnej szyi ciężka niczym kule do wyburzania domów. Calvert uśmiechnął się do niego, obnażając zepsute zęby i ze zgrzytem zaciskając je na lufie rewolweru.

Thorne próbował odwrócić wzrok, ale szarpnięto go za włosy, zmuszając, aby patrzył.

- Tym razem masz miejsce w pierwszym rzędzie, Tom. Wszystko w kolorze, mam nadzieję, że to nie jest nowy garnitur...

Próbował zamknąć oczy, ale powieki miał jak przyspawane, nie był ich w stanie opuścić.

Wystrzał był ogłuszający. Patrzył, jak oderwany fragment potylicy Calverta przylepia się do ściany i spływa po niej wraz z lepką, gęstą strugą jak dziecięca zabawka ze specjalnej lepkiej gumy. Uniósł dłoń, by wytrzeć gorące łzy, które parzyły go w policzki. Gdy zaczął znów osuwać się na podłogę, jak przez mgłę ujrzał Helen podchodzącą, by dołączyć do pozostałych na sofie i zacząć klaskać entuzjastycznie. Czuł się, jakby był zalany w pestkę i równocześnie miał kaca giganta. Wiedział, że nie może znów stracić przytomności. Twarze wciąż wirowały wokół niego jak obrazki z książeczek dla dzieci, ale już z mniejszą prędkością. Niemal odzyskał równowagę, jednak ból był niewyobrażalny.

Był sam, był sobą i mozolnie czołgał się po ubabranym wymiocinami dywanie. Nie miał pojęcia, która jest godzina. Przez okno nie wpadało światło. A więc musiała być późna noc, w każdym razie przed świtem.

Jego palce wczepiły się w szorstki, tani, nylonowy dywan. Wziął głęboki oddech. Zagryzając zęby i usiłując bez powodzenia stłumić okrzyk cierpienia, zmusił kolana do pokonania jeszcze kilku centymetrów mierzącego dwa i pół metra długości, zdawałoby się, bezkresnego dywanu, którego połąć dzieliła go od telefonu.

CZEŚĆ DRUGA

GRA

Nie rozmawiałam z Anne od kilku dni. To znaczy nie w normalnym tego słowa znaczeniu. Dobrze, wyjaśnijmy to sobie. Może wydaje się wam, że te rozmowy to niekończące się przekomarzanie okraszone masą plotek i kiepskich dowcipów. Bez wyglupów. Ona po prostu otwiera się przede mną, mówi, co jej leży na wątrobie, a ja od czasu do czasu mrugam. Nie zrozumcie mnie źle, to naprawdę solidne mrugnięcia, ale chyba nie nadają się jeszcze na pogaduchy od serca.

Przypuszczam, że pani doktor każdą wolną chwilę spędza ze swym usłużnym gliniarzem, który gorliwie prezentuje jej wszelkie możliwe sposoby użycia służbowej pałki. Znam wiele dowcipów o policjantach, ale jestem zbyt dobrze wychowana, aby je tu zacytować.

Najpierw odrobina pieszczot, nie jestem puszczalska. To moje motto.

W głowie aż mi się roi od sprośnych dowcipów, ale w sumie co mam innego do roboty? Czego jak czego, ale czasu mam w nadmiarze, a spożytkować go w żaden sposób nie mogę.

Nie mogę go nawet zabić! To oczywiście tylko żart.

Mam nadzieję, że nie straciła wiary we mnie. Mam na myśli Anne. Lekarze nie uwijają się wokół mnie, rozprawiając między sobą o kolejnych symptomach mego rychłego cudownego ozdrowienia. Zdaję sobie z tego sprawę. W te lepsze dni, kiedy czuję się naprawdę silna, mam wrażenie, jakby ktoś naszpikował moje ciało niewidzialnymi igłami i szpilkami, lub czymś takim, i gdy tylko to wrażenie minie, będę mogła wstać, ubrać się i pójść zadzwonić do Tima.

Ale są też inne dni.

Przyzwyczaiłam się do tego wiele lat temu, kiedy leżałam w łóżku i z determinacją starałam się wymyślić nowy kolor. Taki, którego nie ma. Albo nowy dźwięk, jakiego nikt dotąd nie słyszał. Chyba czytałam o tym w którymś z modnych pisemek dla kobiet, artykuł o osiągnięciu wewnętrznego spokoju i o całym tym szajsie. To naprawdę dziwne. Po pewnym czasie zaczyna ci się kręcić w

głowie, a potem czujesz się jak naćpana. Dokładnie tak się teraz czuję. Czasami zdarzało mi się kłaść na wznak i bez końca wlepić wzrok w sufit, równocześnie próbując przekonać samą siebie, że to podłoga, jeżeli odpowiednio się skoncentrujesz, może ci się to udać, a wtedy odruchowo zaczynasz chwytać się brzegów łóżka, aby nie runąć w dół. Teraz też się tak czuję. Cały czas. I nawet nie jestem w stanie przytrzymać się brzegów tego cholernego łóżka. Spadam...

7.

Thorne uzna później drobną kontuzję natury fizycznej za powód, dla którego podczas pracy nad operacją Bekhend został zaliczony w poczet ofiar. Oczywiście nie umieszczał swego nazwiska na szczycie listy. Jego życie nie zostało wykasowane za sprawą wprawnego nacisku bezlitosnych palców ani nie zawisło w próżni wskutek uszkodzenia właściwego odcinka tętnicy szyjnej. Nie czuł, jak głos więźnie mu w gardle, gdy prześcieradło zostaje uniesione, by ukazać pozbawione wyrazu oblicza dziewczyny, żony lub córki.

Był na ich pogrzebach, ale nie chodziło nigdy o nikogo z jego rodziny.

Mimo to nieraz przeżywał ból straty. Prawie każda była jego winą, ale i tak mógł jedynie patrzeć, jak odchodzą, jedna po drugiej. Ten proces hartowania, kształtowania i odchodzenia tych, co go otaczali, był długą i żmudną wędrówką dla wszystkich zainteresowanych, która zaczęła się z chwilą, kiedy Thorne otworzył oczy i zobaczył przy swoim łóżku Dave'a Hollanda z egzemplarzem „FHM” w ręku. Chciał zakląć, ale zdołał jedynie przełknąć ślinę i cmoknąć cichutko. Zamknął oczy; za chwilę próbuje znowu.

Holland był pochłonięty oglądaniem rozkładówki. Modelka, hostessa w jednym z teleturniejów, była naprawdę ładna i w dodatku niegłupia. Dlatego zdumiały go cytaty w rodzaju: „Głównym powodem, dla którego zdecydowałam się na implanty piersi, było to, że chciałam mieć większe cycki”. Zastanawiał się, jak wyglądałaby Sophie z większymi cyckami. Wzdrygnął się w duchu na tyradę obelg, która niewątpliwie spadłaby na niego, gdyby spróbował poruszyć ten temat.

Kiedy usłyszał jakiś dźwięk, opuścił czasopismo. Wańka-wstańka obudził się i próbował coś powiedzieć.

- Chce pan może wody albo... - Holland sięgnął po dzbanek stojący przy łóżku, ale Thorne akurat znów zamknął oczy.

Holland odłożył pismo i zaczął grzebać w reklamówce stojącej obok krzesła. Wyjął z niej discmana i nie bez wahania położył go na brzegu łóżka Thorne'a.

- Zabrałem go z pańskiego mieszkania, kiedy tu pana przywieziono. Sądziłem, że może pan... no... ee... tego... posłuchać, to kupiłem coś... w Our Price. - Wyjął płytę kompaktową i po chwili zdołał zdjąć z niej celofanowe opakowanie. - Wiem, że lubi pan country and western i takie tam. Ja się na tym nie znam, wolę Simply Red i tego typu muzykę. Ale mimo to...

Thorne znów otworzył oczy. Muzyka. To miłe, choć wolałby raczej okulary przeciwsłoneczne. Albo Krwawą Mary. Wzrok mu się rozmywał. Zerknął na kompakt, którym wymachiwał Holland, próbując dostrzec napis na grzbiecie okładki. Po dłuższej chwili wychwycił słowa: Kenny Rogers. Zasnął, zanim zdążył się roześmiać.

Zjawił się Hendricks. Wprowadził go w szczegóły. Został uderzony w głowę i odurzony. Aha, Spurs zastanawiał się nad zmianą menedżera.

Potem Keable. W mieszkaniu nic nie znaleziono. Reszty dowie się, kiedy już stanie na nogi. Aha, pozdrowienia od chłopaków.

Na koniec Anne Coburn.

Thorne przysiadł na brzegu łóżka, żeby włożyć buty, kiedy dał się słyszeć szelest odsuwanej zasłony. Anne uśmiechała się. - I słusznie. Gdybym to ja była w Whittington, też czym prędzej wzięłabym nogi za pas.

Thorne uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd ją zobaczył. - Dlaczego nie trafiłem do Royal Free, do cholery? Dobrze by mi zrobiło, gdybym poleżał ze dwa dni brzuchem do góry

Anne usiadła przy nim i rozejrzała się dokoła. - W sumie nie jest tu aż tak źle. Choć muszę przyznać, że ta placówka nie ma najlepszej renomy.

- Wątpię, aby ludzie przebywali tu dostatecznie długo, by się o tym przekonać. Kiedy tylko zobaczyłem nadruk na kocu, poczułem się dużo lepiej.

Rozejrzał się dokoła po raz ostatni. Może tutejszy personel się starał, ale było w tym coś rozpaczliwego. Wschodnioeuropejska szarość lamperii na ścianach została zastąpiona cieplejszym oranżem, pojawiły się nawet kwieciste zasłony, ale szpital to zawsze szpital. Poprzedniej nocy nie mógł zmrużyć oka przez łoskot przejeżdżających pod oknami tramwajów, szum frotrek i dziwne, nieokreślone skrzeczenie. Niewiele lepiej poczułby się w zamkniętej izolatce, z kablówką, kroplówką z czerwonym winem i grupką tańczących dziewcząt.

Anne wyciągnęła rękę, by dotknąć jego głowy. - Mogę? - Thorne opuścił głowę, a ona delikatnie przesunęła palcem po szwach. - Byliby zadowoleni, gdybyś został na jeszcze jedną noc. Wiem, że nie cierpisz szpitali, ale wstrząśnienie mózgu bywa bardzo nieprzewidywalne... A gdy na dodatek naszprycowano cię midazolamem...

- Jeżeli o to chodzi, także nie potraktował mnie łagodnie. Mam na tyłku sińce w wielkości piłki do krykieta. Mógł spróbować poczęstować mnie szampanem, zważywszy na to, w jakim byłem stanie, pewnie bym się skusił.

- Może nie jesteś w jego typie. - Perwersyjny śmiech.

Thorne zawiązał sznurowadła i spojrzał przed siebie. - Och, już wkrótce przekona się, co ze mnie za typ.

Anne odwróciła wzrok. Ona też zaczynała powoli zdawać sobie z tego sprawę. - Zaaplikował ci sporą dawkę, Tom. To nie mogło być... przyjemne.

- I nie było.

- Może to zabrzmie dziwnie, ale właśnie dlatego używamy tego preparatu. Midazolam blokuje pamięć krótkotrwałą i odłącza od rzeczywistości. Tak jakbyś zapadał w sen. Możemy bez trudu założyć szwy dziesięciolatki, podczas gdy dzieciak wpatruje się w pustą ścianę i widzi cudowne obrazy.

- Moje nie były zbyt przyjemne. - Odwrócił się, by na nią spojrzeć, i wysilił się na uśmiech. - Co u Jeremiego?

Starala się wyglądać srogo. - Ma się dobrze. Wyglądał na zaniepokojonego, kiedy mu powiedziałam, co się stało, mimo że nie pałacie do siebie sympatią.

- On nie miał problemów z powrotem do domu, prawda?

Wiedział, że przegiął. Był głupi, a ona bystra jak mało kto. - Chodziło mi o to, że jeśli był choć w połowie tak pijany jak ja, mógł mieć z tym pewien kłopot. - Chichot był wymuszony i wiedział, że zdawała sobie z tego sprawę. Pozostało mu już tylko jedno. Wyciągnął rękę i ujął delikatnie jej dłoń. - Przyznaję, że nie darzymy się wzajemnie sympatią, ale wy dwoje byliście kiedyś razem.

- To było dwadzieścia pięć lat temu.

- Mimo to trudno sobie wyobrazić, że zapraszam go na wypad do pubu.

Ścisnęła jego dłoń i uśmiechnęła się. Milczeli oboje. Niemówienie prawdy to nie to samo co kłamstwo i gdyby nie to, że kierowały nim silniejsze emocje, byłby zazdrosny o Bishopa. Lepiej, by myślała, że chodzi o zazdrość. Tak lepiej.

Thorne zamrugął powoli i na chwilę wstrzymał oddech. Ta woń... skrzypiące łóżko, szuranie butów i sztuczne wymuszone uśmiechy na twarzach ludzi, którzy przychodzili z wizytą. Czy tak samo się uśmiechał, odwiedzając matkę, kiedy siadywał przy jej łóżku, ścisnął za rękę i wpatrując się w jej zmętniałe niebieskie oczy, zastanawiał się, gdzie się, u diabła, podziała?

- Tom...

Zasłona znów się poruszyła i pojawił się Dave Holland. Thorne puścił dłoń Anne. - Jest już moja taksówka.

Anne wstała i podeszła do zasłony. Zanim się odwróciła, Thorne zauważył, że uśmiechnęła się do Hollanda i położyła mu rękę na ramieniu. Co to miało znaczyć, u licha? Miej oko na tego starego durnia?

- Zadzwoń do mnie, Tom.

Wyszła, a Tom spiorunował Hollanda wzrokiem. Spodziewał się ujrzeć drwiący uśmieszek, lecz nie doczekał się go. Nie zauważył też notatnika. Chyba wciąż miał kłopoty z oczami.

Kiedy szli do samochodu, Thorne poczuł chłód w powietrzu. Sierpień miał się już ku końcowi i niebawem nadejdzie chłodna jesień. Nie miał nic przeciwko temu. Lubił chodzić w płaszczu. Był dla niego jak kocyk bezpieczeństwa, pod którym można ukryć liczne grzechy. Ta ciepła noc, kiedy wysiadł z taksówki, podpity, śpiewając pod nosem, wydała mu się bardzo odległa. Wiedział, że gdyby nie wino, które wyłopał, flirtując z Anne i plotąc o Jimim Hendriksie i nieudanych małżeństwach, cały ten koszmar należałby już do przeszłości. Kto wie, może nawet ochrzczono by go wątpliwym mianem bohatera. Gdyby nie był pijany, zareagowałby znacznie szybciej. Może nawet odwróciłby się sekundę wcześniej i dorwałby drania. A już na pewno uniknąłby tego podstępnego ciosu. Ale facet w kominiarce, z żelaznym prętem i strzykawką miał nad nim niewątpliwą przewagę.

Wiedział, że Thorne był pijany.

Holland otworzył mu drzwi samochodu, ale Thorne nie potraktował tego jako złośliwość. Wjechali na Highgate Hill.

- Ma pan coś do jedzenia? Zaglądałem do pańskiej lodówki i nie zauważyłem nic konkretnego.

- Chcesz się wprosić na lunch, Holland?

- Chce pan, żebyśmy zatrzymali się gdzieś po drodze? Może przy Budgens.

- Możesz kupić mi kanapkę, kiedy już wrócimy do biura.

- Sir?

Holland przeniósł wzrok na Thorne'a, który oparł głowę o szybę i lekko opuścił powieki. Pomylił się co do wańki-wstańki. Jednak można nim było mocniej zachwiać.

- Szczerze mówiąc, niewiele obecnie się dzieje. Nadkomisarz powiedział, że najlepiej będzie, jeśli...

- Do biura.

Holland mocniej nadepnął na pedał gazu.

Stał na przystanku autobusowym, obserwując, jak Thorne i młody konstabl wsiadają do samochodu i odjeżdżają. Thorne spędził w

szpitalu niespełna trzydzieści sześć godzin. Był pod wrażeniem.

I co teraz?

Sprawy trochę się zmieniły, prawda? Thorne z pewnością wejdzie na wojenną ścieżkę. Oni wszyscy traktowali to osobiście, wiedział o tym. Gdy zdrzesz z jednym z nich, miej się na baczności! To tak jak z bandą tych masońskich kretynów z East-Enders! Ale Thorne nie był jednym z nich. Wolał nawet o tym nie myśleć. Coraz lepiej go poznawał. Krok po kroku, ale tego akurat był pewien. Musiał go tylko trochę rozjuszyć, ot i wszystko.

Podjechał autobus, a on cofnął się i patrzył, jak ludzie niemający dokąd iść wsiadają i wysiadają z pojazdu, wszyscy bez wyjątku bliźni i cierpiący Odwrócił się z odrazą i ruszył w stronę stacji metra przy Archway

Zapewne potraktują to, co zrobił z Thorne'em, jako ostrzeżenie. No i dobrze. Thorne będzie wiedział, że... chodziło o coś innego. Potrafił w mig się zorientować, gdy ktoś rzucał mu wyzwanie. Kiedy czuł, że to właśnie wyzwanie. Zaangażował się, odkąd po raz pierwszy spojrzenie jego dużych brązowych oczu padło na Alison. Temu sentymentalnemu głupcowi było jej żal. Nie potrafił spojrzeć poza maszyny Nie wyczuwał tchnienia wolności. I naprawdę zależało mu na umarłych. Jeszcze jak.

A na razie wszystko szło jak najlepiej, a sprawa z Anne okazała się przyjemną premią.

Przystanął, by zajrzeć przez szybę do sklepu z akcesoriami łazienkowymi. Stylizowane na antyki rączki do prysznica i takie tam. Wanny z uchwytyami i siedzeniami dla osób starych i zniedołężniałych.

Głupota.

Pomyślał o maleńkim mieszkanku Thorne'a. Nie ulegało wątpliwości, że należało do samotnego mężczyzny. Było miłe i skromne, a także schludne, co musiał przyznać - jeżeli nie liczyć pustych butelek po winie. Wiedział, że tej nocy na progu jego mieszkania miał nad Thorne'em przewagę. Gdyby Thorne był trzeźwy, na pewno nie zaryzykowałby starcia z nim.

Zaczął się robić chłodno. Naciągnął głębiej czapkę i pomaszerował w stronę wejścia do metra. Potrzebował jakiegoś postępu. Nieźle zamącił i musieli jakoś na to zareagować. Niech specje od określania profilu psychologicznego przestępców, czy jak nazywają siebie dziś ci kretyni, gadają o „wołaniu o pomoc” albo „pragnieniu, by ktoś go powstrzymał”, jeżeli tylko pozwala im to na spłacenie hipoteki. Oczywiście Thorne nie miał czasu na psychobelkot, był tego pewien. A teraz, kiedy wiedział już, jak to jest, teraz, kiedy wiedział, co czuły te kobiety, zanim położył na nich ręce, zaangażował się w tę sprawę bez reszty

Znał jeszcze w szkole dzieciaki takie jak Thorne. Wystarczyło je sprowokować i nic nie mogło ich powstrzymać. Szurnięte dzieciaki, które jak zbyt mocno je przycisnąć, wyrzucały biurka przez okno albo zabijały wiewiórki na boisku. Wystarczyło „wcisnąć” odpowiedni guzik. Thorne nie był inny. A teraz skopał go po kostkach. Rąbnął go poniżej pasa. Thorne’a nie da się już zatrzymać.

Wysoka, szczupła kobieta ze spacerówką wyprzedziła go w drodze do automatu z biletami. Patrzył na jej szczupłą szyję i kark, gdy grzebała w taniej plastikowej torebce w poszukiwaniu drobnych i patrzyła na nazwy stacji, jakby były napisane po chińsku. Zapewne samotna matka. Ta żalosna kretynka była sfrustrowana, wypalona i rozpaczliwie poszukiwała odrobiny pocieszenia. Czterdzieści fajek dziennie i kilka valium, aby zabić ból i pozwolić przetrwać kolejne popołudnie.

Rozmyślał teraz o każdej kobiecie, z którą się zetknął. Brał pod uwagę każdą z nich. Wiedział, czego potrzebowały. Wszystkie... bez wyjątku. Każda z nich... wchodziła w rachubę.

- Dobrze, że już wróciłeś, Tom.

Wąskie usta Tughana wykrzywiło coś, co mogło przypominać uśmiech. Thorne’owi tamten przypominał gargulca. Holland zmył się, a Thorne zajął miejsce na krześle naprzeciw inspektora. Komentarze innych funkcjonariuszy przyjmował z wdzięcznością, dziękując za nie skinieniem głowy, ciepłymi, choć zdawkowymi słowami, niektóre uśmiechy były bez wątpienia szczere, ale wyraz twarzy niektórych

oficerów świadczył, że nie cieszyli się z jego powrotu do służby.

Jak tam głowa, Tommy? Teraz wiesz, jak to jest, stary...

Jego dziewczęta z kalendarza.

Tak, wiedział, jak to jest, gdy traci się władzę i kontrolę nad swoim ciałem. Nieraz urywał mu się film, ale w tym wypadku pojawiło się jeszcze uczucie ciepłej, milej senności, które zawdzięczał alkoholowi. Wino złagodziło ból w poobijanych kłykciach i całym ciele. Jednak to narkotyk zabrał go do miejsc, których nigdy więcej nie chciał odwiedzać.

On odebrał nam wszystko, co miałyśmy, Tommy...

Chciałam walczyć...

Wszystkie chciałyśmy...

...walczyć o życie, Tommy

Usta Tughana poruszały się, ale głos zdawał się dochodzić z bardzo daleka.

Christine. Susan. Madeleine. I Helen. Odurzone do nieprzytomności i zdane na łaskę i niełaskę potwora. On stykał się wyłącznie z duchami. Ze wspomnieniem duchów. Pomyślał o Alison. Musiał ją zobaczyć. Wciąż był w grze i chciał, aby o tym wiedziała. Nadal był w grze tylko dlatego, że ten skurwiel tego właśnie chciał. Uświadomił to sobie natychmiast i znenawidził skurwiela, że ten postanowił go oszczędzić. Że mógł i zechciał darować mu życie.

Popełnił błąd.

Powinien był mnie zabić.

Nie mów tak, Tommy Z kim byśmy wtedy rozmawiali?

- Tom? Dobrze się czujesz? Nie powinieneś jeszcze przychodzić.

Thorne odwrócił wzrok od ściany, wstał i obszedł biurko, wychwytyjąc wzrok Hollanda, gdy położył dłonie na ramionach Nicka Tughana. - A więc jeszcze go nie złapano, prawda, Nick?

Tughan zaśmiał się. To zabrzmiało jak skrzypienie paznokciami po tablicy. - Pozostawiam to tobie, Tom. To ty masz specyficzny instynkt, czyż nie? - Thorne zeszywniał. - A raczej doświadczenie. -

Wymówił to słowo jak nazwisko pedofila. - Robimy swoje, sprawdzamy każdy trop. W tym także jeden czy dwa twoje.

- Tom...

Keable odezwał się do niego, stając w progu swego gabinetu. Thorne uniósł wzrok i zaczął się cofać. Było to zaproszenie nie do odrzucenia.

- Wpadnę do ciebie później, Nick. Może prześlesz mi to, co wiesz, na mojego maila?

Thorne ruszył w stronę gabinetu Keable'a. Słyszał, jak Holland i jeden z konstabli chichoczą pod nosem. Dzień jak co dzień. Ale nie dla niego.

Anne chciała pomówić z Alison. Nadmiar pracy sprawiał, że coraz trudniej jej było spędzić przy niej choćby trochę czasu każdego dnia, a miały sporo do nadrobienia.

Dodał do niej sekundę lub dwie po tym, jak weszła do windy.

- David.

- Przypuszczam, że wybierasz się na górę, aby rzucić okiem na twój przypadek zamknięcia? Jakies postępy?

- Obchodzi cię to?

Nacisnął guzik i drzwi zaczęły się zamykać. Patrzenie w ścianę nie wydawało się odpowiednim sposobem na uniknięcie niepotrzebnego spotkania. Zaczęła się zastanawiać, czy nie mogłaby skorzystać z wyjścia bezpieczeństwa przez klapę w dachu, tak jak zdarzało się to w wielu filmach.

- Przykro mi, że twój przyjaciel policjant padł ofiarą ataku.

Na pewno tak zrobili w *Płonącym wieżowcu*.

- I to po takiej miłej kolacji *à trois* z Jeremym. Hannibal Lecter zrobił to samo w *Milczeniu owiec*. Tuż po tym, jak zdjął temu facetowi skórę z twarzy. Hmm.

- Anne?

- Tak, to prawda, i nie, wcale nie jest ci przykro, bo jesteś skończoną łajzą.

Winda wjechała na drugie piętro, a Anne wyskoczyła z kabiny, gdy tylko otworzyły się drzwi. Higgins przytrzymał ją ręką, aby się nie zasunęły. - Zadawanie się z policjantami wyraźnie poszerza twoje słownictwo, Anne.

- Jesteś dziwnie dobrze poinformowany o tym, co robię i co się ze mną dzieje. Wykorzystywanie naszej córki do szpiegowania mnie to raczej żaloszny wybieg.

- Och, a ja sądziłem, że wy nie macie przed sobą tajemnic?

Zazwyczaj nie, ale może czasy się zmieniły. Musiała rozmówić się z Rachel. Na jego twarzy malował się ten kretyński uśmieszek, który widywała u niego, kiedy odnosił choćby najdrobniejszy sukces lub oczekiwał od niej wypełnienia powinności małżeńskiej. Uśmiechnęła się do niego z politowaniem.

- Po co tu przyszedłeś, David?

- To, że się rozwodzimy, nie oznacza, że nie interesuję się twoim życiem. To mnie ciekawi.

Podeszła do niego. Czy jej się zdawało, czy drgnął nieznacznie?

- U Oprah czy Ricki Lake podejmowano ostatnio tematykę rozwodzących się par. Widziałeś to? Pewna kobieta powiedziała, że dopiero gdy rozwodziła się z Duane'em, Marlonem czy jak mu tam, zrozumiała, jak bardzo go kocha. To dziwne, ale ja w tej samej sytuacji zdaję sobie sprawę, jak bardzo już od dawna chciałam się z tobą rozwieść.

Drwiący uśmieszek zniknął z jego twarzy, a sterczący loczek nad jego czołem trochę przyklapnął, ale wciąż czuła palący ból siarczystego policzka, jaki wymierzył jej w aucie na parkingu, i pomyślała, jak splunął na nią któregoś razu we włoskiej restauracji. Teraz, gdy patrzył jej w oczy, zgrywał znużonego światem cynika, lecz jej wydawał się po prostu stary i zmęczony życiem.

- Stałaś się zgorzkniała, Anne.

- A ty masz idiotyczną fryzurę. Jestem zajęta, David.

Drzwi windy znowu zaczęły się zasuwać, a Higginsowi trudno było utrzymać równowagę. - Nie interesuje cię ani trochę moje życie? To, co robię, Anne?

Naprawdę się starzał, skoro posuwał się do tak ogranych chwytów. Musiała wykorzystać okazję. - Dobrze, David. Wciąż pieprzysz tę radioterapeutkę?

Idąc w głąb korytarza, usłyszała trzask zamykanych drzwi. Wiedziała, że nigdy nie będzie pewna, czy usłyszała jego żalosne pożegnanie: „Pozdrów ode mnie Jeremygo”. To i tak nie miało znaczenia.

Nie mogła się doczekać, aby opowiedzieć o wszystkim Alison.

- Usiądź, Tom.

Thorne podszedł, by zająć miejsce na niewygodnym plastikowym krześle, które mu wskazano. - Niech to szlag, brzmi to trochę zbyt oficjalnie. Co jest, dostanę opierdół za to, że zarobiłem po łbie, i nasłucham się różnych głupot?

- Po co tu przyszedłeś, Tom? Sądysz, że nie damy sobie rady bez ciebie?

- Nie.

- Nie wciskaj mi kitu, Tom. - Keable przesunął dłońią przed twarzą. Chyba chciał sprawiać wrażenie zamyślnego, uznał Thorne, albo jest po prostu zmęczony Ale on nastroszył tylko krzaczaste brwi i wyglądał teraz jak łysy wilkołak. Keable prychnął. - Czujesz się sponiewierany?

- Co to za tropy, o których mówił Tughan?

- Pojawił się liścik, Tom.

Thorne w jednej chwili poderwał się z krzesła. - W mieszkaniu? Pokaż mi...

Keable wysunął szufladę i wyjął wyświechtaną kserokopię kartki A4. Podał ją Thorne owi. - Oryginał jest nadal w Lambeth.

Thorne pokiwał głową. Sądowe laboratoria naukowe. - Strata czasu.

- Wiem.

Thorne usiadł i zaczął czytać. Tekst jak poprzednio napisany na maszynie. Ta sama filuterna zażyłość w każdym zdaniu. Ta sama radość i wiara w unikalne, cudownie odrealnione poczucie humoru. To samo chore uwielbienie dla samego siebie...

NIE LUBIĘ BRUTALNOŚCI. TOM. (TU PRZERYWA. BY WYBUCHNAĆ PUSTYM ŚMIECIEM, A DETEKTYW INSPEKTOR THORNE DOTYKA OBOLAŁEJ GŁOWY). TRZEBA CI BYŁO ZAŁOŻYĆ SZWY? PRZEPRASZAM. MAM NADZIEJĘ, ŻE GŁUPI JAŚ NIE BYŁ ZA MOCNY, ALKOHOŁ I ŚRODKI USPOKAJAJĄCE ME WSPÓLGRAJĄ ZE SOBĄ. NIESTETY NIE MOGŁEM ZOSTAĆ, ABY NA TO POPATRZEĆ. CHCIAŁEM TYLKO, ABYSŃ CHOĆ W CZĘŚCI POCZUŁ, JAK TO JEST W PEŁNI SIĘ PODDAĆ. WIEM, ŻE TO NIE BYŁO PODDANIE W NAJPEŁNIEJSZYM TEGO SŁOWA ZNACZENIU, ALE NIE BĄDŹMY TACY DROBIAZGOWI. . . MASZ PRZECIEŻ MORDERCÓW DO SCHWYTANIA. ODROBINA BÓLU BYŁA KONIECZNA. BY DODAĆ CI WIARY DO DZIAŁANIA. A TE DZIEWCZYNY NIC NIE CZUŁY. PAMIĘTAJ O TYM. PRZEPRASZAM ZA HELEN, ALE ONA NAPRAWDĘ NIE CHCIAŁA ŻYĆ. ALISON JAKO JEDYNA MIAŁA DOSTATECZNIE SILNĄ WOLĘ ŻYCIA. CHCIEĆ TO MÓC. JAK MÓWIĄ. CHOĆ NAJWYRAŹNIEJ NIE ZAWSZE SIĘ TO SPRAWDZA. CHYBA ROZUMIESZ. O CO MI CHODZI. WIEM. ŻE JESTEŚ WŚCIEKŁY. TOM, ALE NIE POZWÓL. ABY GNIEW CIĘ ZAŚLEPIŁ. WYKORZYSTAJ TO DLA DOBRA SPRAWY, TAK JAK JA, A WÓWCZAS NIE BĘDZIE DLA CIEBIE RZECZY NIEMOŻLIWYCH. NO I PROSZĘ. NINIEJSZYM RZUCAM CI RĘKAWICĘ. . . ALBO RACZEJ RĘKAWICzkę CHIRURGICZNĄ!! WKRÓTCIE SIĘ ODEZWE.

PS MAM W PEŁNI ZDROWY POPĘD SEKSUALNY. A W DZIECIŃSTWIE NIE BYŁEM ZAMYKANY W PIWNICY, WIĘC RADZĘ NIE MARNOWAĆ CENNYCH FUNDUSZY NA ROZMAITYCH SZARLATANÓW.

Thorne'owi zaczęło się zbierać na mdłości. Wziął głęboki oddech i przesunął kartkę na drugą stronę biurka. Frank Keable uniósł głowę, a Thorne spojrzał mu prosto w oczy. - To Bishop.

Keable włożył kartkę do szuflady i zasunął ją. - Nie, Tom. To nie on.

Thorne nie mógł na niego spojrzeć. Powiódł wzrokiem w stronę zielonego metalowego kosza na śmieci, taniego czarnego plastikowego stojaka na kapelusze i drogiego eleganckiego płaszcza. Rzucił okiem na brudne żółte ściany i niemal z wdzięcznością zatrzymał spojrzenie na kalendarzu. Wrzesień. Wyjątkowo nieciekawym widoczkiem z Exmoor we mgle. Dwuwymiarowy i z zapewne dawno już martwym jeleniem, który wbrew pozorom był chyba najbardziej ożywioną rzeczą w tym pokoju.

- Jak się udała kolacja z doktorem Bishopem?

Thorne był wściekły, że tak szybko wszystko sobie poukładali. Odniosł wrażenie, że odebrano mu jego główny atut. Pokiwał głową, był pod wrażeniem. I czuł coraz większe zaciekawienie.

- Na automatycznej sekretarce miałaś nagraną wiadomość od doktor Coburn. Miała nadzieję, że uznałeś wieczór za udany. Zadzwoniliśmy do niej.

- No jasne.

- A nawiasem mówiąc, jak było? Udany wieczór?

- Tak.

- Spaghetti smakowało?

- Skąd, do kurwy...?

- Zarzygałeś cały dywan, Tom. Spaghetti i dużo czerwonego wina...

Thorne czuł, że ma tylko jedną szansę, i musiał rozegrać to lepiej niż ostatnim razem. Kumpelski ton był najlepszy. Konspiracyjnie poufny My kontra on.

- To załgany skurwiel, Frank. Wyszedł przede mną i zaczął się.

- Przewidział każdy twój ruch? Odmaszerował z zawczasu przygotowanym listem w kieszeni? A także z metalowym prętem i strzykawką pod płaszczem?

Thorne myślał intensywnie. Czy Bishop miał ze sobą teczkę? Czy widział aktówkę w holu u Anne? Nie pamiętał. Zresztą i tak był pewien, że Bishop przyjechał do niej samochodem.

- Mógł zostawić rzeczy w aucie. - Bronił swojej teorii.

- Daj spokój, Tom...

Thorne wstał odrobinę za szybko. Zakręciło mu się w głowie i odruchowo wyciągnął rękę, by się czegoś przytrzymać. Rozejrzał się. Keable to zauważył. Nieważne. - Na pewno warto mu się przyjrzeć, Frank.

- Tak. Tughan się tym zajął. Nie jesteśmy aż tak głupi. To ślepa uliczka.

- Tughan nie popiera tej teorii, ponieważ jest moja...

- Nick Tughan to zawodowiec.

- Bzdura!

Thorne próbował się kontrolować, ale wiedział, że reszta zespołu mogła teraz bez trudu usłyszeć, o czym mówili.

Keable uniósł rękę. - Niech się pan uspokoi, detektywie inspektorze.

Thorne spojrział Keable'owi w oczy. Odsunął się od ściany i zniżył głos. - Wiem, o czym myślisz, i zdaję sobie sprawę, że cieszę się dość specyficzną reputacją...

- Nie brnijmy w to, Tom.

Thorne spojrział na niego chłodno, po czym westchnął przeciągle i rzekł: - Nie. Zróbmy to.

Keable odwrócił wzrok. - Nie masz żadnych dowodów, Tom.

- Doktor Jeremy Bishop powinien być uznany za głównego podejrzanego. Pracował w szpitalu, skąd skradziono midazolam. Teraz pracuje w szpitalu, do którego zabrano Alison Willetts po tym, jak została zaatakowana. Sądzę, że zawiózł ją tam po tym, jak na nią napadł, aby, na szczęście bezskutecznie, zapewnić sobie alibi. Nie ma alibi na żaden z dni, kiedy dokonano tych morderstw, i ogólnie odpowiada rysopisowi mężczyzny, którego widziano, jak rozmawia z Helen Doyle tej nocy, kiedy ją zabiło.

Powiedział swoje.

Keable chrząknął. Zaraz nastąpi riposta. - Bishop miał romans z doktor Coburn, zgadza się?

- Kilka lat temu... tak... chyba tak.
- A ty?

Nie mogli zmaćić jego zdania na temat Bishopa uczuciami wobec Anne. Niech Anne myśli, że Bishop zdołał dotrzeć do niego na tym poziomie, ale Keable na pewno go przejrzy...

- Tughan nie jest jedynym zawodowcem...
- Porozmawiajmy rozsądnie, Tom. Wszyscy zgodnie przyznają, że szukamy lekarza.

- Ale?

- Leicesterski ślad to zmyłka z uwagi na datę kradzieży, jeżeli, rzecz jasna, skradziony preparat został wykorzystany do odurzenia ofiar. Twoje rozumowanie w zestawieniu z alibi Bishopa wydaje mi się co najmniej naciągane, a to, co robił w czasie, kiedy zginęły trzy pierwsze ofiary, nie ma większego znaczenia.

- Co takiego?

- Znasz reguły gry? Prokuratura nie zainteresuje się tymi trzema przypadkami, nawet jeżeli dokonamy aresztowania. Połączenie ze sobą tych spraw trwało o wiele za długo. Jeżeli chcemy kogoś skazać, musimy mieć dowody na jego udział w atakach na Willetts i Doyle. W przypadku trzech pierwszych ofiar nie znamy nawet dokładnego czasu zgonu.

To on określił czas, Tommy. On o tym decydował.

- Bishop miał dyżury każdej z tych nocy. Ma dyżur tylko raz w tygodniu, więc musiałby to być cholerny zbieg okoliczności. - Zniżył głos do szeptu. - Wiem, że to on, Frank.

- Posłuchaj siebie, Tom. To nie procedura policyjna, tylko... jakaś obsesja.

Thorne'owi nagle zrobiło się gorąco. Wszystko jasne. Calvert. Jego piętno Kaina. Keable zamierzał rozjątrzyć tę ranę.

- Przykro mi, ale to ty wspomniałeś o reputacji. Mnie reputacja nie interesuje, ale nie byłbym sobą, gdybym nie zwracał uwagi na pewne nawracające wzorce zachowań.

- Mówisz, jakbym był kompletnym szajbuszem. Ilu morderców wtrąciłem za kratki przez ostatnie piętnaście lat?
- Piętnaście lat temu miałeś rację. Wiem o tym.
- I od tamtej pory za to płacę. O tym zapewne nie wiedziałeś.
- Od tamtej pory wiele razy miałeś rację, ale to nie znaczy, że nigdy się nie mylisz.

Jeszcze przed chwilą miał chęć na solidną kłótnię. Pragnął tego, teraz jednak poczuł się nagle wyczerpany - Zazwyczaj miałem szczęście. Ale równie dobrze mogłem spieprzyć sprawę. Nie zawsze wiedziałem na pewno. Ale piętnaście lat temu wiedziałem. I teraz też wiem.

Keable pokręcił głową ze smutkiem. - Nic na niego nie mamy, Tom.

- I po namyśle, jakby miało to zdusić tłący się w nim jeszcze ogień, machnął ręką w stronę głównej sali odpraw. - A poza tym wiesz, że połowa facetów w naszym biurze odpowiada temu rysopisowi.

Thorne milczał. Jezu. Exmoor wyglądało ponuro. Nawet majestatyczny jeleni wydawał się cholernie wkurzony tym wszystkim. Thorne ujrzał siebie wchodzącego w ten opar mgieł, małą odległą sylwetkę pozostawiającą za sobą cały ten syf i znikającą w oddali. Czuł, jak ściana mgły zamyka się wokół niego, czuł na ramionach jej wilgotny dotyk, gdy szedł po wilgotnej, omszałej ziemi, a głosy dziewcząt rozbrzmiewały echem, daleko w tyle za nim. Wiedział, że tylko one mogły przejmować się tym, dokąd odejdzie.

- Tom, pomówmy o tym, co możemy zrobić. Właśnie nakręcono rekonstrukcję tego wydarzenia. Zaprezentują to za kilka dni.

- Niech Tughan się tym zajmie.

Thorne ruszył szybkim krokiem w stronę drzwi. Stracił Keable'a. Nie dbał o to. Otworzył drzwi, po czym odwrócił się do nadkomisarza.

- „Jeżeli”, powiedziałeś. - Thorne pokręcił głową. Keable spojrział na niego. - „Jeżeli” dokonamy aresztowania, a nie „kiedy”! Stanowisz dla nas wszystkich prawdziwe źródło inspiracji, Frank.

- Inspektorze Thorne... - Keable poderwał się na nogi z krzykiem, ale Thorne był już w połowie sali odpraw. Ci z wyobraźnią umiejętnie

połączyli zasłyszane fragmenty rozmowy, a ci, którym to było obojętne, wgapiali się w swoje buty. Kiedy Thorne mijał Tughana, ten z uśmiechem uniósł wzrok znad komputera. - Nie wiem, czemu tak się tym przejmujesz, Tom. Przecież to lekarz, a nie wykładowca.

Thorne nie zatrzymał się. Któregoś dnia ten łajdak za to zapłaci, ale jeszcze nie dziś.

Holland stał w kącie, wymachując kanapką, i patrzył, jak jego szef, nie oglądając się na boki, zmierza w jego stronę.

- Sir?

- Świetnie, detektywie konstablu Holland - rzekł Thorne. - Teraz proszę mnie zawieźć do domu.

Rachel Higgins leżała na łóżku, słuchając, jak jej matka krząta się w łazience. Ściszyła telewizor, ale co chwila zerkiała na ekran, usiłując zorientować się w przebiegu akcji. To nie było trudne, jako że włączyła erotyk na Kanale 5. Usłyszała szum wody spuszczonej w toalecie. Mama kładła się do łóżka.

Sięgnęła po walkmana i zaczesła długie brązowe włosy za uszy, zanim założyła słuchawki. Manic Street Preachers pozwolą jej zapomnieć o kłótni z matką. To wszystko było takie głupie. Zaczęło się od sprzeczki o pieprzone egzaminy poprawkowe. No i co z tego, że jej oceny z informatyki i chemii nie były takie, jak się spodziewały? W szóstej klasie nie miała już tych przedmiotów. Pospierały się o to przez chwilę, docinając sobie nawzajem do żywego, a potem zaczęła się tyrada na temat jej prywatności. Miała prawo do własnego życia! Chryste Panie! Może ona i jej matka powinny przestać zgrywać koleżanki jak typowe przedstawicielki brytyjskiej poronionej klasy średniej. Jeżeli o to chodziło jej matce, to proszę bardzo. Od tej pory będzie rozmawiać tylko z tatą. Bądź co bądź, tego jej nie zabroniła.

Na ekranie otyły dźwiękowiec próbował zdjąć stanik piosenkarce sesyjnej. A może to był jej menedżer. Tak czy owak, był paskudny, a ona miała obwisłe cycki.

Nawet lubiła tego glinę i nie miała nic przeciw temu, aby jej matka

różnęła się z nim do nieprzytomności, jeżeli jej na tym zależało, ale nagle zaczęła zmieniać reguły gry. Pewne rzeczy były jej sprawami i dotyczyło to także jej życia prywatnego.

Nie ulegało wątpliwości, że grubas nawet nie wyjmie wacka ze spodni. Sięgnęła po pilota, zgasiła telewizor i leżała w ciemnościach, powstrzymując łzy cisnące jej się do oczu.

Walkman był włączony na pełny regulator. Hałas w końcu ją uśpi, a do rana wszelkie niesnaski zostaną puszczone w niepamięć. To nie miało zresztą większego znaczenia. Matka, jeśli tego chciała, mogła mieć przed nią tajemnice.

Rachel też miała sporo własnych.

Wygląda na to, że przy windzie Anne zgotowała temu cymbałowi, swojemu mężowi, niezłą odprawę. Uciekł jak niepyszny. Chciałabym powiedzieć jej, żeby przestała się wahać i zajęła tym ponętym gliniarzem. Zjedli już kolację, teraz powinna pójść za ciosem i to bez dwóch zdań. Zwłaszcza teraz, kiedy jakiś szajbus dał mu mocno po łbie. Bierz się za niego, póki jest jeszcze otepiały! Do dzieła, kobieto! Łap faceta, dopóki ma zmacone w głowie! Zawsze byłam dobra w kojarzeniu par. To ja namówiłam Paula, aby porozmawiał z Carol. Ciekawe, czy wrócili już z miesiąca miodowego. Pewnie nie, bo przecież by mnie odwiedzili.

Nieźle się wspólnie naśmiałyśmy, ja i Anne. To znaczy ona się śmiała, a ja tylko o tym myślałam. To cholernie dziwne. Kiedy jestem w połowie w innym świecie (czy wspominałam, że mają tu fantastyczne prochy?), wyobrażam sobie, że wszyscy pielęgniarze są we mnie zamiast w realnym świecie. Udamę, że są jak liliputy biegające wewnątrz mego ciała i robią wszystko, co tylko nakażę im mentalnie. Słodkie, małe, ruchome części ciała. Otwierają mi oczy. Wycierają pot. Drapią w swędzący cycek (to znaczy, kiedy już wzmówię im, że tam mnie swędzi). Pamiętacie skrzaty z tego starego komiksu? Te, które mieszkały w głowie pewnego faceta. Myślę: jestem głodna, a ten karzelek w niebieskim wdzianku i spiczastej czapce i z odwrotnie założonym zegarkiem zjawia się i ładuje coś pysznego do mojej rurki, przez którą przyjmuję pokarmy. Myślę: siusiu i trzask-prask, następny skrzat opróżnia mój cewnik. Chrzańć to, cholera, trzeba przecież jakoś przetrwać dzień.

No i właśnie. Nie mam bladego pojęcia, jaka jest w tym momencie pora dnia. Anne stara się mnie o tym informować, ale po dziesięciu minutach od jej wyjścia znów tracę poczucie czasu. Często miewam zawroty głowy. (A więc bez zmian, jak powiedziałyby dziewczyny z oddziału dziecięcego). Ciekawe, jak tam dzieci. Niektóre z nich na pewno przeniesiono już do następnej sali. Daniel będzie miał mnóstwo nowych ofiar do gryzienia. Bardzo mi ich brak. Naprawdę za nimi tęsknię.

Ciekawe, czy w moim obecnym stanie mogłabym zająć w ciążę?

8.

Hendricks zjawił się objuczony tanim piwem i kwadrans po dziewiątej mieli już spore kłopoty, by nie zasnąć. Rekonstrukcja miała zostać zaprezentowana za dziesięć minut. Hendricks, który miał własne zdanie na każdy temat, przegadał całe wiadomości, podczas gdy Thorne powoli rozpijał kolejną puszkę piwa i zastanawiał się, dlaczego nie zadzwonił do Anne Coburn.

Oczywiście wiedział doskonale, czemu tego nie zrobił. Pytanie brzmiało raczej, jak długo jeszcze mógł podtrzymać pozory szczerości.

Jego niewzruszona opoka kruszyła się z kolejną wypitą puszką.

Wiedział, że nawet najbardziej formalny kontekst, najbardziej banalna rozmowa będzie skażona tym, czego jej nie powiedział. Co rozmyślnie i starannie przed nią zataił. Oczywiście postąpił słusznie ze względów proceduralnych, że nie chciał jej angażować, i zdawał sobie z tego sprawę. Zachował się właściwie. Ale chciał ją zobaczyć. Chciał opowiedzieć jej o różnych rzeczach.

A więc... musiał wybierać.

Mógł nadal się z nią widywać i po prostu nie rozmawiać o śledztwie. Ani o Alison. Ani o tym, co czuł dzień w dzień, praktycznie o każdej porze... ale wówczas prawie nie dawałby nic od siebie w zamian za to, czego pragnął od niej, nieprawdaż? Mógł też powiedzieć jej prawdę. Gdyby jednak wyznał Anne, że jego zdaniem jej stary przyjaciel jest wielokrotnym mordercą, ich związek mógłby zabrnąć w ślepą uliczkę. Gdyby powiedział, że jej kolega jeszcze z czasu studiów medycznych i były kochanek - nie zapominajmy o tym - jest psychopatycznym mordercą, raczej przestałaby traktować go jako kandydata do łóżka, prawda?

Siedzący na sofie Hendricks wydał przeciągłe, pełne zadowolenia czknięcie. Nie ma to jak alkohol, aby z zawodowca z południa wydobyć cechy prostaka z północy. Albo nafaszerowanego testosteronem macho ze zmęczonego starego faceta.

A teraz będzie musiał się z tym zmierzyć...

To nie był program, który zwykle oglądał. Nie mógł zaprzeczyć, że często wskazywał nowe, użyteczne tropy i powodował wzrost wskaźnika aresztowań. W pracy nazywano ten program „Zakupuj swego sąsiada” i zdumiewające mogło się wydawać, ilu ludzi gotowych było to zrobić. Najbardziej nie lubił rekonstrukcji i ziarnistych nagrań z kamer przemysłowych. Zresztą cała koncepcja programu nieodparcie go bawiła. Zwykle w chwili, gdy ubrany na pomarańczowo prezenter apelował do widzów, którzy mogli „przypomnieć sobie coś istotnego”, Thorne przestawał zwracać uwagę na to, co działo się na ekranie. Miasto było pełne osobników, którzy cierpieli na pomroczość jasną i kompletnie zapominali, że zaledwie dwa tygodnie wcześniej aresztowano ich za napaść z bronią w rękę. Tego typu drobiazgi błyskawicznie umykały ludziom z pamięci...

Rekonstrukcje zdarzeń rezerwowano dla tych najpaskudniejszych. Wiedział, że wynikało to z ograniczonego budżetu, zarówno policji, jak i telewizji, ale i tak to wszystko zdawało się trącić... niezdrową, perwersyjną wręcz, ciekawością. I chciwością, której nie cierpiał. Każde „Spij słodko” i „Niech ci się przyśni coś miłego” wydawało się rozpaczliwie wymuszone. W jednej chwili pokazują, jak twoi sąsiedzi są maltretowani, gwałceni, mordowani, a w następnej zapewniają, że tego rodzaju zbrodnie zdarzają się niezwykle rzadko. Falszywe poczucie bezpieczeństwa wynikające z cudownie łatwo dających się naginać statystyk najbrutalniej szych przestępstw.

Przyjemnych snów, jeżeli jesteś statystykiem.

Pomimo gustu, wrażliwości i posępnej tonacji to nadal była telewizja. I chodziło w niej przede wszystkim o rozrywkę lub w najlepszym wypadku o popis sztuki dziennikarskiej, co go drażniło.

Pomyślał o policyjnych fotografach ustawiających ostrość, aby zrobić zdjęcie Helen Doyle.

- Zaczyna się... - Hendricks wyprostował się na sofie i sięgnął po pilota. Prezenter i specjalnie wybrani, obeznani z mediami oficerowie przez następne czterdzieści minut przedstawiali kolejne dania z morderczego menu.

Jako pierwszy zaprezentował się zespół Bekhend. Kiedy fotogeniczna pani inspektor spojrzała w kamerę i zapewniła, że tego rodzaju napaści, dokonywane przez całkiem nieznanymi osobami, są wyjątkowo rzadkie, Thorne przeniósł się do wnętrza pubu Marlborough Arms. Patrzył, jak młoda aktorka siedzi w towarzystwie koleżanek, śmiejąc się. Patrzył, jak podchodzi do baru i zamawia kolejnego drinka, głos narratora wyjaśnił tymczasem, kim była, co tam robiła, i niejasno zasugerował, co ją już wkrótce spotka. Patrzył, jak młoda aktorka zabiera swój płaszcz i rusza z innymi dziewczętami w stronę wyjścia.

Zobaczył, jak Helen Doyle wychodzi z Holloway Road, żegna się z koleżankami i odchodzi, by spotkać mężczyznę, który ją zamorduje. Zobaczył, jak jej twarz nabiera koloru i jak liście sypią się z jej włosów. Wiedział, że ukryta pod bluzką i spódnicą blizna po wykonanym podczas sekcji nacięciu w kształcie litery Y wyblakła, a jej młoda skóra znów była gładka i pachniała talkiem. Gardło mu się ścisnęło, gdy krew zaczęła krążyć w bladych, zwioteczonych nogach, które niosły Helen Doyle wzdłuż Whittington Park, zmierzając w stronę domu, gdzie czekali na nią rodzice.

Teraz Helen śmieje się, rozmawia z mężczyzną i pije szampana wprost z butelki. Mężczyzna jest wysoki i szpakowaty. Po trzydziestce. Czy mógł być ciut starszy? Helen zaczyna chwiać się na nogach. Osuwa się do środka ciemnego auta, które odjeżdża w nieznanym kierunku, do bliżej nieokreślonego miejsca, gdzie kierowca po cichu i z olbrzymią wprawą pozbawi Helen Doyle i wszystkich, którzy ją kochali, tego wszystkiego, czym była.

Na ekranie pojawia się zatroskane oblicze Nicka Tughana. Thorne nie śmiał zaprzeczyć, że tamten nieźle się prezentował w telewizji. Miał skromną marynarkę i gustownie dobrany krawat. Prośba o informacje w tej sprawie była prosta i chwytająca za serce. Jeżeli ktoś coś widział, niech się zgłosi, niech nie siedzi bezczynnie, jeżeli jest szansa, by schwytać sprawcę tego ohydneho czynu, należy ją wykorzystać.

Dla Helen. Dla jej rodziny. Podano numer do ich biura operacyjnego, po czym zmieniono temat na serię napadów z bronią w rękę w West Midlands. Thorne zamknął oczy.

I co o tym myślisz, Tommy?

Będziemy musieli poczekać, może ktoś się zgłosi.

Nie... Chodziło mi o to... Czy byłam ładna, Tommy? Powiedz, dobrze wyglądałam?

Tak, kochanie. Byłaś olśniewająca.

- Jeżeli chcesz wiedzieć, Tughan wygląda jak przybłąda ze Wschodu.

- Nie chcę. A poza tym jesteś pijany. I choć żal mi marnować moją drogą skandynawską sofę na takiego ochlapusa jak ty, z ciężkim sercem powiem tylko, że jeśli chcesz, możesz się na niej kimnąć.

Hendricks już podźwignął się na nogi i sięgnął po swoją skórzaną kurtkę. W którymś momencie potracił na wpół pełną puszkę piwa.

- Przepraszam.

- Niezdara. Postaraj się dotrzeć do metra w jednym kawalku, dobra?

Hendricks pomachał do niego i zrobił minę, przechodząc przed frontowym oknem. Thorne wytarł rozlane piwo ścierką przyniesioną z kuchni, włączył płytę George'a Jonesa i wrócił na fotel. Cieszył się, że Hendricks sobie poszedł. Chciał posiedzieć w samotności i zaczekać na telefon Hollanda.

Anne wyłączyła telewizor i przeszła przez pokój, gasząc lampy. Thorne powiedział jej o szampanie, o tym, jak ten zabójca odurzył tamtą biedną dziewczynę. I Alison. Obejrzenie rekonstrukcji zdarzeń zmroziło jej krew w żyłach. Czowała więź łączącą ją z Helen Doyle, a poprzez nią była związana z Alison. Wiedziała, że zachowuje się irracjonalnie, wręcz dramatycznie, ale pragnęła zwrócić Alison życie i to nie tylko z czysto zawodowych pobudek. Chciała, aby mężczyzna, który ją napadł i który zabił inne dziewczęta, poniósł porażkę. Chciała, aby to ona była przyczyną tej porażki.

Stała w ciemnym salonie i zastanawiała się, dlaczego Thorne nie wziął udziału w programie. Może nie w pełni jeszcze doszedł do siebie. Wydawał się w dobrej formie, kiedy widziała go w szpitalu, ale może nie powinien wypisywać się tak szybko. Był twardogłowy, ale możliwe, że wcale nie był tak twardy, jak się wydawał. Chciała do niego zadzwonić, wiedziała jednak, że to byłaby długa rozmowa. Potrzebowała choć odrobiny snu.

Umyła zęby, pomyślała o Davidzie i wyobraziła go sobie przewracającego się w kabinie windy. Ten obraz tak ją rozbawił, że przejrzała się w lustrze i wcierając krem na noc, sprawdziła zmarszczki mimiczne. Zgasiła światło w łazience i wśród cieni ujrzała Toma Thorne'a siedzącego na skraju szpitalnego łóżka i patrzącego gdzieś w dal. Zadzwoni do niego jutro, do pracy i zaproponuje drinka.

Gdy weszła do sypialni, usłyszała stłumiony świergot komórki Rachel w pokoju obok. Zdołała jeszcze wychwycić, jak córka z kimś się wita, po czym z trzaskiem zamknęła drzwi do sypialni. Anne była wściekła, ale nie chciała wszczynać kolejnej awantury. Zwłaszcza po ostatniej, niedawnej sprzeczce. Tak czy owak, Rachel musiała wstać wcześniej rano do szkoły.

Co za nedorzeczna pora na rozmowy telefoniczne.

Holland zadzwonił o wpół do dwunastej. Thorne sprawdził numer i stwierdził, że tamten korzystał z komórki. - Sporo ludzi widziało ją idącą główną ulicą. Jeden facet powiedział, że gdy go mijala, nuciła coś pod nosem.

- Co nuciła?

- Słucham?

Nie pamiętam, chyba kawalek Robbiego Williamsa...

- A co z zabójcą?

- Od chwili, gdy skręciła w Holloway Road, mamy zdecydowanie mniej świadków, ale paru się znalazło. Nic nowego, jeżeli chodzi o rysopis. Troje ludzi zadzwoniło, by powiedzieć, że to auto... to mogło być volvo... Słyszysz mnie pan?

- Czy Keable wrócił już do domu?

- Tak, parę godzin temu.

Thorne stęknął. Czy już za późno, aby zadzwonić?

- Jeszcze jedno. Sądzymy, że mógł do nas dzwonić zabójca.

Thorne brał taką ewentualność pod uwagę, ale i tak zaparło mu dech. - Kto odebrał telefon?

- Janet Noble. Dzwoniło wielu świrów i popaprańców, ale Janet powiedziała, że ten akurat mówił całkiem do rzeczy. I trochę ją wystraszył.

- Mów dalej.

- Głęboki głos, elokwentny...

Thorne mógł się tego spodziewać. - Co powiedział?

- Że jest przystojniejszy niż ten aktor, że Helen była znacznie bardziej prostacka i że szampan, którym ją poczęstował, był innej, droższej marki.

No jasne, on musiał zadbać o tego typu szczegóły.

- Pytał też o pana.

- Co mu powiedziała Noble?

- Że jest pan na zwolnieniu.

To było całkiem przekonujące. Pytanie tylko, czy tamten dał się na to nabrać.

- Dzięki, Holland. Złapię cię jutro.

- Wobec tego dobranoc.

- A nawiasem mówiąc, dzięki za płytę. Nie miałem dotąd okazji...

- Nie szkodzi. Podobała się panu?

Ogarnęło go lekkie poczucie winy. Najlepsze przeboje Kenny'ego Rogersa leżały w pudle, na dnie jego szafy, wraz z kolekcją mocno już sfatygowanych powieści w broszurowej oprawie i szafką łazienkową typu zrób to sam, której sklecenie przerosło jego możliwości. Zamierzał w weekend zawieźć te rzeczy do najbliższego punktu instytucji dobroczynnej.

- Czy to właśnie tę płytę słyszę w tle?

Dave Holland przypiął telefon do paska, pożegnał się z funkcjonariuszami, którzy wciąż odbierali telefony, i zaczął na

windę. Wiedział, że takie rzeczy się zdarzają, zwłaszcza z Thorne'em, ale to nie ułatwiało mu życia. Nie był do końca pewien, co się dzieje, ale trzeba być głupcem, żeby nie zauważyć wyraźnie wytyczonej granicy. Wiedział, co kazałaby mu zrobić Sophie. Nie wychylać się, bo dzięki temu może zejść wysoko, jak świadczą o tym kariery Keable'a i Tughana, czyż nie?

Albo jego ojca.

Zero zachwiań. Tylko miła emeryturka, garść historyjek i ani krzty satysfakcji po trzydziestu pięciu latach służby. Mówił z dumą o tym, że chce mieć czyste sumienie aż do dnia, kiedy wyciągnie kopyta, i umarł, dożywwszy sześćdziesiątki.

Tom Thorne nigdy nie chował głowy w piasek. Może zaczynał... świrować. Był po piwie, kiedy zadzwonił do niego Holland, to pewne. Kiedy karetka zabrała go z mieszkania, cztery dni temu, mającego, a Holland robił, co mógł, usiłując dojść z tym wszystkim do ładu, zrozumiał, że Thorne wcale nie uważał się za lepszego od innych. Ani od Keable'a, Tughana czy nieżyjącego od czterech lat detektywa sierżanta Briana Hollanda. Był po prostu gliną innego rodzaju. Innego typu człowiekiem. Może takim, którego aprobata coś znaczyła. Gdyby Holland ją sobie zaskarbił i mimo to żyłby dobrze z innymi, może jakoś pogodziłby jedno z drugim.

Znowu sięgnął po telefon. Jeżeli Sophie nadal nie ma, kupi po drodze do domu coś na wynos z kuchni indyjskiej. Odczekał cztery sygnały i rozłączył się. Nadjechała winda. Wszedł do niej, a w głębi duszy wiedział doskonale, że na najbliższe dni i tygodnie mógł zapomnieć o bezpiecznej zachowawczej postawie.

- Frank?
- O co chodzi, Tom?
- Bishop jeździ volvo.
- Fakt.
- Ciemnogrnatowym volvo sedanem. Nie umieściłem tej informacji w moim wstępnym raporcie, ale taki wóz stał przed domem.
- Píše o tym w swoim raporcie Nick Tughan.

- Tughan wiedział?
- Mówiłem ci, on już to wszystko sprawdził.
- To wszystko!
- Czy możemy pomówić o tym rano?
- Czy dzisiejsze telefony niczego nie zmieniają?
- To zaledwie jeden dodatkowy plus w odpowiedniej kolumnie, ale wciąż jest zbyt wiele minusów.
- Za dużo rozmawiasz z Tughanem...
- Dobranoc, Thorne...
- Złożę formalną prośbę na piśmie o odsunięcie mnie od tego śledztwa.
- Porozmawiamy o tym rano...

- Anne? Mówi Tom Thorne. Przepraszam, czy...
- Halo?
- Zadzwoń do ciebie jutro.
- Nic się nie stało, to zabawne, ale przed chwilą rozłościłam się na Rachel, że tak późno rozmawia z kimś przez telefon. Chyba przysnęłam...
- Rachel z kimś rozmawia? To może...
- Przez komórkę. Nie cierpię tego, ale...
- To kwestia bezpieczeństwa.
- Hmm.
- Zastanawiałem się, co u Alison... no i co u ciebie.
- Alison... jakoś się trzyma, sadzamy ją. Tak jest lepiej... Powoli robi postępy. Nie chcę jeszcze ściągać fizjoterapeuty, ale sprawy zaczynają ruszać z miejsca. A u mnie... wszystko gra, dzięki...
- Chciałbym się z nią zobaczyć. Przekonać się, jak sobie radzi. Wspominałaś, że coraz lepiej się komunikuje.
- To prawda... ale nie jest do końca... wiarygodna. Próbuję ustalić jakiś system porozumiewania się, który zapewne okaże się jedną wielką katastrofą, ale mimo to... A jak twoja głowa?
- Jak myślisz? Mogę wpaść z wizytą?

- Do niej czy do mnie? Wspominałeś...
- Słucham?
- Do nas obu... Może w piątek?
- Świetnie.
- Teraz jestem zavalona robotą po same uszy
- Wiem... To świetnie. Przepraszam, że dzwonię o takiej porze. Ja

tylko... chyba...

- Trochę wypileś?
- Musiałem poukładać sobie to i owo.
- Brzmi ciekawie.
- Nie bardzo. Nie będę dłużej zawracał ci głowy... dobranoc.

Po północy. Siedział w niewygodnym fotelu o szwedzkiej, niemożliwej do wymówienia nazwie i przewartościowywał całe swoje życie. Albo był na najlepszej drodze, by dokumentnie je spięprzyć. Dlaczego miał wrażenie, że udało mu się cokolwiek osiągnąć, tylko wówczas jeśli kogoś wkurzył? Podczas imprez w pubie tak głośno wykrzykiwał odpowiedzi, dopóki prowadzący, który zadawał pytania, nie udzielił właściwej, udowadniając mu, że się mylił. Był nerwowym kierowcą, niestroniącym od przekleństw i nazbyt często używającym klaksonu czy świateł, aż inni kierowcy, wskazując na znaki, nie udowadniali mu, że to oni mają rację. Był durnym gliną, który nie potrafił pogodzić się z tym, że może się mylić. Kretynem, na którego twarzy odzwierciedlały się wszystkie jego odczucia. Ta twarz wysyłała komunikaty. Szeptala: „Popelniam błąd”. Mamrotała: „Mam rację”. Krzyczała: „Wiem!”. To trwało już od bardzo dawna. Odkąd sięgał pamięcią. Zrażał do siebie kolegów i robił sobie wrogów wśród przełożonych.

To właśnie ta twarz nakazała Francisowi Calvertowi zabić dzieci.

Została już tylko jedna puszka piwa. Wybrał ulubioną piosenkę z albumu George’a Jonesa i włączył płytę. Duet Jonesa z Elvisem Costello.

„W domu jest obcy, którego nie widzi nikt... ale wszyscy mówią, że wygląda kubek w kubek jak ja.

Będzie musiał pograć ostrożnie z Keable'em. Niezależnie od tego, że nie przyjmował do siebie teorii Thorne'a na temat Jeremyego Bishopa, Keable wiedział, iż zabójcę i Toma Thorne'a łączy dziwna więź. Ten pierwszy liścik został napisany, zanim jeszcze Thorne poznał Bishopa. To właśnie ta więź. Zabójca chciał mieć Thorne'a możliwie blisko. Tak więc, cokolwiek robił Thorne, wiedział, że Keable będzie go obserwował. Prawda była taka, że Thorne nie bardzo wiedział, co ma dalej robić, i co bardziej niepokojące, nie miał pojęcia, co zrobi teraz Bishop. Jak zareaguje na odejście Thorne'a od śledztwa? Czy potraktuje to jako... obrazę? Czy zrobi coś, domagając się uwagi, na którą jego zdaniem zasługiwał?

Thorne próbował nie myśleć o rzeczach, które mogły sprawić, że gorzko pożałuje swojej decyzji. Próbował wmówić sobie, że nie ma wyboru. Nie chcieli go słuchać. Co gorsza, osądzali go. Sprowadzali wszystko do Calverta. Piętnaście lat, a on wciąż był naznaczony, instynkt określano w jego wypadku mianem obsesji. Każda uwaga, każda myśl, każde spostrzeżenie były rozważane, osądzone i podawane w wątpliwość.

Nie mógł dłużej tego znieść. Nie potrzebował osądu żyjących.

Każdego dnia osądzali go umarli.

Musiał uwolnić się od udziału w operacji, która go przytłaczała. Musiał się z tego wyrwać i sprawić, by wydarzenia zaczęły rozgrywać się niezależnie od niego. Podczas gdy on wyklócał się o sprawdzanie kolejnych tropów i uśmiechał się potulnie, Jeremy Bishop robił z niego durnia.

Nadszedł czas, aby odwrócić tę sytuację.

Musiał się położyć. Ranek nie zapowiadał się miło i musiał być możliwie w jak najlepszej kondycji, aby temu sprostać. Ale mimo to wciąż jeszcze musiał wykonać jeden telefon. Wstał i podszedł do kominka, przy którym leżał jego notes z adresami. Nie potrafił przywołać z pamięci numeru telefonu żadnego ze znanych mu speców od pornografii.

Cieszę się, że Anne znów spędza ze mną więcej czasu. Zaczęłam już podejrzewać, że znalazła sobie nowe zajęcie, które zbytnio ją absorbuje, albo że się mną znudziła. W sumie nie mogłabym jej za to winić, wątpię jednak, aby miała więcej takich pacjentek jak ja. Wyjaśniła mi, że ma mnóstwo pracy, a administrator szpitala to dupek, więc może się czuć usprawiedliwiona. Co gorsza, jeżeli nie zacznę robić postępów, mogą mnie stąd wywieźć. Moje łóżko może być potrzebne komuś innemu.

Mamy niezłe opanowane „tak”, „nie” i „boli”, to ostatnie zresztą jest jedną z moich specjalności, ale trudno mruganie porównywać, dajmy na to, z esperanto. Jedno mrugnięcie na „tak” i dwa na „nie” dobrze się sprawdza w teorii, ale co i rusz zawodzi kontrola. No i przerwy między mrugnięciami ciągną się w nieskończoność. Próbuję mrugać dwa razy, ale Anne ciężko jest się zorientować, czy chcę powiedzieć „nie”, czy może „tak, tak”. Często pyta więc: Czy to miało być „tak”, Alison? „Nie?”. A więc chciałaś powiedzieć „nie”? Jesteśmy jak para komików cudzoziemców z „Benny Hilla”. Gumowy kurczaki Tato zaśmiewał się na „Bennym Hillu” do łez. Mama nie przepadała za komediami, ale on je uwielbiał! A może ten stary pijak po prostu lubił dziewczęta w bikini. Parę tygodni po śmierci ojca przyłapałam moją matkę, jak oglądała „Benny Hilla” na wideo. Musiała chyba specjalnie wypożyczyć tę kasetę. Ja miałam wtedy egzamin i wróciłam z college u wcześniej. Matka siedziała przed telewizorem, oglądając, jak ten smutny, gruby facet ugania się za ponętymi dziewczętami, biegnąc za nimi w kółko po ogrodzie, i wyplakiwała sobie oczy.

Oby Tim też jak najszybciej wziął się w garść. Nic nie mówi, tylko siedzi, trzymając mnie za rękę. Wiem, że ma pracę i nie może odwiedzić mnie za dnia, ale mógłby się postarać i częściej bywać wieczorami. Nic nie wiem. Nic mi nie mówi. Co się dzieje w „Brookside”? Czy w niedziele nadal grywa w piłkę? Czy naprawił już zasłonę od prysznica? Gdyby tato żył, dałby mu popalić.

Jest głupcem, ponieważ zaczynam tracić na wadze i jeśli wszystko inne we mnie też się poprzestawiało, to kto wie, może nawet przestanę się starzeć! Wyjdę stąd jako szczupły, seksowny cień dawnej mnie, którą kiedyś byłam. Jest tu jeden naprawdę ponętny pielęgniarz! Pewnie to gej, ale wygląda seksownie jak cholera. Jeżeli Tim się nie spisze jak należy, może zacząć szukać szczęścia gdzie indziej.

9.

Kiedy się obudził, nadal był wściekły Rekonstrukcja z ubiegłego wieczoru okazała się wielkim rozczarowaniem. I gdzie, u licha, był Thorne? To przynajmniej potwierdziło jego dotychczasowe podejrzenia - że zakrojone na szeroką skalę, priorytetowe śledztwo zabrnęło w ślepią uliczkę. Może znali już markę i kolor auta, ale i tak dochodzenie potwornie się ślimaczyło. Nawet nie ustalili numerów rejestracyjnych samochodu! Choćby cząstkowych! Tablice były, rzecz jasna, kradzione, ale mimo wszystko... Minęły już prawie dwa tygodnie, odkąd dał im ciało Helen do zabawy, a oni wciąż apelowali do opinii publicznej o pomoc.

Żałośni tandeciarze.

Thorne. Nie było go, a przecież powinien choć na chwilę pokazać się w telewizji, by zyskać sławę i popularność. Ani przez chwilę nie uwierzył, że Thorne wciąż jeszcze był na zwolnieniu. Nie, wśród gliniarzy coś się kroilo. Coś dużego. To pewne. Nie przewidział tego, ale poradzi sobie. Jeżeli jego przemyślnie napisany, nader wymowny liścik był w stanie jedynie wprawić „niebieskich” w niegroźny gniew, będzie musiał znaleźć inny sposób, aby pobudzić ich do działania, czyż nie?

Najwyższy czas. Mówi się, że szaleńcy, gdy owładnie nimi obłąd, zaczynają działać z coraz większą zawziętością i zapalem, prawda?

Nie spodziewali się po nim niczego innego. Chyba trzeba nieco ożywić sytuację. Może następnym razem wybierze geja albo jakąś starszą osobę. Nie... to by zbiło ich z tropu, a on nie chciał ich dezorientować. Musiał po prostu robić swoje, raz za razem, aż do skutku.

Do tej pory usiłował kopać Thorne'a po kostkach. Teraz nadszedł czas, by zadać mu cios w samo serce.

Thorne rozejrzył się po pubie. Biznesmeni w samych koszulach, którzy wpadli na małe scampi albo chili z mikrofalówki, aby niejako

przy tej okazji wypić do lunchu kilka kuf elków. Miejsce było dobre jak każde inne. Informatorzy nie lubią się spotykać zbyt blisko domu, a dla większości bywalców sali na piętrze w Lamb and Flag Thorne musiał wyglądać jak szwarczarakter. Nie miał nic przeciw temu. Wiedział, że wyglądał... konkretnie. I... użytecznie. Choć z pewnością wolałby być trochę wyższy.

Ponury australijski barman opróżnił popielniczkę, której Thorne i tak nie używał. - Jesz coś, koleś? Potrzebny jest stolik.

Thorne otworzył portfel. - Poproszę jeszcze jedną mineralną. - Upewnił się, że tamten zobaczył jego legitymację. Barman fuknął, wytarł blat stolika i poszedł, by przynieść Thorne'owi wodę.

Perrier była jedynym detalem, który, o czym wiedział, nie pasował do jego wizerunku, ale alkohol pijał jedynie w swojej skandynawskiej samotni. Poza tym zamierzał wrócić jeszcze do pracy. Nie sądził, aby dobrze wyglądało, gdyby pewnego dnia po rekonwalescencji zjawił się w biurze podpity.

Spotkanie z Frankiem Keable'em dzień wcześniej nie było tak burzliwe, jak się spodziewał. Keable chciał, aby pozostał przy śledztwie, ale z całkiem innych powodów. Mówił o integralności sprawy, cokolwiek to miało znaczyć, i że nie mógł pozwolić sobie na utratę funkcjonariusza o tak imponującym dorobku jak Thorne. W sprawie listów i ataku na Thorne'a, który, jak wierzył Keable, był usiłowaniem morderstwa, zachowywał wyjątkową powściągliwość. Twierdził uporczywie, że ta sprawa jest ściśle badana i rozpatrywana, Thorne domyślił się jednak, że Keable był przerażony; bał się, że w razie odejścia Toma to on mógłby stać się głównym celem dziwnego zabójcy.

Thorne wiedział, że nic takiego nie wchodziło w rachubę.

Prawda była taka, że gdyby Thorne odszedł, Keable mógłby nie dać sobie rady z utrzymaniem tajemnicy przed prasą i, co zrozumiałe, nie umiałby wyjaśnić w przekonujący sposób, dlaczego jeden z jego najlepszych oficerów postanowił opuścić zespół. Thorne powiedział, że powinien złożyć to na karb wiecznych zatargów z Tughanem. Albo z nim. Cokolwiek uzna za stosowne.

Keable poprosił, aby jeszcze to przemyślał. Thorne spojrział w znużone brązowe ślepią jelenia z Exmoor i podtrzymał swoją decyzję.

Przed lunchem przeniesiono go do Grupy do spraw Przestępstw Szczególnych (Sektor Zachodni) z bazą w Hendon, gdzie miał się stawić nazajutrz o dziewiątej rano.

Miał nadzieję, że sytuacja była tam nieco klarowniejsza, niż kiedy stamtąd odchodził.

Policja metropolitalna znajdowała się w stanie ciągłych przemian. Nie tylko podlegała teraz bezpośrednio GLA i burmistrzowi Livingstone'owi, lecz w dodatku przechodziła poważną rekonstrukcję struktur operacyjnych. Reforma publicznej służby zdrowia mogła robić wielkie wrażenie, ale to betka w porównaniu ze zmianami w służbach ochrony prawa.

Zniesiono stary system rejonów. Pięć sektorów Londynu, każdy z własnym, odrębnym zespołem do działań specjalnych, zastąpiono Specjalną Grupą Interwencyjną podzieloną z kolei na trzy Grupy do spraw Przestępstw Szczególnych (Sektor Wschodni, Zachodni i Południowy), które wchłonęły także istniejące jednostki do spraw Przestępczości Zorganizowanej, stary Wydział Oszustw oraz Jednostkę do spraw Broni Palnej. Wyniki? Setki funkcjonariuszy niemających pojęcia, co się dzieje. Ani dlaczego. Oficjalne stanowisko brzmiało, że nowe Grupy do spraw Przestępstw Szczególnych miały być skuteczniejsze. Policja nie będzie odtąd siedziała biernie, czekając, aż się wydarzy jakieś przestępstwo...

Teoria była niegłupia.

Ale trudno się spodziewać przeciwnika takiego jak Jeremy Bishop.

Jako detektyw inspektor zespołu nr 3 z bazą w Hendon Thorne znów stanął mocno na nogi. Pracował z nadkomisarzem Russellem Brigstockiem przez pół roku w Przestępstwach Szczególnych i wiedział, że jeżeli nie wydarzy się coś naprawdę paskudnego, Brigstocke nie będzie kruszył kopii, gdyby Thorne był od czasu do czasu nieosiągalny.

Jak dziś o dziewiątej rano.

- Kodak!

Jeżeli Thorne wyglądał konkretnie i użytecznie, mężczyzna po czterdziestce, który kiwając głową, człapał w jego stronę, był dosłownie niezbędny i niezastąpiony. Miał metr dziewięćdziesiąt, gabaryty stodoły, tlenione blond włosy, kolczyk w nosie, a na sobie żółtą kurtkę puchową. Ale ten człowiek nie zawsze zwiastował same dobre rzeczy. Głos Dennisa Bethella mógł spowodować rozróbę z odległości stu metrów. Był jak zapowiedź awantury, która tylko czekała, by się rozpocząć.

- Postawić panu piwo, panie Thorne?

Thorne zawsze się uśmiechał, gdy słyszał wysoki piskliwy głos. Ktokolwiek był odpowiedzialny za te rzeczy, dał plamę albo może miał poczucie humoru. Gdzieś tam musiała istnieć jakaś wyjątkowo paskudna rysunkowa mysz o głosie Franka Bruno.

Wskazał na wodę. - Dzięki, ale nie.

Bethell kiwał głową przez kolejne dziesięć sekund.

Thorne opróżnił szklankę, gdy barman przyniósł mu w końcu następną i przyjął od policjanta pieniądze. Bethell prawie się nie zmienił od ich ostatniego spotkania, no może tylko trochę zmężniał.

- Wiesz, Kodak, że od sterydów nabawisz się raka.

- Bzdury - pisnął Bethell. - Co najwyżej bezpłodności. Ale, ale, zapomniałem zapytać, czy odpowiada panu to miejsce, panie Thorne. Wiem, że trochę tu tłoczno, ale był mi na rękę wypad do zachodniego sektora. Robię tu sporo interesów.

- No jasne, Kodak...

Dennis Bethell był chyba jednym z najsympatyczniejszych handlarzy pornografią. Thorne od dwudziestu lat z zaciekawieniem obserwował rozwój jego kariery. Oferował wszystko, od delikatnych, wysmakowanych zdjęć artystycznych do pism motoryzacyjnych, po czysto kliniczne fotki dla pisemek znacznie węższego obiegu. W latach 80. był spory popyt na zdjęcia „ejakulacyjne”, które robił z wyjątkową wprawą, a jego wycieczka w krainę szantażu położyła kres karierze politycznej co najmniej jednego prominenta. Dennis należał do starej szkoły. W epoce, kiedy filmiki spod znaku hardcore’u były

tanie jak barszcz, a byle komputerowiec z pecetem mógł po naciśnięciu myszy zobaczyć, jak karły robią to z osłem, on uparcie wierzył w potęgę i prawdę zwykłej fotografii. W głębi duszy Thorne podziwiał tego dość szczególnego przedstawiciela półświatka.

- Wie pan, ta knajpa nazywała się kiedyś Kubel Krwi.

Thorne wiedział o tym. Dwieście pięćdziesiąt lat temu była to prawdziwa mordownia. Dziwki i typy spod ciemnej gwiazdy robiły tu szemrane interesy i zarzynały się wzajemnie za garść miedziaków, podczas gdy Hogarth siedział w kącie, robiąc notatki i szkice. Thorne rozejrzał się wokoło. Mimowolnie zastanowił się, czy nie mógłby poczuć się choć trochę swobodniej.

- A więc interesy idą dobrze?

Bethell zapalił silk cuta. - Całkiem nieźle. Mam teraz stronę w internecie, wie pan...

- Druzgoczesz wszystkie moje złudzenia.

- Trzeba iść z duchem czasu. Widział pan, co tam ofiarują?

Thorne widział. I to sporo. - Sądysz, że to, co robisz, tak się od tego różni?

- Nie robię niczego z dziećmi, panie Thorne, wie pan o tym. Nie mieszałbym się w to szambo. Poza tym mój towar jest dość ekskluzywny. I trudniejszy do zdobycia.

- Taa. Trzeba w kiosku stanąć na palcach, żeby po to sięgnąć.

Bethell miał nietęgą minę. Zgasił niedopalonego papierosa. Zapalił następnego. - Czy moglibyśmy mieć to już za sobą, panie Thorne?

- Oczywiście. Przepraszam, że tak cię zatrzymałem.

- Niech pan posłucha, panie Thorne, ostatnio nie dochodzi do mnie wiele nowych informacji. Mam stronę w sieci i poza tym robię tylko to, co zwykle, z modelkami. Nie kręcę się tak jak kiedyś...

Wrócił barman z resztą dla Thorne'a. Od stolika za nimi dobiegł Thorne a zduszony chichot. Miał nadzieję, że obiektem drwin nie był siedzący naprzeciw niego olbrzym.

Bethell wziął milczenie Thorne'a za oznakę rozczarowania.

- Jest sporo interesów z narkotykami, które mogłyby pana zainteresować. Młode dziewczyny łykają amfę i ciągną krechy, jakby miało nie być jutra. Nic nie jedzą, a w dodatku...

Znów chichot, tym razem Bethell też go usłyszał. Thorne odwrócił się. Czterech gości jak z mediów. Krótkie włosy, prostokątne okulary i obuwie sportowe, które zapewne kosztowało więcej niż jego garnitur. Nie patrzyli na niego. Znów się odwrócił, zniżając głos i dając Bethellowi sygnał, by uczynił to samo.

- Nie chodzi mi o informację, Kodak.

- Jasne.

- Potrzebuję usług wysoce wyspecjalizowanego zawodowca i zrobisz to, o co cię poproszę, a ja w zamian nie poślę do twojej ciemni chłopców z obyczajówki.

Bethell zamyślił się przez chwilę. - Miałbym zrobić parę zdjęć?

- Proste, czarno-białe zdjęcia portretowe z tak bliska, jak uda ci się podejść. Obiekt nie będzie się spodziewał, że ktoś zamierza zrobić mu zdjęcia.

Bethell raczej rzucał się w oczy, ale Thorne wiedział, że facet miał ogromne doświadczenie, jeżeli chodziło o dyskrecję i kamuflaż. Mógłby być wysoko opłacanym paparazzo.

- Nie ma sprawy, panie Thorne, mam nowiutkiego nikona 300 mm, z teleobiektywem.

Thorne nachylił się ku niemu. - Posłuchaj, Bethell, bo nie będę powtarzać. Robisz zdjęcie obiektu. Zbliżenie twarzy. Nieważne, w jakich okolicznościach, gdy będzie wychodził z domu, wsiadał do auta, wszystko jedno. To powinno być dla ciebie banalnie proste. Żadnych łóżek. Żadnych zwierząt. Żadnych naćpanych nastolatek.

Pomyślał o Helen Doyle siedzącej w pubie, śmiejącej się.

Nigdy taka nie byłam, Tommy. Piłam co najwyżej bacardi breezer.

Podał Bethellowi adres i dopił wodę, podczas gdy fotograf z entuzjazmem opowiadał mu o zaletach nowego obiektywu, po czym ciężkim krokiem poczłapał w stronę toalety. Gdy wstawał od stolika, Bethell spiorunował wzrokiem czterech typów siedzących za nimi.

Thorne był pewien, że Bethell go nie zawiedzie. Nie dlatego, że w przeciwnym razie zamieniłby jego życie w piekło, ale dlatego, że tamten szczydzi się swoją pracą. Nie po raz pierwszy Thorne pomyślał o tym, że dobrze dogadywał się z zawodowymi przestępcami. Był naprawdę dobry w te klocki. Nawet bardzo wredne typy, z którymi zetknął się podczas półtorarocznej służby w lotnej brygadzie, łatwo było rozszyfrować. Jednych złapał, innych nie, ale nigdy nie zastanawiał się dłużej nad tym, dlaczego to robili. Głównie dla forsy. Niekiedy z pobudek seksualnych. Często dlatego, że nic innego nie potrafili. Ale reguły gry były proste - powstrzymać ich, sprawić, by już tego nie robili, i niech ktoś inny zastanawia się, co nimi powodowało.

Bishop i jemu podobni nie grali według tych reguł. Thorne wiedział, że jeśli ma złapać Jeremyego Bishopa, potrzebował drobnej pomocy. Wiedział, że musi działać wyjątkowo ostrożnie, krok po kroku. Bethell to zaledwie pierwszy krok, a potem już coś wymyśli. Czymkolwiek była ta nowa gra, Bishop miał nad nimi wyraźną przewagę. Thorne był przekonany, że „dlaczego” było wyjątkowo istotne. Może nawet kluczowe dla całej sprawy I w tym sęk.

Thorne miał gdzieś, „dlaczego” tamten to robił.

Kiedy Bethell wrócił do stolika, Thorne wstał i zaczął nakładać płaszcz. - A więc wszystko jasne, tak?

Bethell zabrał swoje papierosy. - Taa. Nie ma sensu pytać, na kiedy chce pan te zdjęcia, prawda?

- Nie bardzo.

Śmiech z tyłu, za nimi uświadomił Thorne'owi, że powinien wyjść stąd jak najszybciej. Bethell postąpił już krok w ich stronę. - Coś was śmieszy?

Najwyższy z całej czwórki wstał i spojrział na Bethella przez szkła markowych okularów. To nie był agresywny ruch, raczej instynktowny, ale dla Bethella nie miało to większej różnicy Gruby paluch, którym dźgnął tamtego w pierś, musiał mieć siłę obłączniczego tarana. - Nie podoba się wam mój głos, tak? Któremu się nie podoba?

Okularnik próbował odtrącić wymierzony weń palec, ten z krótkimi włosami pospieszył kumplowi z pomocą i zaczęło się.

Kiedy Bethell wyrzwał okularnika prosto w twarz ciężką od sygnetów pięścią, Thorne skoczył naprzód i na odlew rąbnął jego kumpla w usta. Tamten runął do tyłu, na stolik, stopy w drogich butach sportowych rozrzuciły na wszystkie strony szklanki i butelki. Teraz było dwóch na dwóch i wszystko skończyło się błyskawicznie. Trzeci z mężczyzn sięgnął po dużą metalową popielniczkę, ale Thorne dopadł go w okamgnieniu, uderzając go czołem w nasadę nosa tak nonszalanckim ruchem, jak gdyby schylał się, by zawiązać sznurowadło.

Dopiero kiedy czwarty mężczyzna odskoczył do tyłu tak energicznie, że przewrócił talerz z krzykliwie pomarańczowym kurczakiem tikka massaia na uda młodej kobiety, w lokalu rozległy się pierwsze krzyki. Australijski barman nerwowym wzrokiem zaczął ogarniać sytuację, gdy zza baru wyszła groźnie wyglądająca właścicielka knajpy, o włosach koloru wanilii, trzymająca w dłoni kij bilardowy. - Dalej. Dzwon po gliny.

Barman oskarżycielskim gestem wskazał palcem na Thorne'a. - Już tu są.

Thorne potarł dłonią czoło i rozejrzał się na wszystkie strony. Trzej mężczyźni leżeli, klęczeli bądź czołgali się po drewnianej podłodze skrzęcej się od odłamków szkła, krew zachlapała modne markowe spodnie stylizowane na bojówki, na twarzach dwóch tuzinów obserwatorów całego zajścia prócz strachu malowała się też ekscytacja...

Nie był to właściwy moment, by powiedzieć właścicielce, że Hogarthowi to zapewne by się spodobało.

Dziesięć minut później Thorne i Bethell stali już na chodniku przed Garrick Club. Właścicielka dała się trochę ułagodzić, a ci z połamanymi zębami i strzaskanymi nosami zgrywali wielce skrzywdzonych i cierpiących, dopóki Thorne nie wymienił w rozmowie słówka „kokaina” i cały incydent poszedł w niepamięć, a wszelkie urazy zostały z miejsca wybaczone.

Bethell położył dłoń na ramieniu Thorne'a. - Bardzo dziękuję za pomoc, panie Thorne. Świetnie się pan spisał, dopieprzając tym facetom.

Thorne czuł, że zaczyna go boleć głowa. - Nie zrobiłem tego dla ciebie.

Wyciągnął rękę, by zatrzymać taksówkę.

I to wcale nie im chciałem dopieprzyć...

Odczekali, aż chłopak Alison wyjdzie, zanim wtoczyli tablicę. Bishop pomyślał, że Anne robi się trochę nadwrażliwa. Ale przecież informowała go na bieżąco o postępach Alison. Nie obawiał się, że dziewczyna nagle usiądzie i zacznie śpiewać.

Anne chciała po prostu trochę odczekać, zanim włączy w to Tima. Chciała go sprowadzić, jeżeli wszystko pójdzie pomyślnie. Przecież i tak będzie musiał pracować z Alison. Ona zaś musiała wiedzieć, czy główne założenia są właściwe. Kiedy już cały ten kram ruszy, kiedy opanują podstawy, stanie się to dla nich nieomal drugą naturą. Odnosiła wrażenie, że niewłaściwe zrozumienie znaczenia jej odpowiedzi da mu wypaczony obraz stanu Alison.

Pomyśli, że ją utracił, jeżeli już tak nie pomyślał.

Pielęgniarz wtoczył tablicę na skrzypiących kołach do pokoju i ustawił w nogach łóżka. Anne, choć optymistka, zdawała sobie sprawę z ogromu zadań, jakie ją czekały. Alison miała dwadzieścia cztery lata. To był jej pierwszy dzień w przedszkolu.

- Ciekawe, co by pomyśleli moi pacjenci, gdybym zaproponował im uspienie za pomocą zwykłego młotka. - Bishop, sącząc kawę, wpatrywał się w tablicę.

Anne milczała. Nie było to dzieło sztuki, ale na tym etapie powinno wystarczyć. Zdjęła kitel i nałożyła okulary. Sięgnęła po pilota przyzcpionego u wezgowia łóżka i nacisnęła guzik. Przy wtórze głośnego, głębokiego szumu łóżko zaczęło się poruszać, a Alison została podniesiona do pozycji siedzącej.

- Alison, jest dziś tu ze mną doktor Bishop. Może go pamiętasz. Zajął się tobą tamtej nocy, kiedy przyjęliśmy cię na oddział. - Odwróciła

się, by spojrzeć na Bishopa. Patrzył na rzędy liter napisanych kredą.

Anne podeszła do łóżka i ujęła dłoń Alison. - Dobrze, sprawdzimy, czy możemy trochę to przyspieszyć. Czy widzisz tablicę?

Prawa powieka Alison natychmiast drgnęła. Opuściła ją do połowy i podniosła. I po pięciu sekundach mrugnęła. Anne ścisnęła ją za rękę.

- Świetnie. Dwa rzędy liter, od A do Z, a u dołu jeszcze materiały uzupełniające. Później będziemy mogły rozszerzyć listę, gdy już nabiorę w tym wprawę, ale jak na razie pozostaniemy przy rzeczach podstawowych. „Zmęczona”, „boli”, „głodna”, „pić”, „niedobrze”. Obawiam się, że będziesz musiała wytrzymać ze mną, aż przyzwyczaimy się do szybkości twoich odpowiedzi. Wiem, że to z początku może być frustrujące, ale moim zdaniem warto. Zgoda, Alison?

Na czole Alison pojawiła się żyłka. Dziesięć sekund. Mrugnięcie.

Anne podeszła do łóżka z drugiej strony i zaciągnęła zasłony. - Świetnie, dopilnujemy, aby było ci jak najwygodniej. Możesz wyłączyć światło, Jeremy?

Bishop podszedł do drzwi i zgasił światło. Pokój pograżył się w półmroku. Anne wyjęła z kieszeni coś, co wyglądało jak wieczne pióro, i podeszła do tablicy.

- Świetnie, Alison, to jest wskaźnik laserowy. Dzięki temu powinno ci być łatwiej określać odpowiednie litery, a ja nie będę się czuła jak wykładowczyni w akademii wojskowej. Zaczniemy od dołu, upewnijmy się, czy dobrze się czujesz. - Przesunęła wskaźnik tak, że świetlny punkt znalazł się poniżej słowa „boli”. - Odpuść sobie „nie”, jeśli chcesz zaprzeczyć. Mów tylko „tak” na potwierdzenie.

Anne powoli przesunęła wskaźnikiem wzdłuż dolnego ciągu wyrazów, podświetlając każdy z nich przez blisko minutę. Z przejściem patrzyła na Alison. Słyszała dochodzące z zewnątrz odgłosy ruchu ulicznego. Zero reakcji. Spojrzała na Bishopa. Pokiwał głową.

- No dobrze, spróbujmy, jak nam to wyjdzie. - Zaczęła poruszać wskaźnikiem.

Bishop wyjął nieduży bloczek z górnej kieszeni i czekał z ołówkiem w dłoni. Anne prawie przez minutę podświetlała promieniem lasera każdą literę, ale po pierwszych pięciu czy sześciu przyspieszyła. P.. Q... R... S

Mrugnięcie.

Anne prawie się uśmiechnęła. - S. Dobra.

Dotarła do końca alfabetu bez dalszej reakcji.

Bishop chrząknął. - Szkoda, że nie ma zbyt wielu słów układających się w porządku alfabetycznym, Jimmy

Anne odwróciła się do niego, promień wskaźnika przez chwilę przesunął się po jego torsie jak laserowy celownik karabinu snajperskiego. Zapisywał coś w notesie. - Adept...

- Adept czego? - warknęła gniewnie.

- „Adept” jest jednym z nich. Jednym ze słów, którego litery są ułożone w porządku alfabetycznym. Podobnie jak „gruz” albo „bory”. „Aegilops” jest najdłuższym ze słów i oznacza owrzodzenie części oka, choć nie spodziewałbym się, aby zechciała wymienić akurat to. - Uśmiechnął się. - Chyba wracamy do punktu wyjścia. I znów od początku.

Anne zrobiło się głupio, że nie wzięła tego pod uwagę. Może istniał skuteczniejszy sposób podawania liter. Popracuje nad tym później. Po sekundzie dopisała jeszcze K i R.

Anne próbowała pomóc dziewczynie. - Skrót? Alison... skrót?

Alison mrugnęła. Anne zaczęła chwilę. Alison mrugnęła. Znów od początku.

Przy trzeciej próbie Alison mrugnęła, kiedy laserowy wskaźnik dotarł do M. Anne przeniosła wzrok na Bishopa, który pisał zawzięcie w notesie. Wstał, uśmiechając się, i podszedł w stronę łóżka. - Myślę, że jest ciut nadgorliwa. Mruga zawczasu na pewne litery, aby ich nie przeoczyć.

Anne spojrzała na niego. W jej głosie słychać było nutę zniecierpliwienia. - No i?

- Jeżeli S to T, a mamy jeszcze którąś z liter przed M...

Anne zamyśliła się przez chwilę, zrozumiała i zapłonila się. Bishop uśmiechnął się do niej znacząco. - Pyta, co z naszym przyjacielem inspektorem. Na twoim miejscu dopisałbym jeszcze na tablicy znak zapytania.

Staął u wezglowia łózka. Spojrzał na Alison. - Mogłabyś dorysować tu gdzieś uśmiechniętą buźkę. W tym oku wyraźnie tli się filuterna iskierka.

Anne z pewną irytacją sięgnęła po kredę. Może nie powinna była zapraszać tu dziś Jeremyego. Potrzebowała kolegi, który był równocześnie jej przyjacielem i mógłby ją wesprzeć, on zaś zgodził się bez chwili zastanowienia, jednak potrafił być wyjątkowo uszczypliwy. Zaczęła pisać na tablicy. - Cieszę się, że ten czas poświęcony krzyżówkom w „Timesie” nie okazał się stracony, Jeremy...

Bishop nie słuchał. Nachylił się do Alison. - Pamiętasz mnie, Alison?

Mrugnięcie.

- Z tamtej nocy, kiedy cię tu przyjęto?

Nic. A potem mrugnięcie.

Bishop pokiwał głową. Głos miał cichy, kojący - To dobrze. A to, co było wcześniej, Alison? Pamiętasz coś z tego, co było wcześniej?

Mrugnięcie.

Anne odwróciła się od tablicy.

Jeszcze jedno.

Bishop ponownie podszedł do Anne, kręcąc głową. Podsunął w jej stronę notes i uśmiechnął się. Wokół pojedynczego słowa „thorne” narysował serce przebite strzałą. Anne wyrwała mu kartkę z gestem tylko częściowo udawanej irytacji i podeszła, by rozsunąć zasłony

- Pan Thorne czuje się dobrze, Alison... Szczerze mówiąc, niepokoi mnie, że tak bardzo martwisz się o moje życie prywatne.

Stanęła przy łóżku i spuściła wzrok. Alison wciąż wpatrywała się w tablicę.

- Choć nie mogłabym spodziewać się niczego innego po napalonej, niewyżytej dziewczynie, której tylko jedno w głowie!

Delikatnie dotknęła jej ramienia. Uśmiechnęła się promiennie do Alison. I tylko do niej.

Odwróciła się, by spojrzeć na Bishopa, który gapił się na tablicę, uśmiechając się pod nosem. Zrobiło jej się przykro, że tak się rozzłościła. - Chcesz później wyskoczyć coś przekąsić?

Odpowiedział, nie odwracając się. - Wybacz, Jimmy Jestem umówiony.

Podeszła do niego z pytającym spojrzeniem w oczach. - Brzmi tajemniczo.

- Bynajmniej.

- Jak chcesz. I tak później wszystko z ciebie wydobędę. A w ogóle, co cię tak śmieszy?

Bishop parsknął, wpatrując się w litery na tablicy Anne, wciąż uśmiechając się, rzuciła ostro: - No co?

- Pamiętasz tę noc w twoim mieszkaniu ze dwadzieścia parę lat temu?

- Nie...

- Wywoływanie duchów, ja, ty i David. I ta dziewczyna z Leeds, jak ona się nazywała?

- Boże, to było takie dziwaczne.

- Wcale nie. To David przesuwiał talerzyk.

Anne udała, że się wzdygnęła, ale na to wspomnienie naprawdę przeszedł ją dreszcz. Odwróciła się, by wyjaśnić tę sytuację Alison, i wskazała na tablicę. - On uważa, że ta tablica wygląda jak plansza Ouija.

Uśmiech Bishopa nieznacznie przygasł, gdy wymamrotał pod nosem: - Może nawet nią jest w pewnym sensie.

Thorne podniósł ze stołu w kuchni listę kontaktową Bekhendu i wszedł do salonu, by zadzwonić do Dave'a Hollanda. W telewizji leciał *The Bill* z wyciszonym dźwiękiem. Najlepszy sitcom sieci ITV

- Halo...

Dziewczyna Hollanda. Chryste, jak ona miała na imię?

- Cześć, czy to Sophie?
- Kto mówi?
- Tom Thorne z tej strony, pracuję z Dave'em. Jest w pobliżu?

Usłyszał stłumione dźwięki, gdy przesłoniła słuchawkę dłonią. Nie dosłyszał, co powiedziała. Kiedy Holland podszedł do telefonu, w tle ktoś przyciszył telewizor.

- Holland, mówi inspektor Thorne... lepiej za bardzo się nie spoufalać. Mam nadzieję, że nie oderwałem cię od zajęć domowych.

- Słucham.

- *The Bill*, słyszę serial w tle. Mam nadzieję, że wiesz, że to tylko film.

Holland zaśmiał się. - Owszem, choć nie wiem, czemu występuje tam ktoś bardzo podobny z charakteru do detektywa inspektora Tughana.

Ten żart był dla Thorne'a jak przełamanie lodów. A więc Holland wiedział, jak się sprawy mają. Tak się składało, że Thorne orientował się, o jakiej postaci mówił konstabl, bądź co bądź, on też oglądał ten serial. Chyba jednak nie doceniał tego młodego policjanta.

- Posłuchaj, wiesz zapewne, że wróciłem do Hendon, ale mimo to wciąż będę zainteresowany dalszym rozwojem i przebiegiem śledztwa. Nawiasem mówiąc, kto wszedł na moje miejsce?

- Roger Brewer. Szkot. Chyba całkiem miły gość.

Thorne nigdy o nim nie słyszał. Może to i dobrze. - No to sam wiesz, gdyby tylko w śledztwie coś drgnęło...

- Natychmiast dam panu znać.

- Informuj mnie o wszystkim, Holland. Nawet o z pozoru nieistotnych drobiazgach, bardzo proszę.

Rachel spojrzała na zegarek. Spóźniał się jak dotąd tylko pięć minut, ale chciała zobaczyć zapowiedzi filmów. Pomyślała o świrze, który siedział za nią w autobusie od Muswell Hill, i postanowiła, że wróci do domu taksówką. Sięgnęła do portmonetki. Gdyby zapłaciła za swój bilet, musiałaby poprosić go, aby pożyczył jej na powrót.

Mama byłaby zadowolona, gdyby jednak wróciła taksówką, choć pewnie zastanawiałaby się, dlaczego tato Claire nie podwiózł jej samochodem. Zwykle to robił, gdy zostawała u nich do wieczora. Może powie, że samochód mu się zepsuł. Ale mogłaby zobaczyć go gdzieś na ulicy. Albo zadzwonić do matki Claire. W rozmowie wszystko by się wydało. Uznała, że najlepiej będzie, jeśli poprosi taksówkarza, by zatrzymał się w pewnej odległości od domu. Lepiej nie przesadzać z kłamstwami. Nie umiała zbyt dobrze kłamać, a poza tym nie lubiła oszukiwać mamy. Musiała jedynie modlić się, by jej mama w ciągu najbliższych kilku dni nie natknęła się na Claire.

Zaczęło jej być zimno. Zapięła jeszcze jeden guzik dzinsowej kurtki i skierowała wzrok w stronę rogu ulicy, nakazując mu w myślach, żeby się wreszcie pojawił.

Tak naprawdę, jeżeli chodzi o niego, wcale nie kłamała. Tyle tylko że nikomu o nim nie powiedziała. Znowu byłaby awantura i to o wiele gorsza niż poprzednia.

Problem stanowiły egzaminy poprawkowe, do których nie chciała podejść. To nie w porządku, że w tym samym czasie, gdy poznajesz kogoś, na kim wreszcie zaczyna ci zależeć, musisz zdawać jakieś nikomu niepotrzebne egzaminy.

Czy to, co ich łączyło, było poważne? Takie odnosiła wrażenie. Jeszcze ze sobą nie spali, ale nie dlatego, że nie chciała. To była jego decyzja. Z niczym się nie spieszył. Chyba czekał na właściwy moment. Był miły i wrażliwy, bo najwyraźniej miał to już za sobą, a ona nie, i nie chciał jej naciskać... Jeżeli tego nie chciała... Jeżeli nie była pewna...

Rachel wiedziała, że właśnie to w wypadku jej matki stanowiłoby największy problem. To, że był doświadczony. Matka dostałaby chyba apopleksji...

Przeczesała palcami włosy, gdy ujrzała, jak wyłania się zza rogu. Pomachał do niej i przyspieszył kroku. Prawie biegł. Był taki wysportowany i silny. W doskonałej kondycji. Claire pozieleniałaby z zazdrości. Ale mama nie pozostawiała jej wyboru.

Bądź co bądź, był przecież dużo starszy od niej.

Tablica. To jakieś kpiny! Któregoś dnia Anne przyniosła broszurę na temat komputerów zaprojektowanych i wyprodukowanych w Ameryce, które możesz obsługiwać ruchem powieki czy jakoś tak. Te urządzenia dosłownie i w przenośni są w stanie powiedzieć, o czym myślisz, jak te maszyny przyszłości w filmach SE Mam komórkę, która przewiduje, jaką literę chcesz wpisać przy układaniu SMS-a. To cholernie przydatne, zwłaszcza gdy ktoś tak jak ja ma kłopoty z literowaniem słów; kosztowała mnie, o ile dobrze pamiętam, 29,99 funtów. A tu przynoszą mi cholerną tablicę. Wszyscy narzekają na cięcia budżetowe w służbie zdrowia, ale to naprawdę wkurzające, nieprawdaż?

Poza tym sądziłam, że może wymyślą jakiś sposób, abym mogła czytać albo oglądać telewizję. Nic wyrafinowanego, raptem kilka luster i coś do tego, żebyśmy nie musiały leżeć cały dzień, gapiąc się w popękany kawałek tynku, który lada chwila odpadnie od brudnego szarego sufitu. Cóż, chyba jednak nie mam na co liczyć. Wszystkie te urządzenia zapewne też funkcjonują na słowo honoru. Z tej wielkiej maszyny po lewej dobiegają dziwne, dość podejrzanе odgłosy. Mam nadzieję, że pielęgniarki dostają dostatecznie dużo drobniaków, aby, kiedy trzeba, wrzucać je do maszyny. Nie chciałabym przekreślić się którejś nocy tylko dlatego, że komuś zabrakło pięćdziesięciopensówki.

Wiem, że to nie jest wina Anne, i mam świadomość, że wy też nie zastanawiacie się nad tym, dopóki sami nie zostaniecie podłączeni do płataniny rozmaitych kabli i rurek. Ale mimo wszystko...

Byłam zła na siebie, jeżeli chodzi o tę aferę z alfabetem. Musimy opracować taki system, abym mogła informować Anne, że ma się cofnąć, zamiast przesuwać się do przodu. W przeciwnym razie wszystko to będzie ciągnęło się w nieskończoność. Jestem pewna, że ona coś wykombinuje.

Ten lekarz, co z nią był, nie jest w ciemni bity. Od razu zorientował się, że mrugam za szybko. Musiałam jednak spróbować. Gdybym zaczęła i nie zdążyła mrugnąć na czas, litera, na którą czekałam, przepadłaby, a cały ten eksperyment

zakończyłby się klapą. Nie chciałabym usłyszeć, że przeliterowałam słowo „chemia” po czesku, czy coś w tym rodzaju.

Chyba powinnam być wdzięczna temu lekarzowi, jeżeli to on się mną zajął, kiedy tu trafiłam. Pamiętam jego twarz nad sobą, kiedy na mnie patrzył. Pamiętam, jak mówił do mnie, abym się obudziła, ale ja po prostu odpłynęłam. Wcześniej pamiętam tylko drobne urywki i niepowiązane ze sobą obrazy. Czyjś głos. Nie konkretne słowa. Jeszcze nie. Tylko dźwięki. Łagodne i delikatne jak głos doktora Bishopa.

A ja się martwiłam, że od częstego używania komórki nabawię się raka...

10.

Thorne wysiadł z pociągu przy Clapham Junction. Wyszedł z dworca, spojrzął na plan miasta i ruszył w górę Lavender Hill. Dom znajdował się dziesięć minut drogi na piechotę. Po pięciu kompletnie się pogubił. To, że niósł aktówkę, wcale mu nie pomogło.

Choć aktówka była pusta.

Spędził dziś rano równo godzinę w Beck House, nie słuchając, gdy Brigstocke próbował pokrótce wdroyć go w bieżące sprawy, śledztwa dotyczące gwałtów i brutalnych napadów. Odnalazł adres strażnika, któremu należało zadać kilka pytań, i skierował się na dworzec Hendon Central. Musiał znaleźć czas na przesłuchanie, zanim uda się na Queen Square. Cóż, zwiedzi dziś spory kawałek Londynu.

Tej części miasta nie znał za dobrze, ale tylko ślepiec nie zorientowałby się, że mieszkali tu ludzie zamożni. Winiarnie na każdym rogu, delikatesy, restauracje i, rzecz jasna, więcej handlarzy nieruchomości, niż przewiduje ustawa. Z ciekawości przystanął na chwilę, by zajrzeć przez szybę. Tłuste indywiduum o paskudnej cerze i ze sterzczącymi włosami uśmiechnęło się do niego zza komputera. Thorne odwrócił wzrok i zdołał jeszcze wychwycić kilka szczegółów z obrotowej reklamy w oknie wystawowym. Kentish Town nie było tanie, ale mógł tam nabyć dom z dwiema sypialniami i ogródkiem za cenę marnej toalety w snobistycznym Battersea.

Wyrównał oddech i zaczął piąć się pod górę. Znów dostał zadyszki, kiedy zadzwonił jego telefon. Piskliwego głosu nie sposób było pomylić. - Mówi Bethell, panie Thorne.

- Wiem. Już je masz?

- Och... rozpoznał pan mój głos? - Bethell zaśmiał się.

Thorne musiał odsunąć telefon od ucha. Zapewne połowa psów w tej okolicy pędziła już w jego stronę.

- Jak poszło, Kodak?

- Zawsze mogłoby być lepiej.

Pieprzony kretyn. Powinien wziąć aparat i zrobić to samemu.

- Posłuchaj, Bethell...

- Bez obawy, panie Thorne, mam zdjęcia. I to niezłe. Stał na schodach z workiem na śmieci i coś tam gadał. Co w ogóle robi ten facet? To jakiś biznesmen?

- Dlaczego mogło być lepiej? - Bethell milczał. - Mówiłeś, że mogło być lepiej.

Usłyszał, jak Bethell zaciąga się dymem z papierosa.

- Ee, to nic takiego, z czym nie mógłbym sobie poradzić. Kiedy ten facet już wrócił do środka, przed dom podjechał drugi, wysiadł z auta, rozejrzał się i... nie wiem, może promień słońca odbił się w obiektywie, ale tak czy owak, zobaczył mnie.

- Jak wyglądał?

- Bo ja wiem, wysoki, po dwudziestce. Typ studencika, no wie pan, intelektualisty.

Syn. Pewnie wpadł, by pożyczyć kilka funtów, jeżeli to, co mówiła Anne, było prawdą.

- Co powiedział?

- Przerzywa mi pan, panie Thorne...

- Co powiedział?

- No wie pan, zapytał, co robię. Odparłem, że pracuję nad portfolio pospolitych ptaków miejskich, i tak długo się na niego gapilem, aż sobie poszedł. Nic się nie stało. Jemu też pstryknąłem kilka fotek na odchodne.

Thorne uśmiechnął się. Wybrał odpowiedniego faceta do tej roboty.

- Na kiedy będę je miał?

- Właśnie się suszą. Za kilka godzin? Doskonale.

- Świetnie. W Kubie Krwi o pierwszej. - Czy to dobry pomysł?

Bethell miał rację. Thorne wątpił, aby powitano go tam życzliwie.

- W takim razie na ulicy, przy wejściu do knajpy. Postaraj się z nikim nie rozmawiać.

- Będę tam, panie Thorne.

- Kodak, jesteś lepszy niż Boots.

Zadzwoił do Royal London i dowiedział się, że Bishop nadal miewał nocne dyżury we wtorki. Zjawi się dopiero w porze lunchu. Przy odrobinie szczęścia Thorne powinien go zastać w domu. Wyglądał na wypoczętego, kiedy podszedł do drzwi ubrany w, sądząc z wyglądu, drogi cytrynowy sweter i uśmiechał się triumfalnie.

- O, pan inspektor. Czemu zawdzięczam tę wizytę?

Thorne zauważył, że tamten spogląda ponad jego ramieniem, poszukując drugiego policjanta albo wozu służbowego.

- Akurat byłem w pobliżu i pomyślałem, że wpadnę.

- Jak głowa? - Bishop był rozluźniony, wsunął dłonie do kieszeni.

A więc utną sobie miłą pogawędkę w pogru. Świetnie.

- Już znacznie lepiej, dziękuję. Dobrze, że mam naprawdę twardy łeb.

Bishop oparł się plecami o frontowe drzwi. Thorne widział kuchnię w oddali, ale wciąż nikt oficjalnie nie zaprosił go do środka.

- Tak, odniosłem takie wrażenie tamtego wieczoru u Jimmy. Ubawiłem się setnie, mam nadzieję, że nie poczuł się pan urażony moją uszczypliwością.

- Nic się nie stało.

- Czasami nie mogę się powstrzymać. Uwielbiam potyczki słowne.

- Dopóki od słów nie przechodzi się do rękoczynów.

Bishop zaśmiał się. Nie miał ani jednej plomy.

Thorne przełożył aktówkę do drugiej ręki. - Ja też nieźle się bawiłem i dlatego pomyślałem, że będę natrętny i poproszę, by wyświadczył mi pan olbrzymią przysługę.

Bishop spojrział na niego wyczekująco.

- Miałem spotkać się z kimś tu, za rogiem, nawiasem mówiąc, w związku z całkiem inną sprawą, ale mój konstabl musiał natychmiast wracać, bo okazało się, że jego dziewczyna miała jakiś wypadek...

- Czy to coś poważnego?

- Chyba nie, przytrzymała sobie rękę drzwiami, czy coś takiego, ale faktem jest, że ugrzęzłem w tej okolicy na amen. Muszę jeszcze z kimś porozmawiać, a tu robi się późno, pan akurat mieszka tuż za rogiem, a skoro już się znamy i nawet jedliśmy razem kolację...

Bishop postąpił naprzód, mijając Thorne'a, schylił się i zaczął zdejmować brązowe liście z dużej donicy przy podjeździe. - Słucham.

- Podwiezie mnie pan na dworzec?

Bishop uniósł wzrok i patrzył na niego przez kilka sekund. Thorne wyczuł, że tamten przejrzał jego kłamstwo i chciał zrozumieć, o co mu naprawdę chodziło. Próbował sprawdzić, czy wyraz jego twarzy także był fałszywy. Zdziwiłby się, gdyby było inaczej. Thorne przerwał kontakt wzrokowy i przeniósł spojrzenie na usychające kwiaty - Wygląda na to, że jeszcze parę tygodni temu prezentowały się przepięknie.

- W przyszłym roku zasadzę chyba coś z wiecznie zielonych krzewów. Może kosodrzewinę i bluszcz. - Zmiał zeschnięte liście w dłoni. - Właśnie wybieram się do miasta. Czy to panu odpowiada?

- Tak. Jasne, że tak. Wielkie dzięki.

- Wezmę tylko kluczyki i moje rzeczy. Niech pan wejdzie na chwilę. - Thorne wszedł za Bishopem do domu i stanął w holu. Bishop zawołał go z kuchni. - Wczoraj kręcił się tu jakiś fotograf. Cholerne sępy. Zastanawiałem się, czy wie pan może coś na ten temat.

A więc syn najprawdopodobniej opowiedział mu o Bethellu czającym się gdzieś przy domu.

- Pewnie to typek z jakiegoś szmatławca. Jest ich coraz więcej, odkąd w telewizji puścili rekonstrukcję napaści na Helen Doyle. Widział pan to?

- Nie. - Czy Thorne wychwycił w głosie tamtego lekkie zawahanie? - Nie wiedziałem, że powiązali tę sprawę z atakiem na Alison Willetts.

Nie powiązali.

- Nie, ale ktoś mógł przekazać pismakom listę osób, z którymi rozmawialiśmy. Przykro mi, ale takie rzeczy się zdarzają. Zajmę się tym, jeśli pan chce.

Bishop wszedł do holu, wkładając sportową wiatrówkę. Sięgnął po kluczyki leżące na stoliku opodal. - Nie chciałbym zobaczyć mojego zdjęcia na pierwszej stronie „The Sun”. - Otworzył frontowe drzwi i wypuścił Thorne’a. - Rozumie pan - zamknął za nim drzwi i położył dłoń na ramieniu Thorne’a, gdy szli w stronę auta - dyskretne zdjęcie na trzeciej stronie „Daily Telegraph” to zupełnie co innego. Mogłoby zrobić wrażenie na kilku młodzieńskich pielęgniarceczkach.

Bishop wsiadł do auta, a Thorne podszedł do drzwi od strony pasażera. Nagle przystanął i uniósł w dłoni aktówkę. - Mogę ją wrzucić do bagażnika? - Zauważył, że Bishop zerknął w lusterko wsteczne i uśmiechnął się na dźwięk otwieranego bagażnika.

Kiedy volvo jechało wzdłuż Albert Embankment, Bishop wrzucił kompakt do odtwarzacza. System głośników był o niebo lepszy niż w fordzie mondeo Thorne’a. Niektórzy zapewne uznaliby, że dzięki temu muzyka country brzmiała lepiej. Bishop spojrzął na niego z ukosa. - Nie przepada pan za muzyką klasyczną?

- Nie bardzo. Ale to jest niezłe. Co to?

- Mahler. *Kindertotenlieder*.

Thorne czekał na przekład, lecz ten nie nastąpił. Wnętrze wozu było nieskazitelnie czyste. Wciąż jeszcze pachniało nowością. Kiedy zatrzymali się przed światłami, Bishop zaczął stukać dłonią opartą na drewnianej gałce zmiany biegów; jego obręczka pobrzękiwała w zetknięciu z drewnem orzechowym.

- Zna pan Anne od dawna?

- Boże, chyba od zawsze. Jeszcze na studiach tułaliśmy się po stancjach. Ja, Anne i David. - Zaśmiał się. - Aż dziw bierze, że trafiliśmy do szpitala, a nie do przytułku. Ale taki już nasz tułaczy los.

- Wspominała mi o pańskiej żonie. Wyrazy współczucia.

Bishop skinął głową, zerkając w boczne lusterko, choć nikt za nimi nie jechał.

- Nie do wiary, że czas tak szybko leci. W przyszłym miesiącu będzie dziesięć lat.

- Ja straciłem matkę półtora roku temu.

Bishop pokiwał głową. - Ale to nie była pańska wina, prawda?

Thorne zacisnął zęby - Słucham?

- Wypadek zdarzył się z mojej winy. Byłem pijany.

Anne o tym nie wspominała. Thorne patrzył na niego.

- Bez obawy, inspektorze. To nie ja prowadziłem, nie ma podstaw do ponownego otwarcia dochodzenia. Ale Sarah była zmęczona i to ona siadła za kółkiem, ponieważ ja wypilem o jeden kieliszek za dużo. Obawiam się, że będę musiał z tym żyć już do końca.

Musimy żyć z różnymi rzeczami.

- Musiało być panu ciężko wychowywać samotnie dwoje dzieci. Nie były jeszcze dorosłe.

- Rebecca miała szesnaście lat, a James czternaście i przyznaję, że to był istny koszmar. Dzięki Bogu, już wtedy wiodło mi się całkiem nieźle.

Dał ostro po hamulcach, gdy samochód przed nimi stanął gwałtownie na czerwonym świetle. Thorne drgnął na fotelu. Bishop spojrział na niego z dziwnym wyrazem twarzy. - Miała całkiem zmiądzoną klatkę piersiową.

Siedzieli w milczeniu, oczekując na zmianę świateł.

Czemu miałbym cię żalować?

- Wczoraj widziałem się z Alison. Anne testowała sprzęt do komunikowania się. Na pewno wszystko panu opowie...

Gawędząc, przejechali przez most Waterloo i wjechali do West Endu. Bishop, sporo ryzykując, zatrzymał wóz przy Long Acre, aby Thorne mógł wysiąść. - Może być tutaj?

- Doskonale. Jeszcze raz dziękuję.

- Nie ma sprawy. Jestem pewien, że już wkrótce znowu się zobaczymy

Thorne trzasnął drzwiczkami. Elektrycznie opuszczana szyba bezgłośnie zjechała w dół.

- Niech pan nie zapomni aktówki...

Jechał wolno przez Covent Garden do Holborn, po czym zawrócił do Soho. Krążył małymi uliczkami, przy których stały nowo otwarte sklepiki; ich wnętrza z chromowanymi meblami były skąpane w blasku niebieskiego światła. W światku filmowym coś takiego określano chyba mianem „poszukiwania plenerów”. Liczył na znalezienie kolejnej. Było ich tak wiele, a wyboru łatwiej mu się dokonywało po zmierzchu, na razie zatem tylko starał się wyczuć okolicę. Wzmocnił uścisk dłoni na kierownicy. Wciąż nie był pewien, w co grał Thorne. Tak bardzo wszystko mu ułatwiał, a nie otrzymywał spodziewanych rezultatów.

Nieudolność była czymś, czego nie brał pod uwagę. Choć powinien. Przez większość czasu wiedział, co się dzieje, i tylko opanowanie, jakie wtedy czuł, nie pozwoliło mu pokierować biegu zdarzeń ku właściwemu zakończeniu, jedynemu z możliwych. Mimo to zdarzały mu się chwile zwątpienia. A potem pojawiała się przecucie, jakby tuż za rogiem czaiło się nieoczekiwane, powodując niekontrolowany chaos. A on nie lubił niespodzianek.

I to od lat.

Zamierzał zachować z grubsza ten sam wzorzec, ale wprowadzić też pewne zmiany. Puby okazały się strzałem w dziesiątkę, podobnie jak dyskoteki w południowym Londynie, on jednak postanowił zmienić rodzaj obiektów. Postawi na kogoś lepiej sytuowanego. Lakierowane drewno, polerowaną stal, gdzie poziom decybeli prawie całkiem uniemożliwia prowadzenie rozmów. Zajmie się młodymi, naćpanymi po uszy prochami popijanymi alkoholem. Sami odwalą za niego połowę roboty. On będzie musiał jedynie jeździć za nocnymi autobusami... Tak, najprawdopodobniej następna będzie bardzo młoda. Młodsza niż Helen. I będzie mieć więcej szczęścia. Sukces będzie oznaczał uwolnienie od długich lat ciągłej walki i rozmaitych problemów. Z tą mu się uda, tak jak z Alison. O ile jej serce będzie

dostatecznie silne, nawet na pograniczu śmierci, by pompować krew po całym ciele, ktoś się nią zajmie. Rozejrzał się dokoła, spojrzął na innych kierowców tonących w swoich autach, przechodniów dławiących się czymś i konających, na sprzedawców duszących się powoli. Każdy z nich dzień po dniu z wolna umierał. Nie mógł pomóc im wszystkim, ale jednej już wkrótce da szansę, aby powalczyła.

Może wówczas Thorne zacznie robić to, co do niego należy.

Pocałunek, kiedy Anne otworzyła drzwi do swojego gabinetu, był co najmniej niezręczny. Uśmiechy zaś za szczere i nieprofesjonalne. Oboje pragnęli więcej. Musieli jednak poczekać.

Tablica stała pod ścianą. Thorne postąpił krok w jej stronę. - To ma być ten przyrząd do komunikowania się, o którym mówił Jeremy?

Wyglądała na oszołomioną. - Widziałeś się z nim?

Wzruszył ramionami. - Podwiózł mnie dziś rano do miasta.

A teraz dzięki temu miał parę drobiazgów w aktówce.

- Och. - Podeszła i odruchowo starła kilka najbardziej nabazgranych napisów na tablicy. Teraz pod rzędami liter znajdowały się również dwie strzałki, jedna skierowana do przodu, druga do tyłu.

- Mam nadzieję, że to... rozwojowe.

Żałował, że nie spróbował bardziej się do niej zbliżyć tamtej nocy, po kolacji. Z wielu powodów. Teraz sprawy miały się inaczej.

- Poprosiłem jednego z chłopaków w pracy, aby przejrzeni dla mnie internet - powiedział. - Jest wiele różnych... urządzeń.

Uśmiechnęła się. - O, tak. Gdyby Alison odzyskała choćby szczątkową zdolność poruszania się, mogłaby korzystać z wysoce wyspecjalizowanych wózków inwalidzkich. Nawet w obecnym stanie mogłaby używać systemu Eyegaze, który odczytuje najdrobniejsze ruchy powiek. Mogłaby manipulować myszką i pisać na komputerze z pomocą specjalnego programu - wokalizera. Mogłaby mówić. Mogłaby kontrolować dosłownie wszystko w swoim najbliższym otoczeniu.

- Przypuszczam, że to wszystko jest piekielnie drogie.

- Uwierz mi, mam szczęście, że udało mi się zdobyć tę tablicę. Napijesz się kawy?

Thorne chciał czegoś więcej niż kawy. Chciał rzucić ją na biurko i wziąć brutalnie na blacie. Chciał, by pchnęła go, rzuciła na wznak, rozrzucając dokoła wszystkie papiery. Chciał rozpiąć rozporek i patrzeć, jak podchodzi do niego z lubieżnym uśmiechem, zadzierając spódnice...

- Bardzo chciałbym pójść i zobaczyć Alison.

- To pójdz na górę, a ja po drodze kupię dla nas kawę w stolówce. Chyba pamiętasz, gdzie to jest, prawda?

W pokoju nie było aż tylu urządzeń co ostatnim razem, kiedy był tutaj. Wciąż odnosił wrażenie, jakby zjechał do piwnic i trafił do pomieszczenia generatora, ale sprzętów stało tu znacznie mniej. Alison nie była już tak przytłoczona. Pojawiły się świeże kwiaty - od jej chłopaka, jak przypuszczał. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie poznał jeszcze Tima Hinnegana. Nie miał pojęcia, jak tamten wyglądał, z czego żył. Zapyta o to Hollanda.

Chrzanić to. Zapyta Alison. Kiedy będzie miał trochę czasu.

Musiał się odlać i pozwolił sobie skorzystać z łazienki przy pokoju Alison. Niski metalowy sedes, umywalka, kosz na śmieci. Uchwyty zamocowane na różnej wysokości i pod różnymi kątami na żółtych ścianach. Spuścił wodę i opryskał sobie twarz zimną wodą.

Thorne usiadł na krześle przy samym łóżku i spojrział na nią. Oczy miała szeroko otwarte, prawa powieka drgała nerwowo. Ruch był ledwie zauważalny, ale ciągły. Wydawało mu się, że w tym niewzruszonym spojrzeniu czało się wyzwanie. Zdawał sobie sprawę, że to tylko wymysł jego wyobraźni, ale i tak zrobiło mu się głupio. Jak długo można wytrzymać z kimś pojedynkę wzrokowy? Nawet z kimś, kto jest ci szczególnie bliski? Kilka sekund? Alison mogłaby patrzeć mu w oczy w nieskończoność. A przynajmniej tak długo, jak byłby to w stanie wytrzymać. Czyli, jak stwierdził nie bez zażenowania, niezbyt długo.

Ujął ją za rękę i przycisnął do koca. Gdyby uniósł jej rękę, mogłoby to wyglądać, jakby chciał zyskać nad nią przewagę.

- Cześć, Alison. To ja, inspektor Thorne. - Zaczerwienił się, przypominając sobie, że patrzyła na niego prawie minutę. Zaczął się pocić.

Przysunął się z krzesłem bliżej łóżka i ścisnął ją za rękę. - Chyba masz po dziurki w nosie takich kretynów jak ja.

Alison mrugnęła. Powieka opadała wolno, prawie w normalnym tempie, ale Thorne wyczuł w tej odpowiedzi wyraźne rozbawienie. Wydawało mu się, że przez moment poczuł lekkie drżenie jej palców, i spojrzał jej w oczy, szukając w nich potwierdzenia. Bez skutku. Ilu jej przyjaciół siedziało na tym miejscu, czując dokładnie to samo? Ilu wołało pielęgniarkę i wracało potem do domu z nosem na kwintę?

On tymczasem nieco się rozluźnił. Ciche buczenie maszyn było kojące i usypiające. Miał wrażenie, jakby sobie wypił. Czekala go miła rozmowa. Wiedział jednak, że lada chwila zjawi się Anne z kawą, a jednego pytania nie mógł zadać w jej obecności. Trudno mu było puścić drobną, ciepłą dłoń, ale musiał otworzyć aktówkę. Z usztywnionej szarej koperty wyjął czarno-białe zdjęcie o wymiarach 20 na 25 centymetrów i położył obok siebie, zastanawiając się, jak najlepiej sformułować nurtujące go pytanie.

Rozpozna Bishopa, to pewne. Przecież był z Anne w tym pokoju już dzień wcześniej, prawda? Nie chodziło mu tylko o to, czy go rozpozna. Miał nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej. Wyczuć coś więcej. Rozpoznanie sugerujące coś znacznie mroczniejszego.

Wiedział, że nic, co się wydarzy w tym pokoju, nigdy nie zostanie uznane za dowód w sądzie. Instynktownie wiedział również, że nie mógł zapytać jej wprost, czy to twarz mężczyzny, który ją tak urządził. Chryste, ależ wydawała się krucha i wiotka. Prawie na pewno była zakłopotana, zdezorientowana i zagubiona. Musiał działać powoli i taktownie.

I choć bardzo pragnął poznać tę odpowiedź, nie chciał jej zranić.

- Alison, pokażę ci pewne zdjęcie. - Uniósł fotografię w dłoni. Milczał przez chwilę. Słyszał tylko jednostajny szum maszyn. - Widziałaś już wcześniej tego mężczyznę?

Przez cały czas patrzył jej prosto w oczy.
Mrugnęła.
Zadzwonił telefon.

Anne nie chciała, aby kawa wystygła, skróciła więc rozmowę z administratorem do minimum. Zdybał ją w stołówce i nawet ten krótki monolog, jakim ją poczęstował, był nudny jak flaki z olejem i ciężki do strawienia. Ten patologicznie nużący osobnik, gdyby znalazł się kiedyś w roli gościa w szpitalu, podczas jednej wizyty mógłby sprawić, że pacjenci w śpiączce cofnęliby się w swoich terapiach o kilka dekad. Uśmiechnęła się i pokiwała głową. Bóg jeden wie, czemu akurat przytaknęła.

Teraz, idąc w stronę pokoju Alison, zastanawiała się, czy Thorne czuł to samo co ona - jakby szła na dziwną randkę przy kawie z Alison w roli przyzwoitki.

To miło z jego strony, że zechciał sprawdzić w internecie, jak leczono takie trudne przypadki. Będzie musiała sama poszperać w sieci; oczywiście była w tym obeznaną, słyszała o nowinkach technologicznych ułatwiających życie ludziom sparaliżowanym, a przynajmniej tym, którzy byli odpowiednio zamożni. W obecnej sytuacji coraz szybszego rozwoju tego typu wynalazków dzięki internetowi łatwiej zorientuje się w sytuacji, niż gdyby chciała przeglądać bieżącą literaturę medyczną.

Nie miała pojęcia, czy Thorne był dobry w tym, co robił. Na pewno był troskliwy i angażował się w prowadzenie sprawy. Choć to nie zawsze było właściwe. Wiedziała, co powiedziałby na ten temat Jeremy.

Trzymając w dłoniach kubki, plecami pchnęła i otworzyła drzwi, po czym przymknęła je biodrem. Odwróciła się, by zobaczyć Thorne'a stojącego przy oknie i patrzącego w przestrzeń. Spojrzała na puste krzesło przy łóżku Alison i zrozumiała, że stało się coś niedobrego.

- Tom?

Dostrzegła napięcie malujące się na jego twarzy. Jego oblicze było trupio blade.

- Ktoś zadzwonił do mojego biura... do mojego dawnego biura,

anonimowo, ma się rozumieć.

Powoli odwrócił głowę w stronę Alison, ale Anne zorientowała się, że patrzył na przeciwną ścianę ponad jej głową. Przeniósł wzrok na twarz dziewczyny, a po sekundzie czy dwóch odwrócił się i wolno wyszedł z pokoju.

Anne postawiła kawę na stoliku przy łóżku Alison i pospieszyła za nim. Czekał za drzwiami. Gdy tylko zamknęły się za nią, postąpił krok w jej stronę i spokojnym tonem, tłumiąc w sobie wściekłość, oznajmił:

- Oskarżono mnie o molestowanie Alison.

Krzykliwy, hipnotyczny rytm muzyki pochłonął myśli Thorne a i skierował je ku mrocznym zakamarkom jego umysłu, których zwykle starał się unikać. Siedział na podłodze, opierając się plecami o sofę i przykładając do policzka chłodną puszkę piwa.

Keable próbował go uspokoić. - Nie martw się, Tom, to ewidentna bzdura. Jakiś świr poinformował, że usłyszał o tym od kogoś w szpitalu. Nikt nie traktuje tego poważnie, bądź co bądź, nie mógł usłyszeć o tym od Alison Willetts, prawda?

Nieczuły do cna, ale Thorne odetchnął z ulgą, bo z takim rozumowaniem trudno się było nie zgodzić. Oparł potylicę o brzeg sofy i wlepił wzrok w sufit.

Myślał o dotykaniu Alison.

Myślał o tym, że chciałby usłyszeć, jak błaga Jeremy Bishop.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Podniósł się powoli. Otworzył drzwi i zaraz wrócił, by usiąść na podłodze, przy sofie. Formalności były zbyteczne. Anne weszła i stanęła przy kominku. Postawiła torebkę na podłodze, zdjęła cienki płaszcz przeciwdeszczowy i przez pięć sekund rozglądała się po pokoju. Pierwsze, co zauważyła, to piwo. - Mogę?

Podeszła, wyglądając długą czarną spódnicę. Thorne podał jej puszkę jasnego pełnego z rozpieczętowanego czteropaku, który stał obok niego. - Nie znam tej marki.

- Wiem. Drogie wino i tani browar, prawdziwy sikacz. Nie pytaj mnie dłużej.

- Żebyś mógł cieszyć się pić, a przy okazji się nie ubzdrygnąć.

- Raczej nie.

Usiadła na sofie, z tyłu za nim, po prawej stronie. - Tom, ten telefon to jakiś głupi żart.

Zgniół pustą puszkę, po czym odstawił ją obok pozostałych.

- Wiem, kto to zrobił.

- To głupie, że pozwalasz, by coś takiego wytrąciło cię z równowagi.

Odwrócił się i spojrzał na nią przez ramię. - Nie. Nie wytrąciło mnie z równowagi.

Anne dostrzegła w jego oczach, że jego miła połowa, ta, która przyniosła kwiaty dla Alison, to nie wszystko. Choć trudno jej było to sobie nawet wyobrazić, nie chciała, by ten mężczyzna kiedykolwiek stał się jej wrogiem.

Upiła długi łyk i wskazała ręką na stereo. - Co tam masz?

- Leftfield. Kawalek nosi tytuł *Open Up*.

Śluchała przez chwilę. Nie spodobało się jej.

- John Lydon na wokalu - dodał Thorne, jakby to cokolwiek zmieniało.

- Jasne...

- Johnny Rotten... Sex Pistols?

- Przykro mi, ale nawet na nich jestem trochę za stara. Ile ty masz lat? Czterdzieści?

- Skończyłem czterdzieści kilka miesięcy temu. Miałem siedemnaście, kiedy wyszedł album *God Save The Queen*.

- Boże. Ja byłem na trzecim roku medycyny

- Wiem. Tułałaś się z miejsca na miejsce.

Posłała mu spojrzenie, które jego ojciec określiłby mianem staroświeckiego. - A co ty wtedy robiłeś?

Na pewno nie wybierałem się na studia, pomyślał Thorne. Choć z wielu powodów tego żałował. - Chyba postanowiłem wstąpić do policji i walczyłem z trądzikiem młodzieńczym. Bardzo chciałem zostać policjantem. Chciałem, żeby rodzice byli ze mnie dumni.

Pragnął czynić dobro i miał całe mnóstwo kretyńskich idei, które potem zostały w brutalny sposób przewartościowane.

Anne dopiła piwo, a Thorne podał jej następne. Siedzieli przez chwilę w milczeniu, wspominając lub udając, że wspominają.

- Nawiasem mówiąc, dzięki, że wpadłaś. Przyjechałaś samochodem?

- Tak. Choć ciężko było znaleźć miejsce do parkowania.

Thorne pokiwał głową.

- Ale cieszę się, że choć na chwilę wyszłam z domu. Rachel i ja coraz bardziej działamy sobie na nerwy

- Naprawdę?

- Ma egzaminy poprawkowe, a sądziła, że to wszystko już za nią. Nic dziwnego, że jest trochę... drażliwa.

Thorne przypomniał sobie pierwsze spotkanie z Anne Coburn w auli Royal Free. Najwyraźniej w tej rodzinie wszystkie kobiety były wyjątkowo drażliwe.

Anne upiła kolejny łyk piwa. Z lubością. - To tylko zwykły bunt nastolatki. Tak sądzę. Jak na razie nie zrobiła sobie jeszcze koleczyka w pępku ani nie pomalowała pokoju na czarno, ale wydaje mi się, że to tylko kwestia czasu.

- Wszystko się ułoży

- Podobnie jak sprawa z Alison.

- Nie będzie żadnego dochodzenia ani nic. Nikt nie traktuje tego poważnie.

- Z wyjątkiem ciebie.

- Może o to mu właśnie chodziło - wycedził zgorzkniałym tonem.

- Czemu więc nie chcesz o tym porozmawiać?

- Anne, nie potrzeba mi lekarza. Ani matki.

Przesunęła się na brzeg sofy i wychyliła się do przodu, spuszczać wzrok.

- Świetnie. To może chcesz pójść ze mną do łóżka?

Thorne zawsze sądził, że oplucie się sączonym w danej chwili drinkiem, gdy ktoś rzuci coś wyjątkowo zaskakującego, zdarza się wyłącznie w komediach, on jednak zdołał opryskać sobie browarem całe spodnie. Na wspomnienie jednego z sitcomów wybuchnął niekontrolowanym śmiechem.

Anne też się zaśmiała, ale przy okazji mocno się zaczerwieniła.

- Cóż... cholera... nie wiem, co powiedzieć.

- Chyba ty powiedziałaś to za mnie.

Zsunęła się z sofy i usiadła na podłodze tuż przy nim.

- To jak?

- Zalałem sobie piwem z Tesco całe spodnie. Trzeba je zdjąć.

Nachylił się i pocałował ją. Odstawiła piwo i położyła dłoń na jego karku. Przerwał pocałunek i spojrzał na podłogę. - Cóż, z tym dywanem wiąże się trochę niemiłych wspomnień i nie jestem stuprocentowo pewien, czy udało mi się usunąć z niego woń wymiocin.

- Ty podstępny łajdaku.

- Co powiesz na apartament z królewską sypialnią?

Skinęła głową. Wstali. Wciąż jeszcze czuli się trochę skrępowani i było im głupio, nawet jeśli mieli tylko trzymać się za ręce. Thorne otworzył drzwi do sypialni. - Muszę cię ostrzec, mam tu prawdziwą szwedzką dziewczicę.

Anne uniosła brwi i zajrzała do pokoju, by zobaczyć jedynie niewielką szafę, komodę i starannie posłane łóżko. Nie zrozumiała, o co mu chodziło. - Słucham?

- Łóżko... - Thorne przyciągnął ją do siebie. - Nieważne...

Thorne obudził się i spojrzał na zegarek. Dochodziło wpół do trzeciej nad ranem i dzwonił telefon. Obudził się w jednej chwili. Wysunął się z łóżka i nagi wpadł do salonu, gdzie przy drzwiach ładował się telefon. Ogrzewanie nie mogło być długo wyłączone, ale w mieszkaniu już zrobiło się przeraźliwie zimno.

- Przepraszam, że dzwonię o tak późnej porze. Mówi Holland.

Thorne mocniej przycisnął telefon do ucha. Wciąż słyszał Leftfield. Kompakt był ustawiony na wielokrotne odtwarzanie, a on zapomniał go wyłączyć.

- Tak?

- Możliwe, że coś mamy. Zadzwoiła jakaś kobieta. Widziała rekonstrukcję, ale odczekała kilka dni, zastanawiając się, czy zadzwonić.

- Mów dalej.

- Dziewięć miesięcy temu do drzwi jej domu zadzwonił jakiś mężczyzna, twierdząc, że szuka miejsca, gdzie ma się odbywać jakaś impreza. Uznała, że wygląda przyzwoicie, no wie pan, przyjaźnie i w ogóle. Zaprosiła go do środka. Miał ze sobą butelkę szampana.

Thorne przestał dygotać.

- W zasadzie to wszystko, co mam na chwilę obecną. Z jakiegoś powodu facet wyszedł, a ona zapomniała o tym incydencie aż do chwili, gdy zobaczyła program w telewizji. Chyba może nam pomóc, jeżeli chodzi o jego rysopis. Powinien być szczegółowy i konkretny.

- Czy Tughan o tym wie?

- Tak. Już do niego dzwoniłem.

Thorne poczuł przypływ rozdrażnienia, ale wiedział, że Holland nie mógł postąpić inaczej. - Co powiedział?

- Uznał, że to może rokować pewne nadzieje.

- Mówił coś o mnie?

Wyobrazil sobie, że Holland myśli intensywnie.

- Nie przejmuj się, że możesz zranić moje uczucia, Holland, to raczej niemożliwe.

- Wspominał o jakimś świrze sugerującym, że mógł pan zainteresować się bliżej panną Willetts. Nie pamiętam, co to było, ale brzmiało jak jakiś żart.

Nikt nie traktuje tego poważnie.

- Kiedy zamierzasz ją przesłuchać?

- Ja i inspektor Tughan wybieramy się do niej jutro z samego rana.

Thorne zapisał szczegóły. W tym nazwisko i adres kobiety na bloczku do notatek, który miał przy telefonie. Pierwsze uniesienie mijalo i znów zrobiło mu się zimno. Chciał wrócić do łóżka.

- Dzięki, Holland. Jeszcze jedno...

- Bez obawy Zadzwonię do pana, gdy tylko się z nią spotkamy.

- Świetnie, dziękuję. Ale chciałem powiedzieć, dla twojej wiadomości, gdyby ktoś zapytał, że twoja dziewczyna miała dziś wypadek i przytrzasnęła sobie rękę drzwiami...

Gdy tylko odłożył słuchawkę, poczuł, że na dobre się rozbudził. Wyłączył muzykę i przeszedł się po pokoju z koszem na śmieci, zbierając puste puszki. Przez chwilę kusiło go, by zajrzeć do torebki Anne, która została tam, gdzie ją postawiła. Czy zapobiegliwie wzięła ze sobą rzeczy na zmianę?

Zmitygował się jednak, wyjął zapasową koldrę z kredensu w sieni i usiadł na sofie, w ciemnościach.

Rozmyślał.

Sprawy toczyły się coraz szybszym tempem. Już wcześniej miał do czynienia ze śledztwami, przy których czuł się jak outsider - podchodził do pewnych rzeczy z całkiem innej perspektywy, ale zawsze, choćby tylko z nazwy, czuł się członkiem zespołu. Teraz było inaczej. Wychodząc z gabinetu Keable'a, czuł się wspaniale, natomiast kilka minut później zastanawiał się, czy postąpił słusznie. I wciąż miał wątpliwości.

Wiedział, dlaczego się wycofał. Cokolwiek Keable mówił przełożonym o intrygach i spięciach między ludźmi, wszystko sprowadzało się do osądów.

Do tego, czy były trafne, czy nie.

Osądy jego i ich oraz tych, których już nie było. I to od dawna. Ale nawet osądowi umarłych nie zawsze można było zaufać. Wszelkie wyroki ferowane na podstawie tego rodzaju zeznań musiały być z założenia nieobiektywne. Felerne. Tylko jeden człowiek mógł go osądzić.

A Tom Thorne był najsurowszym ze wszystkich sędziów.

Pomyślał o kobiecie śpiącej w jego łóżku. Anne nie była pierwszą kobietą, z którą spał od czasu Jan. Wcześniej miał miejsce incydent po pijaku z pewną młodą ambitną panną sierzant i krótki romans z sekretarką z kancelarii prawnej, ale dopiero teraz, gdy było już po wszystkim, czuł się naprawdę przerażony.

Kiedyś Anne była związana z Bishopem. Thorne wciąż nie wiedział, do jakiego stopnia była posunięta ta zażyłość, ale to nie miało znaczenia. Zabójca, który wyrócił całe jego życie do góry nogami, uprawiał kiedyś seks z kobietą dzielącą z nim, przynajmniej na razie, łóżko. Zaczął się zastanawiać, czy Bishop mógł być zazdrosny. To miałooby sens.

Anonimowy telefon, oskarżenie, wydawało się to trochę... poniżej jego poziomu. Czy atak na niego mógł być ostrzeżeniem, aby trzymał się z dala od Anne? Czy oprócz całej reszty w grę wchodziła rywalizacja o względy kobiety? Ta myśl nieco go pocieszyła. Zaczęła przywracać mu spokój i opanowanie. Czuł, że je traci, gdy wściekłość wzięła nad nim górę po oskarżeniu go o molestowanie Alison. Teraz był spokojniejszy

Powrócił myślami do szpitala. *Och, już wkrótce dowie się, co ze mnie za typ...*

Mężczyzna nauczony, by ratować życie, odbierał je w imię czegoś, czego Thorne nie potrafił zrozumieć. I nawet nie pragnął zrozumieć. Nie dbał o to.

Jeżeli Thorne miał go powstrzymać, musiał przejąć inicjatywę.

Poszedł po telefon, zwinął się na sofie w kłębek i wybrał 141...

Kilka minut później po cichu wrócił do sypialni, wślizgnął się pod kołdrę i leżał w ciemnościach, mrugając powiekami i nie mogąc zasnąć.

Okolo czwartej Anne obudziła się i zrobiła wszystko, co umiała, aby mu pomóc.

„Jak się czujesz?”

Pytanie, które zadają mi każdego dnia. Czasami więcej niż raz. Nie żebym nie rozumiała dlaczego. Chodzi o to, żebym powiedziała. Cokolwiek. Bo lepsze to niż nic. Lepsze to, niż miałabym tam siedzieć, gapiąc się na zegar i zastanawiając, która pielęgniarka podetrze mi tyłek. To szpital. Miejsce, które sprawia, że ludzie czują się dziwnie w obowiązku, aby kupować i przynosić owoce, oddychać przez usta i zadawać absurdalne pytania. Ale po co te pytania, na miłość boską? Nie zadawajcie mi pytań. Mówcie do mnie. Mówcie o różnych rzeczach, jeśli chcecie. Jestem dobrym słuchaczem. A będę w tym jeszcze lepsza. Możecie mi mówić, co tylko zechcecie. Zanudzajcie na śmierć. Możecie siedzieć przy mnie i trajkotać o tym, że szef was nie rozumie, mąż przestaje wykazywać zainteresowanie seksem, że uwielbiacie podróże, że pielęgniarki są fatalnie opłacane albo że lubicie popijać popołudniami - ale przestańcie mnie wreszcie pytać!

Jak się czujesz?

Bo przecież nie spodziewacie się usłyszeć odpowiedzi, prawda? Chybabym was zanudziła, gdybym się na to zdobyła. Gdybym zechciała odpowiedzieć: Nieźle, dziękuję, że pytasz, a ty? - trwałoby to, przy obecnym tempie mrugania, odczytu i biorąc pod uwagę czynnik zmęczenia, jakieś czterdzieści pięć minut. Przykro ci, że spytałeś? No to nie pytaj więcej.

Jak się czujesz?

Cieszę się, że tu jesteście, nie zrozumcie mnie źle. Cieszę się, że przychodzicie. Wszyscy. Goście, pielęgniarki, sprzątaczk. Nawet ci, którzy zaglądają tu na chwilę. Przyjdźcie się przywitać. Przyjdźcie i zasypujcie mnie kłamstwami. Tylko nie bądźcie zbyt przewidywalni. Jedyńm powodem, dla którego zadajecie mi to pytanie, jest to, że nie potraficie sami tego stwierdzić, tylko patrząc na mnie. A w każdym razie niezupełnie. Możecie się jedynie domyślać. Nie wiecie nic na pewno. Przypuszczenia mogą być całkiem trafne. Nie musicie dzwonić do przyjaciela, prawda? Leżę w szpitalu. Kompletnie popieprzona. Nie jestem po ciemnej stronie

księżycyca. Zazwyczaj nie pytacie ludzi, jak się czują. To oczywiste. Widzicie wyraźnie, czy ktoś jest szczęśliwy, zmęczony albo wkurzony, ponieważ to widać, emocje odmalowują się na twarzy, ale na mojej akurat nic się nie odzwierciedla. Przypuszczam, że coś tam na niej widać, ale i tak chyba trzeba się tego domyślać. Jeżeli istnieje wyraz twarzy odpowiadający tabliczkom z napisem „Zamknięte” albo „Wysłałam na lunch”, to chyba właśnie taki musi malować się na moim obliczu.

Jak się czujesz? No dobrze, to posłuchajcie:

Wściekła. Ogłupiała. Radosna. Znudzona. Zmęczona. Rozbudzona. Sfrustrowana. Wdzięczna. Zirytowana. Gwałtowna. Spokojna. Rozmarzona. Udupiona. Zdezorientowana. Nieświadoma. Szpetna. Chora. Głodna. Bezużyteczna. Niezwykła. Napalona. Zalamana. Zawstydzona. Kochana. Zapomniana. Zdziwaczała. Zbłąkana. Odprężona. Osamotniona. Przerazona. Naćpana. Brudna. Martwa...

Napalona? Wiem, przepraszam, to bardzo dziwne. Ale leżę tu, na seksownym materacu, który szumi, a od czasu do czasu zajmuje się mną wyjątkowo ponętny pielęgniarz, który wcale nie musi być gejem. Więc...

Czy powiedziałaś „zdezorientowana”? Tak.

Przez większość czasu. Tak jak wtedy, kiedy Thorne pokazał mi zdjęcie doktora Bishopa? Odniosłam wrażenie, że to miało do czegoś prowadzić. Może tak właśnie bywa, kiedy tracisz słuch albo wzrok, a inne twoje zmysły wyostrzają się, by zrekompensować tę stratę. Jako że większość mnie jest kompletnie bezużyteczna, możliwe, że nabieram innych zdolności. Jak jakaś wiedźma czy ktoś podobny. Wiem, że on chciał zadać mi jeszcze kilka pytań, ale wtedy zadzwonił telefon, on odebrał, a później zaczął się zachowywać dziwnie.

Nikt nie powiedział mi ani słowa o tym, co się właściwie wydarzyło. Właściwie nic tak naprawdę nie wiem. O tym, co mnie spotkało. O tym napadzie. To znaczy wiem, co on mi zrobił...

Ale nie mam pojęcia dlaczego.

11.

Wysiadł z metra przy Waterloo. Osiem przystanków, bezpośrednio, linią Bakerloo. W wagonie panował tłok, tak jak lubił. Czasami nawet przepuszczał dwa lub trzy składy, aż zjawił się ten właściwy. Nie było sensu się tłoczyć, jeżeli w wagonie nie było niczego ciekawego. Patrzył, jak skład wjeżdża na stację, i nie zważając na współpasażerów, wolno zbliżał się do krawędzi peronu. Przepatrywał każdy mijający go wagon, dokonując wyboru.

Dotarcie tam, gdzie chciał się znaleźć, mogło mu zająć kilka stacji, ale z łatwością przeciskał się przez ten tłum. Uwielbiał przechodzenie. Uwielbiał przeciskanie się przez spoconą cizbę pełną tłumionego gniewu i szeleszczących gazet, by znaleźć się na uprzednio upatrzonej pozycji.

Zwykle odnalezienie tej, którą wybrał, nie trwało długo.

Dziś była wysoka, tylko o trzy lub pięć centymetrów niższa od niego. Miała ciemne włosy upięte w kok i okulary, przez które usiłowała czytać *The Beach*, co w obecnych okolicznościach okazało się trudną czynnością. Naturalnie zawsze istniało ryzyko, że mogła wysiąść z pociągu, zanim on do niej dotrze. Przy Oxford Circus i Baker Street wysiadało zawsze sporo ludzi. Nie przejmował się zbytnio, nawet jeśli do tego doszło. Bądź co bądź, zawsze istniało przecież jutro. Godziny szczytu były cudownie przewidywalne.

Pierwszy kontakt nawiązał, kiedy pociąg zatrzymał się przy Piccadilly Circus. To cudowne szarpnięcie, zanim pociąg znieruchomiał. Pół minuty później dostanie kolejną szansę, kiedy skład znowu ruszy. Stał za nią z tyłu. Czasami lubił stanąć z którąś twarzą w twarz. Zobaczyć wyraz jej twarzy, gdy nieśmiało odwracał wzrok albo wzruszał przepraszająco ramionami. Rzecz jasna, uwielbiał ich piersi. Ale tak lubił najbardziej. Uwielbiał dotyk ich pośladków na swoim kroczu. Mógł dotknąć spoconą dłońią ich

pleców, aby się przytrzymać. Mógł czuć zapach ich włosów. A co najlepsze, mógł odwrócić wzrok i spojrzeć na osobę stojącą za nim, jeśli to było konieczne, wywołując lawinę oskarżycielskich spojrzeń i westchnień, podczas gdy jego podniecenie narastało.

Umyła dziś rano włosy Zastanawiał się, czy kochała się ubiegłej nocy Jeżeli wzięła prysznic, na pewno zmyła z siebie ten zapach, a szkoda, ale mimo to spodobał mu się jej zapach włosów. I sugestia czegoś, co kryło się przy jej karku. Pociąg zwolnił i zatrzymał się w tunelu pomiędzy Oxford Circus i Regent's Park. Kolejny przymusowy postój.

Póki skład stał, zaczął się zastanawiać, co miał dziś jeszcze do zrobienia. Rozmowa rano. Uwielbiał to. Lubił wszystkim kierować. Wiedział, że potrafi dokładnie odczytywać ludzi. A oni nie umieli go rozszyfrować.

Skład ruszył z silnym szarpnięciem. Jeszcze tylko cztery przystanki. Może jeszcze jeden przed większą stacją. Wlepiła uporczywie wzrok w książkę, ale wiedział, że o nim myślała. Gardziła nim. No i dobrze. Niech myśli, że to koniec. Niech się rozluźni, myśli, że odszedł na bok albo niepostrzeżenie wyszedł. Na pewno nie obejrzy się przez ramię, aby to sprawdzić. Zaczeka, aż pociąg odjedzie z Marylebone.

Skład ruszył w kierunku stacji docelowej. Był pewien, że tym razem poczuła go całego. To trwało zaledwie chwilę, ale poczuł szczelinę między jej pośladkami i dotyk bawełnianej, długiej, czarnej spódnicy ocierającej się o jego poliestrowe spodnie robocze. Poczuł, że zdrewniała.

Tylko raz jedna z nich stawiała mu czoło. Odsunęła się, wysiadła z pociągu, po czym odwróciła się i zaczęła na niego wrzeszczeć. Inni pasażerowie przyglądali się temu, a on uśmiechnął się pobłaźliwie. Uniósł ręce i zniknął wśród nowych pasażerów wsiadających do pociągu. Tylko raz. Oczywiście, gdyby zaszła taka potrzeba, dobrze by było, gdyby miał jakiegoś asa w rękawie na swoją obronę.

To był jego ulubiony moment. Jeszcze tylko raz, ale solidnie, i ulotni się. W ciągu tej sekundy lub dwóch, zanim otworzyły się drzwi,

naparł na nią z całej siły, napawając się tą chwilą. Czuł jej pośladki dotykające jego wzwiedzonego członka i wtulił twarz w jej włosy na karku. Wrażenie intymności aż zaparło mu dech. Mogli być kochankami splecionymi nocą w łóżku, wśród wilgotnej, cuchnącej pościeli...

Zaraz potem odsunął się od niej i zaczął przeciskać przez tłum w kierunku drzwi. Kiedy ją mijał, zauważył, że uniosła wzrok znad książki. Z bliska wcale nie wydawała się piękna, ale nie dbał o to. Liczyło się tylko napięcie malujące się na jej twarzy i żar w jego kroczu. Przecież to była tylko gra. Taka tam przepychanka, czyż nie? Uśmiechnął się i pomyślał to samo co zawsze po równie udanym początku kolejnego pracowitego dnia: Jak ci się nie podobało, wyprowadź się z Londynu, złotko.

Zapinając guziki kurtki, aby ukryć niewielkie wybrzuszenie, Nick Tughan wysiadł z pociągu przy Edgware Road i kierując myśli ku zbliżającym się obowiązkom, ruszył różnym krokiem w stronę ruchomych schodów.

Anne wyszła wczesnym rankiem, tłumacząc się tym, że chciała wrócić do domu, zanim obudzi się Rachel, Thorne zaś spał aż po dziewiątej. Zadzwoił do Brigstocke'a, aby poinformować go, że się spóźni. Nie miał nic zaplanowanego, czekał na wiadomość od Hollanda. Był uziemiony.

Pałaszował czwartego tosta i czekał na kolejny odcinek *Richarda i Judy*, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

Rozpoznał Jamesa Bishopa ze zdjęcia zrobionego przez Kodaka. Bethell dokładnie go ocenił, skonstatował, chłopak wyglądał na wynędzniałego. Był wysoki, chudy, w długim ciemnym płaszczu narzuconym na podkoszulek, dżinsach i sportowym obuwiu. To, co wyglądało na bardzo krótkie tlenione włosy, było ukryte pod czarną wełnianą czapką, a przez ramię miał przerzuconą brudnozieloną torbę.

- Ty jesteś Thorne?

Ten sam modulowany głos jak u jego ojca, choć z wyraźnym londyńskim akcentem i podobnymi, mocno cyzelowanymi rysami,

zatuszowanymi po części lekkim kilkudniowym zarostem. Zapewne tak musiał wyglądać doktor Jeremy Bishop w czasach studenckich.

- Tak, James. To ja. - To trochę zdeprymowało chłopaka. Thorne uśmiechnął się ironicznie. - Czy mogę wiedzieć, skąd znasz mój adres?

- Taa. Powiedziałeś mojemu tacie, przy jakiej ulicy mieszkaś... Zapukałem praktycznie do każdych drzwi przy tej ulicy

Mogłeś go zwyczajnie zapytać. On doskonale wie, gdzie mieszkam.

- Rozumiem. Odwiedziłeś wielu moich sąsiadów?

Bishop uśmiechnął się. - Kilkoro. Pewna nader atrakcyjna gospodyni domowa zapraszała mnie na herbatę.

- Ludzie w tej okolicy są wyjątkowo przyjaźni. Masz ochotę na tosta?

Thorne odwrócił się i wszedł do mieszkania. Po chwili usłyszał, jak chłopak zamyka frontowe drzwi, a sekundę później zamknął drzwi do mieszkania i począł do salonu.

- Za tosta dziękuję, ale kawą nie pogardzę...

Thorne wszedł do kuchni i patrzył, jak jego gość kręci się po salonie. - James, tak? Czy może raczej Jim?

- James.

Świetnie, pomyślał Thorne, sypiąc kawę do kubka. Jim dla przyjaciół, ale James, gdy próbujesz wyciągnąć trochę forsy od ojca. Zalał kawę wrzątkiem i podał mu kubek. - A więc?

Bishop wyglądał na rozbrojonego. Najwyraźniej nie tak wyobrażał sobie rozwój wypadków. Starał się mówić groźnym tonem, co nie wychodziło mu najlepiej. - Chcę, żeby zostawił pan mego ojca w spokoju.

Thorne usiadł na podłokietniku sofy - Rozumiem. A co właściwie robię, twoim zdaniem?

- Czemu go nękaś?

- Nękam?

- Ostatnio przed jego domem czał się jakiś facet z aparatem fotograficznym, a potem, kiedy sam się do niego wprosiłeś, aby

podrzucił cię do miasta, usiłowałeś wcisnąć mu kit, że to niby któryś z reporterów. On może dał się na to nabrać, ale ja wiem, że to bujda. A tak w ogóle, co tam robiłeś?

- Jestem policjantem, James, mogę chodzić, gdzie tylko zechcę.

Bishop chyba nieźle się bawił. Cóż, nie on jeden. Postąpił krok w stronę kominka, po czym odwrócił się do Thorne'a z uśmiechem. - Czy nie powinieneś zwracać się do mnie „proszę pana”?

Thorne odwzajemnił uśmiech z nawiązką. - Gdyby ta rozmowa była częścią dochodzenia, to pewno tak. Ale nie jest, bo jesteśmy u mnie, a ty w dodatku pijesz moją kawę, do cholery.

Dłonie Bishopa zacisnęły się na kubku. Zastanawiał się, co ma teraz powiedzieć. Thorne uwolnił go od kłopotu. - Myślę, że twój ojciec trochę przesadził.

- Nawet nie wie, że tu jestem.

No jasne. Nie wie.

- Denerwują go te telefony.

- Jakie telefony?

- Ubiegłej nocy. W środku nocy. Bardzo późno. Cztery czy pięć, jeden po drugim. Zadzwoił do mnie. Był bliski paniki.

- Jakiego rodzaju to były telefony?

- Ty mi powiedz.

Odzyskał rezon. Przydałoby się znów ustawić go do pionu.

- Posłuchaj, rozmawiałem z twoim ojcem w ramach śledztwa, z którego się ostatnio wycofałem, jasne? - Kiedy Bishopowi opadła szczeka, Thorne'owi przez chwilę zrobiło się go żal. - A teraz opowiedz mi o tych telefonach.

- Jak już mówiłem, dzwoniło w środku nocy. Było słyhać, że ktoś jest na drugim końcu łącza. Numer był zastrzeżony. Nie wiadomo, kto dzwonił. A dzwonił raz po raz. Ojciec bardzo się zdenerwował - nie, jest przerażony. Śmiertelnie przerażony.

Szczerze wątpię.

- I co zamierzasz z tym zrobić? - Bishop wydawał się szczerze rozgniewany.

- Powiem ci to samo, co powiedziałem jemu w sprawie tego fotografa. Sprawdź to. Tylko tyle mogę zrobić. To wszystko.

- Spotykasz się z Anne Coburn?

Tym razem Thorne się zdenerwował. - Licz się ze słowami, James...

- Teraz, kiedy nie bierzesz już udziału w śledztwie, byłoby ci to bardzo na rękę, czyż nie?

- Co takiego? - Thorne wziął głęboki oddech. Starał się nie stracić nad sobą kontroli i pamiętał, że chodzi mu o ojca, a nie o syna, toteż musiał zachować zimną krew.

- Jeżeli ty i Anne... no wiesz... byłby to uzasadniony powód, żeby zemścić się na moim ojcu.

Thorne wstał i ruszył w stronę Bishopa. Tamten drgnął lekko, ale Thorne tylko pokręcił głową i sięgnął po pusty kubek.

- O ile dobrze pamiętam, doktor Coburn jako matka chrzestna była odpowiedzialna za twój rozwój duchowy i intelektualny. Gdy tak na ciebie patrzę, widzę, że poniosła w tym względzie spektakularną klęskę, i śmiem twierdzić, że na tym związki między tobą a nią się kończą. Zapewne dostałaś z okazji chrztu srebrną łyżeczkę i coś jeszcze, ale to, z kim ona sypia, nie powinno cię interesować.

Bishop pokiwał głową speszony. I zaraz znów się uśmiechnął. - A więc jesteście razem, tak?

Thorne też się uśmiechnął i zaniósł puste kubki do kuchni. - Co robisz, James, kiedy nie martwisz się o ojca?

Bishop kręcił się bez celu po salonie. Przystanął, by rzucić okiem na stertę kompaktów. - Zawsze się o niego martwię. Jesteśmy ze sobą bardzo blisko. A ty i twój ojciec nie bardzo, prawda?

Thorne skrzywił się. - To co robisz?

- Sporo się przemieszczam. Trochę piszę. Próbowałem szczęścia w aktorstwie. Wszystkiego, co mogło mi pomóc zarobić na czynsz.

Thorne odniósł wrażenie, że chyba rozumiał tego młodego człowieka. Choć ze zrozumieniem współczesnej młodzieży miał pewne problemy. Ten chłopak nie był takim nieudacznikiem ani wałkoniem, jak można by sądzić po tym, co usłyszał od Anne. Pod

maską nonkonformizmu kryła się rozpaczliwa próba ucieczki od dziedzicznej konwencjonalności. Bez wątpienia zbłądził, ale wydawał się w zasadzie niegroźny. James Bishop nie zdawał sobie sprawy, że miał w sobie trujące geny Mógł próbować uciec od swojego dziedzictwa, ale nic nie zmieni faktu, że był synem swego ojca, i to przekleństwo będzie ciążyć na nim aż do śmierci.

- Studiowałeś?

- Zmarnowałem kilka lat w college'u, to fakt. Nie należę do ludzi bijących rekordy uczenia się, akademików w wieżach z kości słoniowej.

Thorne wrócił do salonu i sięgnął po kurtkę. - Wolisz raczej Tower Records, czyż nie?

- Ee, no tak. - Bishop mimowolnie dotknął dłonią podkoszulka z logo salonu muzycznego. - Akurat tam teraz pracuję.

Thorne wskazał ręką w stronę holu. Pora iść. Bishop, nie ociągając się, pomaszerował w stronę drzwi frontowych.

- Cóż, może cię tam odwiedzę - rzekł Thorne. - Jaki tam macie wybór muzyki country?

Bishop zaśmiał się. - A skąd mam, kurwa, wiedzieć?

Thorne otworzył drzwi. Zaczęło padać.

- Głupie pytanie. Co preferujesz? Ambient? Trance? Garażowego speeda? Dostanę zniżkę na nowy album Grooverider twelve-inch?

Bishop spojrział na niego.

Thorne zamknął drzwi. - Nie ma to jak dzień pełen niespodzianek, prawda?

Margaret Byrne mieszkała na parterze niewielkiego domku z tarasem przy Tulse Hill. Nie wyglądała tak, jak Holland i Tughan mogli się tego spodziewać. Prosta, przedwcześnie postarzała kobieta po czterdziestce, ze sporą nadwagą. Tughan nie ukrywał swego zdziwienia, gdy nieznacznie uchyliła drzwi i spojrziała na nich, stopą blokując drogę wyjścia wielkiemu rudemu kotu, by nie wydostał się na zewnątrz. Kiedy na jej życzenie wylegitymowali się, bez wahania zaprosiła ich do środka. Uparła się, że zaparzy herbatę, pozostawiając

Tughana i Hollanda, by sami, omijając trzy kolejne wielkie koty, dotarli do salonu i zajęli miejsca w wygodnych miękkich fotelach.

Holland też o tym pomyślał, ale Tughan powiedział to na głos. - Ależ tu cuchnie - syknął, po czym dodał oschle - nic dziwnego, że zmienił zdanie i zwiął, gdzie pieprz rośnie.

Po wypiciu herbaty zagryzionej biszkoptami, które także pojawiły się na stole, Holland, jak to zostało wcześniej ustalone, dał pole do popisu Tughanowi.

- A więc mieszkasz sama, Margaret?

Skrzywiła się. - Nie cierpię, gdy mówi się do mnie Margaret. Mówcie mi Maggie, bardzo proszę.

Holland uśmiechnął się. No dalej, nie ułatwiał mu zadania.

- Przepraszam, Maggie...

- Mój mąż odszedł kilka lat temu. Nie wiem, czemu go tak nazywam, nie mieliśmy formalnie ślubu, ale mimo wszystko...

- Nie macie dzieci?

Otuliła się szczerzej szarą wełnianą kamizelką. - Mam córkę. Ma dwadzieścia trzy lata, mieszka w Edynburgu, a gdzie się podziewa jej ojciec, nie wiem.

Wzięła jeszcze jednego biszkopta i zaczęła głaskać czarno-białego kota, który wskoczył jej na nogi. Zamruczała cicho do kota, a zwierzątko ułożyło się wygodnie i przeciągnęło. Holland uznał, że ta kobieta do złudzenia przypomina jego matkę. Nie widział jej od wieków. Może porozmawia z Sophie i zaproszą ją, by spędziła z nimi choć kilka dni.

- Dobrze, a teraz, Maggie, opowiedz nam o tym facecie z szampanem.

- Nie zapisaliście wszystkiego, kiedy do was dzwoniłam?

Holland uśmiechnął się. Tughan nie.

- Chodzi nam tylko o kilka szczegółów, to wszystko.

- Cóż... to było około ósmej. Tak mi się wydaje. Podeszłam do drzwi, bo ktoś zadzwonił, i zobaczyłam mężczyznę z butelką szampana w dłoni. Zapytał mnie, czy to tutaj Jenny urządza imprezę.

- Czy w sąsiedztwie mieszka jakaś Jenny?

- Nie wydaje mi się. On na to, że jest pewien, że to właściwy adres, a potem wymieniliśmy jeszcze kilka zdań, pośmialiśmy się trochę i wtedy zaczął być natarczywy, rozumiecie, powtórzył parę razy, że szkoda byłoby zmarnować tak dobrego szampana. Zaczął ze mną flirtować... chyba był trochę wcięty

- W rozmowie telefonicznej mówiłaś, że może nam podać dokładny rysopis.

- Naprawdę? A niech mnie. No dobrze, był wysoki, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, nosił okulary i był bardzo elegancko ubrany. Miał na sobie drogi garnitur... Wytworny...

- Jakiego koloru?

- Granatowy, chyba.

Holland posłusznie i w milczeniu zapisywał każde jej słowo.

- Mów dalej, Maggie.

- Miał krótkie siwiejące włosy...

- Siwiejące?

- Tak, no wiecie, nie srebrne, lecz właśnie siwiejące, ale wcale nie był taki stary. Nie wydaje mi się. No, na pewno nie był w moim wieku.

- Ile mógł mieć lat?

- Trzydzieści sześć... trzydzieści siedem? Mam kłopot z określaniem wieku innych. Podobnie chyba jak większość ludzi? - Odwróciła się i spojrzała na Hollanda. - Jak pan sądzi, ile mam lat?

Holland poczuł, że jego policzki nabiegają czerwienią. Czemu akurat jego o to zapytała? - Och... nie mam pojęcia... trzydzieści dziewięć?

Uśmiechnęła się, by dać mu do zrozumienia, że przejrzała jego kłamstwo. - Mam czterdzieści trzy lata i wiem, że wyglądam poważniej.

Tughan, pragnąc jak najszybciej wrócić do tematu, chrząknął głośno. Kot spłoszony zeskoczył z ud Margaret Byrne i czmychnął za drzwi. Tughan także drgnął nerwowo i Holland zapamięta ten incydent jako jedyne zabawne zdarzenie podczas całej tej rozmowy.

- Jaki miał głos? Czy mówił z akcentem?

- Wydawał się wykształcony Miał miły głos... i był bardzo

przystojny. Atrakcyjny.

- Zaprosiłaś go do domu?

Strzepnęła ze spódnicy kilka niewidocznych klaczków kociej sierści. - Robił aluzje. Czytelne aluzje. Jak już mówiłam, trzymał w dłoni butelkę i wymachiwał nią. - Spojrzała na Tughana i utrzymywała z nim kontakt wzrokowy. - Owszem, zaprosiłam go.

Tughan uśmiechnął się nieszczercze. - Po co?

Holland poczuł się zażenowany Ta kobieta mogła im pomóc. Mogła być jedyną osobą mogącą im pomóc. Nie musieli wiedzieć, po co zaprosiła do domu mężczyznę, który mógł ją zabić. Ta kobieta nie była obłąkana, zdesperowana ani oszalała na punkcie seksu. Samotność nie jest przestępstwem, choć Tughana wyraźnie rajcowało uderzenie w jej słaby punkt. I tak mu nie odpowiedziała. Odpuścił.

- Co było potem?

- Jak już mówiłam przez telefon, to było najzabawniejsze. On otworzył szampana - pamiętam towarzyszące temu rozczarowanie, bo nie było głośnego huku - a ja powiedziałam, że pójde i przyniosę kieliszki. On odparł „świetnie” i poszedł zadzwonić.

Tughan spojrział na Hollanda, po czym przeniósł wzrok na Margaret. - Nie wspominałaś o tym wcześniej.

- Naprawdę? Ale tak właśnie było.

Tughan wychylił się do przodu w fotelu. - Dzwonił stąd? Z twojego telefonu?

- Nie. Zanim wyszłam do kuchni, zobaczyłam, jak wyjmuję jedną z tych okropnych komórek. Nie cierpię ich, a wy? Gdy siedzisz w pociągu, stale ktoś rozmawia przez telefon. Wciąż słyhać te piskliwe kretyńskie melodyjki.

- Poszłaś do kuchni...

- Wyjęłam kieliszki i wytarłam, bo były trochę zakurzone, i nagle usłyszałam trzaśnięcie drzwi. Gdy wróciłam do pokoju, tego mężczyzny już nie było. Otworzyłam drzwi frontowe, ale nigdzie go nie dostrzegłam. Z oddali dobiegł mnie odgłos odjeżdżającego auta, ale nie widziałam tego samochodu.

Tughan pokiwał głową. Holland przerwał robienie notatek.

Margaret Byrne powiedła po nim wzrokiem. - Sądzicie, że to był ten sam mężczyzna, który zabił tę dziewczynę w Holloway?

Tughan milczał. Wstał i spojrzał na Hollanda, dając mu znak, aby zrobił to samo.

- Czy jeżeli przyślemy jutro radiowóz, zechcesz przyjechać na Edgware Road, by wspólnie z naszymi komputerowymi artystami spróbować sporządzić jego rysopis?

Skinęła głową i wzięła na ręce kota, który ocierał się o jej nogi. Przy drzwiach Tughan przystanął i spojrzał na nią. Uśmiechnęła się do niego nerwowo.

- Czemu zwlekałaś tak długo z powiedzeniem nam o tym zdarzeniu? - spytał Tughan. - Nawet po obejrzeniu rekonstrukcji tego zdarzenia w telewizji czekałaś jeszcze cztery dni.

Przytuliła kota do piersi. Holland postąpił naprzód i nieco zbyt impulsywnie położył dłoń na ramieniu Tughana.

- Na nas już czas. Dziękujemy za pomoc.

Wyraz wdzięczności w jej oczach był aż nazbyt wyraźnie widoczny. Schwyciła go za rękaw. - To jak? Czy to był on?

Tughan szedł już w stronę samochodu. Holland patrzył, jak tamten włącza alarm, wsiada do środka i energicznie zatrzaskuje drzwi. Odwrócił się do niej. - Myślę, że miałaś naprawdę wiele szczęścia, Maggie...

Uśmiechnęła się i ścisnęła go mocniej za rękaw, a w jej oczach pojawiły się łzy. - Chyba pierwszy raz w życiu...

Jestem teraz w lepszym nastroju. Nie cały czas, ma się rozumieć, nadal miewam górki i doły. Tym mówił już wcześniej, że bywam chimeryczna, i zapewne ma rację. Ale teraz bywam naprawdę wredna. Myślę, że to całkiem zrozumiale. Chyba zasługuję na medal za te kilka lepszych chwil w moim wykonaniu.

Tak czy owak...

Nawet teraz bywają weselsze momenty. Niezupełnie jak w „Doktorze do dzieła!”, ale potrafią niezłe rozbawić. To zazwyczaj chory humor, lecz w mojej sytuacji nie można chyba narzekać. Na przykład siostra Martina, która wzięła sobie do serca, abym przez cały czas dobrze wyglądała. W normalnych okolicznościach powiedziałabym, rzecz jasna, że doskonałości nie da się poprawić, ale teraz muszę po prostu pozwolić, aby robiła swoje. Szczerze mówiąc, myślę, że robi to, by oderwać się od obowiązków związanych z obsługą cewnika i brudniejszych spraw, które nie są zbyt przyjemne, prawda? W pierwszej chwili nie miałam nic przeciw temu, kiedy skróciła mi włosy i obcięła paznokcie, ale potem zaczęła unosić się ambicją. To chyba niespełniona wizażystka. Któregoś dnia pomalowała mi paznokcie, kolor był obrzydliwy, szkoda gadać, a wczoraj po południu uznała, że odrobina szminki poprawi mi humor. Malowanie komuś ust to tak, jakby facet próbował walić gruchę lewą ręką. Zapomnijcie. Wyglądałam jak kłown w śpiączce albo lala malowana, jak mawiała moja babcia.

Myślę, że chciała, abym wyglądała jak jedna z tych okropnych kobiet, które pracują w działach kosmetycznych w supermarketach - no wiecie, te, co całe dni spędzają wśród kosmetyków, ale same za cholerę nie umieją ich używać. Oto podpowiedzi. Twarz to nie ściana. Nie należy nakładać na nią niczego szpachlą. Zawsze mam ochotę podejść do takiej z tyłu i zawołać: Kobieto! Lustro! Spójrz w lustro!

Nie zaplanowałam tego, co zdarzyło się dziś rano, słowo daję, choć chciałabym, żeby tak było. Najwyraźniej któraś z pielęgniarek zauważyła, że Martina przez cały czas mnie pucuje, zamiast

zajmować się brudną robotą, i zleciła jej przedmuchiwanie mojej rurki do oddychania. Rozumiem w pełni, dlaczego nie chciała tego robić, to paskudna harówka. Martina musi wyjąć ze mnie rurkę, a potem oczyścić ją z brudów, które ją zapychają. Wyobraźcie sobie, że ktoś wpycha wam rękę do gardła. Kiedy wtykają wam ją do szyi, jest podobnie. Na samą myśl macie ochotę zakasłać, prawda? W tych dniach kasłanie nie jest moją mocną stroną, ale chyba musiałam długo się do tego zbierać. I kiedy Martina robiła, co do niej należało, kaszlnęłam! I to jak! Nie mogłam tego powstrzymać! Kaszlnęłam przez otwór w szyi!

Jak powiedziałam, nie zrobiłam tego celowo, a ona w dodatku wrzasnęła na całe gardło, ale ta wielka gęsta struga flegmy trafiła ją prosto w czoło.

Mam nadzieję, że przynajmniej przez pewien czas będzie trzymać się ode mnie z daleka. Albo będzie wykonywać w związku ze mną tylko brudną robotę. Gdy się tym zajmujesz, przynajmniej nie spotka cię nieoczekiwana niespodzianka. Bo wiesz, na co możesz liczyć. A może teraz spróbuje malować mi paznokcie u stóp?

Na froncie mrugania wszystko idzie jak najlepiej. Drobnym utrudnieniem może być fakt, że czasami psuję wszystko tylko dlatego, że mój mózg uznaje to za odpowiedni moment. Wy też tak macie. I to wcale nie pomaga. Literuję kolejne słowo i nagle bez żadnego wyraźnego powodu rzucam X albo J. Jakbym nagle w samym środku rozmowy rzuciła „o kurwa!”.

Jak drużyna Newcastle w sobotni wieczór.

12.

Rachel siedziała przy biurku w swoim pokoju, ale już od dawna nie zwracała uwagi na leżący przed nią podręcznik do chemii. Wiedziała, że tak właśnie jest. Zaangażowanie się w związek oznacza radości i smutki. Jeszcze jako czwartoklasistka przez pół roku spotykała się z pewnym chłopakiem i wciąż pamiętała tępy ból, gdy czekała na jego telefon, a on nie dzwonił, i rozdzierające cierpienie, gdy spodziewała się na próżno listu od niego. Ale teraz było znacznie gorzej.

W szatni dla szóstych klas miała własną szafkę i z trudem powstrzymywała się, by nie biec do niej co pięć minut, żeby spojrzeć na telefon. Pod koniec dnia prawie zawsze odnajdowała SMS-a. Zachowała je wszystkie i czytała wielokrotnie. Wolła wiadomości na pocztę głosowej. Uwielbiała jego głos.

Usiadła na łóżku i sięgnęła po telefon, który właśnie się ładował. Ponownie wysłuchała wiadomości od niego: rozkoszowała się tym bólem, jaki przy tym czuła.

Jak gdyby dotykała zębami pypcia na języku.

Nie był pewien, czy zdoła się dziś wyrwać. Może mu się uda, ale nie chciał jej zawieść, wycofując się w ostatniej chwili. Było mu przykro. Coś mu wypadło i nie mógł się od tego wymigać. Lepiej, żeby darowali sobie dzisiejsze spotkanie. Zadzwoni jutro.

Jak zwykle miała dylemat, czy skasować wiadomość. Zachowała, chociaż zapisała ją w swoich myślach. Leżała na łóżku, w nieskończoność wspominając każde zdanie i każde słowo. Wydawało się jej czy wychwyciła w jego głosie pewien dystans? Czy to początek końca? Czy odtąd będzie się starał powoli, lecz nieubłaganie oddalić od niej? Czy zamierzał z nią zerwać? Powiedział, że zadzwoni jutro, nie dzisiaj wieczorem. Chciała do niego zatelefonować, wiedziała jednak, że tego nie zrobi. Zaczęło jej się zbierać na mdłości, gdy uświadomiła sobie, że jest nieznośna. Nie chciała tak się do niego

kleić. A jednak wiedziała, że to jej największa słabość. Po prostu taka była.

Rozpaczliwie chciała zapalić, ale nie mogła ryzykować. Wypaliła kilka papierosów w ogrodzie ubiegłej nocy, kiedy jej matka rznąła się z tym gliną. Czasami wspinała się na biurko i otwierała okno, by wydmuchnąć dym, ale jej matka mogła praktycznie w każdej chwili położyć się do łóżka. Jej matka, która wciąż paliła, choć twierdziła, że rzuca fajki. Nie ma to jak uczciwość.

Jutro z nim porozmawia i wszystko będzie w porządku, ona zaś poczuje się jak skończona idiotka.

Nie była już głupiutką gąską. I właśnie dlatego jej pragnął.

Włókna zdrapane paznokciem z bagażnika auta Bishopa znajdowały się w małym woreczku plastikowym. Wiedział, że nie mógł zawieźć ich sam do laboratorium kryminalistyki, a nie był w stanie poprosić o to Hollanda. Ale był ktoś, do kogo mógł się z tym zwrócić.

Kiedy upuścił plastikową torebkę na stół do bilardu, Hendricks ani na milimetr nie odwrócił wzroku, tylko powoli, precyzyjnie składał się do uderzenia, przesuając gładko kijem w przód i w tył wzdłuż dołeczka w brodzie. Jakby od niechcenia wbił bilę do luzu i wyprostował się. - To kolejna piątka. - Przeniósł wzrok na torebkę i jej zawartość. - Skąd je masz?

Thorne wręczył mu pieniądze i odłożył kij na blat stołu. - A jak sądzisz?

- Dobra, cwaniaku. Jak je zdobyłeś?
- Im mniej ci powiem, tym mniejsza szansa, że komuś wypaplesz.
- Jeszcze nie powiedziałem, że to zrobię, a ty jak dotąd nie poprosiłeś mnie uprzejmie, jak należy.

Thorne wiedział, że Hendricks to robi, ale wciąż miał opory, aby poprosić go o pomoc. Wiele razy sobie pomagali, wyświadczali wzajemnie przysługi, pożyczali jeden drugiemu pieniądze, ale tu chodziło o pracę. To było poważne zobowiązanie. Hendricks był bystrym facetem. Gdyby się zgodził, musiałyby zdawać sobie sprawę,

że niewiele zyskiwał, sporo ryzykując, a pracy, jaką miał wykonać, było dość.

- Skoro jesteś pewien, że to on, po co tak się trudzisz?

Dwóch nastolatków, którzy czekali, aż stół się zwolni, podeszło bliżej. Jeden zamasztył ruchem położył pięćdziesięciocentówkę na brzegu stołu. Thorne podszedł do baru. Hendricks wziął plastikową torebkę i poszedł za nim. Uśmiechnął się pod nosem na myśl o dwóch nastolatkach, którzy odprowadzali ich wzrokiem przekonani, że byli świadkami zakupu jakiegoś nowego, nieznanego narkotyku.

- No więc?

- Ponieważ tylko ja go podejrzewam. Nie mam co do tego wątpliwości.

- Przynajmniej szczerze. A kiedy okaże się, że są identyczne, co ci to da? Chrzanić to. Jesteśmy prawie pewni, że zabójca jeździ volvo, a ja śmiem twierdzić, że dywaniki w bagażnikach każdego z nich nie są produkowane indywidualnie. Wiem, że to fajne auta, ale daj spokój...

- Bilety na mecz Spurs-Arsenal. Ja funduję. Hendricks wolno upił łyk guinnessa. - Chcę łożę.

- Jak miałbym to załatwić?

- A jak ja mam wejść do laboratorium kryminalistyki z torebką włókien, które pojawiły mi się znikąd?

- Zobaczę, co się da zrobić. Posłuchaj, Phil, znasz to miejsce, nikt nie będzie cię o nic pytał. To naukowcy, a nie pracownicy fiskusa. Powiesz im, że próbujesz pomóc, i masz kumpli, którzy jeździli volvo. Możesz nawet wziąć parę włókien z bagażnika swojego auta - czy coś w tym rodzaju, no wiesz - dla porównania.

- Nie przypominam sobie, aby jakiś świadek widział różowego nissana micrę, a ty?

Hendricks miał rację. Jego wóz był chyba najpaskudniejszym pojazdem w całym Londynie.

- Dzięki, Phil.

- Pamiętaj, łoża!

- Tak, tak...

- Wiedziałaś, że volvo jest jedynym produkowanym seryjnie autem, w którym nie można się zabić? To znaczy możesz walnąć nim w mur albo drzewo, jeśli zechcesz, ale system odprowadzania spalin jest wykonany w taki sposób, że nie możesz przyczepić gumowego węża do rury wydechowej, aby potem włożyć go do wnętrza wozu i się udusić.

Thorne mruknął. - Wielka szkoda.

Thorne opuścił pub uboższy o dwadzieścia pięć funtów, ale bez plastikowej torebki, która wypalała mu dziurę w kieszeni. Spędził miły wieczór.

I nie wypił ani kieliszka.

Dziesięć minut po tym, jak wrócił do domu, zadzwonił Holland. Konstabl mówił cicho, niemal szeptem. Powiedział Thorne'owi, że Sophie śpi w sąsiednim pokoju i nie chce jej budzić.

Nie chciał, aby wiedziała, do kogo dzwonił.

Thorne słuchał z uwagą, gdy Holland mówił mu o Margaret Byrne. Mogła stać się jego pierwszą ofiarą, gdyby zabójca z jakiegoś powodu nie spanikował. Powiedział mu, co sądziła o głosie zabójcy. Uznała, że był miły, świadczył o klasie. I zapewne kojący, dodał w myślach Thorne. Łagodny.

Kiedy usłyszał o telefonie, Thorne przycisnął słuchawkę do ucha tak mocno, że aż go rozboleło. Czy Bishop sam wysłał do siebie wiadomości na pager? Wiedział, że to było możliwe, tylko po co? Przecież nie istniały żadne zapisy tych telefonów, czemu więc zadawał sobie tyle trudu?

Dave Holland zbył pytanie Thorne'a stwierdzeniem o tym, jak poradził sobie z Tughanem. Te kilka słów w pełni wystarczyło. Usiłował zapomnieć o dyskomforcie i niepokoju wypełniającym wnętrze pokoju Margaret Byrne za każdym razem, kiedy tylko Irlandczyk się odezwał. Nie był pewien, czy to niepokój jego, czy Margaret, ale atmosfera stawała się coraz bardziej nieprzyjemna i drażniąca. Nie odstępowała go na krok przez resztę dnia jak nieprzyjemny, przenikający wszystko fetor.

Thorne nie wydawał się szczególnie zainteresowany samą Margaret Byrne. Kiedy oznajmił, że zadzwoni i umówi się z nią nazajutrz, Holland zrozumiał, co było tego powodem. Próbował go od tego odwieść. Po co? Przecież już z nią rozmawiali i zgodziła się przyjechać na posterunek, by pomóc w sporządzeniu portretu pamięciowego.

Thorne wiedział doskonale, że się z nią spotkali.

Ale nie mieli w kieszeni zdjęcia Jeremego Bishopa.

Anne lubiła wracać do domu, gdy było już ciemno. W radiu puszczano wtedy zwykle jakąś sztukę albo krótkie opowiadanie. Często w ciągu czterdziestu pięciu minut, jakie zajmowało jej przejechanie z Queen Square do Muswell Hill, tak się zaszłuchała, że musiała potem już przed domem siedzieć w samochodzie, czekając, aż audycja się skończy

Tego wieczoru nie włączyła radia. Miała dość spraw, które zaprzętały jej myśli.

Tego ranka w pokoju Alison odnalazła zdjęcie Jeremego. Leżało na małym stoliku w kącie pokoju, zapewne odłożyła je tam pielęgniarka. Teraz wiedziała już, co robił Thorne tego dnia w pokoju Alison, kiedy ona poszła po kawę, i wołała nawet nie myśleć, co to mogło oznaczać. Na pewno niewiele ponad to, co oznaczało, ale i tak trudno jej było pogodzić się z tym wszystkim. Nie mogła się na to zdobyć.

Nie teraz.

Żywiła głębokie uczucia wobec dwóch mężczyzn. Względem jednego te uczucia się zmieniły, przeradzając się z czasem w coś innego. Wobec drugiego odmieniły się w ciągu jednej nocy

Jej związek z Jeremym nie był taki sam od śmierci Sarah. Zawsze dzielili się wszystkim i wiedziała, że to stanowiło przyczynę tak wielu napięć pomiędzy nią a Davidem, ale od czasu wypadku Jeremy stał się dziwnie powściągliwy. Jego chłód i rezerwa mogły być zabawne, lecz po pewnym czasie zaczęły ją drażnić. A ostatnio stał się wręcz arogancki... bardziej niż kiedykolwiek i niekiedy bywał także nieśmiały.

Praca wydawała się dla niego przykrym obowiązkiem. Wykonywał ją mechanicznie, bez zaangażowania. Wiedziała, że na zawsze pozostanie częścią jej życia, podobnie jak dzieci, ale temu wszystkiemu brakowało radości. Czuli się... jakby wypełniała swoją powinność.

Mimo to teoria Thorne'a była naprawdę szokująca. Niewyobrażalna.

Przejechała wzdłuż Camden High Street. Znajdowała się pięć minut jazdy od swego mieszkania.

Gdyby znalazła to zdjęcie dwanaście godzin wcześniej, doszłoby do prawdziwej konfrontacji. Zaczęłyby się domagać odpowiedzi na pytania, których nie ośmieliła się zadać. I nie poszłaby z nim do łóżka. Chyba. Seks wszystko zmieniał. Wiedziała, że to okropnie staroświeckie podejście, ale taka już była. Zawsze tak było i kosztowało to sporo bólu i łez. Wiązało się z tym wiele nieprzyjemnych wspomnień.

Teraz musiała wszystko... rozdzielić i posegregować. Musiała zignorować częśćkę mężczyzny, z którym dzieliła łóżko. To zagrażało wszystkiemu. Uczucia względem Thorne'a nie pozostawiały jej alternatywy, a te, które żywiła wobec Jeremy'ego, a było ich coraz mniej, sprawiały, że była skłonna się na to zdobyć. Musiała dokonać wyboru, choćby tymczasowo. Nie mogła myśleć o przyszłości z Thorne'em, mając w perspektywie gojenie ran, jakie uparł się, by zadać jej przeszłości. A jednak przyszłość z nim, jakkolwiek krótka miały to być związki, wydawała się jej jedyną możliwą do przyjęcia ewentualnością.

Przystanie na to. Choćby miała zatkać sobie dłońmi uszy i zacząć krzyczeć. Nie miała wyboru.

Pomyślała o Alison, tak oderwanej od wszystkiego. Bardzo pragnęła sprowadzić ją z powrotem. Jednakże biorąc pod uwagę strach, nienawiść i niedowierzanie, które zdawały się nieodłączną częścią wszystkiego wokół, mimowolnie coraz bardziej zastanawiała się, czy Alison nie było lepiej tam, gdzie się obecnie znajdowała. Włączyła radio. Okazało się, że nie ma nic ciekawego, ale i tak była już prawie przed domem.

Woda w wannie zaczęła robić się zimna.

Thorne usiadł i spojrział na zegarek leżący obok komórki na opuszczonej pokrywie sedesu. Prawie pierwsza w nocy

Leżał, całkiem nieruchomo, z głową pod wodą. Oczywiście miał otwarte i patrzył na sufit wirujący wysoko ponad nim, czekając, aż woda powyżej ustanie, i zastanawiając się, jak długo potrafi wstrzymać oddech. To była gra, w którą bawił się jako dziecko. Leżąc w wannie pełnej parującej gorącej wody, w wielkiej, starej, dudniącej echem łazience, udając trupa. Przestał to robić tamtej nocy, kiedy do łazienki weszła jego babcia i omal nie dostała apopleksji. Usiadł w wannie, gdy tylko zaczęła krzyczeć, ale nigdy już nie zapomni wyrazu jej twarzy

Od tamtej pory wielokrotnie widział podobny wyraz twarzy.

Zazwyczaj, kąpiąc się w wannie, wypijał kieliszek wina, ale tej nocy sobie odpuścił. Nie dlatego, że wypiłby za dużo. Zdarzało mu się to nieraz i nigdy nie miał z tym większych problemów. Po prostu uznał, że nie powinien dziś pić.

Nie we wtorek w nocy

Miał wrażenie, że tylko krok dzieli go od czegoś ważnego. Od ubiegłej nocy kilka razy zdarzyło mu się myśleć o Jan, ale nie w cikliwy czy sentymentalny sposób. Związek z Anne nie skłaniał go do rozważań o tym, co utracił. Wręcz przeciwnie, wcale za tym nie tęsknił. Nie tęsknił za przeszłością. Po prostu wspominał Jan.

A to mógł być początek końca koszmaru, w jaki przerodziła się ta trudna sprawa. Pomyślał o Hollandzie i Hendricksie odwalających za niego najgorszą robotę i miał nadzieję, że to, co się wydarzy nazajutrz, oszczędzi im dalszego trudu. Kto wie, może tak właśnie będzie. Może pójdzie jak po maśle. Na pewno nie wejdzie do gabinetu Keable'a, jakby złapał Pana Boga za nogi, ale na pewno nie będzie się przed nim płaszczyl.

Thorne wyszedł z wanny, wytarł się ręcznikiem i włożył szlafrok. Nie zwracając uwagi na plastikowy worek na śmieci w kuchni, podszedł do stereo i włączył *Grievous Angel* Grama Parsonsa. To facet, który nie umiał odmówić sobie drinka.

*Ale ty umiesz, Tommy.
Dziś lepiej nie, prawia? ?
Proszę, tylko nie dzii...*

Położył się na sofie, a myśli krążyły pod jego czaszką jak chmura tłustych czarnych much.

Chciał zadzwonić do Anne, ale uznał, że na pewno już się położyła. A jego ojciec z pewnością jeszcze nie spał. Choć kto wie, może Anne pracowała dziś do późna? Nie pamiętał. Czy James pojechał do domu i opowiedział ojcu o ich pogawędce? Zapewne tak. Czy Alison słyszała rozmowę telefoniczną w jej pokoju? Dziewczyna Hollanda za nim nie przepadała, to oczywiste. Jak do cholery miał załatwić łóżę przy White Hart Lane?

Ile lat miałyby dziś najstarsza córka Calverta? Dwadzieścia cztery? Dwadzieścia pięć?

Wino z pewnością zmaciłoby mu trochę umysł i niewątpliwie także by go spowolniło. On został na sofie, a wino w butelce. A jutro, kto to wie? Może będzie okazja, by coś uczcić.

Dziś wieczorem Jeremy Bishop miał dyżur.

Nie było mowy, aby zdołał usnąć, nie skorzystawszy z telefonu, więc zadzwonił. Bishop odebrał niemal natychmiast. Kiedy gładki ton stał się zniecierpliwiony, a potem przepełniony gniewem, Thorne rozłączył się i położył na sofie z telefonem w dłoni. Napięcie w jednej chwili zelżało i w jego miejsce pojawiło się znużenie. Skrzyżował przedramiona, tułąc do piersi telefon, i zamknął oczy.

Wsiadł do samochodu i siedział przez chwilę, aby się uspokoić. Miał ciężki dzień. Wyniknęły pewne sprawy, którymi musiał się zająć, i niemal zniweczyły jego plany na wieczór. Ale wszystko się jakoś ułoży.

Powoli zaczął się rozluźniać, zadowolony, że zostawił w domu wszystko przygotowane na wypadek, gdyby dopisało mu szczęście i przywiózł ze sobą gościa. Położył niezbędne rzeczy na fotelu pasażera. Kiedy nadejdzie czas, wszystko będzie można bez trudu schować do kieszeni. Żałował, że musiał zrezygnować z szampana, ale mogła

przecież widzieć tę kretyńską rekonstrukcję. Nie było takiej potrzeby, ale bądź co bądź, miało to pewną klasę. Szampan zawsze był markowy. Taittinger. Chciał, żeby na sam koniec posmakowały czegoś naprawdę wspaniałego - od tej pory ich gusty i smaki miały być bardzo ograniczone.

Rozmowy prowadzone, gdy czekał, aż narkotyk zacznie działać, choć zazwyczaj pobieżne, dawały mu jakieś takie pojęcie, z kim miał do czynienia. To było ważne. Trzydzieści minut z Alison pozwoliło mu poczuć się znacznie lepiej ze świadomością, że obdarza ją nowym życiem. W ciągu tych trzydziestu kilku minut pijackiego bredzenia rozumiał, przed jakim życiem ją uchronił. Od tej pory, jeżeli o to chodzi, była to swego rodzaju loteria.

Uśmiechnął się. To możesz być ty!

Miał nadzieję, że policja zrozumie, iż zmianę metody działania podyktowały mu czysto praktyczne pobudki. Nie chciał marnować czasu na bzdury. Ostatnim razem szampan, teraz strzykawka, ale to w gruncie rzeczy nieważne. Thorne by rozumiał. Może nie był już oficjalnie zaangażowany w sprawę, ale przecież to niczego nie zmieniało.

Uruchomił silnik i włączył światła. Czuł się pewny siebie i opanowany. Gdy tylko wróci do domu i zajmie się procedurą, nawet nie weźmie pod uwagę możliwości porażki. W wypadku innych, dopiero gdy światło na dobre gasło w ich oczach, to przerażające słowo pojawiała się w jego myślach.

Wyjął okulary i zaczął czyścić szkła, skupiając się na zadaniu, jakim było przygotowanie kolejnej pacjentki. Niestety nie obejdziesz się bez użycia siły, tak jak w wypadku Thorne'a, ale gdy tylko odnajdziesz żyłę, wszystko pójdzie gładko. Potem będzie musiał uciszyć ją na kilka minut, a miał na to swoje sposoby. Wystarczy coś ostrego i po krzyku. Kiedy tylko preparat zacznie działać i tak już nie będzie w stanie wydobyć z siebie głosu, nie powinien mieć zatem większych problemów.

Samochód ruszył, a on zaczął się zastanawiać, co zrobi, kiedy już

będzie po wszystkim. To mogło się skończyć na wiele różnych sposobów, ale on był ciekaw, jak z perspektywy czasu spojrzeć na obecne dokonania. Na to, co robił teraz. Na to, do czego został zmuszony. To byłoby dziwne znów zaczynać wszystko od początku, ale pewne rzeczy wspominałby z czułością. Zawsze będzie przecież Alison i inne jego udane osiągnięcia. Mógł się tym napawać. Poza tym z pewnością będzie wspominać i rozkoszować się symetrią wymierzonej bezlitośnie sprawiedliwości. Słuszna i zasłużona kara. Uśmiechnął się i zaczął nucić pod nosem melodyjkę. Ktoś na pewno pożałowałby, że zaciągnął go na występ Gilberta i Sullivana...

Skierował volvo w stronę West Endu i rozsiadł się leniwie w fotelu; już dawno nie czuł się tak dobrze.

Tak wiele zdołał osiągnąć dzięki swoim umiejętnościom i potędze wściekłości, która go przepelniała.

Jak już mówiłam, niektóre dni są lepsze od innych...

To pierwszy żart, jaki opowiem Anne.

Wyobraźcie sobie młodą, atrakcyjną, seksowną pannę Ziemniak, która wraca pewnej nocy do domu z dyskoteki po upojonej imprezie z koleżankami, panną Pasternakiem i panną Rzepą, gdy nagle zostaje zaatakowana przez wściekłą Marchewkę. Marchewa robi z nią najgorsze rzeczy, jakie tylko można sobie wyobrazić, i panna Ziemniak trafia do szpitala. Cała jest potłuczona i obrana ze skórki, leży i jedyne, co w niej nie ucierpiało, to małe czarne oczka. Ziemniaczane, znaczy się. Następnego dnia chłopak panny Ziemniak, wysoki, przystojny Szwed, przychodzi do szpitala, rozmawia z lekarzem i ze łzami w oczach pyta: Jakie są rokowania, panie doktorze? Lekarz patrzy na tę żalostną, zmaltretowaną istotę, która była panną Ziemniak, i mówi: Bardzo mi przykro, ale już do końca życia pozostanie warzywem.

13.

Brigstocke podejrzewał, że chodzi o kaca. - Wyśpij się - to nie była typowa odpowiedź dla kogoś, kto dzwonił, by zgłosić, że jest chory, ale Thorne nie zamierzał się z nim spierać. Brigstocke pracował z nim wcześniej i było to uzasadnione przypuszczenie. Bardzo szybko jednak zacznie tracić cierpliwość i pójdzie na skargę do przełożonych. Thorne wiedział, że nie ma wiele czasu. Ale też nie potrzebował go dużo.

Rzut oka za okno skłonił go do podjęcia decyzji. Pogoda była przepiękna. Postanowił pojechać kolejką, linią Thameslink z Kentish Town do Tulse Hill. Dojazd był bezpośredni i stwarzał miłą alternatywę dla nużącej jazdy samochodem czy dusznymi, zatłoczonymi wagonami metra. Nigdy nie przepadał za metrem. Thorne'owi nieuchronnie kojarzyło się ono z linią północną, którą, co ciekawe, wybierało najwięcej samobójców pragnących zakończyć życie, rzucając się pod pociąg. Domyślał się, że chyba w chwilach niewyczerpanej rozpaczycy musieli myśleć o innych. Skoro i tak chcesz narobić bałaganu w komunikacji miejskiej, to czemu nie narozrabiać na tej linii, gdzie w ogólnym chaosie i bałaganie będzie to praktycznie niezauważalne?

Thorne już dawno temu postanowił, że gdyby zdobył się na taki krok, wybrałby garść pigulek popitych czerwonym winem przy dźwiękach piosenek Hanka Williamsa. Wszystko inne byłoby zwykłym popisywaniem się.

Choć trzeba przyznać, że niektórym z lufą w ustach jest do twarzy
Wyjrzał przez okno, gdy pociąg z turkotem toczył się przez most Blackfriars. Jeżeli na południe od rzeki faktycznie rozciągał się inny świat, to była właśnie jego granica. Południowy zachód to tereny o wiele bardziej stateczne i wytworne, podobnie jak Clapham, Richmond i, rzecz jasna, Battersea. W południowo-wschodnim Londynie też były miłe miejsca, on sam lubił Greenwich i Blackheath,

ale ta część miasta wyglądała w porównaniu z innymi jak strefa wojny Południowo-wschodni Londyn nie potrzebował glin, tylko sił pokojowych ONZ. Nawet teraz w mordowniach Bermondsey i New Cross szwendały się typy, na których widok Slobodan Milosevic narobiłby w gacie.

Otworzył aktówkę i ponownie rzucił okiem na zdjęcia. Wyglądały jak zrobione przez tajnego funkcjonariusza operacyjnego. Bethell miały szansę zrobić karierę, gdyby kiedykolwiek postanowił rzucić porno-biznes. Bishop był fotogeniczny, skądinąd Thorne spodziewał się tego, choć gdyby na jego ustach nie gościł uśmiech, cała twarz wydawałaby się surowa, niemal sroga.

Thorne przejrzał wszystkie zdjęcia. Na jednym z nich widać było Jamesa idącego w stronę domu po konfrontacji z Bethellem. Oglądał się przez ramię, usiłując zgrywać twardziela. Bez powodzenia. Thorne zastanawiał się, czy chłopak miał dziewczynę. Zapewne jakąś brzydulę o końskiej szczęce, dziewczynę imieniem Charlotte, lubiącą, by mówić do niej Charlie, ubierającą się na czarno, a w niedzielne popołudnia łykającą całymi garściami pigułki w Camden Lock. Szukał najlepszego zdjęcia, tego, na którym Bishop patrzył prosto w obiektyw aparatu. Może usłyszał, że Bethell kręci się w pobliżu, albo zauważył strzechę tlenionych na blond włosów wystającą spomiędzy krzewów. Nie było go tam jednak, a Thorne zorientował się, gdzie je zostawił. Telefon, który odebrał w pokoju Alison, tak go wytrącił z równowagi, że całkiem zapomniał, po co tam przyszedł. Może pielęgniarzka znalazła je i wyrzuciła. Mało prawdopodobne. Anne prawie na pewno natknęła się na nie, co oznaczało, że będzie musiał się jej z tego jakoś wytłumaczyć. Ale do tego czasu okaże się, że było warto i ona się myliła. Wolne żarty. Czy miał rację, czy nie, zastosowany przez niego fortel bez wątpienia sprawi, że to, co się wydarzyło między nimi dwie noce temu, będzie tylko jednorazowym incydentem.

Siedzący obok niego staruszek udawał, że czyta gazetę, ale przy każdej nadarzającej się okazji zerkał na zdjęcia leżące na udach Thorne'a. Może sądził, że Thorne jest jakimś szpiegiem albo podstępny paparazzo. Może myślał, że to Thorne zabił jego ukochaną księżnę.

Tak czy owak, stawało się to nie do zniesienia. Thorne uniósł jedno ze zdjęć i odwrócił tak, by starszek mógł mu się dobrze przyjrzeć. Tamten czym prędzej wlepił wzrok w gazetę. Thorne pochylił się i wyszeptał konspiracyjnie: - W porządku. To tylko lekarz.

Starszek nie spojrzął na niego przez resztę podróży.

Dom Margaret Byrne znajdował się pięć minut drogi pieszo od dworca. Thorne nie znał dobrze tej okolicy, ale wydawała się ona dziwnie spokojna, panowała tu atmosfera jak na przedmieściu, zważywszy że Brixton było dwie minuty stąd. Thorne w 1981 roku pracował tam jako funkcjonariusz policji. Nigdy nie czuł się równie znienawidzony. On i inni funkcjonariusze pocieszali się myślą, że nie chodziło o nic więcej jak o możliwość wyżycia się w starciach z policją. Idealną okazję do podpalenia paru radiowozów i załapania się w telewizji. Wydarzenia, w jakich uczestniczył od tamtego czasu, uświadomiły mu, że się pomylił. A Stephen Lawrence odmienił wszystko.

Thorne nacisnął przycisk dzwonka i czekał. Zasłony we frontowych wykuszach były zaciągnięte. Sypialnia, jak się domyślił. Spojrzął na zegarek - spóźnił się zaledwie dziesięć minut. Raz jeszcze zadzwonił do drzwi. Rozejrzał się dokoła w nadziei, że zobaczy właścicielkę domu zmierzającą w jego stronę z siatkami pełnymi zakupów czy uchylającą drzwi, aby zabrać mleko sprzed progu, ale dostrzegł jedynie kobietę w domu obok przyglądającą mu się podejrzliwie. On też popatrzył na nią spode łba.

Thorne podszedł do okna i spróbował zajrzeć do środka przez szczelinę między zielonymi zasłonami, jednak w mieszkaniu było ciemno. Odwrócił się, by stwierdzić, że kobieta z przeciwka wciąż się na niego gapiała. Zaczął go ogarniać niepokój.

Uspokój się, Tommy. Ona pewnie przysnęła.

O Jezu, nie teraz.

Po prawej stronie było niewielkie przejście, zablokowane jednak dwoma ciemnymi plastikowymi koszami na śmieci. Thorne przegramolił się nad nimi i ruszył dalej w głąb przejścia. Bramka była zamknięta na klucz. Przerzucił aktówkę nad bramką i cofnął się, by

przywlec tu jeden z koszy na śmieci. Domyślał się, że działaczka ze straży obywatelskiej naprzeciwko do tego czasu na pewno zawiadomiła już policję.

Próbował opuścić się jak najniżej po drugiej stronie bramki, ale zeskakując na patio, aż zgrzytnął zębami. Niewielki ogródek wyglądał skromnie i schludnie. Na sznurze wisiały bluzki i płócienne spodnie.

Tylne drzwi zostały sforsowane.

Wiedział, że powinien otworzyć furtkę i wrócić na przód domu.

Wiedział, że powinien zadzwonić po posiłki.

Wiedział, że nie sięgnie po telefon, który miał w kieszeni.

Fala adrenaliny, jaka wypełniła jego ciało, zaskoczyła go, zapierając mu dech. Poczul też strach zalewający go od stóp do głów, sprawiający, że mimowolnie zacisnął dłonie w pięści i z trudem zapanował nad zwieraczami. To był odruch - walczyć czy uciekać - w najbardziej podstawowej postaci.

Walczyć czy uciekać. Wybór był oczywisty

Thorne miał wrażenie, że skóra ześlizguje się z jego ciała i opada na podłogę jak stary płaszcz. Czuł, jak wibrują jego zakończenia nerwowe, obnażone i krwawiące, a jego zmysły boleśnie się wyostrzyły. Wiatr hulający wśród drzew tworzył istną kakofonię dźwięków. Twarz w odległym oknie wydawała się zimna i niewzruszona, nieludzka. Czuł dziwny smak w ustach i silną woń przepełniającą powietrze. Jak cynfolia na plombie.

Gdy uchylił drzwi i odruchowo napiął mięśnie, nie usłyszał teatralnego skrzypnięcia. Wszedł do niewielkiej kuchni. Powierzchnie były tu nieskazitelne, ścierka przewieszona przez oparcie krzesła, naczynia ustawione w rzędzie na suszarce. Thorne stłumił w sobie impuls, aby sięgnąć po nóż do chleba, i znieruchomiał, usiłując opanować oddech. Po lewej miał otwarte drzwi wiodące do dużego pokoju. Prześlizgnął się bezgłośnie po linoleum i spenetrował pomieszczenie wzrokiem. Było puste. Brązowy dywan wydawał się nowy, ale to chyba pierwszy i jedyny element mający odświeżyć wystrój wnętrza - pokój wyglądał na zapuszczony i zaniedbany. Thorne szybkim krokiem przemaszerował przez pokój, wziął głęboki oddech i otworzył drzwi po drugiej stronie.

Znalazł się w słabo oświetlonym holu wiodącym do drzwi frontowych. Naprzeciw niego znajdowały się jeszcze dwa pokoje. Za drzwiami po prawej, bliżej drzwi, zapewne znajdowała się sypialnia; drugie prowadziły, jak się domyślał, do toalety.

Mimo to warto było spróbować. - Pani Byrne?

Nic.

Zza drugich drzwi usłyszał cichy, zduszony stukot. Równie cichy jak dudnienie jego serca.

Zawsze wszystko sprowadza się do ostatnich drzwi, Tommy.

Otwórz je...

Ona zaraz wejdzie drzwiami frontowymi, a ty wyjdiesz na idiotę.

Thorne otworzył drzwi.

Krzyknął, zataczając się do tyłu wskutek nagłego szoku, kiedy coś z sykiem wyskoczyło zza drzwi, obijając się o jego nogi. Odepchnął się od ściany i patrzył z sercem wyrrywającym mu się z piersi na kota wbiegającego do pokoju. Usłyszał skrzypnięcie, gdy zwierzę wypadło przez uchyloną klapkę w drzwiach kuchennych.

I wtedy to poczuł.

Woń kocich odchodów i czegoś jeszcze. Czegoś bardziej znajomego i o wiele bardziej odrażającego. Soczysty metaliczny posmak, tak silny, że mógłby zlizywać go z powietrza. Jak dotknięcie językiem końcówek niemal całkiem rozładowanej baterii.

Był zrezygnowany z powodu znacznie gorszych rzeczy...

Zrezygnowany z powodu nieuchronności tego, co miał zaraz zobaczyć, Thorne postąpił naprzód, do ciemnego pokoju, i zaczął szukać dłonią włącznika światła.

Były tu jeszcze cztery koty. Jeden patrzył na niego ze szczytu szafy, podczas gdy drugi leniwie zeskoczył z polerowanej toaletki. Dwa inne były na łóżku. Leżały zwinięte w kłębek na ciele Margaret Byrne.

Leżała wyprężona jak struna po lewej stronie łóżka, z rękami wzdłuż boków i głową zwróconą ku niemu. Jedno oko było na w pół otwarte, ale nie tak bardzo jak szkarłatny uśmiech rysujący się na jej szyi; rana rozwarła się pod wpływem kąta ułożenia głowy na poduszce.

Chryste Panie...

Krew rozlała się w kałużę pod jej obojczykiem i po lewym boku spłynęła na kołdrę, z której wciąż jeszcze ściekała na wzorzysty niebieski dywan. Jedna strona jej różowej bluzki była przesiąknięta czerwienią. O mniej więcej stopę od miejsca, gdzie Thorne stał jak wrośnięty w ziemię, widniała kolejna plama krwi, już wsiąknięta i zbrązowiała. Na całym dywanie widać było mniejsze, rozbryźnięte ślady, sięgające aż do ściany po drugiej stronie łóżka. Od razu zorientował się, że to tam została zaszlachtowana, zanim położono ją na łóżku, aby umarła. By zabójca mógł na to patrzeć.

Coś błysnęło na dywanie obok łóżka i przykuło jego wzrok. Może kolczyk. Zauważył też naszyjnik, pierścionki i drewnianą szkatułkę na biżuterię leżącą na boku pod ścianą.

Margaret Byrne próbowała ocalić te kilka drobiazgów, które były dla niej cenne. Ale mężczyzna, przed którym pragnęła je uchronić, nie przyszedł, aby ją obrabować.

Znów ten wewnętrzny nakaz przestrzegania zasad procedury. Ingerował w miejsce zbrodni. Musiał stąd wyjść.

Żałował, że nie spytał o nią Hollanda, kiedy miał okazję. Teraz musiał stać w wyłożonej dywanem cuchnącej jatce i samemu to wszystko poskładać. Nietrudno mu było zorientować się, jaka była. Koty i starannie poustawiane buteleczki oraz słoiki na toaletce powiedziały mu wystarczająco dużo. Sięgnął za siebie w poszukiwaniu dającej oparcie ściany i osunął się po niej na podłogę. Kot zaczął węszyć wokół, małe czarno-białe zwierzątko podeszło po chwili i zaczęło trącać go pyszczkiem w golenie. Thorne sięgnął do kieszeni po telefon i przytrzymał aparat między kolanami.

Chciał zostać z Margaret jeszcze przez pewien czas, zanim zdecyduje się zadzwonić.

Kiedy zjawiły się samochody, Thorne siedział na progu, patrząc na kobietę w oknie naprzeciwko. Kot, który nie chciał go opuścić, zwinął się wygodnie w kłębek na jego nogach. Holland podszedł i stanął przy

nim. Kilka chwil później Thorne uniósł wzrok i uśmiechnął się krzywo. Spodziewał się zobaczyć Tughana i aż odetchnął z ulgą, gdy stwierdził, że go nie ma. Nigdzie nie zauważył też Brewera.

- Dostałeś awans, Holland?

Holland nie odpowiedział. Przypominając sobie rozmowę z Maggie Byrne w tym samym miejscu dzień wcześniej, był o jedno słowo, o jedno uderzenie serca od łez. Thorne patrzył na techników wyciągających swój sprzęt z furgonetki. Przed kwadransem czuł się tak samo jak Holland, teraz jednak powoli zaczął go ogarniać niezwykle spokój.

- On wykonał na niej wyrok, Dave. Włamał się do jej domu i zwyczajnie wykonał wyrok.

Holland spojrzał na niego raz jeszcze i takim samym tonem z niewzruszonym wyrazem twarzy oznajmił:

- Miał pracowitą noc.

CZEŚĆ TRZECIA

SŁOWA

Dziś rzucę Tima. Czy to wydaje się wam nagłe i niespodziewane? Przykro mi, wiem, że to wypadło tak ni stąd, ni zowąd i może powinnam stopniować nieco napięcie, ale myślałam o tym już od dłuższego czasu.

Myślałam o tym.

Jakbym mogła robić cokolwiek innego. Nie bardzo mam możliwość pogadania o problemach z chłopakiem, z moją najlepszą przyjaciółką, nawet gdybym wiedziała na pewno, że nadal ją mam. Cóż, mogłabym, ale byłyby to najnudniejsze babskie ploty w historii. Woda i tablica to raczej marny substytut wody, fajek i pizzy z dostawą do domu.

A gapienie się w przestrzeń bywa mało śmieszne, prawda?

Mimo to sporo myślałam o Timie i o tym, jaki jest nieszczęśliwy. To stara śpiewka, wiem, ale robię to dla jego dobra, nie dla siebie. Mam na myśli to, że go rzucam. Nie zamierzam silić się na banały w rodzaju „kocham cię, ale nie możemy być razem” czy „zostańmy przyjaciółmi”. Szczerze mówiąc, sama jeszcze nie wiem, co mu powiem. Ha! Powiem! Oczywiście miałam na myśli mruganie i drganie powieki, podczas gdy ten nieszczęśnik będzie siedział z uśmiechem przyklejonym do twarzy i zastanawiał się, co też dziś mi zaaplikowali.

Właściwie nic mi już nie pozostaje, nie mam żadnych perspektyw, nic, dla czego warto żyć, a w każdym razie takich sytuacji nie widuje się w kinie ani w telewizji. Łzawych pożegnań ze śmiertelnie chorymi ukochanymi osobami jest na pęczki, natomiast taka sytuacja jest jedna w swoim rodzaju. Nigdy nie widziałam czegoś takiego w żadnym odcinku „EastEnders „ czy „Brookside”. Oczywiście to zapewne tylko kwestia czasu. Za parę miesięcy wprowadzą taki wątek. Trochę go podkolorują. Zapewne przed świętami na koniec odcinka pojawi się jakiś dramatyczny zwrot akcji, w którym tragiczna, lecz wciąż seksowna młoda kobieta leżąca w szpitalnym łóżku mruga jak oszalała, podczas gdy jej atletyczny chłopak klęczy obok, szlochając jak bóbr i zapewniając, że niezależnie od wszystkiego w dalszym ciągu ją kocha.

Taa, no jasne...

Nie wiem jeszcze jak, ale muszę to zrobić. Do tej pory tylko raz rzuciłam chłopaka. Miałam siedemnaście lat, a on na imprezie obmacywał jedną z moich koleżanek. Wetknął jej rękę pod biustonosz, podczas gdy ja stałam w kolejce do toalety. Cóż, tamta akcja poszła mi dość szybko i sprawnie, ale pamiętajcie, że trzymałam wtedy pion i nadal mogłam mówić.

W moim obecnym stanie zapowiada się na jeden wielki koszmar.

Wiem, że uwalniając od siebie Tima, mogę niektórym wydawać się niemal świętą, ale prawda jest taka, że robię to z czysto egoistycznych pobudek.

Bo wiem, że on nigdy by się na to nie zdobył.

A ja nie zniosłabym wyrazu bólu w jego oczach, kiedy na mnie patrzy. On nie wie, co robić, i chwala Bogu. Mówi bardzo wolno. Mówi i używa wskaźnika, tak jak go nauczyła Anne, ale wiem, że nie może tego znieść. Zawsze był miękki, jeżeli chodzi o szpitale, krew i takie tam...

Powiedział, że chciałby, aby to raczej spotkało jego niż mnie. Wierzę mu. Wierzę, że naprawdę tak myśli. Zanim powiem mu, że jest wolny, że może odejść i znaleźć sobie kogoś innego, aby nie zabrzmiało to jak banal, powinnam dodać, że jeśli kiedykolwiek stąd wyjdę i stanę na nogi, lepiej, aby wrócił do mnie w te pędy, a ja nawet słowem nie zapytam go, gdzie był i co robił ani tym bardziej z kim.

Prawda jest prosta. On nie może znieść widoku, jak cierpię, a ja czuję to samo względem niego. Poza tym przez cały czas, kiedy jest ze mną, wydaje się przybity i to moja wina. Jestem mierzącym metr pięćdziesiąt ludzkim wrakiem, spieprzonym bardziej, niż ustawa przewiduje, nie mogę ruszyć ani jednym mięśniem, a mimo to wyciskam z niego życie. Najlepiej zakończyć to raz na zawsze. Zdecydowanie. Dobór słów pewnie będzie pozostawiał wiele do życzenia, ale nie należę już do najbardziej wygadanych osób.

To mu się nie spodoba. Zapewne się rozplacze, zacznie krzyczeć albo całkiem się rozklei. Ale to akurat dobrze, nic tak nie porusza pielęgniarek jak łzawa scena, a kiedy wróci do domu i zastanowi się

nad tym, niewątpliwie odetchnie z ulgą. Na miłość boską, przecież w najlepszym razie, biorąc pod uwagę najbardziej optymistyczny wariant, mogę liczyć co najwyżej na wózek inwalidzki i komputer, o ile, rzecz jasna, któreś z nas wygra na loterii, aby mieć na to wszystko fundusze, bo w najlepszym razie będę równie sprawna co dwulatki, którymi się zajmowałam, a nie życzyłabym tego nikomu.

Timowi na mnie zależy, wiem o tym. Ale nie mogłabym znieść, że byłby ze mną z litości. Związek z miłości jest piękny. Z litości - żaloszny.

A troszczyć się o kogoś nie oznacza opiekować się nim jak małym dzieckiem, prawda?

Tak więc, Tim, możesz uważać się za szczęściarza, chłopie, i już zawczasu proszę, wybaczyć, jeżeli w momencie kulminacyjnym twego ślubu z jakąś olśniewającą, piękną, dzianą blondyną, w chwili, gdy ksiądz wyrecytuje słowa: „Jeżeli ktoś wie o czymś, co mogłoby stanąć na przeszkodzie w zawarciu tego związku... „, drzwi do kościoła z trzaskiem otworzą się na oścież i z piskiem nieoliwionych kół wjedzie do środka kaleka na wózku. Wtedy zwyczajnie mnie zignoruj i róbcie dalej swoje. Pewnie będę pijana w trzy dupy.

Do diabła ze mną, słyszałeś, co mówiłam wcześniej?

Jeżeli kiedykolwiek stąd wyjdę.

Jeżeli...

14.

Kotka siedziała i patrzyła zadowolona, nawet nie mrugając, podczas gdy kobieta, która ją kochała, została uderzona w tył głowy i wykrwawiła się jak zaszlachtowana świnia. Teraz siedziała, wpatrując się w oblicze mężczyzny, który nie rozumiał tego podobnie jak ona. Unosiła się i opadała w rytm jego oddechu, unosiła się, opadała i patrzyła mu w oczy. Były zamknięte, ale obserwowała ruchy jego gałek ocznych drgających nerwowo pod powiekami niczym maleńkie uwięzione zwierzątka. Szukające wyjścia. Albo słabego punktu. I tak napierały na powieki, grożąc przebicciem się przez cienką jak papier skórę...

...a Maggie Byrne uśmiechnęła się, leżąc na łóżku.

Zrzuciła buty i potarła stopą o stopę. Usłyszał szelest jej nylonowych rajstop. Powiedział coś, może żart. Odrzuciła głowę do tyłu, żeby się zaśmiać, i czerwona kreska pod jej podbródkiem zaczęła się poszerzać. Zaczerwieniła się i sięgnęła po chustkę, a on powiedział jej, że to nieważne, lecz ona zaczęła płakać. Pokręciła głowę, szlochała i próbowała obwiązać szyję chustką. Szczelina rozszerzała się coraz bardziej. Szyja, już nie tak chuda, była cała rozplataną. Różowa, a głębiej ciemnoszara i czerwona.

Jego słowa nie były jej w stanie pocieszyć. Próbował ją objąć, ale ręce ześlizgnęły się z jej szyi. Dłonie przesunęły się po jej obojczyku, a palce odnalazły ranę i zagłębiły się w wilgotnym wnętrzu.

Sprawdzały, czy była świeża.

Maggie Byrne próbowała krzyknąć, ale z otworu w jej szyi dobył się tylko cichy świst.

Otworzył oczy...

Nie spał, a to nie był sen. Tylko jakaś groteskowa scenka. Wspomnienie przetworzone i wypaczone przez wyobraźnię. Żyło w upiornym, mrocznym zakamarku jego podświadomości, która bawiła się w najlepsze.

Otworzył oczy...

I czekał, aż obrazy się rozmyją i staną odległe. Leżał na sofie, wsłuchując się w zwalniający rytm swego serca. Nie czuł już kropel potu na twarzy.

Aż do następnego razu.

Otworzył oczy i spojrzał na kotkę siedzącą na jego klatce piersiowej.

- Spadaj, Elvis!

Kotka zeskoczyła z Thorne'a i podreptała do sypialni. Maggie była wielbicielką Elvisa i nadała kotce imię, zanim jeszcze poznała jego płęć. Zawsze uważała, że to zabawne. Sally Byrne zabrała kilka kotów matki ze sobą, do Edynburga, a pozostałe trafiły do schroniska, ale Elvis należał do Thorne'a od chwili, gdy ten otworzył drzwi do sypialni Maggie i poczuł w nozdrzach woń krwi. Sally powiedziała, że kotka aż się prosi, by wziął ją do siebie. Jakby go potrzebowała.

I tak jakby on potrzebował jej.

Minęły ponad dwa tygodnie, odkąd otworzył tamte drzwi do sypialni. Dwadzieścia cztery godziny temu odbył się pogrzeb Margaret Byrne. Thorne nie wiedział, kiedy miano pochować Leonie Holden. Jak to określił kiedyś Nick Tughan, w tej kwestii „wypadł z obiegu”. Możliwe, że już ją pochowano. Znalezione ją kilka godzin po tym, jak odkrył zwłoki Maggie Byrne, i jeśli Phil Hendricks miał potrzebne mu fragmenty jej ciała umieszczone w skrupulatnie oznakowanych słojach, zostało ono już zwrócone tym, dla których wciąż coś znaczyło. Którzy mieli ją w swych sercach i pamięci. Aby mogli się z nią pożegnać.

Oczywiście na jej pogrzebie była obecna oficjalna delegacja. Często przysyłano tylko kwiaty, ale oczyma duszy widział Tughana, ubranego na czarno jak zabójca i stojącego w głębi kościelnej nawy. Zastanawiał się, czy Frank Keable też się tam pojawił. Albo ktoś z samej góry. Gdyby liczba ofiar wciąż rosła, na pewno musieliby przysłać komisarza. Wąty uśmiech i wieńce z białych lilii ze wstęgą z napisem: „Przykro nam, czynimy, co w naszej mocy”.

Thorne nie miał w zwyczaju chadzać na pogrzeby swoich ofiar... ofiar śledztw, które prowadził... które poniosły śmierć w trakcie dochodzenia. Bywał na nich od czasu do czasu, kiedy uważał, że na pogrzebie może pojawić się zabójca. Stał zwykle z boku, obserwując żałobników i szukając kogoś, kto nie pasował do pozostałych. Ale na pogrzebie tych ofiar zabójca raczej się nie pokaże. Bo ten zabójca chciał zapomnieć o umarłych. To były jego porażki.

Thorne z konsternacją uświadomił sobie, że nie wie, kiedy odbył się pogrzeb Helen Doyle. Bo oczywiście została ona pogrzebana, a nie skremowana. Na wypadek, gdyby trzeba było przeprowadzić powtórny autopsję albo gdyby zażyczył sobie tego później oskarżony

Nawet kiedy stała się martwa, jej ciało nie należało do niej.

Thorne opuścił stopy na podłogę, usiadł i przetarł piekące od potu oczy. Umierał z głodu. Zaczęła go boleć głowa.

Pora przestać się ukrywać.

Pojawił się na krótko, by złożyć Margaret Byrne wyrazy szacunku, których, jak sądził, nie doczekała się za życia. Uściskał córkę kobiety, którą poznał dopiero po jej śmierci. Przytulił ją mocno, gdy szlochała. Zaśmiał się, gdy mówiła o kotach, i pomachał do niej, kiedy wsiadała do karawanu.

Rozejrzał się po niemal pustym kościele, by ujrzeć Dave a Hollanda, który siedział sztywno, z kamienną twarzą, jak uczeń w przyciasnym garniturku. Skinęli jeden do drugiego i błyskawicznie odwrócili wzrok. W sytuacji, gdy wciąż szukano kozła ofiarnego, najlepiej było trzymać się na dystans. Lepiej nie nadstawiać karku bez potrzeby.

Thorne był już na dywaniku i jego wyjaśnienia nie zostały przyjęte z wyrozumiałością. Wiedzieli, że to Holland powiedział mu o Margaret Byrne i podał jej adres. Nie mogli tego udowodnić, ale wiedzieli. To niczego nie zmieniało. Nie wyjaśniało, skąd dowiedział się o niej zabójca. Ani skąd zabójca wiedział, że Thorne jest bliski zidentyfikowania go. Ani tym bardziej, jak zabójca zdołał usunąć ciężące nad nim zagrożenie, zanim spokojnie, bez pośpiechu zamordował Leonie Holden.

Nie było prostych wyjaśnień, ale wszyscy uznali to za oczywiste, że Thorne nie powinien był się zbliżać do Margaret Byrne. Nie miał czego u niej szukać. To wydawało się podejrzane.

Czuł się odpowiedzialny.

Margaret Byrne umarła z powodu tego, co mogła mu powiedzieć. To było oczywiste, że umarła, ponieważ Thorne wiedział, kto jest zabójcą, a ona mogła go zidentyfikować, i dlatego że w łańcuchu dowodzenia operacją, w której kiedyś uczestniczył, była dziura tak wielka, że mogłaby wchłonąć Titanica.

Thorne mógł się domyślać, kto był odpowiedzialny za ten przeciek, ale nie potrafił odpowiedzieć na pytania jak i dlaczego. To, co wiedziała prasa, nigdy nie było utajnione. Odpowiedź na pierwsze pytanie kryła się na koncie bankowym jakiegoś konstabla mającego długi hazardowe albo sierżanta, któremu trudno było zdobyć pieniądze na zaległe alimenty. Ale w tym wypadku było inaczej. Ten przeciek doprowadził zabójcę uzbrojonego w metalowy pręt i skalpel wprost do drzwi mieszkania Margaret Byrne. To było coś znacznie bardziej złowieszczego, co o wiele zazdrośniej strzegło swych tajemnic.

Zwarto szeregi. Zwiększono czujność. Wskazano winnych. Jak na razie przynajmniej dla Thorne'a wszystko wróciło do równowagi. Keable kazał mu zwyczajnie siedzieć i czekać. Thorne nie próbował oponować. Miał kłopoty, a decyzje w jego sprawie zapadną na wyższym szczeblu. To brzmiało rozsądnie, ale Thorne wiedział, że Keable po prostu nie wiedział, co ma z nim zrobić.

A Thorne miał już dość beczynnego siedzenia i czekania.

Tępy ból głowy przybrał na sile. Wstał i poszedł do łazienki po aspirynę, ale jego wzrok przykuła mrugająca czerwona lampka na stole przy drzwiach frontowych. Miał nagraną wiadomość.

„To tylko ja, tato. Zadzwonił, kiedy będziesz miał wolną chwilę”.

„Tom... Tu Anne. Zadzwonię jeszcze”.

A potem głos, którego nie rozpoznał. Kobięcy głos. Cichy Pełen wahania. Zduszony...

Witam. Nie znamy się. Nazywam się Leonie Holden, zostałam zamordowana mniej więcej przed tygodniem. W przyszłym tygodniu skończyłabym dwadzieścia cztery lata, a teraz jestem sama, jest mi zimno i szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, kto komu co mówi, mam gdzieś pańską karierę czy porównywanie włókien i byłabym wdzięczna, gdyby mógł pan spróbować jakoś to wszystko rozwikłać. No wie pan...

Otworzył oczy.

Zimny prysznic. I gorąca kawa. Prawdziwe wiadomości na prawdziwej automatycznej sekretarce.

Pora przestać się ukrywać.

Głosy pełne niepokoju. Jego ojciec, dwukrotnie. Anne, dwukrotnie. Phil Hendricks chciał pogadać i Keable wciąż starał się ocalić jego karierę czy coś takiego. Sally Byrne chciała wiedzieć, co z kotem. Dave Holland...

A Thorne chciał wyjść z mieszkania i porozmawiać z nimi wszystkimi, ale w przerwach pomiędzy komunikatami cisza zdawała się mówić głosem donośniejszym niż wszystkie inne. Szeptala słowa, które eksplodowały pod jego czaszką mniej więcej przed tygodniem, a które teraz dzień i noc krążyły w jego mózgu niczym wstrząsy wtórne. Wciąż je słyszał, pełne nieskrywanego triumfu, wypowiedane zimnym, dziwnie pozbawionym akcentu głosem Tughana. Słowa, które wciąż wprawiały go w otępienie i niewypowiedziane pojawiały się w każdej jego rozmowie z Anne Coburn, Philem Hendricksem, Frankiem Keable'em, Davem Hollandem i całą resztą.

Jeremy Bishop ma niepodważalnie alibi.

Jeremy Bishop nie mógł zabić Margaret Byrne.

Pora lunchu. Kanapki i napój energetyczny z delikatesów, a potem przechadzka po zatłoczonych ulicach Bloomsbury, aby pogapić się na umierających.

Wciąż jeszcze czuł falę drgań, które przeszły jego ramię, gdy strzaskał czaszkę Margaret Byrne. Poczul, że pęka niczym miętówka wskutek uderzenia metalowym prętem. To zamknęło jej usta. Głupia

krowa piszczala i biegala od pokoju do pokoju, kiedy kopniakiem wywazyl wate tylne drzwi. To trwało zaledwie kilka sekund, ale wciąż się zastanawiał, gdy wszedł za nią do sypialni i podszedł do niej z tyłu, czy sąsiedzi zdołali to wszystko usłyszeć. Kiedy schwycił ją jedną ręką za podbródek i przytrzymał, a prawą sięgnął do kieszeni po skalpel, stwierdził, że wszystko będzie dobrze. Pewnie uznają, że telewizor był nastawiony zbyt głośno. Nie ma się czym przejmować.

Ktoś mógł go widzieć. Wcześniej, mijając sąsiedni dom, zauważył podejrzaną ruchy zasłon, ale na dłuższą metę to mogło wyjść mu tylko na korzyść, potraktuje to jako nieoczekiwaną premię, pomijając fakt, że w pewnych kręgach mogło wywołać nie lada zamieszanie. Biżuteria na podłodze na pewno też trochę pomiesza im szyki. Raczej nie uznają tego za nieudane włamanie, ale gdyby doszło do szamotaniny? Może ta biedaczka sądziła, że chciał ją okraść? To bez znaczenia.

Cokolwiek podejrzewali, byli w błędzie.

Wciąż czuł podniecenie, gdy ostrze przesuwało się po jej tchawicy. Gdy buchnęła krew, rozbryzgując się szeroką strugą, bezgłośnie na gruby, paskudny dywan, wbił jej kolano w kręgosłup, na wysokości nerek, i zaczął wlec ją w stronę łóżka, modląc się w duchu, aby starczyło mu czasu na zrobienie tego we właściwy sposób.

Wciąż słyszał mruczenie kotów, jedyny dźwięk, który zakłócał ciszę, gdy tak stał i patrzył, jak wypływa z niej życie. Gdyby miał dość czasu, mógłby upozorować samobójstwo. Dzięki temu obyłyby się bez zamieszania. Żadnych problemów ze zgraniem w czasie poszczególnych wydarzeń.

Musiał jednak uporać się z nią możliwie jak najszybciej i zrobił to, co było konieczne. Teraz zdał sobie sprawę, że pośpiech i to, że musiał zarzucić wcześniejszy plan, przyczyniły się do jego porażki z dziewczyną z autobusu.

Leonie, tak miała na imię. Napisano to w gazetach. Oczywiście nie mieli czasu wystarczająco się poznać.

To mu nie pomogło, był o tym przekonany. Nie był odpowiednio spokojny i wyciszony Podniecenie spowodowane przez wcześniejsze

wydarzenia sprawiło, że stał się niezdarny i stracił wycucie czasu. Jeżeli chodzi o samobójstwo, zrobiliby to ostrożnie, powoli. Tak laik. Równoległe cięcie w poprzek nadgarstków, w przeciwieństwie do pionowego, od przegubu po łokieć, wzdłuż arterii promieniowej, które jest skuteczniejsze, ale mogłoby wzbudzić niepotrzebne podejrzenia. A może nawet nie zwróciliby na to uwagi. Wszystko zajmowało im całe wieki.

Musiał jednak brać pod uwagę Toma Thorne'a. Jak zwykle. Nie wiedział, kiedy konkretnie Thorne zamierza odwiedzić Margaret Byrne, ale wątpił, aby miała wielu gości, toteż wszystko wskazywało na to, że mu się poszczęści. Kiedy gazety podały nazwisko funkcjonariusza, który odnalazł ciało pani Byrne (lat 43), aż krzyknął z radości. Jedna dobra rzecz, która z tego wszystkiego wynikła, to... marginalizacja Thorne'a. Patrząc na to z tej perspektywy, stwierdził, że chyba nie mógł liczyć na lepsze zgranie wszystkiego w czasie. Teraz Thorne był bardziej odizolowany niż kiedykolwiek.

Jak się domyślał, odizolowany Tom Thorne był wyjątkowo niebezpieczny.

A on chciał go widzieć właśnie takim.

Do Waterloo Park było dwadzieścia minut piechotą. Thorne zastanawiał się, czy nie wybrać cmentarza Highgate, ale to było miejsce spotkań jego i Jan. Było. W czasie przeszłym. Kiedyś to było miłe miejsce, aby spędzić w nim leniwy niedzielny poranek. Ona, pragnąca rozpaczliwie poczuć się jak bohaterka starego czarno-białego filmu, i on, z lubością zabijający w ten sposób godzinę lub dwie przed zakrapianym lunchem w Old Crown albo w The Fiask. Oboje cieszyli się błogim lenistwem i śmiali za każdym razem, gdy widzieli grób nieznanego pana Spencera znajdującego się naprzeciw najślawniejszego grobowca Marksa.

Od strony północy cmentarza rozciągał się Waterloo Park, niewielki, ale uwielbiany zieleniec, który przez stałych bywalców określany był mianem ukrytego skarbu. Przychodzili tu różni ludzie,

gawędzący bez przerwy uczniowie i studenci, ćpuny i biedacy na zasilku, a także kobiety w ciąży przysyłane tu ze szpitala Whittington w nadziei wywołania porodu po długiej, forsownej przechadzce.

Thorne bardzo lubił to miejsce także z uwagi na Lauderdale House, XVI-wieczną rezydencję u wejścia do parku. Dziś wystawiano tu przedstawienia kukielkowe dla dzieci, organizowano targi staroci i antyków oraz wystawy okropnej sztuki nowoczesnej. Była tu też mała restauracja i miły, choć oferujący ceny z sufitu barek kawowy. Cztery lata wcześniej w tym pałacyku przebywała Neli Gwynne, metresa Karola II. Pewna nadęta kobieta powiedziała kiedyś Thorne owi, że w Lauderdale House pani Gwynne podejmowała swego króla. Odparł, że to najlepszy eufemizm, jaki kiedykolwiek słyszał, ale ta kobieta nie zrozumiała dowcipu. Thorne uznał, że zapewne sama chętnie podjęłaby jakiegoś króla.

To miejsce zawsze poprawiało mu humor. Ten cudowny pałacyk stał się jednym wielkim sklepem z pamiątkami. Miejscem rozrywki i odpoczynku. Choćby dlatego Thorne uwielbiał tu przychodzić, aby posiedzieć i pomyśleć przy dźwiękach muzyki Grama albo Hanka dzięki discmanowi, który - czego się nie spodziewał - otrzymał od Jan na czterdzieste urodziny.

Szedł szeroką łukowatą ścieżką prowadzącą do kortów tenisowych. Co kilkaset metrów napotykał postać z odpowiednio poprzycinanego drzewa lub krzewu. Rośliny organiczne. To zapewne w ramach projektu milenijnego. Żenująca strata czasu i pieniędzy. 31 grudnia 1999 roku spędził z Philem Hendricksem przy kurczaku vindaloo i całym morzu piwa. Obaj zasnęli przed północą.

To było równie dobre miejsce na spotkanie jak każde inne. Thorne zdjął skórzaną kurtkę i usiadł na betonowej ławce obok ścieżki. Spojrzał w stronę wielkiej zielonej kopuły kościoła St Joseph. Dzień był ciepły, zważywszy że październik był tuż-tuż.

Jakaś para szła w jego stronę, trzymając się za ręce. Byli młodzi, po trzydziestce, szli luźno, ale wyprostowani. On miał na sobie workowate beżowe spodnie i biały sweter. Ona była ubrana w obcisłe

białe džinsy i kremowy mechaty top. Szli równym krokiem, śmiejąc się z czegoś, o czym rozmawiali.

Para zbliżyła się do niego zuchwale i bezczelnie. Thorne poczuł zazdrość wzbierającą w nim jak soda żrąca, rozpuszczająca tłuszcz zapychający kolanko w zlewie. Byli tacy nieskazitelni i świetliści. Para jak z reklamy, po śniadaniu z kawą i rogalikami w jakiejś modnej kafeterii. Thorne wiedział, że oboje mieli dobrą pracę, udany seks i przyrządzali egzotyczne potrawy dla swoich przyjaciół. Cieszyli się wszystkim i w nic nie powątpiewali.

Byli nieskazitelni.

Pomyślał o sobie i Anne, zastanawiając się, czy oboje nie byli skończonymi głupcami.

Czemu tak trudno mu było do niej zadzwonić?

Zostawił jej wiadomość dzień po tym, jak znalazł ciało Maggie Byrne, mówiąc, że coś mu wypadło, ale od tej pory ignorował jej telefony. Nie chodziło o jej związek z Bishopem. Chodziło o ukrycie czegoś, tej mrocznej, nieokreślonej części jego natury, której potrzebował, jeśli miał wyjść z tej kabały cało i położyć kres zabijaniu. Dla tej sprawy był gotów zaryzykować wszystko, a gdyby romans z Anne Coburn stał się czymś poważnym, mógłby zacząć się przed nią otwierać. To był jego pancerz, a także kamuflaż, i wiedział, że najmniejsza szczelina w tej zbroi uczyni ją bezużyteczną. Gdyby miał dość czasu, szczelina zamknęłaby się sama. Pancerz znowu by stwardniał, ale to nie był odpowiedni moment, aby być bezbronnym. Mimo to chciał mieć ją przy sobie. Pragnął jej bliskości.

Widział, jak młodzi zmierzają wolno w stronę pagody, ulubionego miejsca zwolenników wymiany płynów ustrojowych na świeżym powietrzu. Uznał, że jest idiotą. Zadzwoni do Anne, gdy tylko wróci do domu. Co mu strzeliło do łba, do cholery? Był jedynie gliną, choćby tylko teoretycznie.

Szczelina w zbroi? Jezu...

Wyobraził sobie siebie jako boksera, który nie jest w stanie kochać się przed wielką walką. Porównanie było dość kretyńskie, ale gdy to

sobie wyobraził, natychmiast poprawił mu się humor i wciąż jeszcze się uśmiechał, kiedy pięć minut później zjawiała się osoba, z którą się umówił.

Niekiedy wyglądało na to, że kobieta pozbawiona możliwości wydobycia z siebie głosu jest jedyną, z którą mogła porozmawiać Anne Coburn.

Siedząc samotnie w szpitalnej stolówce i grzebiąc widelcem w nieapetycznej sałatce na papierowym talerzyku, zastanawiała się nad swoimi zawodowymi porażkami. Sesje z Alison szły nieźle, ale Anne wiedziała, że jeśli nie zachowa ostrożności, rozpoczną sesje terapeutyczne z prawdziwego zdarzenia.

A pacjentką nie będzie Alison.

Alison miała problemy z chłopakiem i tym, co jej chodziło po głowie. Anne zaś przez większą część sesji zwierzała się jej z własnych problemów.

Głównie dotyczyły one jej córki. Oraz byłego męża. A także kochanka. Z Rachel wciąż się jej nie układało. Rozmawiały ze sobą, ale praktycznie o niczym. Obie zdawały się stąpać po kruchym lodzie i wiedziały, że wystarczy byle drobiazg, aby ponownie rozpętać kłótnię. Chodziło o to, że nie przygotowywała się do egzaminów poprawkowych, wracała coraz później i nie mówiła prawdy.

Anne podejrzewała - nie, była pewna - że jej córka spotyka się z jakimś chłopakiem.

Podjęła ten temat tylko raz, niemal mimochodem, ale reakcja Rachel, zacięte usta i zuchwała postawa nie pozostawiały wątpliwości, że nie zamierza o tym mówić. To było takie głupie. Anne nie miała problemów z chłopakami. Czemu ona miałaby mieć? Miała już chłopaków. Tyle że teraz pora nie była najodpowiedniejsza. Do ważnych egzaminów zostało już tylko parę tygodni, Rachel była bliska ich zawalenia, a Anne nic nie mogła na to poradzić.

Rachel była uparta jak jej ojciec, który już nie rozmawiał z córką. Relacje między nią a Davidem stały się wyjątkowo chłodne, oscyływały na pograniczu jadowitości, ale odkąd powiedziała mu o

Thornie, sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót. Całkiem zerwał z nimi kontakt i to w chwili, gdy z uwagi na Rachel powinni zewrzeć szeregi.

Dziwne było to, że o jej związku z Thorne'em zdawał się wiedzieć, zanim jeszcze do czegokolwiek doszło. Powróciła myślami do scysji w windzie. Nawet wtedy czynił na ten temat niedwuznaczne komentarze. To dlatego mu przygadała. Nie chciała się z nim spierać, ot może odrobinę mu przyciąć, ale skoro okazał się taki bystry i podejrzliwy, czemu nie miałyby pogratulować mu umiejętności przewidywania. Jednak od kiedy potwierdziła swoje zaangażowanie w związek (czy to był związek?) z Thorne'em, wszystko nagle zaczęło się psuć.

Steve Clark minął ją i uśmiechnął się, ona również odpowiedziała uśmiechem i zastanawiała się, czy ta sprawa z Rachel również nie była pośrednio związana z Thorne'em. Czy Rachel była zazdrosna? Od czasu tamtej wielkiej kłótni sprzed paru tygodni starała się być bardziej otwarta. Opowiedziała Rachel o śledztwie i jej związku z dochodzeniem. Opuściła kilka wyjątkowo koszmarnych szczegółów, a także... zaangażowanie w sprawę Jeremiego, choćby dla spokoju własnego sumienia. Opowiedziała jej o postępach w terapii Alison i naprawdę szczerze starała się odbudować nadwątloną więź między nimi. Ale może nie wyjaśniła Rachel, co czuła do Thorne'a.

Anne odsunęła od siebie talerzyk z nietkniętą sałatką i stwierdziła, że pominęła to, ponieważ sama nie była pewna, jak ma to traktować.

Wstała, przeszła na drugi koniec stołówki i przez wahadłowe drzwi dotarła do wyjścia pożarowego, gdzie zapaliła papierosa, napawając się widokiem wielkich koszy na śmieci i stert polistyrenowych worków.

Thorne...

Wydawał się tkwić w samym centrum jej rodzinnych problemów. Niemal na równi z Jeremym Bishopem.

Prawie nie rozmawiała z Jeremym od tamtej nocy, kiedy ona i Thorne wylądowali w łóżku. To... wyciszenie wyszło z jej inicjatywy, ale czuła, że starał się zachować pewien dystans. Nie mogła wykluczyć, że Jeremy był zazdrosny, a zazdrość ta miała podłoże

erotyczne, choć podejrzewała, że też miał kogoś na boku. Dzień, dwa przed tym, zanim przestali się spotykać, rzucił parę zawołanych komentarzy. Wydawał się czymś pochłonięty i bynajmniej nie pracą. Miała nadzieję, że chodziło o kobietę. Życzyła Jeremy'emu szczęścia. We wszystkim.

Tęskniła za nim.

Ale nie zdecydowała się zadzwonić. Znała tego mężczyznę od ponad dwudziestu pięciu lat i pomimo kretyńskich podejrzeń Thorne'a to posunięcie byłoby przejawem nielojalności wobec mężczyzny, którego ledwie знаła.

Mierziło ją, że jej lojalność została wystawiona na tak ciężką próbę. Wobec kogokolwiek i przez kogokolwiek. Czemu ten cholerny Thorne nie zadzwoni?

Przecież ostatnio zadzwonił, aby podzielić się z nią nowinkami o dalszym rozwoju śledztwa. „Dalszy rozwój” brzmiał w jej uszach niemal jak „śmierć”, a potem dwa dni później przeczytała o tym w prasie. I o tym drugim wypadku. Bogu dzięki nie wspominało o Alison, ale żadna krwi opinia publiczna i tak dostała swój funt ciała. Blokada mediów, na której tak zależało Thorne'owi, została nieodwracalnie przełamana. Krzykliwe nagłówki i zdjęcia pięciu kobiet.

Przestała czytać gazety. Nie spoglądała nawet na pierwsze strony. Dość miała na co dzień bulwersujących tematów.

Anne nie chciała, by mieszano ją w tę upiorną sprawę, chyba że poprzez Alison. Nie chciała wiedzieć nic więcej.

Dopóki morderca nie zostanie schwytany.

Thorne i Holland zeszli nad staw przy najdalszym południowym wejściu do parku. Stanęli przy ogrodzeniu i rozmawiali, od czasu do czasu podnosząc głos, by przekrzyczeć dzieciaki dokazujące na placu zabaw opodal. Jakiś ojciec palił i czytał gazetę, a dwoje dzieci bezskutecznie próbowało wspiąć się na zjeżdżalnię, trzecie zaś stało na huśtawce, domagając się, by zwrócono na nie uwagę.

Podczas gdy Holland patrzył ponad wodą, Thorne zauważył wielkiego płowego szczura buszującego pod niskim żywopłotem

otaczającym staw. Zawsze było ich tu kilka, szukały nieudolnie rzuconych kawałków chleba i Thorne z uwagą ich wypatrywał. To nie było miłe dla oka stworzenie, ale podczas gdy Holland gapił się na kaczki i gęsi, wzrok Thorne'a odruchowo podążył ku szczurowi. To był gryzoń, poszukiwacz odpadków, spec od sztuki przetrwania. Drań. To miasto nie mogło mieć doskonalszego symbolu.

- Nie pamiętam, abym wyznaczył ci rolę chłopca na posyłki, Holland.

Holland poczuł, że się czerwieni, kiedy odwrócił się, by na niego spojrzeć. - To dlatego, że nim nie jestem.

Thorne natychmiast pożałował swego tonu. Była to z jego strony próbka czarnego humoru, ale zabrzmiała po prostu sarkastycznie. Holland już o tym zapomniał. - Nadinspektor Keable pomyślał, że możemy się spotkać, to wszystko. Próbował sam się z panem skontaktować...

Thorne skinął głową. Wiele osób próbowało do niego dzwonić.

Pozwolenie, by Holland go odnalazł, było sprytnym posunięciem. Frank Keable nie był najbystrzejszym ani najbardziej utalentowanym policjantem, ale wiedział, co działo się wokół niego. Znał swoich ludzi. I zawsze wiedział, co się święci.

Szczur stanął nad tylnych łapkach, wężąc przy koszu na śmieci pod parkanem. Thorne przeniósł wzrok na Hollanda. - I co o tym myślisz?

Holland uśmiechnął się, pochlebiało mu, że zapytano go o zdanie, ale w głębi duszy zdawał sobie sprawę, iż jego opinia nie miała większego znaczenia. - Myślę, że to dobra propozycja, jeżeli chodzi o ścisłość. Miałby pan pozycję wolnego strzelca, dopóki tylko nie wpakuje się pan w jakąś kabałę...

- Albo nie wspomnę o Jeremym Bishopie?

Holland nie zamierzał mu kadzić. - Mogło być znacznie gorzej.

Thorne wiedział, że tamten miał rację. Keable sugerował powołanie komisji dyscyplinarnej po odnalezieniu zwłok Margaret Byrne, ale po tym i po zabójstwie Leonie Holden ukaranie niesubordynowanego detektywa inspektora cierpiącego na przerost

wyobraźni zeszło na dalszy plan. Tak przynajmniej powiedział Keable. Tak czy owak, nie chciał jeszcze wszczynać oficjalnego postępowania. Dawał sobie czas do namysłu, co właściwie powinien uczynić z Thorne'em. W najgorszym razie czekała go tylko nagana lub upomnienie. Holland nie powiedział mu wszystkiego.

- Wiedzą o włoskach z dywaniku w bagażniku auta Bishopa.

- Kurwa mać. - Thorne kopnął w ziemię, grudki i żwir spłoszyły szczura. Ktoś na wydziale medycyny sądowej za dużo gadał. To by wyjaśniało telefon od Hendricksa. Musiał z nim pomówić.

- A więc dano mi propozycję nie do odrzucenia i powinienem przyjąć ofertę Franka Keable'a i zostać konsultantem, czy jak tam nazwał to moje nowe stanowisko. Zgadza się?

- On tak tego nie określił.

Konsultant. Zastanawiał się, na czym polegał haczyk. Poza tym najbardziej oczywistym.

Leonie Holden ostatni raz widziano w autobusie do Ealing, a jej ciało odnaleziono cztery godziny później w Tufnell Park.

Niecałe pół kilometra od mieszkania Thorne'a.

Wszyscy wychwycili sens ostatniej wiadomości, jaką zabójca chciał w ten sposób przekazać ulubionemu inspektorowi.

Konsultant? Raczej przynęta.

- Co myślisz o Jeremym Bishopie?

Holland starannie dobierał słowa. - Nie sądzę, aby to on zabił Margaret Byrne.

- Miał mieć także niepodważalne alibi, jeżeli chodzi o Alison Willetts, a jednak znaleźliśmy w nim luki.

- Nadal tego nie rozumiem. Wciąż nie mogę pojąć, jak miałyby zrobić to, co zrobił Alison, i podrzucić ją na czas do szpitala. Nie mówiąc już o tym dlaczego. Po co zadał sobie tyle trudu, by zapewnić sobie nie do końca niepodważalne alibi?

- Dojdę do tego, Holland. I dowiem się też, jak zabił Margaret Byrne.

- Nie zrobił tego.

- Mężczyznę odpowiadającego jego rysopisowi widziano dzień wcześniej w pobliżu jej mieszkania; podobno zachowywał się podejrzanie.

- Zbieg okoliczności. To pewne. Poza tym kobieta z naprzeciwka to szajbuska. Sądziła, że ja wyglądam podejrzanie. - Holland mówił spokojnie nie po to, by zbijać argumenty Thorne'a, lecz by wymienić suche fakty - Byłem w Royal London i rozmawiałem ze wszystkimi z wyjątkiem pacjentów w głębokiej śpiączce. Zginęła po południu, a Bishop był wtedy w szpitalu na dyżurze. Są na to tuziny świadków Nie sposób niepostrzeżenie dostać się z Whitechapel do Tulse Hill i z powrotem.

Thorne cieszył się, że Holland zadał sobie tyle trudu. Zrobił to w wolnym czasie i gdyby Tughan dowiedział się o tym, narobiłby sobie sporych kłopotów.

- Nie ma alibi na Leonie Holden - Thorne myślał na głos.

- Sir...

Nie ma alibi na Leonie Holden. Ponieważ ją zabił. Ten skurwiel ją zabił i podrzucił na progu mojego mieszkania.

- Ty też uważasz, że się mylę, Holland? A może sądzisz, że mam na jego punkcie obsesję?

Holland westchnął. Pytania stawały się coraz trudniejsze. - Ja też uważałem Bishopa za głównego podejrzanego. Nie było nikogo innego i choć sprawa wydawała się poszlakowa, zamierzałem pójść dalej tym tropem. Ale Maggie Byrne i Leonie Holden musiały zabić ten sam mężczyzna.

Stali w milczeniu. Thorne nie miał nic do powiedzenia. Holland owszem, jednak rozsądnie postanowił zatrzymać to dla siebie. Z tyłu, za nimi dziecko spadło z obrotowej huśtawki i wybuchnęło płaczem.

Holland chrząknął. - Mimo wszystko jako teoria ma ona niewątpliwie jeden plus.

- Tak? - mruknął Thorne. - A jaki?

- Jest pańska.

Thorne nie mógł na niego spojrzeć. Zacisnął zęby Przez kilka chwil obawiał się, że gdyby spojrzął na Hollanda, na jego obliczu odmalowałyby się zbyt głęboka wdzięczność. Byłaby promienna,

rozpaczliwa i żalosna.

Jego twarz zdradzała zbyt wiele.

Odwrócił się i ruszył w stronę bramy. Zrobił to tak nagle i gwałtownie, że szczur znów pierzchnął w popłochu, popiskując cichutko. Ten mały drań do tej pory siedział na tylnych łapkach, czyszcząc sobie wąsiki. Szczury niczego się nie bały. Jeden kiedyś przebiegł Thorne'owi po bucie.

Obejrzał się przez ramię. Holland szedł kilka kroków za nim.

Cokolwiek go czekało, Thorne nie zamierzał zwalniać tempa, ale odniósł wrażenie, że Holland jest z tych mężczyzn, z tych gliniarzy, którzy z własnej inicjatywy są gotowi zmniejszyć dzielący ich dystans i zrównać się z nim.

Kto wie, może działając wspólnie, dopadną Jeremiego Bishopa.

Mówi się, że w Londynie zawsze znajdujesz się nie dalej niż o dwa metry od szczura. Thorne wiedział, że niewiele większy dystans dzielił go od szczura znacznie paskudniejszego gatunku.

Bardziej chorego i pokręconego. Bardziej ludzkiego.

Boga nie ma. A jeżeli jest, musi być naprawdę chorym draniem. Jakby moja sytuacja i tak już nie była fatalna!

Anne wytłumaczyła mi wszystko następująco.

Muszą obracać mnie co dziesięć, piętnaście minut, abym nie nabawiła się cholernych odleżyn, nawet mimo tego, że mam to cudowne wibrujące łóżko. Dlatego jedna z pielęgniarek, nie wiem która konkretnie, ale stawiam na Martine, z zemsty za to, że na nią kaszlnęłam, przez przypadek, obracając mnie, wysunęła mi z nosa rurkę dokarmiającą. Rurka wysunęła się na jakieś pięć centymetrów, ale to wystarczyło. Niestety, przez to właśnie pozbawiona smaku biała breja, pełna protein i innego szajsu, zamiast trafiać tam, gdzie trzeba, zaczęła wlewać się do mojej klatki piersiowej. Całkiem sporo się tego nalalo. Normalni ludzie w takich sytuacjach odkasłują, ewentualnie zwracają i co najwyżej nabawiają się łagodnej infekcji płuc.

Ale nie ja. Co to, to nie.

Ta breja jest jak pożywka dla cholernych bakterii. One to uwielbiają. Roją się w niej i raz-dwa, ani się obejrzę, już mam piękne zapalenie płuc. Takie coś i tak musiało się stać, prędzej czy później. Najwyraźniej jestem szczególnie podatna na infekcje. Czyż to nie cudowne?

No i proszę, znów jestem podłączona do respiratora. Wielkie mechaniczne płuca oddychają za mnie, a ja czuję się jak wtedy, kiedy zjawiłam się tu po raz pierwszy.

Wszystko inne zostaje przerwane do czasu, aż dojdę do siebie. Terapia również. Trzeba powiedzieć, że komunikowanie się szło nam całkiem nieźle. Opracowałyśmy sprytny system wykorzystywania alfabetu na podstawie tego, ile razy dana litera występuje w danym słowie. Dlatego teraz nie musimy już przelatywać całego alfabetu od A do Z, lecz koncentrujemy się na częstości występowania konkretnej litery w wyrazie. Mamy też skróty „na powrót” czy „dalej”, na powtórzenie słów, a Anne stała się żywym odpowiednikiem mojej komórki przewidyującej, co mam

zamiar powiedzieć. Kończy za mnie słowa i zazwyczaj się nie myli. Zaczęła już nawet kląć jak ja.

Ale teraz musimy to wszystko przerwać, dopóki nie nabiorę sił. Dopóki mi się nie poprawi.

Choć w moim obecnym stanie zwrot „poprawi się” to pojęcie względne.

Tablica zniknęła sprzed mego łóżka, jestem kurewsko sfrustrowana.

Szczerze mówiąc, komunikacja szła mi ostatnio całkiem nieźle. O wiele lepiej niż parę tygodni temu, ale to i tak nie ułatwiało mi sytuacji, jeżeli chodzi o Tima. Wszystko, co zamierzałam powiedzieć, kiedy przyszło co do czego, wzięło w łeb.

Po prostu tam stał ze wskaźnikiem w dłoni i wyglądał na zagubionego.

Nawet jeśli możesz powiedzieć najbardziej skomplikowane słowa w jak najszybszym tempie, to przecież tylko słowa, prawda? Nie możesz przeliterować uczuć, tylko mrugając powieką i używając wskaźnika. Nie potrafiłabym sprawić, żeby zrozumiał.

Koniec końców przeliterowałam tylko jedno słowo, powtarzając je raz po raz. Bez końca.

ŻEGNAJ.

Zegnaj, żegnaj, żegnaj...

15.

- Chciałbym mieć cię przy sobie, Tom, ale skoro o tym mowa...

Keable przemawiał, siedząc za biurkiem. Tughan oparł się o ścianę, miał przetłuszczone włosy i przekrwione oczy Keable ostentacyjnie witał Thorne'a z powrotem w grupie Bekhend, aczkolwiek w nietypowej dla niego i dość nieokreślonej roli, w rzeczywistości jednak określał reguły gry Co do tych reguł, Thorne ustosunkuje się do nich później. Jednym okiem lypał na swego starego kumpla, jelenia z Exmoor.

Za każdym razem, kiedy patrzył na to zdjęcie, dostrzegał w nim coś nowego. Dziś jego wzrok przykuła dziwna zaciętość szczęk zwierzęcia, zdradzająca pewną agresję. A może to zwyczajny strach lub wyraz gotowości zaatakowania fotografa. Thorne dorzucił w myślach dymek nad głową jelenia o następującej treści: „Nie lubimy tu takich”. Za kilka dni ukaże się zdjęcie obrazujące październik. Był pewien, że Keable każdego miesiąca nie mógł się tego doczekać. Jaką urzekającą scenkę mógł ujrzeć Thorne w przyszłym tygodniu? Może „Borsuka o zmierzchu”. Zastanawiał się, czy zabawi tu dostatecznie długo, aby to zobaczyć.

Keable dokończył. - A więc?

Thorne skupił całą uwagę na Keable'u. Nadinspektor wydawał się otwarty i szczerzy Jak dotąd szło mu lepiej, niż się spodziewał.

- Powiedzmy sobie szczerze - wtrącił Tughan - że nikogo nie interesuje, czy zamierzasz przyjąć tę propozycję, czy nie, ponieważ nie jest to żadna oferta. Nie masz wyboru.

Thorne wiedział, że dał się złapać na haczyk i podciąć, ale mimo to zamierzał choć trochę powalczyć. Zignorował Tughana i odezwał się bezpośrednio do Keable'a. - Doceniam, że starasz się nie nagłaśniać ostatnich wydarzeń na forum dyscyplinarnym, Frank, ale chciałbym wiedzieć, czego oczekujesz ode mnie w zamian, bo mam lekki mętlik

w głowie. - *Bo tak naprawdę nie słuchałem. Wybacz.* - Konsultant... tajna broń... przynęta, jakkolwiek to nazwiesz, będę jeszcze jednym gliną przy tej sprawie. Chyba o jednego za dużo. Brewer wciąż robi swoje i Nick też chyba nigdzie się nie wybiera.

Uśmiechnął się do Tughana. Irlandczyk odpowiedział uśmiechem; twarz miał pustą, pozbawioną wyrazu.

- Co właściwie miałbym robić, Frank?

Keable potrzebował chwili, aby sformułować odpowiedź. Kiedy to zrobił, w jego łagodnym tonie kryła się ostrość stali. - To ty chciałeś odejść, Thorne, i dostałeś to, czego chciałeś. Narobiłeś bigosu i znów zaczynasz mieszać. Nie wolno ci niczego kwestionować.

Thorne pokiwał głową. Musiał zachować ostrożność. - Tak jest. - Przeniósł wzrok na Tughana. Tym razem skurwiel uśmiechał się szczerze.

Keable wstał i obszedł biurko. Na szafce w kącie stało nieduże lustro, przykucnął, by się w nim przejrzeć i poprawić krawat. - Chcę, żebyś nieoficjalnie nadal uczestniczył w tej operacji. Nie jesteś głupi i zdajesz sobie sprawę, że póki tu jesteś, zabójca będzie wiedział, gdzie cię znaleźć.

Odnajdzie mnie, gdziekolwiek będę. Bo on obserwuje.

- Jemu wydaje się to ważne, a to, co ważne dla niego, jest istotne także dla mnie. Jak na razie wielu rzeczy jeszcze nie wiemy, ale zabójca wydaje się być z tobą w jakiś sposób... związany i zamierzam to w pełni wykorzystać. Skoro to ci się nie podoba, trudno. - Keable wstał. Krawat miał zawiązany idealnie. - To jak będzie?

Thorne pokręcił głową. Nie mógł powiedzieć, że to mu się nie podobało. Ale nie zamierzał siedzieć na tyłku i czekać, aż zabójca sam podejdzie do niego, by się przywitać. Przewaga, którą miał jeszcze niedawno, wymykała mu się z rąk. Sam zresztą na to pozwolił. A teraz chciał ją odzyskać.

Keable minął Tughana i podszedł do swego fotela. - Poza tym, jeśli tu będziesz, my także nie będziemy mieć problemów ze znalezieniem ciebie.

Thorne prawie się uśmiechnął. - Jedno pytanie...

- Wal.

- Jeremy Bishop. Poza zasięgiem?

Thorne zauważył spojrzenia, jakie wymienili między sobą Keable i Tughan. Mógłby przysiąc, że usłyszał, jak w pokoju spada temperatura.

- Właśnie do tego zmierzam. Doktor Bishop wie, że twoja wizyta w jego domu przed dwoma tygodniami to zwyczajny pic. Ciesz się, że nie wie, że nielegalnie zebrałeś włókna z dywaniku w kufrze jego auta.

Wciąż nie rozmawiał z Philem Hendricksem. Zadzwoń do niego później.

- Przylepiły się do mojej aktówki, którą pozwolił mi włożyć do bagażnika.

- Oczywiście - burknął drwiąco Tughan.

- Jest zbieżność?

Keable'owi dosłownie opadła szczeka.

Tughan odbił się od ściany. - Myślę, że ludzie mają rację, Thorne. Myślę, że ci odbija. Owszem, jest zbieżność, ale takie same włókna były używane w dywanikach wszystkich volvo tego samego koloru i modelu produkowanych od 1994 roku. Myślisz, że tego nie sprawdziliśmy? Zdajesz sobie sprawę, ile to aut?

Thorne nie wiedział i było mu to obojętne.

Keable sięgnął po pałkę. - Doktor Bishop dzwonił kilka razy, żeby poskarżyć się na anonimowe telefony. Chce wnieść oskarżenie.

Thorne spojrział mu prosto w oczy z niewzruszonym spokojem. To Keable pierwszy odwrócił wzrok.

- Te telefony stają się coraz częstsze.

Ile razy dzwonił do Bishopa od dnia pogrzebu? Nie pamiętał. Zupełnie, jakby robił to we śnie.

- To zrozumiałe, że doktor Bishop jest zdenerwowany i roztrzęsiony, podobnie jak jego syn, który także wniósł skargę, a teraz dołączyła do nich jego córka. Zadzwoń wczoraj, aby zapytać, czy można coś na to poradzić.

Córka spieszy na ratunek. To robiło się coraz ciekawsze.

- Jeżeli okaże się, że wiesz o tym więcej, niż mówisz, Tom, nie będę cię mógł ochronić. I nawet nie będę chciał.

Thorne starał się wyglądać na skruszonego. A potem się uśmiechnął. Musiał trochę ocieplić atmosferę. - Wciąż nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Frank. Jest poza zasięgiem czy nie?

Atmosfera się nie ociepliła.

- Detektywie inspektorze Thorne, czy wątpi pan, że osoba, która zabiła Margaret Byrne, jest również odpowiedzialna za śmierć Helen Doyle, Leonie Holden i innych?

Thorne zastanowił się przez kilka sekund. - Nie mam najmniejszych wątpliwości, że osoba, która zabiła Leonie, Helen i inne, jest odpowiedzialna za śmierć Margaret Byrne.

Keable spojrział na niego. Jego gęste, krzaczaste brwi złączyły się w grubą kreskę w wyrazie zakłopotania. I nagle wychwycił subtelną różnicę. Jego oblicze natychmiast poczerwieniało, a głos zniżył się do groźnego szeptu. - Nie pogrywaj ze mną, Thorne.

- Nie pogrywam...

- Nie chcę więcej słyszeć tych bzdur. Psychopaci nie wynajmują płatnych zabójców.

Jeremy Bishop nie był zwykłym psychopatą, ale w głębi duszy Thorne wiedział, że Keable ma rację. Alibi musiało mieć jakieś luki. Co jeszcze?

Nie wiedział.

- A więc nie mogę nawet wymienić jego nazwiska?

- Zachowujesz się jak dziecko. Jeżeli chcesz marnować czas, rób, co chcesz, ale nie marnuj mojego ani moich ludzi. Tom...

Thorne uniósł wzrok. Keable wychylił się do przodu i spojrział mu głęboko w oczy - Minęły cztery tygodnie od śmierci Helen Doyle, dwa miesiące od ataku na Alison Willetts, ponad pół roku od śmierci Christine Owen i Bóg wie ile, odkąd ułożył sobie cały ten popapwany plan.

Odkąd ukradł te prochy. Coś w związku z kradzieżą midazolamu wciąż nie dawało Thorne'owi spokoju. To go dręczyło, niepokoiło, zastanawiało, lecz bez rezultatu. Jak melodia, której nie potrafił rozpoznać.

Keable przeszedł do sedna. - Pomimo szumu w mediach i gorliwych twarzy uczestników konferencji prasowych wciąż nic nie mamy, Tom.

Tughan wbił wzrok w podłogę. Czy to poczucie winy? Thorne spojrział na Keable'a.

- Nie pojmuję, dlaczego nie chce pan spojrzeć na tę sprawę z otwartym umysłem. Nie ma innych podejrzanych. Jak dotąd operacja nie przynosi najmniejszych rezultatów.

Tughan nie składał broni. - Wszyscy funkcjonariusze pracujący nad tą sprawą urabiają sobie ręce po łokcie. Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy. Odnaleźliśmy wiarygodnego świadka, Margaret Byrne...

Thorne nie dał mu dokończyć. - I pozwoliliście, aby ją zabił.

Te słowa podziały na Tughana jak kubeł zimnej wody. Podszedł do Thorne'a wściekły jak osa, nieomal krzyczał, a z każdym słowem z jego ust wypryskiwały kropelki śliny. - Jeremy Bishop nie ma z tym nic wspólnego. Nic. Podczas gdy ty bujałeś w obłokach, my robiliśmy, co do nas należy. Bishop nie jest podejrzanym w sprawie. Jeżeli kiedykolwiek trafi na salę sądową, to jako oskarżyciel w procesie o nękanie, a ty będziesz podsądnym.

Thorne w jednej chwili poderwał się z krzesła. Jakby od niechcienia schwyił Tughana za przegub i zaczął ścisnąć. Irlandczykowi krew odpłynęła z twarzy. Keable podniósł się, a Thorne puścił Tughana. Ten natychmiast cofnął się pod ścianę, dysząc ciężko.

Thorne ze znużeniem uniósł rękę i zamachnął się leniwie, jakby odganiał coś, czego nie widział nikt oprócz niego. Sięgnął po kurtkę przewieszoną przez oparcie krzesła i wolno ją nałożył, mamrocząc pod nosem: - Nie ma innych podejrzanych, Frank... - Postąpił krok w stronę drzwi.

Keable krzyknął: - Wobec tego znajdź mi jakichś!

Nawet Tughan rozcierający obolały przegub wyglądał na szokowanego.

Nadinspektor Frank Keable starał się zgrywać twardziela, ale Thorne dostrzegł w jego oczach jedynie desperację.

Holland pracował przy komputerze, nie zdając sobie sprawy, że ktoś za nim stoi, dopóki nie usłyszał głosu.

- Piękny dzień, prawda? Pomyślałem, że moglibyśmy wybrać się na małą przejażdżkę.

Holland nie odwrócił się. - W jakieś konkretne miejsce?

- Najchętniej do Bristolu.

Holland wciąż stukał w klawisze. - W piątek na M4 o tej porze są cholerne korki.

- Lubię czasem przejechać się pociągiem. Póltorej godziny w jedną stronę. Weź gazety, zajrzyjmy do bufetu...

- Brzmi interesująco. Kupię egzemplarz „Loaded”, jeśli pan kupi herbatę.

- Myślę, że powinieneś skłamać, mówiąc, dokąd się wybierasz...

Holland wyłączył komputer. - Umiem kłamać, i to całkiem niezłe.

Thorne uśmiechnął się. Holland zaczynał go doganiać.

Zajrzał do kiosku i jeden z nagłówek zwrócił jego uwagę. Nadano mu przydomek Szampański Charlie. Dzień czy dwa po śmierci Margaret Byrne gazety zaczęły publikować artykuły na temat całej sprawy.

Na temat seryjnych morderstw.

Początkowo był poruszony i wściekły. Nie był seryjnym zabójcą. Ale to zdawało się mieć sens. Najwyraźniej cała historia, cała prawda, została utajniona. Domyślał się, że policja zgodziła się na współpracę, jeśli prasa zechce zataić pewne kluczowe szczegóły, by uniknąć potencjalnych naśladowców czy rzesz świrów pragnących przyznać się do popełnienia tych czynów.

Bez obawy. Kiedy znów da o sobie znać, będą wiedzieli, że to on.

Z przyjemnością zaczytywał się w spekulacjach brukowców i typowej dla tego typu śledztw psychologii. Brak postępów w tej upiornej sprawie stanowił powód ogólnokrajowego zatroskania. Nigdy nie chciał drwić z policji i jej kompetencji. Wręcz przeciwnie, ale pusto brzmiące zapewnienia komisarzy i komendantów w

gazetach i na pompatycznych konferencjach prasowych rozbawiały go do łez.

Szampański Charlie. Mało wysublimowane, ale przewidywalne. W dodatku, jak na ironię, przestarzałe, bo nie zamierzał więcej korzystać z tego fortelu. W wypadku Leonie użył strzykawki. Wcześniej, rzecz jasna, przystawił jej nóż do gardła, aby zapewnić sobie jej milczenie, gdy oboje czekali. Bardzo szybko było po wszystkim. Szampan zawsze oznaczał około czterdziestu minut swobodnej pogawędki. Brakowało mu tego, bo to, co następowało później, stawało się znacznie ciekawsze. Jednak dzięki strzykawce różnica w szybkości całego procesu była naprawdę fantastyczna. Adrenalina rozprzeczyla narkotyk po całym ciele dziewczyny w takim tempie, że kilka minut po tym, jak wysiadła z autobusu, znajdowała się już w aucie, jadąc do niego do domu. Nawet nie usłyszała zbyt dobrze jej głosu.

Wymówiła, a raczej wyszeptała tylko jedno słowo.

Proszę...

I znów poniósł porażkę. Za wymówkę mógł mieć pospieszne zabójstwo Margaret Byrne sprzed kilku godzin, ale zaczął zdawać sobie sprawę, że okoliczności sprzysięgły się przeciwko niemu. Wybrał wyjątkowo złożoną, piekielnie skomplikowaną procedurę. Zaakceptował to. Wiedział, że nie może liczyć na wielokrotny sukces. Zdawał sobie z tego sprawę. Mimo to trudno mu było pogodzić się z niepowodzeniem.

Jednak uznał, że ten jeden raz, kiedy udało mu się zrobić wszystko jak należy, był tego wart.

Zamordowanie Margaret Byrne sprawiło mu nie lada frajdę. Wstydził się tego przed samym sobą, ale nie było sensu się oszukiwać. Wyobrażał sobie, jak musiała się czuć, kiedy zimne ostrze musnęło jej skórę. Wstrzymał oddech na moment, zanim słodka pieśń stali przebrzmiała i popłynęła struga gorącej krwi. To były emocje, które kiedyś poznał i pokochał, a o których prawie zapomniał.

Zabijanie nie miało w sobie długotrwałego piękna ani gracji jego normalnej pracy. Do tego, rzecz jasna, potrzebne były odpowiednie umiejętności, lecz błady sztywniejący nieboszczyk nie mógł się równać

z tym, co zdołał osiągnąć z Alison. To było coś prawdziwie wzniosłego. Coś unikalnego.

Tak więc jednak sukces.

Jego dzieło było przełomowe, był tego pewien, ale do tej pory udało mu się tylko raz i wątpliwości zaczęły się zakradać do jego umysłu niczym tłuste czarne pająki. Czy szybka śmierć nie była równie kusząca jak opracowana przez niego procedura? Czy tego rodzaju eutanazja nie byłaby wybawieniem samym w sobie. Dla jego wybranej nie byłoby jasnej bezbolesnej przyszłości z ułatwionym oddychaniem jak ta, którą zapewnił Alison... niemniej byłoby to jakieś zakończenie.

Próbował odegnąć od siebie tę myśl. Nie potrafił sobie wyobrazić, że przechadza się po mieście ze skalpelem w kieszeni. To nie w jego stylu.

Zaniósł gazetę do kasy, wziął resztę. Obok niego stanęła kobieta. Krzyżówki, los na loterię i garść batonów. Uśmiechnęła się do niego i przypomniał sobie, jak wielkie było jego dzieło. Tak, zabicie jej byłoby łatwe, wyświadczyłby jej tylko przysługę. Cóż, nic, co ważne, nie jest łatwe do osiągnięcia.

Śmierć była czymś rodem ze średniowiecza. On mógł zaoferować ludziom przyszłość.

Podczas krótkiej przejażdżki taksówką z dworca Temple Meads do szpitala Thorne i Holland opracowali plan rozmowy z doktor Rebeccą Bishop. Krótko mówiąc, szli na żywioł. Holland zadzwonił i dowiedział się, że była dziś w pracy, resztę obmyślali po drodze.

Rok wcześniej szpital Bristol Royal znajdował się w centrum zainteresowania opinii publicznej po tym, jak niepokojąca liczba noworodków i niemowląt zmarła tam podczas operacji serca. Skandal, jaki w związku z tym wybuchł, rzucił długi mroczny cień na ten szpital i na całą służbę zdrowia, a niektóre zarzuty wobec lekarzy były w pełni uzasadnione. Ludzie cieszący się dotąd nieposzlakowaną opinią nie byli, jak się okazało, pozbawieni wad. Lekarze tracili zaufanie opinii publicznej.

Podobnie jak policja.

Odkąd zaczął pracować nad tą sprawą, nic, co działo się w szpitalach, nie mogło zaskoczyć Thorne'a. Przywykł do strategii opracowywanych w taki sposób, by zatrudnieni w tych placówkach ludzie mogli jakoś przetrwać dzień po dniu. Mimo wszystko jednak Bristol Royal wzbudził w nim niepokój. Pojawily się naprawdę szokujące rewelacje. Jeden z oddziałów nazywany był „oddziałem odchodzących”.

Susan, Christine, Madeleine, Helen. Thorne wiedział, jak natarczywe bywały głosy tych, których w brutalny sposób pozbawiono życia. Żałował tych, którzy wciąż słyszeli krzyki dwudziestu dziewięciorga martwych dzieci.

Rebecca Bishop pracowała na oddziale chirurgii ortopedycznej. Gdy usiadła naprzeciw nich na jednym z zielonych plastikowych krzeseł w korytarzu, przy poczekalni, jej zachowanie jasno dało Thorne'owi do zrozumienia, że akurat w tej rodzinie duma i pewność siebie były przekazywane genetycznie z pokolenia na pokolenie. - Mają panowie pół godziny. Potem niestety muszę wziąć udział w porywającym wykładzie na temat biomechaniki leczenia złamań. Możecie go wysłuchać. Zapraszam.

Uśmiechnęła się chłodno. Jeżeli nie liczyć ciemnych nastroszonych włosów i odrobinę wydłużonego podbródka, Rebecca miała takie same rysy jak jej ojciec i brat. Była atrakcyjną kobietą, a oni przystojnymi mężczyznami. Atrakcyjna, ale nie piękna. Nie miała w sobie za grosz łagodności. Thorne zastanawiał się, na czym polegał fenomen Sarah Bishop. Czy była łagodna? A może piękna?

Może zapyta o to Jeremyego któregoś dnia, kiedy będą mieli chwilę na rozmowę. Na przykład w pokoju przesłuchań.

Thorne otworzył usta, aby odpowiedzieć, lecz Rebecca Bishop miała swój plan. - Możecie zacząć od wyjaśnienia, po co przysyłacie tu mężczyznę, który zdaniem mojego ojca nieustannie go nęka.

Thorne zerknął na Hollanda. Ten odpowiedział grymasem, który mógł być odpowiednikiem wzruszenia ramion.

- Nikt nie nęka pani ojca, doktor Bishop. A w każdym razie nic nam o tym nie wiadomo. Sama moja obecność tutaj powinna upewnić panią, że traktujemy jego podejrzenia poważnie.

- Miło mi to słyszeć.
- Musi pani jednak zrozumieć, że mamy inne priorytety.

Wstała i podeszła do tablicy ogłoszeń. - Takie jak schwywanie Szampańskiego Charliego? Czytałam o tym.

Holland ucieszył się, że może odgrywać rolę energicznego pomocnika. - Niech pani nie wierzy we wszystko, co piszą w gazetach, pani doktor.

Spojrzała na Hollanda, a Thorne odniósł wrażenie, że odrobinę się zarumieniła. Czy się jej podobał? Jeśli tak, tym lepiej. Próbował odnaleźć wzrok Hollanda, lecz bez powodzenia. Rebecca Bishop odwróciła się i popatrzyła na Thorne'a, wsuwając dłonie do kieszeni workowatej, brązowej, wełnianej kamizelki. - Czy mój ojciec jest podejrzany, inspektorze Thorne?

Kłamstwo nigdy nie przychodziło mu łatwo, ale to było proste. - Nie, oczywiście, że nie. Został przesłuchany rutynowo i wyeliminowany z grona podejrzanych.

Przeszyła go przenikliwym wzrokiem. Nie poczuł nic; lekarze trzymają pacjentów w nieświadomości. Podobnie jak policjanci i urzędnicy państwowi.

Holland przejął pałeczkę. - Czy możemy pomówić o tym nękanium? Co dokładnie się wydarzyło?

Usiadła. - Dowiedziałam się o tym telefonicznie. - Holland natychmiast wyjął swój nieodłączny notes. Thorne nie mógł się nadziwić jego wyczuciu czasu. Westchnęła i mówiła dalej. - No dobrze, a więc chodzi o to, że tato otrzymuje głuche telefony... I jeszcze ktoś czaił się z aparatem przed jego domem, ale tak naprawdę najgorsze są te telefony.

- Dowiedziała się pani o tym od ojca?

- Nie, zadzwonił do mnie brat, James. Tato jest bardzo zły i zdenerwowany, a James uznał, że powinnam wiedzieć, co się dzieje. Abym również złożyła oficjalną skargę, jak sądzę. James i ja rzadko rozmawiamy, więc uznałam, że musi chodzić o coś ważnego, skoro raczył się odezwać. - Zaczęła obgryzać paznokcie. Thorne zauważył, że wszystkie były obgryzione do żywego, niektóre nawet do krwi.

Najwyższy czas, aby czegoś się dowiedzieć. - A więc pani i James nie jesteście ze sobą blisko?

Uniosła wzrok i zorientował się, że zastanawiała się, jak i czy w ogóle powinna odpowiedzieć. Czy powinna wtajemniczać nieznanym w rodzinne sekrety? Może to uśmiech Hollanda pomógł jej się przełamać.

- Nie jesteśmy rodziną utrzymującą naprawdę bliskie stosunki... Na pewno o tym wiecie...

Spojrzeni na nią, jakby powiedziała coś zaskakującego.

- James i ja raczej ze sobą nie przepadamy. Ja z tatą też kiepsko się dogadujemy, ale to nie znaczy, że chcę, aby on cierpiał.

Holland pokiwał głową z wyrozumiałością. - Oczywiście.

Zaczęła mówić, powoli, lecz z wyraźnym zadowoleniem. - James i tato lubią myśleć, że łączą ich bliskie więzi, ale obaj wiele przed sobą wzajemnie ukrywają. Stosunki między nimi popsuły się kilka lat temu, kiedy Jamesowi trochę odbiło, a teraz synalek traktuje ojca jak hojnego dyrektora banku, który daje mu w prezencie samochody i uiszcza opłaty za czynsz, aby dobry, stary James mógł nadal paprać wszystko, czego się dotknie, i niespecjalnie się tym przejmować.

Thorne dołał oliwy do ognia. - Jestem pewien, że jednak się przejmuje.

- Ach tak, miał pan przyjemność poznać Jamesa, wspominał mi o tym. Chryste, czy w moich słowach da się wyczuć rozgoryczenie? - Spróbowała się zaśmiać, ale głos uwiązł jej w gardle.

Thorne mówił cicho, stonowanie. - A jak się czuje pani ojciec?

- Winny - Instynktowna odpowiedź. Głębsza, niż mogłaby przypuszczać.

Thorne starał się, by jego oblicze pozostało beznamienne. Niech ona sama dalej wyciąga rodzinne brudy

- Czuje się winny, że mama padała z nóg po prochach na uspokojenie, które wzięła, a on był zbyt pijany, aby prowadzić. Czuje się winny, że sam podał jej te proszki. Czuje się winny, że spaprał życie obojgu swoim dzieciom. A przede wszystkim czuje się winny, że

nie zginął zamiast niej. My, Bishopowie, jesteśmy specjalistami, jeżeli chodzi o poczucie winy. Ale mój ojciec bije wszystkich na głowę.

Środki uspokajające. Tak, to miało sens. Czy midazolam robił jego ofiarom w ciągu kilku krótkich minut to, co prochy na uspokojenie przez lata robiły z jego żoną? Czy w tym wszystkim chodziło o coś równie prozaicznego jak zemsta? A może nie tyle zemsta, ile raczej... Thorne nie wiedział, jak to określić.

Niemal natychmiast zdał sobie sprawę, że było to zbyt uproszczone i poniekąd niezbyt poetyckie. Odpowiedź nie kryła się w codziennych motywach powiązanych wydumaną, mocno naciąganą psychologią.

Mimo to załazł Jeremey'emu Bishopowi za skórę.

Spojrzał na córkę Bishopa. Wydawała się wyczerpana. Mówiła coś, czym od dawna z nikim się nie dzieliła, a przynajmniej takie wrażenie odniósł Thorne. Mówiła tak, jakby jego i Hollanda w ogóle tam nie było. Delikatnie musiał przypominać jej o ich obecności.

- Ale co z panią, Rebecca? Jakie panią dręczy poczucie winy?

Spojrzała na Thorne'a, jakby brakowało mu piątej klepki. Czyż to nie oczywiste? - Żałuję, że nie było mnie wtedy z nimi.

Podczas gdy Tom Thorne przesłuchiwał Rebeccę Bishop, pięćdziesiąt kilometrów dalej jej ojciec jadł lunch z kobietą, która, przynajmniej teoretycznie, z nim sypiała.

Zadzwoił poprzedniego wieczoru. Anne sięgnęła po telefon w nadziei, że to może Thorne, i trochę się zdziwiła, słysząc głos Jeremiego. Umówili się na spotkanie. We włoskiej knajpce w Clerkenwell, mniej więcej w połowie drogi między Queen Square a Royal London.

Uścisk na powitanie był zapewne ciut wymuszony, ale wino wkrótce ich rozluźniło i rozmowa potoczyła się gładko. Rozmawiali o pracy Stresującej - ciężko wrócić do domu i się odprężyć. Męczącej - czy kiedykolwiek było inaczej? Zaczął myśleć o zmianie specjalizacji - to ją zaintrygowało. Była rozczarowana i zła regresem z Alison; okazał jej współczucie.

Rozmawiali o dzieciach. Czy zbyt wiele oczekiwała od Rachel? Czy

zbyt nią naciskała? Powiedział, żeby się tym nie przejmowała. Zawsze oczekiwał po Rebecce i Jamesie tego, co najlepsze, i zawsze zbyt mocno naciskał. Był dumny z Rebeki i może James też niebawem pojmie, o co mu właściwie chodzi.

Powiedziała, że powinien być dumny z nich obojga.

Milczenie, przedłużająca się niezręczna cisza, przerwana w końcu przez Bishopa. - Nie dzwoniłaś, bo twój facet ci zabronił?

Anne zapaliła papierosa, trzeciego, odkąd skończyli lunch. - Ty też nie zadzwoniłaś.

- Martwiłem się, że może to wyjść trochę niezręcznie. Czytałem gazety i wiem, że nie mogą mnie już podejrzewać, ale mimo to on... wciąż ma ze mną jakiś problem.

Strząsnęła nieistniejący popiół do popielniczki. - Nie rozmawiałam z Tomem od ponad tygodnia. - Bishop uniósł brew. Znów nerwowe strącenie popiołu. - Nigdy tak naprawdę nie rozmawialiśmy o tobie, Jeremy. Trzeba umieć rozdzielić sprawy osobiste i zawodowe.

Bishop wychylił się do przodu i uśmiechnął, splatając długie szczupłe palce i opierając na nich podbródek. Spojrzał jej głęboko w oczy - Rozumiem to wszystko, Jimmy, i wiem, że to dla ciebie trudne. Ale co naprawdę myślisz?

Utrzymała kontakt wzrokowy i całym sercem, całą duszą spróbowała ujrzeć tego człowieka takim, jakim go widział Tom Thorne. Bez powodzenia.

- Jeremy, sama nie...

- Usłyszałem wczoraj historię o lekarzu uzależnionym od morfiny. Przepisywał ją starszym pacjentom, a potem podczas wizyt domowych okradał. Ci starszycy przychodzili później do tego samego lekarza, sądząc, że zgubili gdzieś leki, jak to bywa z osobami w podeszłym wieku. On tylko się uśmiechał z wyrozumiałością i wypisywał im kolejne recepty i tak dalej.

Anne nie była tym wstrząśnięta. Wielu lekarzy miało kłopot z uzależnieniem. Istniało nawet centrum rehabilitacji dla lekarzy. Bishop mówił dalej: - Facet, który mi to opowiedział, znał tego gościa od ponad dwudziestu lat i nie miał o niczym pojęcia.

Spojrzała na niego. Wstrzymała oddech. Jego głos zabrzmiał jak szept.

- Ludzie mają tajemnice, Anne.

Anne utkwiała wzrok w popielniczce, w której zgasła niedopałek. Ostrożnie, z pietyzmem zdusiła cały żar. Co miała powiedzieć? Czy była to teatralna poza i swoista prowokacja, czy może...?

Uniosła wzrok i poprosiła o rachunek, po czym spojrzała na Jeremyego z uśmiechem. - A skoro o tajemnicach mowa. Widujesz się z kimś?

Jego dobry nastrój natychmiast prysł. Dostrzegła to i już miała odpuścić, ale nie zrobiła tego. Chciała zmienić układ sił, nacieszyć się jego zakłopotaniem. - Masz kogoś, prawda? No, czemu nic nie mówisz? - Dostrzegła coś w jego oczach; w pewnym sensie odpowiedział. - Znam ją?

Wlepił wzrok w obrus. - To nic poważnego i najprawdopodobniej nie potrwa długo, ale nie chcę o tym mówić, żeby nie zapeszyć. Bo wtedy posypie się jeszcze szybciej.

Zaśmiała się. - Odkąd jesteś taki przesądny? Nie pamiętam, żebyś...

- Nie. - Ton jego głosu sprawił, że śmiech zamarł jej w gardle. Koniec rozmowy. - To byłoby jak życzenie, aby wszystko się posypało.

Thorne wrócił do domu ożywiony i podenerwowany. Musiał pomówić z kilkoma osobami. Z tatą. Z Hendricksem. I oczywiście z Anne. Ale za bardzo go roznosiło.

To się stało, kiedy wyszedł ze stacji metra przy Kentish Town, zastanawiając się, jaka tym razem niedojda bez licencji spróbuje go odwiedzić do domu. Rozmowa za nim przebiegała mniej więcej tak:

- Może gazetkę...

- Znajdź sobie pracę!

- To jest moja praca, ty dupku!

I wtedy się zaczęło.

Thorne wkroczył chwilę po tym, gdy padły pierwsze ciosy i kopniaki. Skrzywił się, kiedy zarobił przypadkowo pięścią w bok

głowy, schwycił Pana Dobra Rada za kołnierz i pchnął w stronę najbliższego wyjścia z większym impetem, niż było to konieczne.

Sprzedawca gazet pozbiierał je i podszedł do niego.

- Spadaj - warknął do niego Thorne, po czym odwrócił się do faceta, który miał dom. Był pijany, a może naćpany. Studencik, skonstatował Thorne, krew z rozciętej wargi zalewała tamtemu białą koszulę.

Thorne unieruchomił go przy drzwiach, wciskając przedramię w szyję, po czym rąbnął gnojka kolaniem między nogi, wyjął legitymację z wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki i pokazał ją. - Zgadnij, gdzie ja pracuję...

Teraz, już w domu, z pierwszą puszką taniego piwa w ręce, zastanawiał się, co mogłoby się stać, gdyby nie miał w kieszeni odznaki i nie chciał wyładować odrobiny agresji.

Albo gdyby któryś z tamtych miał nóż.

Takie były typowe morderstwa. Zwykle, wręcz banalne i zrozumiałe. Ludzie umierali z powodu gniewu, frustracji lub braku przestrzeni. Ginęli za wielką sprawę albo głupawy komentarz. Bądź za kilka pensów.

Żony i mężowie ginący od ciosów pięści czy młotka, mężczyźni okazujący swą męskość, pijąc i sięgając z byle powodu po nóż, handlarze narkotyków, dla których pociągnąć za spust oznaczało tyle samo co splunąć.

Thorne rozumiał te śmierci w wielkich miastach. Wiedział, z czego wynikały. Każda była na swój sposób sensowna i uzasadniona.

Ale nie to. Nie zabijanie jako efekt uboczny Ciała jako produkt uboczny jakiegoś niewyobrażalnego szaleństwa. Dopił piwo, włożył kurtkę, a czterdzieści pięć minut później stał już na ulicy w Battersea i patrzył na sylwetkę poruszającą się za oświetlonym oknem na drugim piętrze.

Stał tam przez blisko godzinę, wtapiając się w cień przy najbliższym poruszeniu zasłon, prawdziwym czy wymagowanym. A kiedy Jeremy Bishop nagle rozsunął zasłony i wyrzwał na ulicę, Thorne skrył się w gęstym anonimowym mroku.

Bishop patrzył na Thorne'a, a raczej na miejsce, gdzie ten się ukrywał; być może dostrzegł postać, ale nic więcej. Kiedy Thorne odnalazł jego spojrzenie, krew zastygła mu w żyłach i lodowaty dreszcz przeszył go od stóp do głów, bo nagle wyraz twarzy Bishopa się zmienił.

Z daleka Thorne nie miał pewności.

To mógł być zwykły grymas.

Ale równie dobrze uśmiech.

Wiem, że wcześniej żartowałam sobie ze służby zdrowia, z braku pieniędzy i w ogóle wszystkiego. Kpiłam z tablicy, kiedy pojawiła się po raz pierwszy, sami wiecie, w porównaniu z tymi nowoczesnymi rzeczami, które mają w Stanach.

Ale to?

Anne od jakiegoś czasu mówi mi, że ona i fizjoterapeuta zamierzają sklecić dla mnie kilka przyrządów, abym mogła czytać i oglądać telewizję. Strasznie na to nalegałam, zwłaszcza odkąd znów jestem podłączona do respiratora. Kiedy oddycha za ciebie maszyna, życie potrafi być cholernie nudne, złotko! Nie wiedziałam tylko, że słowo „sklecić” powinnam rozumieć dosłownie. Jak przy zlepianiu na wosk i ślinę.

Przyśrubowali do sufitu coś w rodzaju wysięgnika i teraz wisi tam telewizor, abym mogła wlepić wzrok w ekran. Świetnie. Gdybym była w szpitalu w jakiejś pipidowie w Illinois, mogłabym pewnie ruchami powiek kontrolować natężenie głosu i zmieniać pieprzone kanały. Tu, w starym dobrym Londynie, z powodu kochanej publicznej służby zdrowia, takie drobiazgi są zupełnie nieważne. Dlatego muszę czekać, aż zjawi się pielęgniarzka, i mrugnąć, by dać jej do zrozumienia, że chcę, aby przełączyła na inną stację. Zostawia mnie wpatrzoną w telezakupy czy jakiś kretyński program o gotowaniu, dopóki znów nie zajrzy, po dwudziestu minutach, a ja mrugnę w nadziei, że przełączy na kanał sportowy i mecz piłki nożnej.

Nie chcę, żeby to zabrzmiało, jakbym była niewdzięczna, ale to niebo a ziemia w porównaniu z moim nowym zestawem do czytania. Wykonanego na bazie pulpitu do nut, jak sądzę, choć może dołączyli też fragment drucianego wieszaka do ubrań. Podniesiono mnie, a ten metalowy pulpit położono mi w poprzek na klatce piersiowej, po bokach ma on nieduże zaczepy, aby przytrzymały strony wybranej książki lub czasopisma. Rozwiązanie dobre w teorii. Po pierwsze nie mam zbyt wielu możliwości zamawiania konkretnych książek. Zadręczam się, myśląc o książkach, które

chciałabym przeczytać, a które mają stosunkowo krótkie tytuły. Podobnie jak z czasopismami, choć w tym wypadku jestem wdzięczna za „OK!” czy „Hello!”. Powieki się nie przemęczają. Problem jest taki sam jak z telewizorem. Może nie jestem najtęższym umysłem Anglii, ale nawet ja potrafię przeczytać stronę w ciągu dwudziestu minut, czyli mniej więcej do kolejnej wizyty pielęgniarki. Nie liczę, że będą zjawiać się co dziewięćdziesiąt sekund, aby przekręcić dla mnie stronę, ale przecież chyba można to jakoś rozwiązać.

Nie mogę za wszystko zapłacić i nie mam dzianych rodziców ani sposobów na zdobycie większej gotówki, ale mimo wszystko...

Wszystko to są cholerne półśrodki.

Półśrodki dla kogoś, kto jest już tylko na wpół człowiekiem.

16.

Thorne i Anne Coburn spędzili wspólnie większość dnia w łóżku. On wstał tylko raz, na pół godziny, aby zrobić tosty, włączyć *American Recordings* Johnny'ego Casha i pójść po gazety. Dla niej „The Observer” (przeczytał dział sportowy). Dla niego „The Mirror” i „Screws” (przeczytała dodatki). Nie zamierzał wstawać ponownie aż do czasu, kiedy otworzą puby.

Obudził się samotnie kilka godzin wcześniej, widząc nad sobą oblicze Jeremyego Bishopa w negatywie, jakby zbyt długo wpatrywał się w zapaloną żarówkę.

Otworzył oczy i powoli doszedł do siebie. Telefon leżał na szafce przy łóżku, on zaś oparł się na kilku poduszkach położonych jedna na drugiej. Nie ma to jak wygodny gabinet. Miał ochotę zadzwonić do ojca. Jim Thorne nie cierpiał niedziel, a jego gniewne komentarze na każdy temat, od religijnych oszołomów po centra ogrodowe, rozbawiły Thorne'a niemal do łez. Uzgodnili, że w przyszłym tygodniu spędzą wspólnie wieczór.

Thorne umówił się na pojutrze z Philem Hendricksem, ale wcale nie cieszył się na to spotkanie. Patolog wydawał się oschły i zdystansowany. Ich rozmowa trwała niecałą minutę. Thorne zastanawiał się, po co Hendricks chciał się z nim spotkać. Na pewno nie miało to nic wspólnego z biletami na mecz Spurs-Arsenal.

Potem zadzwonił do Anne.

Jadła śniadanie z Rachel. Zamierzały spędzić dzień razem. Zapewniła Thorne'a, że do niego oddzwoni. Za piętnaście minut już była w drodze do niego. Rachel nie wydawała się zbyt rozcieszona zmianą planów i gdy kładła się do łóżka z komórką, jej matka kładła się do łóżka z Tomem Thorne'em.

Kiedy nadrobili stracony czas, zdrzemnęli się trochę, teraz jednak, otoczeni porozrzucanymi gazetami, leżeli w łóżku pełnym okruszków z tostów i przesyconym wonią seksu. Zaczęli rozmawiać.

To była inna rozmowa niż ta sprzed miesiąca, tego wieczoru, kiedy Thorne wpadł na kolację i kiedy później został napadnięty i odurzony we własnym mieszkaniu. Wtedy pojawiło się wiele kłamstw. Były one ukryte za gładkimi słówkami i pytaniami dotyczącymi Jeremyego Bishopa.

Tyle rzeczy jej nie powiedział. Tak wiele kłamstw wynikało z pominięcia tego czy owego.

Teraz rozmawiali szczerze i swobodnie. Dwoje ludzi po czterdziestce, niemających wiele powodów do wychwalania swoich osiągnięć i tuszowania mankamentów urody. Rozmawiali o Davidzie, Rachel, Jan i wykładowcy O zaletach i wadach rozwodów małżeństw mających dzieci w porównaniu z rozwodami małżeństw bezdzietnych. Rozmawiali o lekcjach gry na fortepianie, które brała w siódmej klasie, o pracach, jakie wykonywała w domu, i o pucharach za turnieje tenisowe, które wygrywała, zanim poszła na studia. O tym, jak bardzo nie cierpiał pedalskiej herbatki z torebek niekapek i ciemnego chleba typu graham, że zapowiadał się na niezłego futbolistę, dopóki nie zaczął przybierać na wadze.

Mówili o tym, jak często ona ratowała życie ludziom i ile razy on musiał użyć broni.

Rozmawiali o tym, że byli bardzo niedobraną parą, i po skwitowaniu tego śmiechem znowu się kochali.

Przez kilka godzin w to słotne niedzielne popołudnie pod koniec września sprawa, która miała jeszcze spacyfikować życie ich oraz innych wpłątanych w nią osób, wydawała się w ogóle nie istnieć.

I wtedy pewna kobieta w Edynburgu sięgnęła po telefon i wszystko się zmieniło.

Kiedyś lubił niedziele. Były nieodłącznym elementem procesu. To właśnie w niedzielę wybrał kilka pierwszych obiektów. W niedzielę obserwował Christine, jak imprezowała z koleżankami. A także Susan, jak oglądała samotnie stary film w telewizji. Nawet po tym, jak przestał pracować w cudzych domach, niedziela nadal pozostawała

istotnym punktem jego operacji. Mógł snuć swoje plany.

Dziś nie spodobało mu się to, co zobaczył. Wszystko brało w łeb. Był bliski załamania, które, gdyby potrwało dłużej, mogłoby się skończyć dla niego tragicznie.

Dni po Helen były trudne, ale na końcu tego tunelu dostrzegł niewielkie światelko. Był przekonany, że sukces jest możliwy. Miał w sobie potencjał potrzebny do osiągnięcia go.

I dni po Alison. Szczęście, jakiego nie zaznał nigdy wcześniej ani później.

Dziś nie widział światelka w tunelu. Ogarniały go coraz poważniejsze wątpliwości, zabijając w nim radość i nadzieję.

Naturalnie chodziło o coś więcej niż osobistą porażkę. Thorne też przegrywał, a raczej nie pozwolono mu odnieść sukcesu.

Bez Thorne'a to wszystko nie miało sensu.

Wszystkie kanały, dzięki którym otrzymywał informacje, były jasne. Wiadomości, plotki, informacje z drugiej ręki. Ich treść nie wróżyła nic dobrego. Podawał im wszystko jak na tacy, a oni wszystko spieprzyli. Nie dostrzegali znaków, które tak starannie zostawiał im po drodze.

Usiadł, wpatrując się w nieskazitelnie białą ścianę. Cokolwiek się wydarzyło, jakkolwiek się to skończy, zawsze będzie mieć Alison. Ona zawsze będzie świadkiem jego zdolności i jego dzieła. Druga część, druga połowa planu mogła nie wyjść, jak się tego spodziewał, ale to przecież nie jego wina. Wynikło to z zaangażowania innych w tę sprawę. Ale istniały sposoby, aby doprowadzić do takiego rozwiązania, jakiego pragnął.

Kara nie będzie adekwatna do zbrodni, mimo wszystko ją wymierzy

To nie koniec, jeszcze nie, ale czuł się tym wszystkim zmęczony

Dwanaście dni wcześniej, gdy ciało Margaret Byrne stygło tam, gdzie je zostawił, a on jechał swoim autem za autobusem z Leonie Holden w środku, czuł się rześki i niezwyciężony. Dziś nie miał nawet siły, żeby wyjść z domu.

Choć później będzie musiał to zrobić.

Śmiali się z jego gustów muzycznych. W tle słyhać było piosenkę *Delia's Gone*, w której Johnny Cash przywiązuje swoją dziewczynę do krzesła i oddaje do niej kilka strzałów, ponieważ uznał, że ma w sobie diabła. Thorne nie widział w tym żadnego problemu.

Zadzwoił telefon. - Tom? Tu Sally Byrne.

Thorne zaśmiał się. - Cześć, Sally Z Elvisem wszystko w porządku. Demoluje mi chatę, ale poza tym wszystko gra.

Anne, która nie poznała jeszcze kotki, spojrzała na niego dziwnym wzrokiem. Uśmiechnęła się do niej przez ramię i pokręcił głową. - *Nie przejmuj się tym*. - Sięgnęła po gazetę i ułożyła się wygodnie, aby poczytać.

- Nie dzwonię w sprawie kotki, Tom.

Thorne powoli podniósł się do pozycji siedzącej. Poczul narastające podniecenie, natychmiast się ożywił. - Słucham cię, Sally.

- To trochę dziwne i pewnie powinnam porozmawiać z tym policjantem - Irlandczykiem. Jak on się nazywa?

- Tughan. - *Mów dalej...*

- Otóż, przeglądałam rzeczy mamy, no wiesz, wybierałam, co lepsze, aby oddać je instytucji charytatywnej, i w pudełku z biżuterią natknęłam się na męską obrączkę.

Thorne już zerwał się z łóżka i wszedł do pokoju, by włożyć szlafrok.

- Tom?

- Przepraszam. O jakiej biżuterii mówisz?

- O tej, którą dostałam od was. Zwrócono mi ją z rzeczami mojej mamy. Wasi technicy oddali mi to zaraz po pogrzebie. Powiedzieli, że już tego nie potrzebują. Nie wiem, gdzie znaleźli tę obrączkę, pewnie na podłodze z resztą rzeczy, i pomyśleli, że należała do mojej mamy, ale to nieprawda.

- Na pewno jest męska?

- Sto procent. I złota. Wygląda jak obrączka ślubna.

- Nie należy do twego taty?

- Żartuje pan? Ten łajdak nigdy nie założyłby obrączki. Mógłby przez to stracić szansę na kolejny podryw.

Thorne przestał słyszeć, co do niego mówiła Sally Byrne. Melodia wdzieraa się do jego mózgu, wypełniając go bez reszty Muzyka klasyczna. Tęskna i posępna. Nie pamiętał nazwy. Brzmiała jakoś z niemiecka. Pamiętał natomiast, gdzie ją słyszał. Pamiętał też rytm, tempo wyznaczone brzękiem obrączki stukającej regularnie w drewnianą gałkę drążka zmiany biegów.

- Pewnie to nic wielkiego, Tom, ale...

Kiedy Thorne wrócił do sypialni kilką minut później, Anne w mig zorientowała się, że coś się zmieniło. Starał się być nonszalancki. Zachowywać się swobodnie. Zapytał, czy chce herbaty.

Wstała i zaczęła się ubierać.

Cokolwiek się wydarzyło między nimi, nie miało już znaczenia. Wiedziała, że do pokoju powróciły zbrodnie i podejrzenia i musiała stąd jak najszybciej wyjść. Krążyli wokół siebie nawzajem niezdarnie, zawstydzeni, zażenowani, speszeni i zastygli w bezruchu na pół sekundy, dostrzegając swoje odbicia w lustrze przy szafie.

Thorne zauważył w jej oczach oskarżycielskie spojrzenie i pożałował, że zapragnął, by wyszła po to, by on mógł zadzwonić w sprawie obrączki do Dave'a Hollanda.

Anne wyczuła ożywienie przenikające całe ciało Thorne'a jak prąd elektryczny.

Zobaczyła w nim pragnienie.

Ujrzała twarz Jeremy'ego Bishopa i mroczny smutek w jego oczach, gdy wyszeptał: „Ludzie mają swoje sekrety, Anne”.

Siedzieli przy stoliku na drugim końcu sali, nie w całkowitej ciemności, ale w półmroku. On tak chciał. Zaprowadził ją do stolika, omijając wolne miejsce przy ścianie. To był w sumie niezły pomysł, bo przecież nie chcieli stać się obiektami żartów, a ona była nieletnia.

Rachel rozejrzała się wokoło. Nie była jedyną nieletnią.

Ale też nikt nie zwracał na to uwagi. Klub był słabo oświetlony, a kobieta przy kasie ledwie uniosła wzrok, kiedy weszli. Rachel poświęciła sporo czasu na makijaż. Stała nawet w świetle przy

barze i kupiła dla nich obojga drinki, wpatrując się w swoje odbicie w lustrze biegnącym wzdłuż tylnej ściany pod oświetleniem. Wyglądała co najmniej na osiemnaście lat. Może nawet dwadzieścia.

Ten mały klub przy pubie w Crouch End był, jak jej powiedział, jednym z jego ulubionych miejsc. Przychodzili tu różni ludzie. Nikogo nie obchodziło, jak kto wygląda czy ile ma lat. Nie do porównania z Comedy Store, ale na tej scenie występowali ci sami komicy, których można zobaczyć w West Endzie.

Rachel to zaciekawiło i poprosiła, by ją tam zabrał. Powiedział jej, że raz w tygodniu we wspomnianym klubie odbywały się wieczory amatorów, podczas których mogli się zaprezentować młodzi, obiecujący komicy ze swoimi skeczami i dowcipami. Bywał na nich tak często, jak mógł, jeżeli akurat nie pracował. Ochotnicy mieli do dyspozycji określony czas, po kilkanaście minut dla każdego. Nie byli artystami najwyższych lotów. Dla nich był to ewidentnie rodzaj terapii, natomiast oglądanie tych popisów okazało się istną mordęgą. Równie atrakcyjną jak udział w wypadku samochodowym. Patrzenie, jak się pogrążają, męczą i ponoszą porażkę, było, jak zapewniał, zdumiewającym przeżyciem.

Komik prezentujący się na scenie, szczerzący się bez przerwy Szkot o rudych włosach i w krzykliwym garniturze, sporo wrzeszczał i zdecydowanie przesadził z ilością przekleństw. Opowiadał o seksie z barwnymi szczegółami, a Rachel zaczęła się czerwienić w ciemnościach. Kątem oka spojrzała na mężczyznę siedzącego obok niej, aby mogła zaśmiać się w tym samym momencie co on. Nie chciała wyjść na młodą, głupią, niedoświadczoną i nieobytą gąskę.

Widziała, że dobrze się bawił. Wydawał się trochę spięty, kiedy odebrał ją sprzed Green Man, ale teraz wyraźnie się rozluźnił. Baczej przyglądała się jemu niż temu, co działo się na scenie. On patrzył jak urzeczony na komika albo na innych widzów. Był wnikliwym obserwatorem, krytycznym i bezwzględny. To właśnie w nim uwielbiała. Kochała to, że żył pełnią życia na okrągło, w każdej chwili chłonąc to, co było mu dane, i ciesząc się tym. Uwielbiała jego drapieżność i nonkonformistyczną postawę.

Komik opowiedział jakiś żart o swoich rodzicach, a Rachel pomyślała o matce. Anne była w dziwnym nastroju, kiedy wróciła do domu - od tego policjanta, jak podejrzewała Rachel. To na pewno on dzwonił tego ranka. Pewnie spędzili ten dzień razem, robiąc to z niewielkimi przerwami.

Sporo myślała o Thornie pieprzającym się z jej matką.

Sporo myślała o samym pieprzeniu się.

Kiedy zapowiedziała, że wychodzi, zrobiła się ciężka atmosfera, ale matka nie mogła jej tego zabronić po tym, jak wcześniej sama zmieniła plany

Ludzie wokoło zaczęli klaskać. Przyłączyła się do nich. Konferansjer wrócił na scenę, aby zapowiedzieć kolejny występ. Potem miała nastąpić przerwa. Zastanawiała się, czy po przedstawieniu pójdą coś zjeść - w tej okolicy było sporo świetnych restauracji. A zanim odwiezie ją do domu, będą mogli posiedzieć trochę w jego aucie.

Na scenie pojawiła się kobieta komik. Była nieco bardziej taktowna, a na początek zaśpiewała całkiem zabawną piosenkę o tym, jak to faceci są do niczego w łóżku.

Rachel upiła łyk piwa i uśmiechnęła się do niego, czując przyjemny szum w głowie. Odpowiedział uśmiechem i ścisnął ją za rękę. Kiedy ją puścił, wsunęła rękę między jego plecy a krzesło.

Nigdy jeszcze nie była równie szczęśliwa.

Oparła dłoń na jego talii... widzowie zaczęli się śmiać... on miał na sobie świetną lnianą koszulę, którą nosił wypuszczoną na spodnie... widzowie z aplauzem przyjęli resztę żartu... on zawsze był znakomicie ubrany... kobieta na scenie zaintonowała kolejną piosenkę... Rachel chciała dotknąć jego skóry... pijak pod ścianą zaczął klaskać i głośno wiwatować... wsunęła dłoń pod jego koszulę i spróbowała dotknąć palcami skóry na jego brzuchu...

I wtedy on krzyknął.

W mgnieniu oka wszystko się posypało, a on poderwał się z miejsca, wylewając jej piwo na kolana, kobieta na scenie wskazała na nich ręką, Rachel odniosła wrażenie, że krzyknął. Chryste, naprawdę

krzyknął. Zawył jak oparzony... Na całe gardło... Jego twarz wyglądała jak maska, ona sięgnęła ręką, aby schwycić go za ramię, ale nazwał ją głupią małą dziwką, zabrał swój płaszcz i odszedł szybkim krokiem, lawirując między stolikami, przewracając kilka wolnych krzeseł.

Kobieta na scenie zaśmiała się, powiedziała coś do niego, zanim zdążył wyjść, na co on się odwrócił i wrzasnął, żeby się odpieprzyła, widzowie zaczęli buczeć, a on miał taką minę, jakby chciał zrobić im wszystkim coś złego.

Wybiegł z sali, a ona poczuła piwo przesączające się przez jej spódniczkę i palące spojrzenia widzów wokół niej. Drzwi do sali zamknęły się z hukiem, a kobieta na scenie nachyliła się do mikrofonu i ocieniając dłonią oczy, spojrzała w stronę, gdzie siedziała Rachel pragnąca zapaść się pod ziemię.

- Drobną kłótnia rodzinna, kochanie?

Kilka osób na sali zaśmiało się. A Rachel wybuchnęła płaczem.

Holland słuchał po raz trzeci w ciągu trzech godzin wiadomości sportowych w Radiu 5 Live, gdy w lusterku wstecznym błysnęły reflektory auta. Odwrócił się, by ujrzeć Jeremy'ego Bishopa podjeżdżającego pod dom.

Thorne zadzwonił około szóstej i Sophie nie była tym zachwycona. Natychmiast zorientowała się, że to Thorne. Orientowała się we wszystkim błyskawicznie. Była wściekła, że musiał wyjść; jej zdaniem Thorne miał na Hollanda zły wpływ i zagrażał jego dalszej karierze. Powinien trzymać się od Thorne'a jak najdalej. W przeciwnym razie czekała go przyszłość bez awansu, bez stabilności, bez niczego, co pewne.

A także, co zasugerowała mu dość wyraźnie, bez niej.

Nie mógł się z nią spierać. Wszystko, co powiedziała, miało sens. Ale znał dobrze te słowa. Płynęły z za grobu. To były słowa jego ojca. Sophie wyrażała opinię mężczyzny, którego kochał, lecz nigdy nie podziwiał.

Trudno było nie podziwiać Toma Thorne'a.

Nie mógł się spierać z Sophie, toteż nawet nie próbował. Opuścił

dom w milczeniu i w myślach odbył z nią spór w drodze do Battersea i później, gdy siedział w samochodzie i czekał. Prawdę mówiąc, spierał się także z samym sobą.

Thorne jak tonący chwycił się brzytwy, to fakt. Jeremy Bishop, który, o czym Holland wiedział, pracował w tym czasie w szpitalu Royal London, miał zgubić obrączkę w sypialni Margaret Byrne, kiedy dokonywał okrutnego, krwawego zabójstwa. No jasne. Jeśli spojrzeć na to racjonalnie, wszystko wydawało się rojeniami faceta, który powoli, lecz nieuchronnie pogrążał się w otchłani szaleństwa. A jednak było coś w głosie Thorne'a. Może desperacja, a może raczej coś więcej. Podniecenie. Pasja. Tak silna, że Holland sięgnął po kurtkę i zaczął się zastanawiać, co powie Sophie, jeszcze zanim odłożył słuchawkę.

Wysiadł z auta i przeszedł przez ulicę.

Bishop, który właśnie zamknął kluczykiem drzwiczki volvo i zmierzał w stronę drzwi frontowych, zauważył podchodzącego ku niemu Hollanda. Westchnął teatralnie i oparł się plecami o bok auta, wsuwając dłonie do kieszeni spodni.

Holland był gotów na przepraszające wzruszenie ramion i odpowiednio dobrane słowa. Jeszcze tylko kilka pytań. Chodzi o nowy trop. Jesteśmy wdzięczni za pańską pomoc i chęć współpracy. Gdy podszedł bliżej, zorientował się, że Bishop go pamiętał. Było mu to obojętne. W prawej ręce trzymał odznakę, a drugą uniół w uspokajającym geście. - Detektyw konstabl Holland.

Bishop zrobił krok w jego stronę. - Tak, wiem. Jak ręka pańskiej dziewczyny? - Zniecierpliwiony ton miał sugerować, że doktor wiedział, iż to była zwyczajna bujda.

Holland zawahał się, ale tylko przez moment. - Już dobrze.

- Jak długo to potrwa?

Nie trwało długo. Kiedy Bishop zadał to pytanie, wyciągnął do Hollanda lewą rękę na powitanie. Uścisnęli sobie nawzajem dłonie, a Hollandowi wystarczył jeden rzut oka, aby potwierdzić to, po co tu przyjechał. To, po co przysłał go Thorne.

Bishop nie miał na ręku obrączki.

Sporo czytam. Często tę samą stronę wiele razy, co mi tam. Wcześniej było trochę problemów ze znalezieniem dla mnie czegoś ciekawego do czytania i podczas gdy tamci siedzieli, aby przetestować nowy pulpit, fizjoterapeuta podsunął mi jako lekturę oficjalną literaturę szpitalną, innymi słowy, tutejsze teksty.

Ziew...

Tak właśnie pomyślałam, dopóki nie zabrałam się do czytania.

Naprawdę fascynująca literatura. Tu cytat, pamiętam go bardzo dokładnie, bo wpatrywałam się w niego przez bite dwadzieścia minut: „Narodowa Klinika Neurologii i Neurochirurgii, w której skład wchodzi Instytut Neurologii, stanowi unikalne źródło nauk, szkolenia i badań w zakresie neurologii i badań neurologicznych. Prace personelu naukowego oraz jego badania są ściśle zintegrowane z troską szpitala o pacjentów tej placówki”.

Cóż, to wszystko wydaje mi się całkiem jasne i oczywiste. Wzmianka o trosce została dodana jakby po namyśle, na szarym końcu, kiedy ktoś przypomniał sobie, że to jednak ma być szpital. Cała reszta traktuje o badaniach i szkoleniu, a mnie akurat ten szajs najzwyczajniej w świecie wisi.

Jestem pacjentką. Mówię szczerze, wolałabym tu nie leżeć, ale skoro już jestem, to należy traktować mnie jak pacjentkę. Nie jestem niczym obiektem badawczym. Ani pieprzoną pomocą szkoleniową.

„Spójrzmy teraz na tę młodą kobietę sparaliżowaną wskutek gwałtownego urazu mechanicznego pnia mózgu. Czy mogłabyś spróbować mrugnąć, kochanie?”

Nie, dziękuję.

No dobra, trochę za bardzo się rozpędziłam, ale kiedy przeczytałam ten tekst pierwszy raz, zwyczajnie krew mnie zalała. Całą noc nie mogłam zasnąć i zastanawiałam się, czy ktokolwiek w tym zaszranym szpitalu próbuje zrobić coś, aby pomóc mi wrócić do zdrowia.

Wciąż się nad tym zastanawiam.

Czy w moim obecnym stanie jestem im o wiele bardziej przydatna?

17.

Keable i Tughan mieli już przygotowane pytania, a Thorne wiele odpowiedzi. Po pierwsze sprawa kolejnej skargi Jeremy'ego Bishopa.

- Twierdzi, że ktoś obserwował jego dom w sobotę wieczorem. - Keable spojrzął na Thorne'a.

Thorne wzruszył ramionami i z niewinną miną odwrócił się do Hollanda. - Czy wspominał o tym ubiegłego wieczoru?

Tughan odezwał się, zanim Holland zdążył coś powiedzieć. - Stąpasz po cienkim lodzie, Thorne.

Thorne uśmiechnął się. Był w doskonałym humorze i docinki Nicka Tughana nie mogły popsuć mu nastroju. Któregoś dnia rozmówi się z nim raz na zawsze. Jak na razie lepiej go ignorować.

Tughan usadowił się na krześle, przy ścianie, pod kalendarzem, a Holland stanął plecami do drzwi. W gabinecie zrobiło się tłoczno. Thorne oparł się obiema dłońmi o biurko Keable'a i nachylił się ku niemu. - I co teraz zrobimy, Frank?

Keable odsunął się z fotelem od biurka. Uniósł dłoń. - Najpierw zastanówmy się, z czym właściwie mamy do czynienia. Skąd ona może mieć pewność, że obrączka nie należy do jej matki?

- Jest tego pewna.

Tughan parsknął. - Mieszka w Edynburgu, w ogóle nie widywała się z matką. Ta obrączka mogła należeć do kogokolwiek. Kto wie, ilu facetów się tam przewalało?

Holland powiedział półgłosem. - Nie sądzę, aby Margaret Byrne spotykała się z jakimiś mężczyznami.

Tughan odwrócił się i lypnął na niego spode łba. Holland nie odwrócił wzroku.

- Technicy nie zdjęli z ciała żadnych odcisków...

Thorne trzasnął otwartą dłoń w blat biurka. - Gdyby technicy nie spieszyli sprawy, ewidencjonując najważniejszy dowód rzeczowy jako przedmiot należący do ofiary, nie siedzielibyśmy tu teraz. Bo już dawno byłoby po sprawie.

- Na ciele nie ma odcisków palców, Tom. Zabójca nosił rękawiczki, jak mógłby zgubić obrączkę?

Thorne wziął głęboki oddech. *Odpowiedz na pytanie. Powoli i spokojnie.* - Myślę, że nałożył rękawiczki, kiedy była już nieprzytomna. Rękawiczki chirurgiczne. Nałożył je, gdy miał użyć skalpela. Aby wykonać cięcie. Obrączkę mógł zgubić wcześniej. Musiało przecież dojść do szamotaniny.

Keable spojrzął na Tughana, który pokręcił głową. - Co mówi Bishop?

Holland postąpił naprzód, kładąc dłoń na oparciu krzesła Tughana. - Twierdzi, że zgubił ją kilka tygodni temu.

Tughan wciąż kręcił głową. Nie zgadzał się z tym. - Jak można zgubić obrączkę ślubną? - Zaczął mocować się ze swoją. - Ja nie mógłbym zdjąć własnej, nawet gdybym chciał.

Holland podobnie jak Thorne miał w zanadru kilka odpowiedzi. - Wyjaśnił, że zdejmował ją bez trudu, w pracy. Podobnie jak łańcuszek, który nosi na szyi. Twierdzi, że ktoś musiał zabrać obrączkę z jego szafki w szpitalu.

Keable poszedł dalej tym tropem. - Czy zginęło coś jeszcze?

- Portfel i zegarek. Tag Heuer.

- Zgłosił to?

- Nie widział takiej potrzeby. Z szafek stale coś ginie.

Thorne wodził wzrokiem od jednej twarzy do drugiej. Holland spisywał się znakomicie. Keable potrzebował faktów, aby dać się przekonać. A Holland właśnie mu ich dostarczał.

- Kiedy to było?

- Prawie trzy tygodnie temu. Jedenastego.

Keable skinął głową. - Dzień przed śmiercią Margaret Byrne. Thorne milczał. Tego dnia, kiedy wymusił podwiezienie do miasta, Bishop miał wtedy na palcu obrączkę. Pozwolił, by Keable podjął

decyzję. To ważne, aby wyszła właśnie od niego. Nadal kiwał głową.

- Czego chcesz, Tom?

- Nakazu.

Tughan poderwał się z miejsca tak gwałtownie, że aż odsunął krzesło. Keable uniósł rękę. - Przekażmy najpierw tę obrączkę naszym ekspertom od kryminalistyki. Jeżeli coś z tego wyniknie, pogadamy o nakazie. Nick, zawiadom Lothian. Chcę, żeby tą sprawą zajęli się najlepsi specjaliści. Jasne?

Tughan wyszedł z gabinetu pierwszy. Holland otworzył przed nim drzwi. Gdy Thorne zamierzał wyjść, Keable zatrzymał go. - W południe mamy zaplanowaną konferencję prasową, Tom. Chciałbym, żebyś też stanął za pulpitem.

To była propozycja nie do odrzucenia. Thorne skądinąd nie zamierzał tego robić. W jego ciele krążyła adrenalina. Był podniecony jak na haju. Nie miał nic przeciwko pojawieniu się w telewizji. Może w jakimś serialu...

Thorne...

Wchodzi do sali odpraw. Nie unika kontaktu wzrokowego. Przyjmuje wyrazy życzliwości i ciepłe, pełne aprobaty spojrzenia. Kładzie dłoń na ramieniu Dave'a Hollanda i w odpowiedzi otrzymuje szeroki uśmiech. Napawa się widokiem posępnego oblicza Nicka Tughana, gdy Irlandczyk przeczesuje palcami jasne włosy i sięga po telefon.

Cieszy go też ton ulgi w głosach dziewcząt.

Niedługo będzie po wszystkim, prawda?

Prawda, Tommy?

Dopadniesz go, Tommy?

Dorwij skurwiela...

Christine, Madeleine, Susan. I Helen na końcu. Stara się dać im wszystkim nadzieję. I nie lęka się już, że mogą to być płonne nadzieje.

Tak, dopadnę go. Już niebawem.

A gdzieś w tle rozlega się śmiech Leonie Holden.

Oglądał to dwukrotnie. W obu wydaniach wiadomości BBC i ITV W obu wypadkach był jak urzeczony. W obu śmiał się w głos, a na koniec zaczął klaskać.

Był już w znacznie lepszym nastroju. Sprawy przybrały pomyślniejszy obrót, a przygnębienie, jakie ogarnęło go dzień wcześniej - to był naprawdę okropny dzień - prysnęło jak bańka mydlana wraz z informacjami, które podano w mediach. Trochę się spóźnili, ale lepiej późno niż wcale. Wciąż nie czuł większej potrzeby, aby raz jeszcze spróbować procedury, aczkolwiek wyglądało na to, że wszystko jednak pójdzie zgodnie z jego planem.

Komendant Sama Szczerość, nadinspektor Krzaczaste Brwi... i Tom Thorne. Ucieszył się, kiedy Thorne został w końcu przedstawiony całemu krajowi. A więc wszystko znów było cacy, czyż nie? Tom wrócił do zespołu.

Komendant mówił o „nowych tropach” i „obietujących nowych wątkach w dochodzeniu”. W samą porę! Bo przecież w dalszym ciągu czekali na informacje od widzów w sprawie granatowego volvo, może ktoś zdołał zapamiętać choć część numeru rejestracyjnego, i wciąż pokazywali ten kretyński portret pamięciowy sporządzony na podstawie zeznań jakiegoś starego pryka, który miał widzieć go tej nocy, kiedy zginęła Helen Doyle.

Margaret Byrne mogłaby przekazać im dokładniejszy rysopis i cenniejsze informacje.

W końcu komendant Sama Szczerość przedstawił funkcjonariusza, który postanowił „zwrócić się bezpośrednio do człowieka odpowiedzialnego za te przerażające zabójstwa”, i kamera przeniosła się na Thorne’a. Wydawał się zdenerwowany. Speszony.

Zastanawiał się, jak będzie sobie radził przed kamerą. Musiał robić to już wcześniej, był w tym całkiem niezły Irlandczyk radził sobie sprawnie, ale domyślał się, że Thorne wniesie do tego coś jeszcze. Coś nowego. Jakąś moc. Potęgę podsyconą przez szczery gniew.

To oczywiste. Thorne kierował się sercem.

Nie rozczarował się. Nie mówił z kartki, nie posługiwał się zapiskami. Nie potrzebował ich. Thorne spojrział w kamerę i przemówił ze spokojem, precyzją i wewnętrzną mocą.

Przesunął się z krzesłem do przodu, jego twarz była oddalona od ekranu zaledwie o kilkanaście centymetrów, usta rozchylone. Zupełnie jakby Thorne mówił bezpośrednio do niego.

I tak właśnie było.

„Jeszcze nie jest za późno. Możesz to w każdej chwili przerwać. Niczego nie mogę ci obiecać, ale jeżeli teraz się poddasz, jeżeli jeszcze dziś zgłosisz się na policję, potraktujemy to jako okoliczność łagodzącą.

Nadal nie wiemy, co cię pchnęło do popełnienia tych czynów. Może wydaje ci się, że nie masz wyboru. Będziesz miał szansę wyjaśnić to nam, gdy skończysz z zabijaniem.

Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że uczynimy co w naszej mocy, aby cię powstrzymać. Użyjemy wszelkich środków. Nie zawahamy się przed niczym. Jeżeli się nie poddasz, nie będę mógł zagwarantować, że nic ci się nie stanie. Nie będę mógł zagwarantować ci bezpieczeństwa. Ryzykujesz własne zdrowie, a nawet życie. Nie chcemy, aby ktoś jeszcze ucierpiał. Ty również. Możesz w to uwierzyć lub nie. Wybór należy do ciebie.

Teraz zastanów się przez chwilę. Tak. Właśnie teraz. Pomyśl przez chwilę. Cokolwiek pragnąłeś osiągnąć, przyjmijmy że dopiąłeś swego. A potem sięgnij po telefon.

Położmy kres temu szaleństwu. Już. Teraz. Zaraz. Zgłoś się jeszcze dziś, oddaj się w moje ręce... w nasze ręce, a uczynimy wszystko, aby ci pomóc”.

Thorne nachylił się nagle w stronę kamery. Jego twarz wypełniła cały ekran.

„Tak czy inaczej, już wkrótce się to skończy”.

Rachel wybaczyła mu niemal natychmiast.

Zadzwoił do niej i wydawał się bardzo przejęty tym, jak się zachował. Wiedział, że to, co zrobił, było niewybaczalne, i rozumiałby, gdyby zapragnęła zakończyć ich znajomość.

To ostatnia rzecz, jakiej mogłaby chcieć.

Jego przeprosiny dodały jej sił. Zupełnie jakby nagle coś się między nimi zmieniło. Nowy układ sił. On mógł po prostu odejść, ale nie zrobił tego. Pragnął jej wybaczenia i gdy tylko je otrzymał, pojęła, że ich związek przeszedł na inny poziom.

Wyjaśnił, że miał nieciekawą sytuację w pracy. Posprzeczał się z paroma osobami i wszyscy próbowali mu dopiec. To, rzecz jasna, nie tłumaczy jego zachowania, ale chciał, by wiedziała, że ostatnio bez przerwy był w wielkim stresie. Zapytała, czemu jej o tym nie powiedział. Chciała, by dzielił się z nią takimi sprawami. Chciała dzielić z nim wszystko. Mogła mu pomóc. On zapewnił, że chce się dzielić z nią wszystkim i któregoś dnia na pewno tak się stanie. Może nawet już niedługo.

Poczula suchość w ustach. Wiedziała, że mówił o seksie.

Zapytał, czy po tym, jak wybiegł z klubu, miała jakieś kłopoty. Odparła, że ta kobieta komik próbowała sobie z niej żartować, ale niedługo ogłoszono przerwę, a wtedy zwyczajnie pojechała do domu. Oboje wybuchnęli śmiechem, zastanawiając się, co mogli o nich mówić inni goście obecni wtedy w klubie. Obiecał, że kupi jej nową spódniczkę w zamian za tamtą, którą zalał piwem. Zapewnił, że kupi jej wiele różnych rzeczy.

Zwlekali z pożegnaniem, ale wreszcie to Rachel powiedziała, że musi już kończyć. Zapewniła, że zadzwoni do niego później, że go kocha, i oboje w tej samej chwili się rozłączyli.

A potem Rachel zaczęła się szykować do szkoły.

Anne była na spotkaniu i wróci najwcześniej za kilka godzin. Thorne nie przejął się tym zbyt. Zapytał o nią w recepcji, a teraz szedł w stronę windy, oddychając z ulgą. Gdyby się na nią natknął, to trudno. Jakoś by sobie poradził, ona również, choć lepiej, aby odłożyli to spotkanie o dzień, dwa.

Miał nadzieję, że do tego czasu będzie już po wszystkim.

Dzień wcześniej, po telefonie od Sally Byrne, nie byli w stanie o niczym rozmawiać. Kiedy sprawca zostanie aresztowany, ten

sprawca, porozmawiają o wszystkim. Dla Anne to nie będzie łatwe, ale on pomoże jej się z tym uporać.

Jeżeli nadal będzie go chciała.

Spotykał się wielokrotnie z osobami, które były blisko związane z zabójcami. Przypomniawszy sobie, jakie to było trudne dla rodziców Calverta, choć ten przypadek był dość szczególny.

To tak, jakby ktoś umarł; konieczny jest okres żałoby. Anne będzie potrzebowała czasu, by opłakać utraconego przyjaciela. Utraci go na wiele sposobów, toteż żałoba będzie procesem złożonym. Będzie musiała uwolnić się od poczucia winy i wstydu, że była przyjaciółką takiego człowieka, jak również od związanych z tym faktem wyrzutów sumienia. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa to ona będzie główną ostoją dla jego dzieci, będzie musiała je jakoś pocieszyć i uporać się z ich uczuciami. A później z prasą. Jeżeli dziennikarze nie będą mogli osaczyć zabójcy, zajmą się jego przyjaciółmi. To nie będzie proste.

Anne zacznie szukać kogoś, kogo mogłaby za to wszystko winić.

Lepiej choć przez pewien czas unikać konfrontacji. Trzymać się z dala od linii ognia. Nie jest powiedziane, że wszystko pójdzie jak po maśle. Znał wiele przypadków, o wiele prostszych niż ten, które w ostatniej chwili zakończyły się niepowodzeniem. Różnego rodzaju wpadki albo, uchowaj Boże, uchybienia tylko czekały, by pogrzebać karierę tego czy innego dobrze zapowiadającego się inspektora. Thorne nie chował głowy w piasek. Bądź co bądź, zjawił się tu i wychodząc z windy, zastanawiał się, jak miał to wszystko wyjaśnić.

Ponieważ nie przyszedł tu, aby zobaczyć się z Anne.

Po wejściu do pokoju Alison przeżył szok. Anne nie powiedziała mu, że dziewczynę na powrót podłączono do respiratora, chociaż wiedział, jak bardzo była podatna na infekcje.

W pokoju znów panował hałas, zrobiło się ciśnień, ale dziewczyna leżąca pośrodku przykuła jego wzrok i chwyciła za serce tak, jak kiedy ujrzał ją po raz pierwszy. Miała krótsze włosy niż wtedy, kiedy widział ją po raz ostatni. Było to tego dnia, kiedy przyniósł zdjęcie Bishopa,

i tuż przed tym, jak dowiedział się o anonimowym oskarżeniu i rzeczach, które wyrwały się spod kontroli.

Teraz znów miał wszystko pod kontrolą.

Wolno podszedł do łóżka, mijając złożoną tablicę leżącą pod ścianą i nakrytą prześcieradłem. Czy Alison słyszała, że wszedł do pokoju? Wiedział, że jej pole widzenia było ograniczone, i nie chciał jej przestraszyć.

Skarcił sam siebie w myślach. *Przestraszyć ją? Ale jak? Ty durniu.* Tak niewiele wiedział o tym, jak wyglądało teraz jej życie. Czym się stało. Obiecał sobie, że dowie się o tym jak najwięcej, ale nie zrobił tego. Słyszał o ludziach, którzy po amputacji kończyn wciąż czuli się, jakby nadal je mieli. Czy z Alison było podobnie? Czy cały czas czuła albo wyobrażała sobie, że czuje, iż może podskakiwać, biegać lub całować się z kimś?

Przystanął w nogach łóżka, gdzie, jak wiedział, mogła go zobaczyć. Jej gałka oczna poruszyła się. Powieka drgnęła.

Cześć.

Podszedł do łóżka z boku, przystawił pomarańczowe plastikowe krzesło i rozejrzał się po pokoju jak zwykły gość poznający otoczenie. Nie zauważył żadnych kwiatów.

Nie pozostało już nic, tylko zacząć rozmowę.

- Cześć, Alison, mam nadzieję że nie masz nic przeciw temu, że wpadłem, ale chciałem wyjaśnić parę rzeczy. Nikt inny tego nie zrobił, a ja uważam, że masz prawo wiedzieć. Doktor Coburn zapozna cię ze stroną medyczną twojego przypadku... a ja chciałem spróbować przybliżyć ci to, co cię spotkało. Po tym, jak wyszłaś z klubu tamtego wieczoru. Bo w sumie nie wiemy, ile z tego wszystkiego zapamiętałaś.

Przypuszczalnie nic.

Nalał sobie wody do szklanki z dzbanka stojącego przy łóżku. Zastanawiał się, po co tu stał, przecież Alison nie mogła się napić.

- To, co konkretnie się wydarzyło w drodze z pubu do twego domu, jest oparte jedynie na przypuszczeniach, ale to mało ważne. Gdzie spotkałaś faceta z szampanem, powiesz nam, kiedy już pozwolą ci oddychać bez respiratora i kiedy poczujesz się lepiej. Wiemy

jednak, że wszedł do twego domu, że odurzył cię narkotykiem w szampanie i że nic nie mogłaś zrobić kiedy... położył na tobie rękę.

Z korytarza dobiegł głośny trzask. Thorne zauważył reakcję Alison. Lekkie napięcie skóry wokół oczu. Dźwięki musiały być dla niej szczególnie ważne.

Musiał przejść do rzeczy. Przestać owijać w bawełnę. Mówił rodzicom, jak umierały ich dzieci. Czemu tym razem było mu tak trudno?

- Widzisz, Alison, w tym właśnie rzecz. Ty nie ocalałaś. To znaczy... tak, jasne, że tak, ale jemu właśnie o to chodziło.

Poklepał brzeg łóżka, spojrzął w stronę maszyn, monitorów, rurek i na powrót przeniósł wzrok na twarz Alison.

- To jest to, czego on chciał, co starał się osiągnąć. O to mu chodziło. Wiem, że to brzmi jak szaleństwo, i niewątpliwie tak właśnie jest. On nie próbował cię zabić. Mógłby cię zabić bez trudu, ponieważ to, co z tobą zrobił, jest wyjątkowo skomplikowane. Próbował tego wcześniej i później, bez powodzenia... tamte kobiety umarły. Więc...

Więc co? Thorne zastanawiał się, czy w ogóle powinien zacząć to wszystko. Co miał jej teraz powiedzieć? Jak wielkie miała szczęście?

- To tyle. Nie powiem, że miałaś szczęście, bo nie umarłaś. Sama to wiesz i czujesz najlepiej. Ale byłaś na tyle silna, by... nie umrzeć, więc jestem pewien, że okażesz się na tyle silna, że wydostaniesz się stąd.

- Nie mam pojęcia, czemu on to zrobił, Alison. Choć chciałbym ci to powiedzieć. Mógłbym pewnie coś wymyślić, ale prawda jest taka, że nie mam zielonego pojęcia. Mogę natomiast powiedzieć jedno i, szczerze mówiąc, po to tu właśnie przyszedłem. Już niedługo on mi powie, czemu to zrobił. Chcę, żebyś o tym wiedziała. Już wkrótce. Spójrzy mi prosto w oczy i wyśpiewa wszystko.

Ujął ją za rękę. Ścisnął lekko.

- A potem wpakuję skurwiela za kratki, gdzie będzie gnął aż do śmierci.

Naprawdę? Rozumiem. Dzięki, że wpadłeś i byłeś łaskaw mnie o tym poinformować.

On zrobił mi to celowo. Chce, abym była właśnie taka. Podłączona do maszyn, popieprzona.

No jasne...

W moim obecnym stanie nie mogę przyjmować tego typu wiadomości inaczej niż ze stoickim spokojem. Moje reakcje zawsze były dość podobne. Przynajmniej na zewnątrz. Sprawiałam wrażenie spokojnej i wyciszonej. Każdy, kto na mnie spojrzy, pomyśli zapewne: „Och, jak ona dzielnie to znosi. Jest taka spokojna”.

A we mnie jest zupełnie co innego.

Wściekłość. Teraz rozumiem już, co znaczy gdy mówi się, że krew wrze w żyłach, bo czuję, jak bulgocze. Czuję, jak przepływa przez moje żyły niczym lawa. Bo teraz już wiem. Wiem na pewno.

Po części sama do tego doszłam.

Domyślałam się, że musi chodzić o coś takiego.

O coś chorego i pokręconego.

Miałam sporo czasu, aby to przemyśleć, i nie trzeba geniusza, żeby się zorientować, że dzieje się coś dziwnego.

Nie miałam na sobie żadnych śladów.

To nie była napaść na tle seksualnym. Anne mi powiedziała.

Wcześniej sądziłam, że może on próbował skrócić mi kark, ale nie miałam nawet sińca na szyi. Domyślałam się, że nietrudno jest kogoś zabić, gdy naprawdę komuś na tym zależy, i zastanawiałam się, dlaczego nie chciał tego zrobić.

Próbowałam zrozumieć, o co mu chodziło.

A więc ze mną jedną mu się udało? Jestem żywym i prawie samodzielnie oddychającym świadectwem... umiejętności tego faceta?

Podczas gdy inne kobiety umarły.

Słyszę, jak krew skwierczy i wrze w moich tętnicach. Jak para bucha z mojej skóry.

Thorne wydawał się raczej pewny siebie, że zdoła go dopaść. Coś w jego głosie pozwala mi przypuszczać, że ktokolwiek to zrobił, pożałuje, kiedy Thorne dostanie go w swoje ręce.

Powiedział, że zmusi go, aby wyjaśnił, czemu to zrobił. Nie jestem pewna, czy ta wiedza pozwoli mi poczuć się lepiej. Ale dopadnięcie go na pewno poprawi mi humor. Thorne powiedział, że nie wie, ile właściwie pamiętam. Ja też nie.

Jeśli jednak to pomoże w schwytaniu tego łajdaka, spróbuję przypomnieć sobie możliwie jak najwięcej.

18.

12 lutego 1999. Zmarła jego matka.

3 września 1994. Jan odeszła od niego po raz pierwszy.

18 czerwca 1985. Calvert...

Kiedy Thorne jechał w stronę Camden w ten wtorek, w porze lunchu, nie miał pojęcia, że następny dzień, 2 października 2000 roku, będzie kolejną datą na tej liście. Może najważniejszą z nich wszystkich. Dni, o których chciał zapamiętać, ale nie miał wyboru i musiał je pamiętać.

Dni, które go ukształtowały. Długie, bardzo długie dni. Bolesne. Dni, które nauczyły go, kim był dotąd, i przesądziły o tym, jaki ma być od tej chwili.

Kim ma być.

Ten dzień poprzedzający ów najważniejszy nie zaczął się dobrze i odtąd miało być już tylko gorzej. Obrączka została przysłana ubiegłego wieczoru z Edynburga i trafiła z miejsca do laboratorium kryminalistyki w Lambeth. Thorne zadzwonił z samego rana na Edgware Road, by zapytać o ewentualne wyniki badań. Jak na razie nie było żadnych i nie należało się ich spodziewać wcześniej niż jutro. Za swój trud usłyszał tylko kolejną połajankę od Keable'a, który zrobił się wyjątkowo nerwowy. Zadzwonił Jeremy Bishop, aby zapytać, co się dzieje. James Bishop również. Jak na razie Rebecca Bishop zachowywała milczenie; wyglądało na to, że przejażdżka Thorne'a i Hollanda do Bristolu opłaciła się.

Thorne uśmiechnął się do siebie, przejeżdżając przez Regent's Park i mijając niewiarygodnie wytworne, bajeczne rezydencje dyplomatów i magnatów naftowych. Uśmiechnął się na wspomnienie rozmowy z Keable'em, blefu i lekceważenia okazywanego Tughanowi.

Wiedział, że znalazł się na bezpiecznym gruncie. Zarówno o telefonach, jak o włóknach czy wizytach w domu Bishopa zapomną, kiedy tylko Thorne dopnie swego.

Kiedy udowodni, że Jeremy Bishop był wielokrotnym zabójcą.

A potem Keable będzie zbyt zajęty przyjmowaniem gratulacji od komendanta (który będzie się uśmiechał do fotoreporterów i poklepywał się wzajemnie po plecach z komisarzem), aby musiał się martwić o kilka nocnych telefonów. W najgorszym razie dostanie upomnienie. Usłyszy mowę na temat działań zgodnych z procedurą. I zostanie ostrzeżony, żeby więcej tego nie robił.

Thorne wiedział, że jeżeli istotne materiały dowodowe zostaną zdobyte w uczciwy sposób, metodami zgodnymi z prawem, to zdoła uzyskać dla tamtego wyrok skazujący. Był przekonany, że dowody istniały. W domu Jeremy'ego Bishopa w Battersea. Potrzebował tylko nakazu.

Thorne miał za sobą wyjątkowo nudny i nieciekawy poranek. W praktyce oznaczało to odbieranie licznych telefonów, przekazywanie zapisanych na kartkach wiadomości Nickowi Tughanowi i pohamowanie pokusy, aby pojechać do laboratorium kryminalistyki i osobiście nadzorować badania obrączki ślubnej Bishopa. Powrót do roli trybiku w wielkiej maszynie był wyjątkowo frustrujący, ale ucieszył się, robiąc to, co konieczne. I nie potrwa to długo.

W Camden Thorne zatrzymał wóz przed ogromnym Salisbury's przy kanale. Klienci nie płacili za parkowanie, a kupienie kilku puszek piwa było uczciwą ceną za darmowe miejsce postojowe w ciągu dnia.

Minął stary gmach telewizji, gdzie tłum dzieciaków obserwował nagranie programu dla MTV wewnątrz niewielkiego przeszklonego studia na parkingu. Przystanął i też popatrzył przez chwilę. Prezenterzy, dziewczyna i chłopak, byli młodzi i przystojni; przyszło mu do głowy, że to ich mógł widzieć w Waterloo Park przed kilkoma dniami.

Ignorując dziwne spojrzenia ze strony otaczających go nastolatków, obserwował przez moment, jak za szybko wygłupiają się i robią z siebie idiotów. Potem odszedł, uznając, że prawdopodobnie wiedział o muzyce, którą prezentowali, więcej od nich. Udał się w stronę Parkway, gdzie miał się spotkać z Hendricksem.

Kafejka była tania i ponura, ale Thorne wolał takie niż szpanerskie i przepelnione gwarem. To właśnie tu przez lata obaj wielokrotnie się spotykali, by porozmawiać o pracy i futbolu, zaspokajając przy tym apetyt na naleśniki i sycący pudding.

Kiedy zjawił się Thorne, Hendricks już na niego czekał, popijając herbatę. Nie wydawał się zbyt ucieszony jego widokiem. Thorne miał wieści, które powinny poprawić mu humor. U kobiety za ladą zamówił herbatę i usiadł przy stoliku. Sięgnął po menu i zaczął czytać. Chciał, by to zabrzmiało jakby od niechcenia.

- Chyba go mamy - Hendricks uniósł wzrok, lecz bez zbytniego zaciekawienia. Thorne mówił dalej: - Wiem, że go mamy, i gdy tylko technicy zakończą testy, będę mógł zdobyć nakaz, a potem...

- Daj sobie spokój, dobra?

Thorne odłożył menu. W jednej chwili do reszty stracił apetyt.

- No więc? - Thorne spojrzał na Hendricksa. Patolog utkwił wzrok w kubku z herbatą i wciąż ją mieszał. - Chyba chcesz mi coś powiedzieć.

Hendricks chrząknął. Przygotowywał się do tego już wcześniej. - Czy nie przeszło ci przez myśl, że kiedy ten oślizgły wazelinarz z laboratorium kryminalistyki zadzwoni do twojego szefa, aby powiedzieć mu, że pewien patolog zjawił się tam z plastikową torebką włókien z dywaniku w samochodzie...

- Phil, chciałem...

- ...że może również skontaktować się z moim szefem? Nie pomyślałeś o tym?

- Co się stało?

- Wpadłem po uszy w bagno, oto co się stało. Bo byłem na tyle głupi, że zgodziłem się wyświadczyć ci przysługę. A ty nawet nie byłeś łaskaw odebrać telefonu, aby sprawdzić, co się dzieje.

Chciał to zrobić wielokrotnie, ale nie mógł się na to zdobyć. - Wybacz, Phil, miało miejsce kolejne zabójstwo i...

- Wiem o tym. Przecież to ja przeprowadzałem sekcję, pamiętasz? A biorąc pod uwagę to, czym się obaj zajmujemy, trup raczej nie powinien stanowić dla nas wymówki, prawda?

To prawda, Thorne doskonale o tym wiedział. Hendricks miał prawo się złościć, ale niełatwo będzie wytłumaczyć mu, co czuł... co myślał Thorne... po zabójstwie Margaret Byrne.

- No to co się właściwie stało?

- Ten palant mój przełożony tylko szukał na mnie haka, bo nie wyglądał tak, jak według niego powinien wyglądać patolog. Zaciągnął mnie na dywanik do szefa działu kadr i mojego bezpośredniego zwierzchnika.

- Kurwa mać...

- Świetnie to ująłeś. Otrzymałem ustne ostrzeżenie z uwagi na niewłaściwe zachowanie, a w dodatku wciąż się mówi, że mogę stanąć przed komisją dyscyplinarną, więc nie prosz mnie więcej o przysługę, dobra?

Przyniesiono herbatę dla Thorne'a. Przyjął ją z wdzięcznością, ale Hendricks nie zamierzał mu odpuścić. - Jesteś pieprzonym samolubem i egoistą, wiesz o tym? - Thorne chciał skwitować te słowa śmiechem, lecz bez powodzenia. - Nie mówię tylko o tej sprawie, ale ogólnie. Przez cały czas. Nie masz pojęcia, co, u licha, dzieje się wokół ciebie, prawda?

Thorne wysilił się na szeroki uśmiech. - Czekasz na odpowiedź czy może są to pytania retoryczne?

- Wisi mi to. Po prostu chciałem to powiedzieć. Wydaje mi się, że jestem dla ciebie kimś w rodzaju przyjaciela i możemy rozmawiać na każdy temat. Thorne chciał coś powiedzieć, ale Hendricks wszedł mu w słowo: - Futbol i praca. Dwa ograne tematy. I to wszystko. Albo mówimy o tym, albo pleciemy o bzdurach. Gramy w bilard, zażeramy się pizzą, żartujemy i rozmawiamy o wszystkim i o niczym.

Thorne uznał, że powinien bronić swoich racji. - Chwileczkę. A ty? Rozmawiałem z tobą o Jan, kiedy się rozstaliśmy, przecież pamiętasz. Ty nigdy z niczego mi się nie zwierzasz.

- Niby po co?

- Nigdy nie mówiłeś mi o swojej rodzinie czy dziewczynach.

Hendricks zaśmiał się oschle. Thorne spojrzał na niego. - Co jest?

- Jestem gejem, ty ciołku. Pieprzoną ciotą. Jasne?

Z bliżej nieokreślonego powodu Thorne się nagle zaczerwienił. Minęło pół minuty Uniósł wzrok znad herbaty. - Czemu mi nie powiedziałaś? Bałeś się, że pomyślę, że się do mnie przystawiasz?

Hendricks znów się zaśmiał, ale żaden z nich nie uznał tego komentarza za zabawny. - Nie mogłem ci tego powiedzieć. Nie... tobie. Wszyscy inni wiedzą.

- Co? Czemu nikt mi nic nie powiedział?

- Nie w pracy. - Hendricks podniósł głos. Thorne przeniósł wzrok ponad jego ramieniem i zatrzymał go na kobiecie za ladą, która uśmiechała się jak głupi do sera. - To znaczy, miałem na myśli wszyscy, na których mi zależy Moja rodzina... prawdziwi przyjaciele... Chryste, dla większości ludzi to całkiem oczywiste. Jak według ciebie wyglądam, do jasnej cholery? Jesteś taki... krótkowzroczny. Nie dostrzegasz pewnych rzeczy, ponieważ one ciebie nie dotyczą. Masz klapki na oczach i szczerze mówiąc, mam tego dość.

Anne rzuciła słuchawkę i wypaliła trzy papierosy. Teraz prócz tego, że była wściekła, zrobiło jej się niedobrze. Ruszyła w stronę automatu do kawy w holu głównym, zastanawiając się nad tym...

Zadzwoiła do Thorne'a na komórkę i choć nie miała pojęcia, gdzie był i co robił, to z pewnością wprawiło go w ponury nastrój.

Który teraz przeszedł na nią.

Nie rozmawiali od niedzieli. Wiedziała, że w sprawie morderstw wydarzyło się coś ważnego, a kiedy zobaczyła go na konferencji prasowej, poczuła coś jeszcze.

Coś jakby lęk.

Czuła, że coś się zbliża. Ogarnął ją chłód, jakby padł na nich olbrzymi cień. Na nich wszystkich, na nią, na Thorne'a i Jeremy'ego. Sięgnęła po telefon w nadziei na odrobinę uspokojenia, czułe słowo. Chciała i jemu dać odrobinę wyciszenia, bo wiedziała, że tego potrzebował.

Ale miast tego usłyszała tylko suchą przemowę. Powiedział jej, nie, rozkazał, by trzymała się z dala od Jeremyego Bishopa. Zapewnił,

że to dla jej bezpieczeństwa, bo przecież wcale nie wierzył, by jej coś groziło. Tak po prostu będzie najlepiej. Najlepiej. Tak właśnie to ujął. Wyjaśnił, że starał się nie podejmować z nią tematu śledztwa, aby nie urazić jej uczuć, ale teraz sprawa toczyła się coraz szybszym tempem i postanowił wyłożyć karty na stół.

Bzdury!

Unikał tego tematu, dopóki się z nią nie przespał, a teraz próbował wziąć prawo w swoje ręce. Nie chciała mieć z tym nic wspólnego i powiedziała mu to, nie przebijając w słowach.

Automat do kawy raz po raz wypływał jej dwudziestopensówkę. Wrzucała ją, wyciągała z otworu zwrotu monet i wrzucała ponownie.

Sprawy przedstawiały się niewesoło, zwłaszcza gdy w tle usłyszała charakterystyczny trzask otwieranej puszkii. Gdziekolwiek był, na pewno popijał. To w połączeniu z powagą jego słów i sytuacji, którą chciał jej nakreślić, doprowadzało ją niemal do białej gorączki. Jak on, kurwa, śmiał?

A potem zapytał, czy mogłaby przyjechać do niego wieczorem.

Rąbnęła otwartą dłonią w zbuntowany automat.

I rozłączyła się.

Rezygnując z kawy, Anne odwróciła się i wróciła na oddział intensywnej terapii. Zamierzała unikać dziś Jeremy'ego. Wiedziała jednak, że to niemożliwe. Spędzi wieczór w domu, z Rachel, jeżeli ją zastanie, wypije kilka kieliszków wina za dużo, obejrzy jakiś odmóżdżający program w telewizji i będzie się zastanawiać, co robi Tom Thorne.

Ale przede wszystkim będzie się próbowała ogrzać. Tymczasem cień z każdą chwilą gęstniał coraz bardziej.

Kiedy był tu po raz ostatni, stał ukryty w cieniu, ściskając w dłoni żelazny pręt.

Dziś jednak miał do przekazania subtelniejszą wiadomość. Zadzwonił kilka razy, aby sprawdzić, czy w mieszkaniu nie było nikogo; najpierw upewnił się, że jego numer był zastrzeżony. Uśmiechał się za każdym razem, kiedy wybierał 141. Thorne na pewno znał tę sztuczkę.

Lepiej być nie mogło. Podniecenie towarzyszące procedurze, fala satysfakcji wypełniająca jego ciało została zastąpiona przez coś innego, gdy uświadomił sobie, że być może już nigdy nie osiągnie kolejnego sukcesu. To był inny rodzaj radości, podsycanej przez zupełnie inny cel.

Radość z gry z Thorne'em.

Gra od samego początku była częścią tego wszystkiego. Nieodłączną częścią. Cóż, skonstatował, ta gra była mu zwyczajnie na rękę.

A on grał w nią wyjątkowo dobrze.

Kiedy podchodził do drzwi frontowych, zastanawiał się, czy po kryjomu Thorne też czerpał z tego przyjemność. Podejrzał, że tak. Dostrzegł coś w jego oczach.

Rozejrzał się jakby od niechcienia na wszystkie strony i zapukał do drzwi. Wyglądał jak ktoś, kto przyszedł odwiedzić przyjaciela. Nie ma nikogo? Trzeba będzie zostawić mu liścik...

Wyjął dłoń w rękawicze z kieszeni spodni i sięgnął do kurtki po kopertę. Tak, to radość całkiem innego typu. Nie polegała na zaciskaniu palców wokół pulsującej tętnicy, ale mimo to cieszył się tą... delikatnością. Otwarcie klapki do wrzucania listów przepełniło go całkiem innym podnieceniem niż to, które ogarniało go, gdy czuł, jak na skutek dotyku jego zręcznych palców z czyjegoś ciała uchodziło życie. Tak czy owak, podniecenie to podniecenie. Koniec gry był już niedaleko.

W taki czy inny sposób to już wkrótce się skończy.

Gra bawiła go do tego stopnia, że niemal szkoda było mu pozwolić Thorne owi na wygraną.

Parking zaczął pustoszeć. Thorne uznał, że pora wracać. Siedział w aucie przez ponad cztery godziny, a w tym czasie wypił sześć puszek taniego piwa.

Nigdy nie czuł się bardziej trzeźwy.

Po spotkaniu z Hendricksem wrócił do samochodu mocno otepiały. Zaszedł do supermarketu po piwo, przeczytał gazetę, później zaś siedział, słuchając radia, pijąc piwo i zastanawiając się nad tym,

co usłyszał od przyjaciela. Przyjaciela? Czy w ogóle miał jakichś przyjaciół?

Hendricks zrobił dobrze. Powiedział mu prawdę prosto w oczy. Zastanawiał się nad tym przez chwilę i z jednej puszki piwa zrobiły się cztery, a kiedy postanowił zadzwonić do Anne, ten dzień, i tak kiepski, zmienił się w fatalny

Co z ostrożnością, jaką wykazywał dotychczas? Uznał, że roztropniej będzie unikać wszelkich spięć do zakończenia sprawy. Czemu więc, na miły Bóg, zadzwonił do niej i powiedział, żeby trzymała się z dala od Bishopa?

Niemal się tym chełpił.

Jakaś jego część pragnęła napawać się tym... zwycięstwem. Zupełnie jakby chodziło o coś więcej niż rozwiązanie sprawy i zatrzymanie zabójcy. O pokonanie rywala. Równie dobrze mógłby zadzwonić i powiedzieć: „Trzymaj się od niego z daleka, to nie będzie przyjemne”. To było takie władcze.

Checiał jej udowodnić, jaki był dobry i że się nie mylił.

Powiedziała, że jest żaloszny. Kurewsko żaloszny.

Cisnął komórkę na tylne siedzenie, podkreślił radio i wypił dwie ostatnie puszki.

Na zewnątrz było już ciemno. Niedługo zamkną supermarket. Strażnik na parkingu zaczął patrzeć na niego krzywo i mamrotać coś do krótkofalówki.

Thorne zdał sobie sprawę, że jest potwornie głodny. Od śniadania nic nie miał w ustach, jeśli nie liczyć sześciu puszek piwa. Wiedział, że powinien zostawić wóz na parkingu i skorzystać z metra. Znajdował się o jeden przystanek od domu. Chryste, nawet pieszo byłby w domu za dziesięć minut.

Thorne włączył silnik, wyprowadził wóz z parkingu i skierował fordą mondeo na południe, oddalając się od domu i zmierzając w stronę centrum miasta.

Nie można powiedzieć, że nie jest mi wygodnie. Tak często mówi się w szpitalu, prawda? Kiedy dzwonisz i pytasz o kogoś. Jest im „wygodnie”. Jakby leżeli całymi dniami na puchowych poduszkach i mieli robione masaże czy coś w tym rodzaju. Cóż, muszę przyznać, że mnie też jest wygodnie, mam wspaniałą supernowoczesny materac. Ekstralóżko sterowane pilotem, telewizor i pulpity do czasopism.

Wygodnie.

Ale tak naprawdę chce mi się wyć. Mam ochotę krzyczeć aż do zdarcia gardła. Chcę wyć, skowyczeć i skamleć, a także, i być może proszę o zbyt wiele - chciałabym zdzielić kogoś w twarz, najmocniej, jak tylko mogę; nie miałabym nic przeciw temu, aby rozwalić parę rzeczy w drobny mak. Potłuc na kawałki. Lustra. Szklane rzeczy. Poczucie krew na kłykciach, cokolwiek...

Czy sprawiam wrażenie sfrustrowanej? Bo jestem. Sfrustrowana.

Jestem. Kurewsko sfrustrowana!

Tyle chciałabym powiedzieć, o tak wielu sprawach chciałabym porozmawiać, ale mam po temu mniejsze szanse niż tydzień temu. Znów przyłączyli mnie do tego cholernego respiratora.

Odkąd dowiedziałam się, dlaczego jestem w takim stanie, w jakim się obecnie znajduję, odkąd powiedziano mi, że ktoś to sobie zaplanował, próbowałam sobie przypomnieć. Coś, co mogłoby pomóc. Cokolwiek, co mogłoby im pomóc dopaść tego lajdaka.

W mojej głowie są sprawy, o których wiem, że nie są snami ani wytworami wyobraźni. Nie wiem, czy to jakoś pomoże. Mnie pomoże na pewno.

To pamięć. Wspomnienia walczą we mnie, by wydobyć się z otchłani zapomnienia.

Wspomnienia o tym, co się stało po imprezie. Nie tyle obrazy, ile słowa. A na wet nie słowa. Raczej dźwięki. Słyszę słowa, ale tak jakby wypowiadano je pod wodą. Są zniekształcone i nie całkiem zrozumiałe, ale domyślam się ich znaczenia. Wychwytyuję ton.

*Wkrótce przypomnę sobie te słowa.
Te konkretne słowa, które wypowiedział, kiedy mi to robił. On.
Mężczyzna, który mnie tak urządził.*

19.

Za kwadrans północ, a w Tower Records tłumy Dziesiątki nocnych marków, zarówno miłośników późnych zakupów, jak i tych, którzy po prostu chcieli posłuchać muzyki, poczytać czasopisma lub zwyczajnie zabić czas. Młody mężczyzna za kontuarem nawet na niego nie spojrział. - To czym mogę służyć?

- Chciałbym zapłacić - rzekł Thorne. - I zamówić import Waylona Jenningsa.

James Bishop zaczerwienił się jak burak. - Czego, kurwa, tu chcesz? Nie powinienem w ogóle z tobą rozmawiać.

Thorne wyłożył trzy kompaktki na ladę przed Bishopem. Patrzył niewzruszony, aż tamten z nieskrywanym oburzeniem wziął płyty, usunął z nich zabezpieczenia i przepuścił przez czytnik. Nie spojrział na Thorne'a, lecz zerknął nerwowo na kolegów, niezdarnie wkładając kompaktki do reklamówki, próbując uporać się z tym możliwie jak najszybciej.

Thorne oparł się o ladę, wymachując kartą kredytową. - Co się dzieje? Nie chcesz, żeby twoi koledzy z pracy wiedzieli, że masz kumpla, który kupuje albumy Krisa Kristoffersona? Chciałem też nowy singiel Fatboy Slima, ale, o ile wiem, został wyprzedany.

Bishop wziął od niego kartę kredytową, przeciągnął przez czytnik i łypnął spode łba na Thorne'a. - Nie jesteś moim kumplem, tylko pieprzonym dupkiem!

- Chyba nie mam co liczyć na zniżkę?

- Wal się.

Thorne pokręcił głową ze smutkiem. - Wiedziałem, że powinienem być wpaść do Our Price...

Asystent ze srebrnym ćwiekiem w dolnej wardze podszedł do nich powoli. - Wszystko gra, Jim?

Bishop ostentacyjnie podał reklamówkę Thorne'owi. - Tak, w porządku.

Zerknął ponad ramieniem Thorne'a na stojącą za nim dziewczynę.
- To czym mogę służyć?

Thorne nie odszedł od kasy. - Kiedy kończysz zmianę?

Dziewczyna stojąca za nim fuknęła ze zniecierpliwieniem. Bishop spojrzął na niego z zuchwałym półuśmieszkiem. Rzucił okiem na wielki niebieski G-Shock na przegubie. - Za kwadrans. Bo co?

Thorne wskazał w stronę drzwi. - Bo czekam na ciebie w Dunkin Donuts. Polecam ciastka cynamonowe, ale to już zależy od ciebie...

Dwadzieścia minut później Thorne kończył właśnie drugą kawę i czwartego pączka, gdy zjawił się James Bishop i usiadł przy nim. Miał na sobie czerwoną kurtkę puchową i tę samą czarną wełnianą czapkę, którą nosił w sklepie. Thorne sięgnął po następnego pączka i podsunął mu pudełko. Bishop spojrzął na niego. - Nic nie jadłem cały dzień. Chcesz kawę?

Bishop pokręcił głową. Znów ten dziwny półuśmieszek. - Dobra, o co chodzi? Chcesz wiedzieć, czy mój ojciec już całkiem ześwirował? Albo czy to, że nie dajesz mu zasnąć przez pół nocy tymi cholernymi głuchymi telefonami, wpływa na jego pracę? Czy może ciekawi cię, czy kosztowało to kogoś życie? Powiedziałbym, że to kurewsko nieodpowiedzialne.

Thorne, żując, gapił się na niego przez chwilę. - To jak?

- Z czym?

- Odbiło mu czy nie?

- Jezu... - Bishop wyjął paczkę marlboro. Thorne powiódł wzrokiem w lewo, Bishop również i zobaczył wiszącą złotą tabliczkę z zakazem palenia. Rzucił paczkę na stół.

- Wkurza go to, co robisz, a jeszcze bardziej, że uchodzi ci to płazem. Nikt z nas nie odpuści, dobrze wiesz. Cokolwiek się wydarzy, będziemy drążyć, aż zdegradują cię do cholernego stójkowego.

Thorne przez chwilę zastanowił się nad prostotą życia sklepowego sprzedawcy. Codzienne sprawy domowe. Harówka. Korki. Nie życzyłby tego najgorszemu wrogowi.

- Żadna z rzeczy, o które oskarżacie mnie ty i twój ojciec, nie jest sprzeczna z prawem, James.

- Nie chowaj się za przepisami prawa, to żalosne. Zwłaszcza że sam go nie przestrzegasz ani nie szanujesz.

- Szanuję to, co najistotniejsze.

- Nie jesteś gliną, Thorne. Jesteś prześladowcą.

Thorne wziął serwetkę i powoli otarł lukier, który miał wokół ust.

- Robię to, co do mnie należy, James.

Bishop był poruszony. Odkąd tu wszedł, sprawiał wrażenie, jakby roznosiło go od środka. W jednej chwili ogryzał paznokcie, w następnej bębnił palcami o blat stolika. Przez cały czas jego ciało zdawało się być w ruchu. Gestykulował, kołysał nogą założoną na nogę. Był cały rozdygotany. Thorne zastanawiał się, czy chłopak brał narkotyki. Nietrudno byłoby mu w to uwierzyć. Jeżeli brał, to z pewnością prochy załatwiał mu ojciec. Może brał z zalecenia lekarza...

Jeszcze jeden powód, aby go chronić.

- Twoja siostra uważa, że tylko udajesz, że jesteście z ojcem blisko, aby móc ciągnąć od niego kasę.

- To głupia cipa - wycedził.

Thorne był wstrząśnięty, ale starał się tego nie okazywać. - Sporo od niego wyciągnąłeś, prawda?

- Dał mi samochód i pomógł spłacić czynsz za mieszkanie, jasne?

- Thorne wzruszył ramionami. - To nie ma nic wspólnego z forszą. Jest zdenerwowany, a przez to denerwuje mnie, ot i wszystko. To mój ojciec.

- A więc nie jest zdolny do... podłości? - Thorne nie miał pojęcia, dlaczego użył właśnie takiego słowa. Gdy zastanawiał się, skąd przyszło mu ono na myśl, James Bishop patrzył na niego jak na kosmitę.

- To mój ojciec.

- I dlatego jesteś gotów chronić go za wszelką cenę?

- Przeciwno takim jak ty... tak... którzy wykorzystują prawo do prowadzenia prywatnej wendety, ponieważ tak się złożyło, że akurat zajmował się kobietą, którą zaatakował poszukiwany przez ciebie mężczyzna, i dlatego że sypiasz z kimś, z kim on spotykał się przed laty. Przed tym będę go chronił.

- Moim obowiązkiem jest dociec prawdy i jeśli to czasem denerwuje ludzi, to trudno.

Bishop parsknął drwiąco. - Chryste, naprawdę uważasz się za twardziela, co nie? Po części nierozumiany glina, po części samozwańczy stróż prawa. Nazwałbym cię dinozaurem, ale one miały większy mózg.... - Wstał i odwrócił się, by odejść.

Thorne zatrzymał go. - A jakim ty byłbyś gliną, James? O co twoim zdaniem powinno chodzić w tym wszystkim?

Bishop odwrócił się i wsunął obie ręce do kieszeni kurtki. Pociągnął nosem i wydał wargi, identyczne jak u jego ojca. Thorne dostrzegł kryjącego się za fasadą arogancji małego chłopca. - A co ze sprawiedliwością? - Bishop parsknął. - Roilem sobie głupio, że to kiedyś było naprawdę ważne.

Thorne wyobraził sobie młodą dziewczynę na łóżku z bladą różową narzutą, uwięzioną w ciele, które niewykorzystywane przez lata stało się słabe i wątłe. Wyobraził sobie twarz, której rysy częściowo skrywały cienie patrzące na niego z okna na piętrze dużego domu. Teraz spojrział na tę samą twarz, choć znacznie młodszą, o szlachetnych jak u jego ojca rysach. - Ależ to jest ważne, James. I to bardzo...

Thorne odprowadził go do drzwi. - Mogę cię gdzieś podrzucić?

Bishop pokręcił głową i wyjrzał przez drzwi na tłumy ludzi wciąż przechadzające się po Piccadilly Circus w tę chłodną październikową noc. Bez słowa wyszedł na ulicę i chwilę potem już go nie było.

Thorne stał przez kilka sekund, patrząc, jak czerwona kurtka puchowa rozplywa się w oddali, po czym odwrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku, do miejsca, gdzie zostawił samochód.

Thorne znieruchomiał, kiedy spostrzegł postać stojącą w drzwiach.

Zamarł, kiedy sylwetka się poruszyła.

Odetchnął z ulgą, gdy kształt okazał się nieco chwiejącym się na nogach Dave'em Hollandem. W pierwszej chwili Thorne pomyślał, że coś mu się stało. - Jezu, Dave... - Podszedł szybkim krokiem, by podtrzymać kołyszącego się konstabla, i nagle poczuł woń alkoholu.

Holland utrzymał się na nogach. Z ledwością, ale jednak. - Czekałem na pana... Wieki pana nie było...

Thorne zarzucił whisky dawno temu, w tym samym czasie co papierosy, ale tę woń rozpoznałby zawsze i wszędzie. Cofnął się instynktownie, potrzebował kilku sekund, aby przywyknąć. To była woń, która mogła nim owładnąć. Ostra i patetyczna. Woń potrzeby. Zapach niedoli. Odór samotności.

Francis John Calvert. Whisky, mocz i proch strzelniczy A także zapach świeżo upranych koszulek nocnych.

Fetor śmierci w mieszkaniu komunalnym w poniedziałkowy poranek.

Holland stał, opierając się o ścianę i oddychając trochę za głośno. Thorne sięgnął do kieszeni skórzanej kurtki po klucze. - Chodź, Dave, wejdźmy do środka, zaparzę kawę. Jak tu dotarłeś?

- Taksówką. Zostawiłem samochód...

Nie było sensu pytać Hollanda, gdzie zostawił auto. Zajmą się tym później. Klucz obrócił się w zamku. Thorne stopą popchnął drzwi, odruchowo obracając pęk kluczy w rękę, wyszukując drugi, którym otworzy drzwi do mieszkania.

Na słomiance w korytarzu leżała biała koperta.

Thorne spojrział na nią i pomyślał: „Kolejny list od zabójcy”.

Nie: „Co to?” albo „To dziwne...” czy nawet „Ciekawe, czy...”. Od razu to rozpoznał. Holland także błyskawicznie wytrzeźwiał.

Thorne wiedział, że ani koperta, ani kartka papieru w środku nie przysporzą wiele pracy technikom z kryminalistyki. Jedno i drugie będzie czyste jak łąka, żadnych odcisków, włókien czy włosów. Mimo to należało przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności. Holland przytrzymał kopertę przez ręcznik, podczas gdy Thorne z pomocą dwóch noży, jak szczypcami albo pęsetą, wyjął z niej kartkę papieru.

Koperta nie była zaklejona. Thorne zapewne i tak otworzyłby ją nad parą, ale zabójca niczego nie pozostawiał przypadkowi Chciał, by Thorne jak najszybciej przeczytał otrzymany od niego list.

Użył noży, by rozłożyć kartkę. List był napisany na maszynie, jak wcześniejsze. Thorne wiedział, że jest tylko kwestią czasu odnalezienie maszyny, na której go wystukano. A wtedy zajmą się nią specjaliści z kryminalistyki.

To będzie ostatni list od Jeremy'ego Bishopa.

TOM.

MYŚLAŁEM O CZYMŚ INNYM, MOŻE E-MAILU. ALE WIEM, ŻE JESTEŚ W TEJ KWESTII TRADYCJONALISTĄ, TOTEŻ POSTANOWIŁEM POPRZESTAĆ NA STARYM DOBRYM PAPIERZE I TUSZU.

NAWIASEM MÓWIĄC. GRATULUJĘ UDANEGO WYSTĘPU W TELEWIZJI. BYŁ BARDZO DRAMATYCZNY. CZY MÓWIŁEŚ SERIO. ZAPEWNIAJĄC. ŻE JUŻ WKRÓTCE BĘDZIE PO WSZYSTKIM CZY TO BYŁ NUMER POD PUBLICZKĘ, NA UŻYTEK KAMER? NIE MA TO JAK PEWNOŚĆ SIEBIE, PRAWDA? A MOŻE STARASZ SIĘ WYTRĄCIĆ MNIE Z RÓWNOWAGI W NADZIEI. ŻE POPEŁNIĘ BŁĄD? JEDNO PYTANIE. . .

ZASTANAWIA MNIE. CO CZUŁEŚ, KIEDY JĄ ZNALAZŁEŚ? CZY POJAWIŁEŚ SIĘ TAM PIERWSZY? TO BYŁ TWÓJ PIERWSZY RAZ. TOM? PRZYWYKŁEŚ DO KRWI, PRAWDA?

TAK CZY OWAK. JEŚLI MASZ RACJĘ, TO PEWNIEM JUŻ WKRÓTCE SIĘ ZOBACZYMY. POZDRAWIAM . .

Holland osunął się na sofę. Thorne ponownie przeczytał list. I jeszcze raz. Arogancja aż zapierała dech. Nie dowiedział się niczego nowego. Żadnych rewelacji czy podpowiedzi. To był zwyczajny...
popis.

Wszedł do kuchni, postawił czajnik na gazie i wyjął dwa kubki do kawy. Dlaczego Bishop czuł potrzebę, aby robić coś takiego? Czemu podpuszczał go, jeżeli chodzi o Maggie Byrne, skoro Thorne chwycił przynętę już dawno temu?

Nasypał do kubków kilka łyżeczek kawy rozpuszczalnej.

W tonie liściku było coś sztucznego, czego Thorne nie potrafił określić. Coś niemal wymuszonego. Może zabójca zaczynał tracić nad wszystkim kontrolę. Może ostatnia porażka pchnęła go ku przepaści. A może zaczął pracować nad uzasadnieniem wniosku o niepoczytalność, który będą chcieli przedstawić w sądzie jego obrońcy, kiedy już zostanie schwytany.

A ta chwila zbliżała się nieubłaganie.

Zamieszał kawę.

W szaleństwie nie było niczego sztucznego. Nikt o zdrowych zmysłach nie zrobiłby tego co ten człowiek, a mimo to Thorne nie chciał w żaden sposób łagodzić jego upadku.

Chciał, aby tamten miał wyjątkowo twarde lądowanie.

Naturalnie pojawią się naciski ze strony tych, co chcieliby leczyć jego chorobę, zaopiekować się nim. Zawsze pojawiali się tacy, co traktowali brutalną śmierć jak hobby, obiekt badań albo okazję łatwego zarobku. Szaleńcy będą pisać do niego do więzienia z prośbą o poradę, autograf albo z propozycją małżeństwa. Aktywiści. Autorzy książek - bestsellerów wydanych, zanim jeszcze ciała zdążą się rozłożyć. Reżyserzy filmów, stare kobiety o wypłowiałych włosach tłukące pięściami o ścianę furgonetki i plujące zajadłe.

I policjanci pamiętający zapach krwi.

Czy to był twój pierwszy raz?

Thorne zaniósł kawę do pokoju, ale przystanął w drzwiach, gdy tylko spojrzął na Hollanda siedzącego na sofie i gapiącego się w przeciwną ścianę. To nie był tępy wzrok pijaka, zmęczenie czy znudzenie.

Thorne poczuł, że jego serce zaczyna bić coraz szybszym rytmem.

Nie zapytał, czemu Holland w ogóle tu przyszedł.

Holland odwrócił się do niego. - Próbaliśmy się z panem skontaktować...

Thorne przypomniał sobie o komórce rzuconej na tylne siedzenie auta. - Co się stało Dave?

Holland próbował odpowiedzieć i właśnie w tej chwili Thorne rozpoznał to spojrzenie. Widział je piętnaście lat temu na dnie szklanki, w lustrach i szybach wystawowych. Spojrzenie młodego mężczyzny, który ujrzał zbyt wiele śmierci.

Holland przemówił, a jego głos, tak jak spojrzenie, wydawał się martwy - Michael i Eileen Doyle... rodzice Helen Doyle. Sąsiedzi zza ściany zwrócili uwagę na nieprzyjemną woń.

Najwyraźniej udar uszkodził tylko jedną, niewielką w sumie część mojego mózgu. Jego pnia.

Ten fragment nazywany jest mostem niższym.

Niestety tak się składa, że ten fragment kontroluje wiele różnych rzeczy. Przechodzą przez niego wszystkie informacje. Cała masa impulsów. Jeżeli przyjąć, że twój mózg to stacja Paddington, ten fragment to skrzynka sygnałowa. Właśnie w tym miejscu sygnały są odbierane i przekazywane dalej, albo nie, w zależności od sytuacji. Kiedy chcę pokiwać palcem, kichnąć lub coś powiedzieć, sygnał jest przesyłany dalej. Odpowiedzialne są za to komórki przekaźnikowe przenoszące sygnał szeregowo, jedna do drugiej. To jak mikroskopijna wersja gry w podaj dalej albo głuchy telefon sięgający do mego palca, nosa czy innej części ciała. Niestety na którymś odcinku tego łańcucha pewne komórki są uciskane i nie odbierają informacji jak należy. W efekcie jestem, jaka jestem. Czyli kompletnie do kitu.

To dziwne, ale choć część mojego mózgu jest popieprzona, odnoszę wrażenie, że inne próbują mi to zrekompensować i zmieniają się. To się wiąże między innymi z dźwiękami. Wydaje mi się, że ich odbiór znacznie się poprawił. Potrafię rozróżnić dźwięki, które wydają się do siebie bardzo podobne. Umiem umiejscowić pielęgniarkę tylko po pisku podeszew jej butów i wiem, w jakiej odległości ode mnie znajduje się to czy tamto. Dźwięki sprawiają, że w moim umyśle powstają obrazy zupełnie jakbym zamieniła się w nietoperza.

I dzięki temu sobie przypominam.

Te dźwięki jak spód wody z każdym dniem stają się coraz wyraźniejsze. Słowa nabierają ostrości. Pamiętam już sporo z tego, o czym rozmawialiśmy, ja i mężczyzna, który posłał mnie do szpitala.

Jak fragmenty ścieżki dźwiękowej.

Sporo jest moich słów, w sumie wcale mnie to nie zdziwiło, bredziłam jak potłuczona o babskim wieczorze, ślubie i takich tam.

Chryste, ależ bełkotałam, musiałam być nieźle pijana. Słyszę gulgot szampana wlewającego się do mojego gardła i słyszę, jak on się śmieje, słuchając moich żalonych pijackich dowcipów.

Słyszę, jak bawię się kluczami do drzwi frontowych. Zapraszam go do siebie, by dopić flaszkę. Słowa są bełkotliwe i niezrozumiałe. Głupie. Słowa, które nie są warte zapamiętania. Ostatnie słowa, jakie kiedykolwiek wypłyną z moich ust.

Wciąż rozpaczliwie poszukuję słów, które usłyszałam od niego.

20.

Kiedy Thorne jechał na Edgware Road, oczy zamykały mu się ze zmęczenia. W trudnej walce z sennością pomagał mu brzęk sześciu pustych puszek turlających się po podłodze. To była długa i ciężka noc. Nawet widok Hollanda, który tego ranka, wijąc się jak piskorz, ze zbolaną miną próbował wyjaśnić Sophie, gdzie spędził noc, nie poprawił mu nastroju.

Rozmawiali do późna. Holland opowiedział Thorne'owi, co się stało z Michaeliem i Eileen Doyle. Zrobili to, połykając tabletki. Policję do domu przy Windsor Road wezwała sąsiadka. Sądziła, że wyjechali do krewnych po tym, co spotkało Helen.

Konstabl znalazł ich w sypialni na piętrze. Trzymali się za ręce.

Mimo że Holland przyszedł już do niego podpity, Thorne wyjął parę puszek piwa i posiedzieli trochę, rozmawiając o wszystkim i o niczym. O rodzicach, kobietach, pracy. Gdy alkohol wzmógł uczucie zmęczenia, Holland zaczął odpływać, a Thorne bredzić o dziewczynach. O Christine, Susan i Madeleine. Oraz Helen. Nie powiedział ani słowa o ich głosach. Nie wspominał, że nigdy nie słyszał głosu Margaret Byrne, co wydawało mu się dziwne.

Thorne zastanawiał się, czy Holland go słyszał. Nigdy go nie pytał.

List leżał na fotelu pasażera obok niego, bezpiecznie opakowany. Ujrzał siebie wymieniającego list za nakaz aresztowania. Ujrzał siebie recytującego Jeremy'emu Bishopowi jego prawa. Wyobraził sobie, jak wyprowadza dobrego doktora z jego domu frontową ścieżką, mijając terakotowe donice pełne zeschniętych i usychających kwiatów.

A potem zjawił się w pracy i wszystko wzięło w łeb.

- Nic nie zdołali znaleźć. Przykro mi, Tom.

Keable wyglądał, jakby było mu przykro. Ale nie tak bardzo jak Thorne owi. Keable i Tughan czekali na niego, by zepsuć mu dzień, kiedy tylko wysiadł z windy.

- Obrączka to z natury rzeczy trudny obiekt do ściągania odcisków palców. Ma za małą powierzchnię. Na tej panuje straszny chaos. Tuziny cząstkowych odcisków, ale nic naprawdę godnego uwagi. Wysłaliśmy ją nawet do Yardu. W SO3 mają lepszy sprzęt, ale...

- A co z martwym naskórkiem po wewnętrznej stronie? Albo włosami z palca? - Thorne próbował jeszcze delibrować.

Tughan pokręcił głową. - Facet, z którym rozmawiałem, powiedział, że to koszmarny ekspert sądowego. Ta obrączka krążyła po całym kraju, trafiając do rąk całej masy ludzi.

Thorne oparł się o drzwi windy i poczuł, że wściekłość zaczyna brać w nim górę nad zmęczeniem. - Sprawdzono chociaż cechę? Sprawdźcie, a przekonacie się, że obrączkę wykonano w tym samym roku, w którym Bishop się ożenił.

Keable pokiwał głową, ale Tughan nie był w nastroju, by użerać się z Thorne'em. - Posłuchaj, nawet jeśli coś w ten sposób zdobędziemy, nie będzie to mogło zostać uznane za materiał dowodowy.

Wściekłość zwyciężyła. - A czyja to wina? To od początku do końca była jedna wielka porażka. Powinienem mieć już na biurku nakaz. Powinienem teraz przetrząsać dom tej łajzy od piwnic po dach. Ta sprawa powinna już być zakończona... raz na zawsze.

Tughan podszedł do swojego biurka. - To od początku było grubymi nićmi szyte, Tom. Szanse były niewielkie, żeby nie powiedzieć zerowe. Zdawaliśmy sobie z tego sprawę, w przeciwieństwie do ciebie. Co właściwie zamierzałeś z nią zrobić? Wsunąć ją Bishopowi na palec jak pieprzony szklany pantofelek?

Thorne odczekał, aż Tughan przestanie rechotać. - Na co zamierzasz wydać forszę, którą zapłacili ci w redakcji tego szmatławca, Nick?

Zapadnięte policzki Tughana natychmiast nabiegły rumieńcem. Keable spojrział na niego, po czym przeniósł wzrok na Thorne'a i w końcu uznał, że oskarżenia najlepiej będzie odłożyć na następny

dzień. - Posłuchaj, Tom - rzekł. - Nikogo nie wkurza to bardziej niż mnie i zaręczam ci, że w związku z tą sprawą polecą głowy.

Thorne poczuł ogarniającą go ze zdwojoną siłą falę zmęczenia. Ledwie był w stanie utrzymać głowę uniesioną. Zamknął oczy. Nie miał pojęcia, jak długo były zamknięte, kiedy Keable powiedział: - Mam jego ostatni list. To znaczące dla rozwoju śledztwa.

- Kolejna konferencja prasowa?

- Tak, sądzę, że to dobry pomysł.

Thorne przywołał windę. Ciężko mu było nawet unieść rękę i wcisnąć guzik. Teraz miał pewne pojęcie, jaką trudność sprawiało Alison mruganie. Chciał wrócić do domu. Nie zamierzał zostawać w biurze i odbierać telefonów. Musiał się położyć i odpocząć. Zwyczajnie się wyłączył.

Jeszcze jedno pytanie: - Czy Jeremy Bishop jest głównym podejrzanym w śledztwie?

Zanim odpowiedział, Keable zawahał się o ułamek sekundy za długo, ale Thorne i tak nie usłyszał odpowiedzi, bo zagłuszył ją ryk rozbrzmiewający w jego głowie.

Jechał o wiele za szybko wzdłuż Marylebone Road. Wysilek, jaki kosztowało go kierowanie i koncentracja, sprawił, że cały ociekał potem, nachylony nad kierownicą i na wpół żywy z wyczerpania. Resztki energii pochłonęło wybijanie na kierownicy rytmu muzyki płynącej z głośników.

Podkręcił głoś, ile się dało. Tanie głośniki zniekształcały dźwięk, zmieniając soprany w brzęk tłuczonego szkła, a basy w huk rozdzieranego metalu. Muzyka, jeśli wciąż można ją było określić tym mianem, rozsadzała auto na kawałki, ale gdyby mógł, podkręciłby ją jeszcze głośniej. Chciał, żeby hałas go otepił. Chciał, by go zahipnotyzował.

Chciał, by go uśpił.

Zjechał do krawężnika, zatrzymał wóz przy Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud i sięgnął po telefon.

Włączył komórkę, ściszył muzykę i wybrał numer.

Na deszczu stała długa kolejka turystów czekających, by obejrzeć woskowe podobizny gwiazd muzyki pop, polityków i sportowców. A także masowych morderców. Komnata grozy zawsze cieszyła się ogromną popularnością.

Wszędzie.

Brutalnej śmierci pociąg mroczny...

Odebrała.

- To ja... przepraszam za wczoraj.

- W porządku... - Niepewny głos, pełen wahania.

- Posłuchaj, Anne, wszystko się zmieniło, szczerze mówiąc, kompletnie się popieprzyło, i chciałem abyś wiedziała... *Ze twój eksfacet ześlizgnął się nam z haczyka...* że dowody, jakie zebrałem, nie okazały się obciążające, toteż proszę, zapomnij to, co wcześniej powiedziałem, dobrze?

- Co z Jeremym?

- Czy możemy się później spotkać?

- Nadal jest podejrzany?

Tym razem to Thorne wahał się długo, zanim odpowiedział.

- Czy możesz później przyjechać?

- Posłuchaj, Tom, nie powiem, że mnie to nie cieszy, bo tak nie jest. Ale jest mi przykro za wczoraj...

- Anne...

- Skończę około piątej. Mam dziś nocny dyżur, więc pewnie wymknę się stąd wcześniej. Dobrze?

Pewnie, że tak.

Spodziewał się nieudolności. Liczył, że konieczna będzie pewna niewielka pomoc. Ale to już przekraczało wszelkie granice.

Skończeni głupcy Durnie. Matoly Kretyni.

Nierozsądne było spodziewać się czegoś w rodzaju spokoju, wiedział o tym, ale tego typu nieprzewidywalność była kurewsko denerwująca.

Kiedy tylko odłożył telefon, poczuł, że na nowo ogarnia go depresja, otulając niczym mroczny śwędzący koc. Miał ochotę się podrapać I cuchnąć.

Spacerował po pokoju po liniach prostych. W jedną stronę wzdłuż jednej deski i z powrotem wzdłuż drugiej. Przemierzał pokój powoli, po liniach równoległych. Jego bosc stopy przesuwaly się po chłodnych deskach. Palce stóp pieszczotliwie muskały każdy sęk, każdy słój cudownie gładkiego drewna. Palce dłoni dotykały prostych wypukłych linii przecinających jego brzuch to w jedną, to w drugą stronę.

W tę i z powrotem, spowolnił oddech, białe ściany niosły ukojenie...

Mógł nieco zmienić taktykę. Był elastyczny, prawda? Szampan albo strzykawka. U niego albo w ich domach. To nie będzie idealne zakończenie, ale tak czy owak, wystarczy. Jego plan, rzecz jasna, ten bajeczny scenariusz, piękny produkt uboczny lekarskiego dzieła, zakładał cierpienie w ratach, rozłożone w czasie. Spora dawka cierpienia w krótkim czasie też może być całkiem przyjemna.

Sięgnął po telefon, aby do niej oddzwonić. Na pewno ucieszy się, że zadzwonił. I że ją zaprosił. Będzie podniecona ukrytą w tym zaproszeniu aluzją. Nie tak podniecona jak on, co prawda, ale przecież nie mogła wiedzieć, co dla niej zaplanował.

Pora wziąć się na dobre do roboty.

Najwyższy czas, aby znaleźć inny sposób na zadawanie bólu.

Anne zdołała urwać się z Queen Square wcześniej, niż zakładała. Około czwartej dotarła do mieszkania, tymczasem Thorne przez ostatnie sześć godzin chodził na rżęsach.

Próbował się położyć, bez powodzenia. Każdy mięsień domagał się snu, ale mózg nie chciał słuchać. Tkwiąca w nim siła była dziś pozbawiona ukierunkowania, energia rozpaczliwie poszukiwała ujścia. Choć jego ciało było zmęczone jak nigdy dotąd, umysł pracował sprawnie. Nawet sprawniej niż kiedykolwiek.

Mógł skonfrontować Bishopa z obrączką.

Powiedzieć mu, że odkrył wyjątkowo obciążający dowód.

Podrzucić obciążający dowód...

Mógł siłą wydusić z niego przyznanie się do winy. Chryste, jakże miło byłoby poczuć kości jego twarzy pękające pod ciosami pięści, nie przerwałby tej nawałnicy uderzeń, dopóki Bishop nie znalazłby się na granicy życia i śmierci i nie poczuł na własnej skórze, jak to jest być Alison Willetts...

Cokolwiek będzie konieczne, Tommy.

Helen, tak mi przykro z powodu...

Nic nie szkodzi, Tommy Po prostu go dorwij. Wciąż możesz go dopaść, prawda?

Jakaś jego część wyobraziła sobie, że zjawi się Anne i pocałunkami oraz seksem odciągnie to od niego, a potem on zaśnie i obudzi się już oczyszczony.

Prawie tak się stało.

Wpadła do jego salonu jak nastolatka, a od pierwszego tego dnia uśmiechu rozboleła go twarz. Kazała mu się położyć i poszła zaparzyć dla nich obojga herbatę.

Ktoregoś dnia powiedział jej, że nie szuka dla siebie kobiety, która by mu matkowała. Dziś nie miał nic przeciw temu.

Przyniosła herbatę do pokoju. - Przez telefon wydałeś się bardzo roztrzęsiony.

Stęknął. Kiedy odsunęła poduszkę, którą zasłaniał twarz, z ulgą stwierdziła, że się uśmiechał.

- Jak się czujesz?

- Jakbym wziął setki prochów na pobudzenie i uspokojenie naraz.

Podawała mu herbatę. - Brałeś kiedyś prochy?

Thorne pokręcił głową. - Tylko woda i papierosy. Uczciwie używki klasy pracującej.

- I najgorsze ze wszystkich.

Upił łyk, wpatrując się w sufit. - Myślę, że tak naprawdę potrzeba mi sześciu tygodni w jednym z tych małych przytulnych pokoi na oddziale intensywnej terapii. Nafaszerujcie mnie prochami i

przydzielcie jakąś miłą lekárkę, żeby się mną opiekowała. Czy pokój przez ścianę z Alison jest wolny? Czy mają tam Sky? Oczywiście zapłacę...

Anne zaśmiała się i osunęła na fotel. - Dam ci znać, kiedy coś się zwolni.

- Co z nią? Nie wiedziałem, że znów podłączono ją do respiratora. - Anne spojrziała na niego pytająco. - Byłem u niej ostatnio. Ty miałaś wtedy jakieś spotkanie...

- Wiem.

Wydawała się trochę speszona...

Zignorował zasugerowane pytanie. - Czy jej stan choć trochę się poprawił?

Anne pokręciła głową i po raz pierwszy poczuła się zmęczona. - Zawsze będzie podatna na tego rodzaju infekcje. Dwa kroki w przód...

Thorne znał to aż za dobrze.

Anne uniosła brew. - Co powiedziałaś Alison?

Pamiętała jego ostatnią wizytę w szpitalu. Zdjęcie, które zataił.

Thorne zaśmiał się. Nienawidził samego siebie. - Poszedłem tam, aby powiedzieć jej, że zamierzam aresztować Jeremyego Bishopa.

Pogawędka trwała, dopóki nie wypili herbaty.

Cisza, jaka później zapadła, zdawała się trwać w nieskończoność, aż wreszcie Anne, nie patrząc na niego, rzekła półgłosem: - Czemu uważałeś, że to on, Tom?

Uważałeś? Czas przeszedł? Nie dla Thorne'a.

- To bez wątpienia zaczęło się od kradzieży preparatu. A potem związek z Alison i brak alibi na inne zabójstwa. Do tego rysopis i samochód... - Westchnął ciężko, przecierając oczy kciukiem i palcem wskazującym. - To kwestia czysto akademicka. Nie mam żadnych dowodów ani nakazu, dzięki któremu mógłbym je zdobyć.

- Co twoim zdaniem mógłbyś znaleźć?

- Może maszynę do pisania. Albo ten preparat. Chyba że trzyma je w szpitalu, a wówczas...

Anne poderwała się z miejsca i zaczęła krążyć po pokoju. - Wciąż mówisz o tych lekach, ale to bez sensu. Dlaczego miałby ukraść tak dużą ilość preparatu? Jeremy pracuje z tymi środkami każdego dnia.

Gdyby chciał, mógłby zgarnąć, ile dusza zapagnie, nie wzbudzając przy tym niczych podejrzeń. Wystarczy, że schowałby do kieszeni jedną, dwie ampułki dziennie przez sześć miesięcy, a nikt nawet by tego nie zauważył. Po co miałby zwracać na siebie uwagę, kradnąc dużą ilość tego preparatu naraz? Dopiero gdy zginie większa partia tego leku, jest to rejestrowane. Jeremy nie musiał tego robić, Tom.

Łubudu! No i właśnie. Falszywa nuta. Właśnie to przez cały czas nie dawało mu spokoju, kryjąc się w zakamarkach jego umysłu. Oczywiście Anne miała rację. Czemu nikt z nich nie usiadł i nie porozmawiał z pieprzonym lekarzem? Jak mogli to przeoczyć? Jak on mógł to przegapić?

Spokojnie: po prostu nie chciał tego zauważyć.

Hendricks: *Masz kłapki na oczach i szczerze mówiąc, mam tego serdecznie dość.*

Poczuł się, jakby zabrakło mu tchu. Jakby wyduszono z jego ciała powietrze. Chryste, wszystko zaczynało się sypać.

- Przykro mi, Tom.

Zamknął oczy. Zacisnął powieki. Wiedział, że to nie Anne powinna przepraszać. To on musiał przeprosić kilka osób.

Kiedy po raz pierwszy go ujrzał, stwierdził, że przypomina mu tego lekarza ze *Ściganego*. Tamten doktor też był niewinny

- Myślałem, że to on, i chyba chciałem, żeby to był on...

- Ciii... - Uklęka przy sofie, gładząc go po włosach.

- To stało się zbyt osobiste. Brak mi dystansu.

- Teraz to bez znaczenia, Tom. Nikt nie ucierpiał.

- Byłem taki pewny swego, Anne. Taki pewny, że to Calvert był zabójcą...

Poczuł, że jej dłoń nieruchomieje. Pokręcił głową. Próbował obrócić to w żart.

Wymknęło mu się.

- Bishop. Chciałem powiedzieć, Bishop.

- Kim jest Calvert?

Whisky, mocz i proch strzelniczy. A także zapach świeżo upranych koszulek nocnych. Kurwa, nie...

- Tom, kim jest Calvert?

A potem pojawiły się łzy. Nie próbował ich powstrzymać, sycił się każdą rozdzierającą serce chwilą. Po raz pierwszy od piętnastu lat na dobre powrócił do przeszłości. Jan nigdy nie miała dość czasu ani odwagi, by to wytrzymać, ale teraz nie zamierzał niczego pominąć. Żadnych ingerencji cenzury z ostrzeżeniem dla osób o szczególnie wrażliwej naturze.

Thorne pohamował szloch.

A potem opowiedział jej wszystko.

21.

Piątek, 15 czerwca 1985. Zbliża się koniec pracy

To wielka sprawa. Największa od czasu Kuby Rozpruwacza. Piętnaście tysięcy przesłuchań w ciągu osiemnastu miesięcy i nic. Prasa dostaje białej gorączki, ale nie aż tak. Nie jak wówczas, gdy mordowane są kobiety czy faceci hetero. Ot zwykła dawka moralnego oburzenia z odrobiną zarozumiałości i komentarzami w rodzaju - jak się prowadzi taki tryb życia, należy liczyć się z ryzykiem.

Żadnych barwnych przydomków, choć gdyby „The Sun” uszedł na sucho Zabójca Ciot, pewnie by go użył.

A tak został po prostu Johnny.

Czwarta ofiara powiedziała przyjacielowi, że wybiera się z jakimś Johnnym na drinka. Godzinę później wycięto mu serce i usunięto genitalia. Podobizny twarzy niejakiego Johnny’ego ozdobiły mury w całym kraju. Facet ma jasne włosy i ziemistą cerę. Niebieskie oczy Bardzo, ale to bardzo zimne, lodowate.

To wielka sprawa.

Detektyw konstabl Thomas Thorne opiera się o ścianę pokoju przesłuchań na posterunku Paddington i patrzy na mężczyznę o ciemnych blond włosach i niebieskich oczach.

Francis John Calvert. Lat trzydzieści cztery. Najemny robotnik budowlany z północnego Londynu.

- Mogę dostać szluga? Zapaliłbym... - Calvert uśmiecha się. To zwyczajny uśmiech. Ma doskonale zęby

Thorne milczy Obserwuje go do powrotu inspektora Duffy’ego.

- Chyba mogę dostać jednego cholernego szluga? - Uśmiech jak z reklamy nieznacznie przygasa.

- Zamknij się.

Drzwi się otwierają, wraca Duffy. Kontynuuje przesłuchanie, a Tom Thorne nie mówi ani słowa.

To nie jest popis umiejętności śledczych. Duffy najlepsze lata ma już za sobą. Zresztą to czysto rutynowe działanie. Calvert został tu wezwany tylko z uwagi na to, czym się zajmuje.

Na tydzień przed śmiercią trzecia ofiara powiedziała współlokatorowi, że spotkała pewnego faceta w klubie. Ten mężczyzna miał być budowląncem. Współlokator zaczął żartować na temat narzędzi budowląnców i ich silnych mocnych rąk oraz krągłych tyłków. Siedem dni i jedno ciało później żart przestał być śmieszny, ale współlokator zapamiętał, co powiedział jego przyjaciel.

Trzeba było przesłuchać tysiące robotników budowlanych. Niektórych przesłuchano w ich domach. Innych w miejscu pracy. Calverta wezwano i sam przyszedł na posterunek.

Później, rzecz jasna, wyjdzie na jaw, że był już przesłuchiwany.

Duffy i Calvert spieszą się, jakby się paliło. Duffy częstuje Calverta papierosem.

Chce iść do domu.

Thorne także. Od niespełna roku jest młodym żonkosiem. Jednym uchem słucha odpowiedzi Calverta.

W domu z żoną... Trzy małe córeczki. Są takie słodkie... Chciałby czasem wyjść gdzieś wieczorem, rozerwać się... Ale nie do któregoś z takich miejsc. Znowu ten uśmiech. Stara się pomóc. Jest zatroskany. Żona chętnie z panami porozmawia, jeżeli chcecie. Ma nadzieję, że znajdą tego świra i powieszą go. Nieważne, co w domowym zaciszu robią ci zbrojeńcy, to, co robi ten morderca, jest po prostu odrażające...

Duffy daje Calvertowi krótkie oświadczenie do podpisania i to już wszystko, kolejny skreślony z listy Dziękuję mu.

Któregoś dnia poszczęści im się.

Duffy wstaje i podchodzi do drzwi. - Odprowadź pana Calverta do wyjścia, dobrze, Thorne? - Inspektor wychodzi, by rozpocząć żmudną czynność sporządzenia protokołu. Śledztwo tonie w papierkowej robocie. Mówi się nieśmiało o komputerach, które pewnego dnia

trafią na posterunek i ułatwią wszystko. Ale to tylko obietnice. Odległa przyszłość.

Thorne przytrzymuje otwarte drzwi, a Calvert wychodzi na korytarz. Mija różnym krokiem inne pokoje przesłuchają, pogwizduje z rękami w kieszeniach. Thorne idzie za nim. Z radia gdzieś nieopodal płyną dźwięki jego ulubionej piosenki *There Must Be An Angel* duetu Eurythmies. Jan kupiła mu tę płytę w zeszłym tygodniu. Zastanawia się, co jego żona robi na obiad. A może on sam kupi coś na wynos.

Mijając pierwsze wahadłowe drzwi i skręcając w lewo w inny korytarz wiodący do holu głównego, Calvert czeka, aby Thorne zrównał się z nim. Przytrzymuje dla niego drzwi. - Założę się, że zarabiacie krocie w nadgodzinach.

Thorne milczy Nie może się doczekać, by ujrzeć plecy tego zarozumiałego małego dupka. Mijają kolejny rysopis Johnny'ego, ktoś dorysował dymek o treści: „Witaj, marynarzu”. Thorne nuci pod nosem piosenkę Eurythmies.

Ostatnie drzwi. Oficer dyżurny kiwa głową do Thorne'a. Thorne wyprzedza Calverta, otwiera przed nim drzwi i zatrzymuje się. Dalej już nie pójdzie. To nie hotel, a on nie jest pieprzonym konsjerżem. Calvert wychodzi przed drzwi, przystaje i odwraca się. - No to najlepszego...

- Dzięki za pomoc, panie Calvert. Będziemy w kontakcie, gdyby potrzeba było czegoś jeszcze.

Thorne bez namysłu wyciąga rękę. Patrzy w stronę oficera dyżurnego, który wychwytuje jego spojrzenie i szepcze coś o imprezie dla jednej z odchodzących asystentek. Thorne czuje dotyk silnej, pokrytej odciskami dłoni i odwraca się, by spojrzeć na Francisca Johna Calverta.

I wtedy wszystko się zmienia.

Nie chodzi o podobieństwo do twarzy z portretu pamięciowego. Wychwycił je, kiedy tylko zobaczył Calverta, ale zaraz o tym zapomniał. Nie chodzi o podobieństwo, ale o tę twarz.

Thorne patrzy na oblicze Calverta i wie.

Po prostu wie.

To trwa nie dłużej niż sekundę, dwie, ale wystarczy. Dostrzega to, co kryje się pod tymi ciemnoniebieskimi oczami, i w żyłach zastyga mu krew.

Widzi pijaństwo, o tak, i mecze piłkarskie w sobotnie wieczory, wilcze gwizdy na widok pięknych kobiet i nieprzeparłą wściekłość ledwie trzymaną w ryzach przez wygodny związek małżeński pozbawiony miłości oraz seksu.

Dostrzega coś głębokiego, ciemnego i gnijącego. Coś cuchnącego. Coś, co wlewa się do ziemi i eksploduje krwawymi bąblami.

Nie umie tego wyjaśnić, ale wie ponad wszelką wątpliwość, że Francis John Calvert to właśnie Johnny. Wie, że stojący przed nim, ściskający jego dłoń mężczyzna jest odpowiedzialny za zamordowanie sześciu gejów w ciągu ostatniego półtora roku.

Thorne zastyga jak wryty i nie wie wcale, czy jeszcze kiedyś będzie się w stanie poruszyć. Jest skostniały ze strachu. Lada chwila, a zleje się w spodnie. A potem dostrzega coś, co jest w tym wszystkim najstraszniejsze.

Calvert wie, że on wie.

Thorne konstatuje, że jego twarz jest pusta. Bez wyrazu. Martwa. Ale myli się. Widzi zmianę w oczach Calverta, kiedy ten odnajduje jego spojrzenie. To trwa tylko moment. Ot lekkie drgnięcie powieki.

I uśmiech, który nieco przygasa.

A potem jest po wszystkim. Uścisk dłoni słabnie, a Calvert odchodzi w stronę głównych drzwi wyjściowych posterunku. Przystaje na chwilę i odwraca się. Już się nie uśmiecha. Oficer dyżurny wciąż mówi o imprezie, ale Thorne patrzy, jak Calvert wychodzi z gmachu komendy. Na jego twarzy maluje się coś, co może być przerażeniem. Lub nienawiścią.

A gdzieś w oddali słodki wysoki głos wciąż śpiewa o wymyślonych aniołach.

Nie mówi nikomu. Ani Duffy'emu. Ani kolegom. Ani przełożonym. Co miałby im powiedzieć? Jan też ani słowa. Ona zresztą myśli o innych sprawach. Starają się o dziecko.

Przez weekend w domu trzyma się na dystans i zdaje sobie z tego sprawę. W sobotnie popołudnie, gdy spacerują po Chapel Market, ona pyta go, czy coś się stało. On milczy

W niedzielę wieczorem ona chce się kochać, ale on za każdym razem, gdy zamyka oczy, widzi Francisa Calverta jedną ręką obejmującego młodego chłopca za szyję i całującego go namiętnie. Kiedy stęka i dochodzi wewnątrz swojej młodej żony, widzi, jak Calvert drugą spracowaną ręką sięga do kieszeni po dwudziestocentymetrowy nóż z ząbkowanym ostrzem.

Podczas gdy Jan śpi smacznie u jego boku, on przez całą noc nie może zmrużyć oka. Do rana przekonuje sam siebie, że jest głupcem, po czym wsiada do samochodu i zatrzymuje się w małej uliczce dochodzącej do Kilburn High Road. Obserwuje mieszkanie Calverta.

Poniedziałek, 18 czerwca 1985.

Chce po prostu jeszcze raz mu się przyjrzeć, to wszystko. Kiedy tamten wyjdzie z domu, Thorne zobaczy go takim, jakim tamten był w istocie. Z pewnością Calvert to szumowina, ale na tym jego grzeszki się kończą. To zwykła gnida, która jeździ autem bez ubezpieczenia, nie płaci abonamentu telewizyjnego i być może również bije żonę.

To nie zabójca.

Jeszcze jedno spojrzenie i Thorne zrozumie, że zrobił z siebie głupca. Będzie wiedział, że wtedy, w holu zwyczajnie się pomylił. Po prostu coś mu strzeliło do łba. Jan nazywała takie chwile fałszywą iluminacją.

Czeka długo. Ludzie mieszkający przy tej ulicy nie zaczęli jeszcze wychodzić do pracy. Biała furgonetka astra Calverta stoi pod jego domem.

Przez następną godzinę siedzi i patrzy na wychodzących ludzi. Widzi, jak otwierają się frontowe drzwi i na ulicę wypływa fala ludzi, mężczyzn i kobiet, z torebkami i aktówkami. Wsiadają do aut, na rowery albo idą w kierunku stacji metra czy przystanku autobusowego.

Drzwi do mieszkania Calverta pozostają zamknięte.

Thorne siedzi i wpatruje się w brudną białą furgonetkę. Na bocznej ścianie wozu widnieje napis: „EJ. Calvert. Budowniczy”.

Rzeźnik...

Głupiec! Ależ głupiec z niego! Powinien uruchomić wóz, pojechać do pracy, pośmiać się z kumplami, może pomóc w organizowaniu przyjęcia i zapomnieć, że kiedykolwiek spotkał Francis Calverta, a on tymczasem siedzi i obserwuje jego mieszkanie.

I nagle puka do zielonych drzwi frontowych.

Kiedy nikt nie odpowiada, zaczyna się pocić.

W dyskretnie stonowanej euforii następnego dnia, zanim wyjdzie na jaw fakt, że Calvert był już przesłuchiwany w czterech niezależnych sprawach, zanim nadejdzie rezygnacja, nim wybuchnie ogólnokrajowy skandal, detektyw konstabl Thomas Thorne otrzyma pochwałę. Młody funkcjonariusz wykazał się inicjatywą. Zrobił to, co do niego należało. Nie myślał o własnym bezpieczeństwie.

Nie myślał...

Zupełnie jakby obserwował samego siebie, stojąc z boku. Nie wie, dlaczego próbuje wejść do mieszkania przez drzwi frontowe. Czemu na nie napiera. Dlaczego wraca do auta i wyciąga z bagażnika służbową pałkę.

Żona Calverta wydaje się zdziwiona jego widokiem. Oczy ma rozszerzone, gdy Thorne wchodzi do kuchni, ledwie oddychając z bijącym dziko sercem. Ona leży na podłodze z głową opartą o brudne białe drzwiczki szafki pod zlewem. Sińce wokół jej szyi zaczynają już czernieć. Wciąż trzyma w dłoni drewnianą łyżkę.

Umarła pierwsza. Musiało tak być. Resztę dopowiedzą mu dzieci.

Denise Calvert. Lat 32. Uduszona.

Thorne penetruje mieszkanie jak nurek wrak starego okrętu. Cisza dudni mu w uszach. Jego ruchy są powolne i dziwnie pozbawione gracji, a wokół niego w wodzie roi się od duchów...

Odnajduje je w niedużej sypialni, na tyłach mieszkania. Leżą jedna obok drugiej na podłodze, pomiędzy łóżkami i niewielkim pojedynczym materacem.

Nie może oderwać wzroku od sześciu maleńkich białych stopek.

Nie mogąc zaczerpnąć tchu, osuwa się na kolana i pełźnie po podłodze. Rozumie, co widzi, ale trudno mu połączyć ze sobą pewne

fakty. Kiedy w końcu złapie oddech, krzyczy na całe gardło. Krzyczy do martwych dziewczynnek. Błaga je... Spóźnicie się do szkoły!

Błaga je, by go ocaliły.

Nabierając powietrza, czuje w nozdrzach zapach ich szamponu. A także świeżo upranych koszulek nocnych i moczu, którym były przesiąknięte. Widzi na materacu na podłodze płamę w miejscu, gdzie musiał zabić każdą z nich. Gdzie zabił kolejno jedną po drugiej. Dziewczynki ułożono obok siebie, z rękoma złożonymi na piersiach w groteskowej pozie mającej sugerować spokój.

Ale żadna z nich nie umarła spokojnie.

Lauren Calvert. Lat 11. Samantha Calvert. Lat 9. Anne-Marie Calvert. Lat 5. Udużone.

Trzy małe dziewczynki, które wierzyły i krzyczały, próbowały odnaleźć mamę, a gdy ją znalazły, krzyczały jeszcze głośniejsze - ich matka już nie żyła, tylko tak mogłaby pozwolić, aby jej dzieci spotkało coś równie strasznego - a potem ten mężczyzna, którego kochały i któremu ufały, zamknął drzwi sypialni i zaczęły biegać w kółko ogarnięte paniką jak ćmy uwięzione w szklanym abażurze lampy. Wpadały na ściany i tuliły się do siebie, a kiedy on schwycił jedną i zawłócił na leżący na podłodze materac, gryzły, kopały, wierzyły i orały paznokciami jego mocne dłonie pokryte stwardniałą od ciężkiej pracy skórą.

Thorne musi uwierzyć w to, co widzi. Nie może się pogodzić z tym, że uśmiechały się do swego taty, kiedy położył poduszkę na ich twarzach.

Nigdy się z tym nie pogodzi.

Mniej więcej po półgodzinie odnajduje Calverta. Nie ma pojęcia, ile czasu spędził w małym pokoiku, usiłując zrozumieć. Myśli o Jan. I o dziecku, o które się starają.

Otwiera drzwi do salonu i silny odór uderza go jak cios obuchem. Czuje woń whisky, tak silną, że aż dławi w gardle, oraz smród prochu, który znał dotąd tylko ze strzelnicy.

Strzępy mózgu widnieją na lustrze nad kafelkowanym obramowaniem kominka.

Francis John Calvert. Lat 37. Zgon od postrzału w głowę. Samobójstwo.

Thorne jak lunatyk przechodzi po szarym dywanie. Nie patrzy w dół, kiedy stąpa, odkopując w bok pustą butelkę po whisky. Butelka z brzękiem uderza w listwę przypodłogową. Nie odrywa wzroku od Calverta. W wyciągniętej ręce wciąż tkwi rewolwer. Slipki są brązowe od zakrzepłej krwi. Kiedy to się stało? Ubiegłej nocy czy może dziś rano?

Na dłoniach nie ma śladów małych paznokci.

Thorne staje nad ciałem, z rękoma ciężko zwieszającymi się wzdłuż boków, oddycha głęboko i rozpaczliwie. Nachyla się do przodu, wiedząc, co się stanie, i to go zdumiewa, bo przecież nie jadł śniadania. Spazmatyczny skurcz, kiedy w końcu nadchodzi, przepływa szybko od żołądka przez klatkę piersiową do gardła. Thorne wymiotuje gorzką wodnistą treścią żołądka na to, co pozostało z twarzy Francisa Calverta.

- To nie twoja wina, Tom. Wiem, że to musiało być straszne, ale nie możesz myśleć, że to się stało przez ciebie.

Thorne leżał na sofie, wpatrując się w matowy kremowobiały sufit. Gdzieś z oddali dochodziło zawodzenie syren karetki albo wozu straży pożarnej.

Anne ścisnęła go za rękę, jak na lekarza przystało. Natychmiast pomyślała o Alison. - Miałeś rację, kiedy pomyślałeś, że to jakaś pomyłka, że coś nagle wpadło ci do głowy, nie wiadomo skąd. Znalazłeś ich przez przypadek. To był tylko okropny zbieg okoliczności.

Thorne nie miał więcej do powiedzenia. Zmęczenie, z którym walczył przez cały dzień, w końcu zaczęło brać nad nim górę. Już się nie opierał. Pragnął odpłynąć w niebyt, w czern, która sprawi, że wszystko, co zapamiętał i opowiedział, trafi na powrót do mrocznych zakamarków jego umysłu. Zardzewiałe rygle z hukiem wróciły na swoje miejsce.

Zamknął oczy i pozwolił, by to się stało.

Kiedy Thorne opowiadał jej tę historię, Anne jakoś się trzymała, jej twarz nie zdradzała żadnych emocji, teraz jednak pojawiły się łzy. Gdy pomyślała o małych dziewczynkach. I o małych białych stopkach swojej córki.

Tak łatwo było pojąć, co kierowało tym mężczyzną. Co wywołało tę obsesję... pewności. Miała nadzieję, że z czasem uzna on swoje odczucia wobec Jeremy'ego za iluzję. Zniekształcone echo minionej grozy. Miała nadzieję, że będą mogli jakoś żyć dalej.

Chciała być przy nim, aby mu pomagać.

Zadrżała nieznacznie. Wciąż padał na nich cień, jego chłód zmroził jej ramię. Oparła głowę na piersi Thorne'a, która kilka chwil później zaczęła unosić się i opadać regularnie, kiedy zapadł w głęboki sen.

Obrazy są wciąż mgliste, ale słowa znacznie wyraźniejsze, jakbym oglądała film, który już wcześniej widziałam, ale od ostatniego razu wzrok mi się trochę popsuł, a i obraz raz po raz się rozmywa.

Jesteśmy w kuchni. Ja i on.

Mówię mu, żeby odstawił gdzieś torbę, wciąż wymachuję butelką szampana i pytam go, czy chciałby napić się kawy, a może piwa. On komplementuje moje mieszkanie. Sięgam po puszkę piwa, którą Tim zostawił w lodówce. On ją otwiera, a ja wciąż mówię o imprezie. O frajerach w klubie. Naćpanych dupkach. Współczuje, mówi, że wie, jacy są mężczyźni, i że trudno ich za to winić, prawda?

Przez kilka chwil słysząc muzykę, kiedy włączam radio, a potem szum, gdy szukam czegoś fajnego, ale w końcu sobie odpuszczam.

On mówi, że musi zadzwonić, i dzwoni, ale nie słyszę, co mówi. Mamrocze coś pod nosem. Ja wciąż gadam jak nakręcona, ale sama już siebie nie rozumiem. Strasznie belkoczę.

O tym, że jest mi niedobrze, a on chyba mnie nie słucha.

Przepraszam, że tak się posypalam. On chyba sądzi, że naprawdę jest mi cholernie smutno, bo klapnęłam na podłogę w kuchni, opierając się plecami o kredens, i prawie nie jestem w stanie mówić. Nic nie szkodzi, on na to, a ja słyszę, jak rozsuwa zamek swojej torby. Grzebie w środku. Dobra zabawa nie jest zła, mówi. Sięga po coś.

Święta racja, mówię, ale z moich ust wypływa tylko zduszony belkot.

Słyszę pisk podeszew moich butów na podłodze, gdy wleczę mnie na drugi koniec kuchni. Moje kolczyki i naszyjnik lądują z brzękiem w zlewie.

Ten zdławiony jęk to ja.

Sprawiam wrażenie, jakbym nie mogła wydobyć z siebie głosu. Po prostu nie mogę, i już. Jak dziecko. Albo bezzębna staruszka z połową mózgu. Próbuję coś powiedzieć, ale efektem jest tylko hałas.

On mówi, żebym była cicho. Żebym przestała mówić.

Dotyka mnie teraz i krok po kroku opisuje wszystko, co ze mną robi. Mówi, żebym się nie martwiła i zaufała mu. Tłumaczy kolejne etapy swoich poczynań. Podaje nazwy wszystkich mięśni, których dotyka.

Głupie nazwy. Medyczne.

Łapie oddech, a potem przez chwilę milczy. To trwa kilka minut.

Ja nie mówię nic. Nie słyszę, bym cokolwiek mówiła. Ani słowa skargi. Tylko kap, kap, kap śliny skapującej z moich ust na kafelki przede mną.

Z mojego gardła wypływa dziwny charkot.

Słysząc zduszone stęknienia, ale teraz nawet te dźwięki zaczynają cichnąć, a ja powoli, lecz nieubłaganie oddalam się od wszystkiego.

I nagle coś ważnego. Ostatnia rzecz, jaką słyszę. Trzy słowa rozbrzmiewające echem i zdające się dochodzić z bardzo daleka. Jakby słyszane przez długą rurę, jak podczas zabawy w dzieciństwie, kiedy kolega dla żartu mówił do mnie przez rurę od odkurzacza.

Chyba powinnam to powiedzieć.

Mówi: „Dobranoc... „

To, co mówi, brzmi niemal głupio. Słodko i łagodnie. Delikatnie. Te słowa słyszałam później jeszcze co najmniej raz.

Te słowa usłyszałam ponownie, kiedy ocknęłam się już w obecnym stanie.

Słowa, które idealnie opisują to, kim jestem teraz.

22.

Kiedy Thorne się obudził, było już ciemno. Spojrzał na zegarek. Parę minut po siódmej. Przespał dwie i pół godziny.

Wtedy jeszcze o tym nie wiedział, że za dwie godziny będzie po wszystkim.

Anne nie było. Wstał z sofy, aby zrobić sobie kawę, i zauważył liścik na obramowaniu kominka.

Tom,

Mam nadzieję, że czujesz się lepiej. Wiem, jak ciężko ci było powiedzieć mi o tym.

Nie możesz bać się pomyłek.

Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, ale zamierzam spotkać się dziś z Jeremym, aby powiedzieć mu, że wszystko gra. Chyba zasłużył na to, aby poczuć się lepiej.

Zadzwoń później.

Anne

Zaparzył kawę i raz jeszcze przeczytał liścik. On sam poczuł się lepiej i chodziło o coś więcej niż tylko o parę godzin snu. Rozmowa o wydarzeniu sprzed lat sprawiła, że trochę się oczyścił. Nie do końca, co prawda, ale zważywszy że jego śledztwo wzięło w łeb, nie miał przyjaciół i narobił sobie wrogów wśród przełożonych, mógł poczuć się znacznie gorzej.

Tom Thorne czuł się zrezygnowany.

Nie chodziło już tylko o to, że bał się pomyłek. On nawet nie brał ich pod uwagę. Teraz chodziło o coś więcej niż uwzględnienie tego. Musiał z tym żyć.

Anne zamierzała spotkać się z Bishopem, by powiedzieć mu, że on już się nie liczy. No i dobrze. Uczciwe postawienie sprawy. Przecież

tak naprawdę nigdy się nie liczył. Tylko tak sobie roił. Nadszedł czas, aby spojrzeć prawdzie prosto w oczy

Anne podstępowała słusznie. Bishop zasługiwał na to, by wiedzieć, co się działo. Zasługiwał, by wiedzieć, jak się sprawy miały.

Zresztą nie tylko on.

Thorne sięgnął po telefon i wybrał numer Anne. Może zdoła złapać ją przed wyjściem. Rachel niemal natychmiast odebrała, była zdyszana, rozdrażniona jak typowa nastolatka.

- Cześć, Rachel, mówi Tom Thorne. Czy mogę mówić z twoją mamą?

- Nie.

- No tak, jasne...

- Nie ma jej. Wyszła. Spóźnił się pan.

- Jest w drodze do Battersea, prawda?

Jej ton się zmienił, zniecierpliwienie zostało zastąpione przez coś innego, bardziej jadowitego. - Tak. Pojechała, by poinformować Jeremy ego, że nie jest wrogiem publicznym numer jeden. Moim zdaniem najwyższy czas.

Thorne milczał. Anne jej powiedziała. Ale to już bez znaczenia.

- Jak dawno temu...

- Nie wiem. Chyba najpierw wybierała się na zakupy. Przyrządzi dla niego kolację.

- Posłuchaj, Rachel...

Weszła mu w słowo: - Niech pan posłucha, muszę kończyć, bo się spóźnię. Proszę spróbować zadzwonić do niej na komórkę albo na domowy numer Jeremy'ego. Ma go pan?

Thorne zapewnił, że tak, i dopiero po chwili zrozumiał, że z jej strony był to sarkazm.

Spróbował zadzwonić na komórkę Anne, ale nie uzyskał połączenia. Może wyłączyła telefon. A jeśli była w metrze, to nie miała zasięgu. I nagle przypomniał sobie, że miała dziś dyżur, musiała być pod telefonem i zapewne prowadziła samochód. Gdzieś miał jej numer pagera...

Sięgnął po kurtkę. Postąpi zgodnie z sugestią Rachel i zatelefonuje później do Bishopa. Tym razem nie będzie musiał utajniać numeru.

Zresztą to już nie miało znaczenia - chciał tylko zapytać, do której godziny Alison Willetts mogła przyjmować gości.

Miał na sobie jedną z tych śnieżnobiałych koszul, które tak lubił. Przejrzał się w lustrze, powoli zapinając guziki. Patrzył, jak blizny znikają pod nieskazitelnie białą bawełną.

Spojrzał na zegarek, przejeżdżając niespiesznie przez most Blackfriars. Trochę się spóźni. A ona będzie jak zawsze punktualna.

Była taka obowiązkowa i oddana.

Spotkają się jak zwykle pod Green Man. Trochę nadrabiał drogi, przejeżdżając przez rzekę tylko po to, aby zawrócić i znów skierować się na południe, ale wołał to, niż gdyby miała podróżować metrem lub autobusem. Chciał mieć wszystko pod kontrolą. Gdyby się spóźniła, nie zdążyła na autobus, czy coś w tym rodzaju, jego plan zaburzyłby się. Kiedy powiedział jej, że pojedą dziś do niego, wiedział, co pomyślała: *O Boże, dziś jest ta noc*. Niemal poczuł przyływ jej estrogenów i usłyszał, jak trybiki w jej małym głupim mózdzku zaczynają się obracać, kiedy zastanawiała się, które majtki najbardziej by mu się podobały

Cóż, ta noc będzie z pewnością niezapomniana.

U niego.

Może zrobić się tam tłoczno...

W drodze na Queen Square Thorne prawie w ogóle nie myślał. Zastanawiał się wcześniej, co powie Alison Willetts. Teraz musiał się jedynie wyciszyć, aby się na to zdobyć.

Wyjął taśmę Massive Attack i wrzucił Merle Haggarda.

Musiał się rozluźnić na tyle, by móc ją przeprosić.

Tommy?

Tak, was również.

Okrążając plac przez blisko dziesięć minut, kłął w żywy kamień, aż w końcu zaparkował na drugiego i położył na desce rozdzielczej forda

mondeo, za szybą wyświechtany kartonik z napisem „Policja. Pojazd służbowy”.

Wieczór zrobił się chłodny. Żałował, że nie zabrał cieplejszej kurtki. Zmierzając w stronę głównego wejścia do szpitala, poczuł pierwsze krople deszczu i przypomniał sobie, jak pokonywał tę samą drogę, tyle że w przeciwną stronę, miesiące temu. Wydawało się, że było to znacznie dawniej, a przecież po raz pierwszy zobaczył Alison Willetts w sierpniu. Biegł w deszczu i zobaczył ten liścik za wycieraczką auta. Dzień, w tym samym miejscu, przy padającym deszczu. Thorne musiał pogodzić się z faktem, że nadal nie wiedział, kim był ten mężczyzna.

Już prawie ósma. Thorne nigdy dotąd nie był w szpitalu o tak późnej porze. Po zmierzchu w tym miejscu można było mieć kłopoty z orientacją. Jego kroki odbijały się echem od starych marmurowych posadzek, gdy przemierzał starą część gmachu, by dotrzeć do skrzydła Chandlera. Ludzi było tu niewiele, a ci, których mijał, pielęgniarki, sprzątacze i ochrona, patrzyli na niego podejrzliwie. Wydawało się, że mu się przyglądali. Za dnia nie zwracali na niego większej uwagi.

Z oddali dobiegł go czyjś cichy szloch. Przystanął, nasłuchując, ale dźwięk już się nie powtórzył.

Nawet nowa część szpitala wydawała się mroczna jak nawiedzony dom. Światła odbijające się zwykle od wyblakłej boazerii w recepcji oddziału intensywnej terapii były przyćmione. Słysząc było jedynie stłumione dźwięki odległych neonów i szum jakichś niewidocznych urządzeń. To mogły być maszyny do czyszczenia dywanów. Albo takie, które utrzymują ludzi przy życiu.

Spojrzał na rząd aparatów telefonicznych w recepcji. Gdy tylko zobaczy się z Alison, zadzwoni do Anne. Zapomniał zabrać ze sobą komórki.

Wysiadając z windy, wychwycił spojrzenie kobiety znajdującej się w przeciwnym biurze w recepcji. Pomachała do niego, a on rozpoznał asystentkę Anne. Nie pamiętał, jak się nazywała. Wskazał ręką drzwi, a ona skinęła głową, zezwalając mu wejść. Przypomniał

sobie trzycyfrowy kod otwierający ciężkie drewniane drzwi i wszedł na oddział intensywnej terapii.

Powiedział pielęgniarce dyżurnej, dokąd się wybiera, i ruszył w głąb korytarza w stronę pokoju Alison. Mijając inne pokoje, stwierdził, że nie wie nic o znajdujących się tam ludziach. Nigdy nie rozmawiał z Anne o innych jej pacjentach. Domyślał się, że żaden nie był w takim stanie jak Alison, ale zdawał sobie sprawę, że ich życie także musiało w ciągu paru sekund dramatycznie się zmienić. Tyle właśnie wystarczy, aby potknąć się na schodach, przewrócić na ulicy czy stracić panowanie nad samochodem.

Albo doznać udaru.

Nasłuchiwał przez chwilę pod drzwiami, naprzeciwko pokoju Alison. Ten sam charakterystyczny szum maszyn jak odgłosy z ula budzącego się do życia po długiej zimie. Ktokolwiek tu leżał, musiał trafić do szpitala wskutek wypadku. To zasadnicza różnica.

Thorne odwrócił się i podszedł do drzwi pokoju Alison. Zapukał cicho i sięgnął dłonią do klamki.

Na moment wstrzymał oddech, kiedy drzwi zostały otwarte z drugiej strony, a David Higgins bezceremonialnie wypchnął go na korytarz.

- Nie ma jej tu - rzucił mu prosto w twarz.
- Co? - Thorne próbował ominąć go i wejść do pokoju.
- Masz pecha, Thorne. Przykro mi.

Thorne spojrział na niego tępym wzrokiem. Higgins uniósł głos. - Mojej pieprzonej żony! Mojej żony, którą pieprzysz. Nie ma jej tu. Thorne poczuł od tamtego woń alkoholu. Whisky dla kurażu.

- Nie przyszedłem tu, żeby zobaczyć się z Anne. Zejdz mi z drogi.
- No jasne. Baw się dobrze.

Higgins odszedł krok w lewo, ale Thorne nawet nie drgnął, tylko na niego patrzył. - Co to miało znaczyć? - Wiedział, co to znaczyło, ale chciał usłyszeć to od niego.

- Cóż, pod nieobecność cudnej Anne, która i tak zbyt za tym nie przepada, możesz... pomiętosić trochę kogoś, kto nie będzie ci się opierał. Jak gumowa lala z tętnem.

Thorne zawsze uważał, że te oskarżenia o molestowanie Alison były zbyt tanim chwytem jak na zabójcę. I uwłaczały jego godności. Teraz wiedział już, kto był za to odpowiedzialny. Motyw był oczywisty, ale Thorne i tak zapytał. - Dlaczego?

Higgins przełknął ślinę i oblizał wargi. - A dlaczego nie?

Thorne zamachnął się z całej siły prawą ręką, ale w ostatnim momencie rozluźnił zaciśniętą pięść.

Uderzenie otwartą dłonią wydawało się odpowiedniejsze. Higgins nie był mężczyzną w prawdziwym tego słowa znaczeniu, by zasługiwał na cios pięścią.

Uderzenie trafiło go w żuchwę i ucho z taką siłą, że wyładował na tyłku na podłodze. A potem rozplakał się jak dziecko.

Thorne nawet na niego nie spojrział, tylko przestąpił nad jego wyciągniętą do przodu nogą i wszedł do pokoju Alison Willetts.

Zaczęła mrugać, gdy tylko na nią spojrział. Raz, drugi, trzeci. Thorne zorientował się, że usłyszała hałas na korytarzu i zaniepokoiła się. Może powinien wezwać pielęgniarkę. Co w ogóle robił w jej pokoju Higgins? Pewnie szukał Anne, ale czy nie mógł zapytać o nią w recepcji?

Thorne myślał intensywnie. Musiał się uspokoić, jeśli miał powiedzieć jej to, co zamierzał.

Alison wciąż mrugała. Co trzy, cztery sekundy...

- Już dobrze, Alison. Postaram się streszczać. Chodzi o to, co powiedziałem tamtego dnia... że jestem już bliski schwytania tego, kto ci to zrobił...

Wciąż mrugała.

Proszę. Na miłość boską, zamknij się i słuchaj. Weź tablicę...

- O co chodzi? - Zerknął na tablicę wciąż leżącą pod ścianą i nakrytą prześcieradłem. Przeniósł wzrok na Alison. Jedno mrugnięcie. Tak.

Tak!

Przeszedł przez pokój, zdjął prześcieradło i zawłókł tablicę w nogi łóżka.

Wiedział mniej więcej, jak ją ustawić. Czym prędzej zgasił górne światło i używając pilota przy nogach łóżka, podniósł Alison do pozycji

siedzącej. Następnie sięgnął po wskaźnik i skierował małą czerwoną laserową kropkę przed pierwszą literę: A, potem zaczął przesuwać punkt wzdłuż kolejnych liter.

Nic.

Przyspieszył, obserwując jej twarz i poszukując najdrobniejszej reakcji.

No dalej, dalej...

Mrugnięcie. Przerwał.

- S? Czy to było S czy Ś, Alison?

Tak, do cholery, jasne, że taki Pospiesz się.

Przesunąć. Zaczekać. Spojrzeć. Przesunąć. Zaczekać. Spojrzeć. Przesunąć... kolejne mrugnięcie. Thorne zaczął się pocić, zrzucił kurtkę. - P tak? Dobra, Ś, P Jasne.

Znów od początku... i mrugnięcie.

- I? Czy to było I? Tak. ŚPI...Ą? ŚPIĄ...CA? Jesteś śpiąca, Alison?

Kurwa... Kurwa mać...

Dwa mrugnięcia. Raz, dwa.

Nie. Nie jestem śpiąca. Widzisz teraz, jakie to trudne.

Znów uniósł wskaźnik. Wskazać. Zatrzymać. Spojrzeć. Wskazać. Zatrzymać Spojrzeć. Wskazać. Zatrzymać... mrugnięcie. Zdecydowane. C... A...

- A więc jesteś śpiąca? Przepraszam, Alison, może wrócę później, kiedy...

Zacząła mrugać raz po raz gwałtownie.

Czy ja, kurwa, wyglądam na śpiącą! No spójrz na mnie. Dalej, Thorne. Weź się w garść i odczytaj to.

Pot spływał mu po czole. Szło mu jak po grudzie. Jeszcze jedna próba i pójdzie po kogoś. Poruszył wskaźnikiem. Alison mrugnęła. Raz i drugi.

K... R...

Ó... L... E... W..

Słowo zaczęło układać mu się w głowie.

I gdy zrozumiał, o co chodziło Alison, poczuł, jakby ktoś uderzył go obuchem w głowę.

Wspomnienie wyłoniło się z zakamarków jego umysłu. To było jak eksplozja targająca jego ciałem, rozbrzmiewająca w uszach i oślepiająca, przed jego oczami zawirowały zielono-złoto-czerwonosrebrne powidoki. Ścisnął dłoń Alison.

Zaczął przetrząsać kieszenie, żeby znaleźć monety do telefonu.

I wybiegł z pokoju.

- Bishop? Mówi Thorne...

- Co? - Znużony głos, ale pełen niepokoju.

- Wiem, co jej powiedziałaś. Wiem, co powiedziałaś do Alison, zanim wywołałaś u niej udar. Co mówiłaś każdej z nich.

- O czym ty mówisz?

- „Dobranoc, Śpiąca Królowno”. To samo powiedziałaś do mnie, zanim mnie uspiłaś przed operacją przepukliny w zeszłym roku.

Język wydaje się ciężki w jego ustach, głos się łamie, gdy odlicza wstecz od dwudziestu, zastanawiając się, czy będzie bolało, kiedy się obudzi, i widzi nad sobą twarz anestezjologa. Tamten mówi...

- Po co mi to mówisz, Thorne? Nie zwracaj mi głowy. Czekam na kogoś.

- To samo powiedziałaś do mnie, Bishop: „Dobranoc, Śpiąca Królowno”.

- Posłuchaj, jeśli chcesz wiedzieć, tak, używam tego zwrotu, usypiając moich pacjentów, i ponownie, gdy wybudzam ich z uśpienia. Mówię wtedy: „Obudź się, Śpiąca Królowno”. To takie hasło. Jak przesąd. Na miłość boską, to samo mówiłem moim dzieciom, układając je na noc do snu. Czy to ci w jakiś sposób pomoże, Thorne?

- Zamierzałem odpuścić, zdajesz sobie z tego sprawę? Byłeś o włos od wymigania się od kary. Uznałem, że się pomyliłem, ale to nieprawda. Zgadza się? Teraz jestem już pewien...

- Potrzebujesz pomocy, Thorne. Profesjonalnej pomocy...

- To tobie jest potrzebna pomoc, Jeremy. Idę po ciebie. Już po ciebie idę...

Jezu... Jezu... Jezu...

Myślałam, że on nigdy nie załapie.

Uznałam, że to może być ważne, no wiecie, bo usłyszałam to samo, kiedy się ocknęłam, co wtedy, kiedy mi to robił.

Te same słowa.

Pomyślałam, że to może być ważne, i gdy tylko usłyszałam, że Thorne się zbliża, postanowiłam mu to przekazać, ale nie spodziewałam się, że wybiegnie stąd, jakby gonił go sam diabeł.

Tak mawiał mój ojciec.

Najwyraźniej jest w formie po tym, jak dopieprzył mężowi Anne.

Jak nadmuchiwana lalka z pulsem. Pieprzony czaruś. Mam nadzieję, że Thorne powybił mu wszystkie zęby. Oby gnój się nimi udlawił.

A więc to chyba ten doktor, który mnie przyjął na ostrym dyżurze. Anestezjolog, który był tu z Anne Coburn kilka razy, to pieprzony Szampański Charlie. Jej były facet. Ten, którego zdjęcie miał Thorne. Najwyraźniej podejrzewał go już od dawna.

Jak można być lekarzem i robić coś takiego?

Jezu, myślałam, że to się nigdy nie skończy. To najlepszy komunikat, jaki kiedykolwiek przekazałam. Anne byłaby dumna i blada. Spisałam się na medal.

Powiedziałam, że jestem gotowa mrugać dla całej Anglii, prawda?

Ale to było takie trudne.

Cholernie trudne.

A teraz jestem naprawdę śpiąca...

23.

Dave Holland patrzył na film wypożyczony przez Sophie, nie słysząc ani słowa. Nie był głodny i tylko przesuwiał kawałki zimnej lazanii po talerzu.

Myślał o Tomie Thorne.

Nie było go tego ranka, kiedy Thorne wypadł jak burza z biura przy Edgware Road. Wciąż próbował dojść do siebie po minionej nocy, kiedy wypił za dużo, starając się zapomnieć o rodzicach Helen Doyle. To dopiero była noc, zarówno dla niego, jak i dla Thorne'a. Choć był pijany i w którymś momencie przysnął, pamiętał sporo z tego, co mówił Thorne. Leżał na sofie późną nocą z zamkniętymi oczami i zawrotami głowy, podczas gdy Thorne mówił o krwi i głosach. O rzeczach, o których Dave Holland długo nie zapomni.

A teraz nikt nie wiedział, gdzie się podział Thorne ani czy kiedykolwiek wróci.

Ci, co byli tam tego ranka i widzieli, w jakim stanie inspektor wszedł, a raczej, jak ktoś powiedział, wtoczył się do windy, skłonni byli podzielić się z nim szczegółami, kiedy tylko Holland zjawi się w pracy. - To cię z pewnością zainteresuje - mówili sarkastycznie. Wyglądało na to, że tok śledztwa prowadzonego przez detektywa inspektora Thorne'a został ostatecznie zamknięty.

I chyba dostał w końcu to, na co zasłużył.

Holland po cichu wrócił do pracy. Co pół godziny zerkał na komórkę, oczekując na wiadomość.

Nagle zauważył, że obraz na ekranie znieruchomiał. Odwrócił się, by ujrzeć Sophie z pilotem w dłoni; mówiła coś do niego. Po co zadała sobie tyle trudu, żeby pójść do wypożyczalni? Po co przyrzadziła kolację? I po co do niego mówiła?

Przeprosił i powiedział, że wciąż nie czuje się najlepiej, zwłaszcza po wczorajszym, kiedy popił z kolegami po pracy. Sophie udawała, że

się złości, ale było jej to obojętne. Nie miała nic przeciw temu, aby Dave chodził z kumplami na piwo. Oby tylko nie weszło mu to w nawyk. Musiał wiedzieć, co jest dla niego najważniejsze.

Oby zmitygował się w porę i przestał brać stronę tego szurniętego frajera Thorne'a.

Anne była rozdrażniona. Miała całą torbę zakupów - produkty na kolację, którą miała przyrządzić dla Jeremy ego, a łało jak z cebra i nie mogła znaleźć miejsca do zaparkowania. W końcu znalazła jedno przy końcu ulicy i wróciła biegiem, starając się ominąć szybko rosnące kałuże.

Zdumiała się, kiedy zobaczyła go w samochodzie pod domem. Postukała w szybę i zaśmiała się, gdy drgnął nerwowo. Elektrycznie opuszczana szyba volvo opadła bezgłośnie, a Anne zajrzała do środka. - Czemu tu tak siedzisz?

- Zastanawiam się nad różnymi rzeczami. Czekałem na ciebie. - Deszcz wpadający przez okno zrosił mu twarz.

Na twarzy Anne pojawiło się zaskoczenie. - W domu jest cieplej.

Nie odpowiedział, wpatrując się tępo w zalewaną deszczem przednią szybę. Anne poprawiła w dłoni rączki torby z zakupami. Było jej trochę ciężko. - Wejdiesz?

- A może ty wsiądziesz na chwilę? Proszę, Anne, tylko na chwilę. Musimy o czymś porozmawiać.

Anne chciała wejść do domu. Była przemoczona i zziębnięta. Miała ochotę na herbatę albo nawet kieliszek wina, zanim zabierze się do kolacji. Mimo to wydawał się czymś zdenerwowany. Podeszła do drzwi od strony pasażera, położyła torby na podłodze i wsiadła do samochodu.

Było tu miło i ciepło, najwyraźniej ogrzewanie było włączone już od jakiegoś czasu. Nie patrzył na nią. Uznała, że coś jest nie tak. I to nawet bardzo.

- Wszystko w porządku? Coś się stało?

Nie odpowiedział i instynktownie zaczęła rozglądać się dokoła. Czy odpowiedź na te pytania znajdowała się w samochodzie? Na tylnym siedzeniu coś leżało, przykryte pikowanym kraciastym kocem.

Spojrzała na niego. - Co...?

Coś jej powiedziało, że nie doczeka się odpowiedzi, i cicho stękając, sięgnęła ponad oparciem fotela, by unieść brzeg koca. Mimowolnie wstrzymała oddech. Nawet nie poczuła ukłucia igły wbijającej się w jej ramię.

Thorne próbował zachować spokój. Ulewa spowolniła ruch na ulicach i pokonanie niespełna kilometra z Queen Square do mostu Waterloo zajęło mu aż dwadzieścia pięć gniewnych minut. Teraz Thorne dodał gazu, testując wszystkie fotoradary po drodze i niewzruszenie zmierzając do Battersea.

Zegar na desce rozdzielczej wskazywał ósmą czterdzieści pięć, a Merle Haggard skarżył się, że zawiodła go butelka, gdy Thorne mijal szpital św. Tomasza.

Pomyślał o patologu, którego zdolności, spostrzegawczość i ciekawość przed paroma miesiącami zapoczątkowały to wszystko. Mógł teraz pracować w którymś z jasno oświetlonych gabinetów, prostokątów silnego światła, które Thorne widział, przejeżdżając obok. Pewnie był już mocno zmęczony, patrząc w mikroskop, a potem nagle zaczynała narastać w nim ekscytacja, gdy dostrzegł jakąś niekonsekwencję, coś podejrzanego, ciekawszy szczegół, który mógł na zawsze odmienić życie setek ludzi.

Nie wiedział, czy gdyby spotkał tego człowieka, podziękowałby mu, czy splunął w twarz. Pewne było to, że gdyby nie on, nie jechałby teraz na spotkanie z zabójcą. Nie miał pojęcia, co może się wydarzyć między nim a Bishopem. Dojdzie do konfrontacji, o tak, i co dalej? Zaaresztuje go? Zastraszy? Coś mu zrobi?

Thorne dowie się tego, gdy dotrze na miejsce.

Za późno dał po hamulcach, aby zatrzymać się przed światłami przy moście Vauxhall. Wozem trochę zarzuciło, pisk opon zwrócił uwagę przechodniów i ulicznych kuglarzy. Czyścicieli szyb, którzy za swoje usługi otrzymywali parę groszy i całą masę inwektyw, zastąpili uliczni artyści. Jeden z nich w dużej wielobarwnej czapce trefnisia,

żonglujący trzema piłeczkami, podszedł mimo deszczu do wozu Thorne'a, uśmiechając się szeroko.

Żongler spojrzął tylko na twarz Thorne'a i natychmiast się wycofał, upuszczając wszystkie piłki. Światła odbite w kałużach oleistej wody zmieniły się na zielone i ford mondeo odjechał.

Trafił na zieloną fałę wzdłuż Nine Elms Lane i Battersea Park Road. Skręcił na żółtych w lewo przy pubie Latchmere, dodał gazu aż do Lavender Hill i kilka minut później prawie ostentacyjnie wjechał na cichą uliczkę, przy której mieszkał Jeremy Bishop.

Ściszył muzykę i zaczął oddychać głęboko. Po obu stronach ulicy stały samochody; Thorne jechał wolno, wypatrując miejsca do parkowania. Łało jak z cebra i mimo pracujących wycieraczek musiał wychylić się do przodu i wyteńczyć wzrok, aby cokolwiek zobaczyć.

Wtem, pięćdziesiąt metrów dalej zapaliły się reflektory, oslepiając go. Wielki ciemny samochód ruszył z miejsca, nabierając prędkości. Thorne pomyślał, że oto zwolniło się miejsce do zaparkowania, ale już po chwili zorientował się, że ma kłopoty. Wóz jechał w jego kierunku po niewłaściwej stronie drogi. Ocierając oczy jedną ręką i przymykając powieki, w ostatniej chwili, czekając na nieuchronną kolizję, ostro skręcił w prawo, by uniknąć czołowego zderzenia. Drugi samochód minął forda mondeo o kilka centymetrów.

Na fotelu pasażera tego auta siedziała Anne Coburn.

Thorne dał po hamulcach i spojrzął w lusterko, by zobaczyć, jak volvo zwalnia przy końcu ulicy i skręca w lewo. Kierowało się na zachód.

Może się mylił, ale wydawało mu się, że ani Anne, ani Bishop go nie widzieli. Oboje patrzyli przed siebie. Dokąd jechali? Nie miał dość miejsca, aby szybko wykręcić. Bez namysłu wrzucił wsteczny, naciskając zdecydowanie pedał gazu.

Przez kilka minut, mijając północną część Clapham Common, Thorne trzymał się w odległości dwóch, trzech aut za volvo, starając się nie tracić z oczu jego tylnych świateł. Teraz był już pewien, że Bishop nie wiedział, że był śledzony.

Thorne chciał, aby tak pozostało, i ucieszył się, mogąc zachować bezpieczny dystans i umiarkowaną prędkość. Niech dotrą tam, gdzie jechali. Choć raz w życiu postąpi zgodnie z procedurą. Rozegraj to na chłodno, pomyślał.

Bezpiecznie.

I spokojnie.

Spokojnie. W tej samej chwili wóz jadący przed nim skręcił, a on mógł zajrzeć przez tylną szybę do wnętrza volvo.

Coś było nie tak.

Potrzebował pół sekundy, aby zrozumieć co wzbudziło jego podejrzenia. Nie widział już Anne.

Wóz nigdzie się nie zatrzymywał, był tego pewien. A przecież widział ją jeszcze przed chwilą, siedziała z głową opartą o szybę. Wyjaśnienie mogło być tylko jedno.

Była nieprzytomna.

Wszystko zaczęło przyspieszać pod każdym względem. Pomiędzy fordem mondeo Thorne'a i volvo znajdował się jeszcze jeden wóz. Próbował go wyminąć, gdy skręcili w prawo na Clapham Park Road, lecz w tym samym czasie volvo zaczęło przyspieszać. Wyglądało, jakby Bishop mimo wszystko wiedział, że jest śledzony

Thorne nigdy nie był w tym dobry Brał udział w wielu pościgach, ale nigdy on sam nie prowadził wozu. Jazda z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę po zatłoczonych ulicach o dziewiątej wieczorem w ulewnym deszczu była naprawdę przerażająca.

Dlaczego Bishop miałby skrzywdzić Anne? Czemu teraz? Thorne wiedział, że powinien to zgłosić. W wozie nie było radiostacji. Jego komórka została w mieszkaniu. Zastanowił się, czy nie zatrzymać auta i nie skorzystać z budki telefonicznej. Tyle tylko że zanim jednostki policji odnajdą wóz Bishopa, może być już za późno. Musiał kontynuować pościg.

Osiemdziesiąt kilometrów na godzinę wzdłuż Acre Lane. Tylne światła volvo były wyjątkowo silne, klaksony innych aut brzmiały ogłuszająco.

Ani na chwilę nie odrywając wzroku od volvo, Thorne wymienił kasety i podkręcił głoś. Jeden rodzaj muzyki został zastąpiony przez drugi. Piosenka zastąpiona przez dźwięk. Melodię zastąpił dudniący rytm, który w jednej chwili zdawał się emanować z wnętrza jego czaszki. Hałas i rytm zmieniły się w melodię zen pulsującą w jego czaszce jak ścieżka dźwiękowa gry w wysięgi samochodowe.

Skupienie. Kierownica wibrowała w jego dłoniach. Wóz jadący z przodu. Cel. Zjeżdżając z piskiem opon w dół zbocza w stronę świateł i kina opodal, skręcili w prawo, w Brixton Road. Przechodnie na przejściu rozpięzchli się w popłochu.

I nagle Thorne zorientował się, dokąd jechali.

Brixton. SW2. Przypomina sobie adres z notesu. U góry strony napisano „dzieci”. Thorne nigdy nie był pod tym adresem, bo i po co?

Thorne teraz już wie, że nawet mając nakaz, nigdy nie znalazłby niczego w domu w Battersea. Teraz zmierza do miejsca „pracy” Bishopa. Tam, dokąd wywiózł Helen i Leonie. Miejsca, do którego musiał mieć klucz. Mieszkania, za które pomagał płacić czynsz. Mieszkanie pod nieobecność właściciela musiało być puste. A czy właściciel był w domu, nietrudno sprawdzić. Wystarczy zadzwonić...

Rytm i prędkość zwiększyły się, deszcz zalewał przednią szybę, a dłonie Thorne’a na kierownicy zdawały się być sterowane przez tylne światła, które rozbłysły, kiedy volvo gwałtownie zahamowało, niczym ślepiea jakiegoś wielkiego, mrocznego potwora i zaczęły oddalać się w błyskawicznym tempie, gdy samochód ruszył spod sygnalizatora, a Thorne’owi nie pozostało nic innego, jak zrobić to samo.

Kątem oka Thorne widzi niebiesko-czerwonego koguta radiowozu, po lewej sto metrów dalej drugi zablokowuje mu drogę. Tylko tego mu było potrzeba. Pieprzonych psów z drogówki pracujących w tandemie.

Thorne zwolnił, tłukąc pięściami w kierownicę. Widział, jak ślepiea czarnego monstrum przed nim zmniejszyły się, znikając w oddali.

Kiedy konstabl, tłusty pierdziel z ospowatą twarzą i wąsami jak u morsa, podszedł w końcu kołyszającym krokiem do drzwi ford

mondeo od strony pasażera, pierwsze, co ujrzał Thorne, to legitymacja przystawiona do szyby. Pierwsze, co zobaczył, to ironiczny uśmiezek, jaki konstabl posłał swemu koledze z patrolu: Spójrz, co tu mamy.

Thorne wziął głęboki oddech. To może być ciekawe.

Mors wykonał charakterystyczny ruch ręką. Opuścić szybę. Thorne policzył do trzech i posłusznie wykonał polecenie.

- Detektyw inspektor Thorne, Zachodni GSPS.

Zero reakcji. Thorne, co prawda, nie liczył na dworski ukłon i słowa: „Proszę jechać”, ale to nie wróżyło nic dobrego.

Odwieczne animozje. Mundurowi i gliny po cywilnemu. Drogówka kontra cała reszta.

- Ponad osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, przejeżdżanie na czerwonym i do tego w ulewnym deszczu. To niezbyt mądre, prawda? - Głos z prowincjonalnym akcentem wręcz ociekał sarkazmem.

- Ścigam podejrzanego - rzekł beznamiętnie Thorne.

Konstabl odwrócił się nonszalancko, by spojrzeć na znikające w oddali auto. Uśmiechnął się, z daszka jego czapki ściekały krople deszczu. Thorne starał się trzymać nerwy na wodzy. - Ścigałem podejrzanego.

- Jechałeś jak popapraniec.

Thorne wysiadł z auta, czerwona mgła zaczęła zasnuwać mu wzrok. - Czy tak postępujecie z każdym zatrzymanym kierowcą?

Kolejny drwiący uśmiezek i spojrzenie na kumpla w radiowozie. - Pan nie jest „każdy”.

Thorne wyprostował się, spojrzął przed siebie, krople deszczu kapnęły mu za kołnierz kurtki. Znów pomyślał o pierwszym liście od zabójcy. Pomyślał o Anne leżącej na fotelu w samochodzie i nie mogącej się poruszyć. Bishop zapewne puszczał muzykę klasyczną...

Chryste Panie...

- Pił pan?

- Co takiego? - Zaczął tracić nad sobą kontrolę.

- Zadałem proste pytanie. Wam, skurwielom, pewnie wydaje się, że jesteście ponad prawem...

Thorne schwycił go za kurtkę, obrócił i przycisnął do boku auta, strącając mu czapkę do rynsztoka. Kątem oka Thorne zauważył, że drugi policjant wysiada z radiowozu. Nie odwracając się, zawołał w deszcz: - Jestem inspektorem policji, a teraz wsiądź z powrotem do auta.

Kumpel morsa spełnił polecenie. Thorne przeniósł na niego wzrok, nachylił się i stanął nieruchomo w strugach deszczu. Usłyszał klaksony przejeżdżających aut. To kierowcy wyrażali swoją aprobatę dla tego, co robił; zmotoryzowani z Brixton ucieszyli się, widząc, że gliniarz z drogówki dostał to, na co zasłużył, od Bogu ducha winnego kierowcy

Thorne podniesionym głosem, aby można go było usłyszeć w szumie deszczu, którego krople spływały po jego plastikowej pelerynie, powiedział: - Słuchaj, ty tłusty, parszywy dupku. Teraz wsiądź do samochodu i odjadę, a jeśli choć mrugniesz powieką, będziesz szczał krwią przez cały następny tydzień. To była groźba. A teraz usłyszysz rozkaz. Nadążasz za mną?

Mors skinął głową. Thorne nieznacznie rozluźnił uścisk. - Posłuchaj, co masz zrobić. I radzę ci wypełnić to polecenie co do joty. Wróć do wozu i skorzystaj ze służbowego radia. Chcę, żebyś skontaktował się z kimś z biura przy Edgware Road, centrali operacji Bekhend. Masz odnaleźć konstabla Dave'a Hollanda...

W moim śnie biegnę.

Nie ma w tym nic dramatycznego. Nie biegnę przez pole kukurydzy, brzegiem morza ani przez połąć plaży smaganej wiatrem, nic z tych rzeczy. Nie biegnę do nikogo. W oddali nie czeka nikt z rozłożonymi szeroko rękami, aby mnie przytulić i ucałować. Nie ma tam żołnierza powracającego z wojny ani gwiazdy filmowej. Tima też nie. Jestem tylko ja.

Biegnę.

To zabawne, bo nigdy nie lubiłam biegania, zawsze starałam się tego unikać. Chude, wątłe nogi i sterczące kolana. Nigdy nie byłam wysportowana. Zdarzyło mi się co najwyżej kilka razy podbiec do autobusu. To moje największe osiągnięcia, a po każdym takim wyczynie byłam przez resztę dnia wypompowana. Ale teraz...

Biegnę, gnam, pędzę... To wszystko takie łatwe.

Nie wiem, co mam na sobie ani jaka jest pogoda. To nieistotne. Wiatr chyba rozwiewa mi włosy, ale nie zwracam na to uwagi. Zauważyłam natomiast, że wiatr wpływa do moich ust i wypełnia płuca. I czuję, że płuca na powrót wypierają ze mnie powietrze przez usta.

Biegnę.

Zauważam, że nogi niosą mnie w dal, ręce pracują jak tłoki, a mięśnie ust jakby wyrabiały nadgodziny, i to wszystkie mięśnie, bez wyjątku. Każdy mięsień harmonijnie współgra z pozostałymi. Idealnie się zgrywają. Zmuszają moje wargi, by się rozchylały, unoszą kąciki ust, wypychają język tak, by dotykał górnych zębów. Skłaniają mnie do uśmiechu.

Uciekam.

24.

To były wąskie zielone drzwi bez szyby

Łatwo je przeoczyć, pomiędzy warzywniakiem a sklepem obuwniczym, przy miłej uliczce za gwarą i rojną Brixton Road. Thorne nigdzie nie zauważył volvo. Może było tam inne wejście. To skądinąd miałoby sens. Tylnym wejściem łatwiej byłoby niepostrzeżenie wnosić do środka ciała.

Tak, a może znowu się mylił. Może to zwykły zbieg okoliczności, że zdawali się jechać akurat pod ten adres i właśnie teraz, gdy Thorne stał na deszczu, wpatrując się w wąskie zielone drzwi bez szyby, Bishop wywoził Anne do miejsca, gdzie nigdy jej nie znajdzie.

Czy to wszystko po to, aby go zranić?

Thorne przyłożył ucho do drzwi i nasłuchiwał. Cisza.

Bez wątpienia Bishop wiedział, że jest śledzony. Thorne jednak w głębi duszy spodziewał się, że drzwi będą otwarte. Kusząco uchylone. Żadna pułapka, nic prostackiego.

Raczej zaproszenie.

Przyłożył dłoń do drzwi. Były zamknięte.

Teraz powinien się wycofać i zaczekać, aż zjawi się Holland z posiłkami. To nie powinno potrwać długo, jeżeli ci kretyni z drogówki zrobili, co im kazał. Najlepiej będzie, jak wróci do auta i po prostu zaczeka.

Znów przyłożył ucho do drzwi i napał na nie barkiem. To nie był gwałtowny ruch. Raczej silny nacisk całym ciężarem ciała.

Drzwi ustąpiły równie łatwo, jakby otworzył je kluczem. Prawie bezgłośnie.

Przed nim w świetle płynącym z witryny sklepu naprzeciwko Thorne ujrzał długi prosty korytarz wiodący ku schodom, znikającym w ciemności powyżej. Wszystko inne znajdowało się na górnych piętrach ponad warzywniakiem.

Wszedł rażno do środka i spróbował zamknąć za sobą drzwi. Zamek nie chciał zaskoczyć, bo framuga została uszkodzona, ale jedno mocniejsze pchnięcie załatwiło sprawę. Po czym odwrócił się i nasłuchiwał.

Nic poza szeptem jego oddechu, bębnieniem deszczu i odgłosami ruchu ulicznego. Odszukał dłonią włącznik światła i nacisnął go. A potem zaczął się wspinać po schodach.

Panował tu spory bałagan. Na podartej wykładzinie dywanowej wyściełającej schody wały się reklamy i nieotwarte listy. Poczul zapach jakichś potraw, być może chińskiej zupy

U szczytu schodów znajdowała się kuchnia. Odnalazł włącznik światła i przekręcił go. Równocześnie zgasło światło przy schodach.

Kuchnia była ciasna i obskurna. Brązowa winylowa wykładzina popękana i zatłuszczona, ściany brudne i zawilgocone. W zlewie zapewne od wielu już dni zalegały zużyte torebki po herbacie ekspresowej, a na białej niegdyś, plastikowej tacy widniała plama keczupu. Posiłki na wynos musiały być o niebo lepsze od wszystkiego, co tu przygotowywano. Thorne wycofał się z pomieszczenia. Na drugie piętro prowadziło zaledwie sześć stopni. Zobaczył jedne drzwi na wprost i kolejnych dwoje po lewej. Powoli zbliżył się do pokoi na następnym piętrze, przystając i nasłuchując na każdym stopniu przez kilka sekund. Wątpliwości, jakie miał przy drzwiach frontowych, przerodziły się w nim w niezbitą, przeraźliwą pewność, że nie był tu sam.

To koniec. Czuł to wyraźnie. Gdzieś w tym budynku znajdowała się ściana, przy której dojdzie do ostatniej konfrontacji.

Thorne ruszył dalej, wiedząc, że nieubłagane zbliża się do miejsca, gdzie zabito Helen Doyle i Leonie Holden. Ściany korytarza były nagie i zakurzone, tapeta, sucha jak zeschnięte liście, odłaziła całymi płatami. Dywan był poplamiony i brudny. Miał wrażenie, że poruszał się pod jego stopami.

To nie było miejsce, gdzie ktokolwiek powinien był umrzeć.

Pierwsze drzwi po lewej wiodły do łazienki, niewiele większej niż zwykła garderoba. Thorne rozglądał się przez chwilę to w jedną, to

w drugą stronę. To mu wystarczyło. Nic podejrzanego. Tylko brudno-białą wystrój i drażniący fetor.

Potem sypialnia. Nieco czystsza, ale zagracona do granic możliwości i cuchnąca kwaśnym potem. Wzdłuż obramowania kominka ustawiono buty. W kącie, przy dużym lustrze, stała deska do prasowania. Stery czasopism wysypywały się na płytki z wyblakłego korka spod nieposłanego łóżka. W kącie pod ścianą zaś piętrzyły się stosy kartonowych pudeł.

Nie tutaj.

Kiedy wyszedł na podest, gdzieś z góry dobiegł go dźwięk. Zastygł w bezruchu. To było skrzywienie deski podłogowej uginającej się pod czymś ciężarem.

Pod ciężarem czyjejs stopy.

Nawet gdyby nie usłyszał tego dźwięku, Thorne i tak odpuściłby sobie ostatni pokój. Kiedy szedł w jego stronę i spojrział w prawo, zrozumiał, dokąd tamten musiał się udać. Schody prowadzące na najwyższe piętro były pozbawione wykładziny i wyszorowane do czysta. Każdy stopień wraz z poręczą został starannie pokryty grubym przezroczystym plastikiem.

Było sterylnie.

Thorne uniósł wzrok. Strome schody prowadziły na oddalone ponad pięć metrów poddasze lub do znajdującej się tam mansardy. Dokładnie tam. Teraz widział jedynie prostokąt światła, otwór w podłodze pokoju nad swoją głową. Myślał intensywnie. Wiedział, że światło na chwilę go oślepi. Nie będzie w stanie zobaczyć, co jest w tamtym pomieszczeniu, dopóki nie znajdzie się w środku.

Nie miał innego wyjścia.

Zawsze wszystko sprowadza się do ostatnich drzwi, Tommy...

Deska nad jego głową skrzypnęła cichutko. Po chwili usłyszał jęk wydobywający się z czyichś ust.

Anne...

Thorne uniósł głowę i zaczął się wspinać.

Mimo że sam został zaatakowany we własnym mieszkaniu i że ten mężczyzna zabił co najmniej sześć kobiet, Thorne nie uważał Bishopa za człowieka o gwałtownym charakterze. Kiedy pokonywał kolejne stopnie dzielące go od poddasza, ani przez moment nie spodziewał się, że może go tam spotkać coś złego. Bishop miał przewagę zaskoczenia i znajomość terenu, ale Thorne nie liczył, że tamten czekał na niego u wejścia na poddasze, aby kopnąć go prosto w twarz albo zdzielić po głowie żelaznym prętem.

Zbliżał się już do szczytu.

Nie czuł fizycznego zagrożenia, jednak nigdy w życiu nie był równie przerażony.

Ostatnich parę stopni.

Nie przejmował się tym, co czuje...

Postawił stopę na ostatnim stopniu i podźwignął całe ciało.

...przerażało go to, co miał za chwilę zobaczyć.

Jego głowa wsunęła się do otworu i znalazła w powodzi białego światła. Zamrugnął pospiesznie, aby przyzwyczaić oczy do zmiany oświetlenia, po czym rozejrzył się dokoła. Zanim jego ciało stało się zimne jak lód i zaczęło niekontrolowanie dygotać, Thorne pomyślał, że miał rację, bojąc się tego, co może ujrzeć.

Wspiął się jak tonący wślizgujący się do szalupy pełnej chmur i patrzył z niedowierzaniem.

Białe, oślepiająco białe ściany i gładka błyszcząca podłoga z klepki. Światło płynące z szeregu lamp halogenowych odbijało się od lśniącego metalu wózka instrumentaryjnego i tac z ostrymi narzędziami. Elegancki chromowany kran zapewniał bieżącą wodę spływającą do dwóch nieskazitelnie białych umywalek. Po jednej stronie czarny fotel, jedyny mebel w całym pokoju. Cała reszta zimna i funkcjonalna. Niezbędna dla zachowania procedury

Bishop stał pośrodku pokoju. Był zajęty. Uniósł głowę i z pewnym smutkiem uśmiechnął się do Thorne'a.

Thorne patrzył w wytrzeszczone oczy dziewczyny, która próbowała stawić opór naciskowi jego palców na jej szyję. Wykorzystywała

resztki sił, lecz na nic się to zdało. Narkotyk krążący w żyłach Rachel Higgins sprawił, że jej kończyny stały się równie bezwładne, jakie byłyby wówczas, gdyby Bishopowi udało się dokończyć rozpoczętą właśnie procedurę.

Z lewej strony Thorne'a dobiegło ciche sieknięcie. Odwrócił się. Anne leżała nieruchomo pod ścianą, oczy miała otwarte szeroko, ślina ciekła jej z ust, midazolam także w jej przypadku spełnił swoje zadanie i mogła jedynie patrzeć bezwolnie na dłonie dotykające szyi jej córki.

Głos sprawił, że Thorne gwałtownie odwrócił głowę. Bishop gładził delikatnie kark dziewczyny. - Witaj, Tom. Przyszedłeś, aby zepsuć nam zabawę?

Thorne stał w kompletnym bezruchu, patrząc na Bishopa. Nie chciał, aby najlżejsze drgnięcie spłoszyło tamtego. Nie mógł się poruszyć, nawet gdyby zechciał. W ustach czuł suchość. Jego głos brzmiał jak szept.

- Witaj, James...

Pojawi się ze sto trudnych pytań, istny węzeł gordyjski motywacji i psychoz do rozwikłania, ale w ciągu tych kilku sekund, mając przed sobą surowy i przerażający obraz, Thorne ujrzał wszystko z oszałamiającą przejrzystością. Trwało to nie dłużej niż jedno, dwa uderzenia serca, ale natychmiast pojął co, jak, kto i dlaczego. Zrozumiał, jak został zmanipulowany i wykorzystany. Jak James Bishop sterował nim, podjudzając, kierując i myśląc tropy, wykorzystując jego słabe i mocne strony. Jak miał rację i równocześnie kompletnie się pomylił. Dlaczego umarła Margaret Byrne i czemu mogłaby nadal żyć, gdyby nie on.

Jak był wodzony za nos.

Okpiony i oszukany.

James Bishop był nagi od pasa w górę. Jego brzuch był poorany wieloma przecinającymi się prostymi różowymi bliznami, które wypukłe wyglądały jak uśpione pod jego skórą wielkie robaki. Rany od noża, pomyślał Thorne. Samookaleczenie.

Anne: *Przeżył w związku z tym głęboki wstrząs.*

Rebecca: *Jamesowi trochę odbiło.*

Blizny były najmniej rzucającym się w oczy szczególnie na jego ciele, krótkie włosy przyprószyła siwizna. Najprostszym wytłumaczeniem była farbka do włosów w aerozolu. *Próbował szczęścia w aktorskim fachu.* Nosił identyczne okulary i było to widać, nawet tu, w jasno oświetlonym pokoju, z niewielkiej odległości. Nocą, na ulicy, w blasku latarni albo w całkowitych ciemnościach każdy mógł go wziąć za mężczyznę starszego o dziesięć, piętnaście lat.

To Thorne zobaczył Jeremyego Bishopa.

Thorne spojrział na Rachel i Anne. - Jaki sens ma to wszystko, James? Co to ma wspólnego z czymkolwiek?

Bishop zachichotał. - Czyż to nie oczywiste? Cóż, skoro poniosłeś tak spektakularną porażkę, mimo najszczerzej chęci nie zdołałeś aresztować oraz skazać niewłaściwego człowieka...

- Twojego ojca.

- Tak, mojego ojca. Zamierzam zakończyć wszystko nieco szybciej. I nieco mniej subtelnie. Nie o to mi, co prawda, chodziło, ale i tak uzyskam pożądaną skuteczną.

- To znaczy?

Bishop pokręcił głową. - Naprawdę nie jesteś facetem, za jakiego cię uważałem, prawda, Tom?

- To samo mógłbym powiedzieć o tobie, James...

- Córka Anne stająca się jedną z jej pacjentek to niezłe rozwiązanie, prawda? Kto wie, czy on zdoła to przeżyć. - Powoli wodził kciukami w górę i w dół podstawy czaszki Rachel. - Zwróć uwagę, że musiał żyć sam ze sobą dostatecznie długo...

Thorne nie odrywał wzroku od długich szczupłych palców. Od dłoni w ciasnych chirurgicznych rękawiczkach. Zręcznych dłoni.

James w jego mieszkaniu. Zuchwały, niedojrzały, tak łatwy do rozszyfrowania. *Zmarnowałem parę lat w college'u, to prawda. Akademik w wieży z kości słoniowej to nie dla mnie.*

Pytanie, którego Thorne nigdy nie zadał. Dwa krótkie słowa.

Co studiowałeś?

Najważniejsze, żeby mówił...

- Czy tylko o to chodziło James? Aby zranić ojca? Aby wziąć na nim odwet?

Bishop łypnął na niego. Maską ucywilizowania prysła. - Nie bądź idiotą, Thorne. Czy tylko o to chodziło? - Te słowa wzbudziły w nim jawną odrazę. Nagle jego głos złagodniał i zmienił się, stał się niemal delikatny, zatroskany, choć tkwiąca w nim siła brała się z niezłomnego przekonania. - Chodzi o dążenie do doskonałości. O perfekcję. O wybranie tego, co słabe, łatwo psujące się i wadliwe, i usunięcie wiążących się z tym potrzeb. Wyeliminowanie związanych z tym zależności. Pozwolenie mózgowi, który jest jedyną cokolwiek wartą częścią ciała, aby rozkwitał bez ograniczeń stawianych przez ciało. Chodzi o wolność.

Thorne zerknął pospiesznie na Anne. Chciał tym spojrzeniem upewnić ją, że wszystko będzie w porządku. Włożył ręce do kieszeni, pragnąc sprawić wrażenie rozluźnionego, gdy powoli odwracał się do Bishopa. Jakby od niechcenia zapytał: - Kruchość ciała ludzkiego. Czy tego właśnie nauczył cię ojciec?

- Między innymi... - Głos znów się zmienił. Był zdawkowy, beznamiętny.

- I za to chcesz go zrobić?

Bishop zdjął rękę z głowy Rachel i powoli przesunął koniuszkami palców po wypukłościach bliznowatych tkanek krzyżujących się na jego brzuchu. Druga ręka pozostała na miejscu, ugniatając mięśnie jej karku u podstawy czaszki. Thorne zastanowił się nad swoimi możliwościami - mógł rzucić się na niego - dopadłby go w ciągu sekundy. Ale sekunda to więcej, niż potrzebował Bishop, aby skrzywdzić Rachel. Zamiast tego Thorne podsunął mu odpowiedź na zadane przed chwilą pytanie. - Chcesz w ten sposób upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

- Mniej więcej, niedokładnie, ale pośrednio o to właśnie chodzi. Na pewno nie o zabijanie.

Thorne nie był pewien, czy się z nim zgadza. - Zabiłeś wiele osób, James.

Bishop wzruszył ramionami.

Broń w pewnym stopniu wyrównałaby szanse. Thorne przeniósł wzrok na tacę z narzędziami i rząd lśniących instrumentów. Kleszcze, klamry, skalpele.

Bishop wychwycił to spojrzenie. - Proszę nie przeszkadzać w procedurze, Thorne. - Uśmiechnął się, zerkając na skalpel. - Sądzę, że zdołałbym osiągnąć go pierwszy.

Thorne pokiwał głową. Czuł na sobie błagalny wzrok Anne. Bishop pogładził mięśnie u podstawy czaszki Rachel. - Sternocleidomastoideus, Tom. Znasz tę nazwę?

Thorne znał. Wiedział, czego poszukuje Bishop. Co próbuje wymacać? - Czemu mnie zaatakowałeś, James? Wciąż nie mogę tego pojąć?

- Wiedziałem, że pomyślisz, że to robota mego ojca. Bez dwóch zdań. To było proste. Twój związek z Anne okazał mi się bardzo na rękę. Może seks przyćmił trochę twoją zdolność rozumowania. Łatwo było tobą manipulować, Tom, chodziłeś jak po sznurku.

Thorne aż się skrzywił na dźwięk tych słów, zwłaszcza że były prawdziwe; rzucił się łapczywie na każdy trop podsuwany mu przez Bishopa, na każdy najdrobniejszy szczegół: preparat, porę zabójstw, samochód...

- A volvo?

- Ojciec zmienia auta jak rękawiczki. Kiedy kupił nowy wóz, poprosiłem, by pozwolił mi zatrzymać poprzedni. Dałem mu za niego chyba sto funtów, mniej, niż dostałby, gdyby go sprzedał na części, ale cóż, to przecież mój ojciec...

Otóż to, pomyślał Thorne. Nikt nie znał Jeremyego Bishopa lepiej. Syn znał jego posunięcia, słowa, jakich używał, wiedział, gdzie przebywał w danej chwili. Wiedział o Alison i o dochodzeniu to samo co jego ojciec. Wiedział, jak ukraść jego obrączkę.

- Przykro mi, że numer z obrączką nie wypalił, James. Obawiam się, że technicy pokpili sprawę.

- To się zdarza. Mnie przykro z powodu tej Byrne. A także z powodu wszystkich, które zmarły, ale przecież już to mówiłem,

prawda? Ona nie musiałaby umrzeć, gdybyś nie zamierzał wybrać się do niej, wymachując plikiem tych kretyńskich fotografii. Pomyślałeś o tym, Tom?

James w jego mieszkaniu. Musiał zobaczyć adres Margaret Byrne na karteczce przy telefonie...

Thorne kompletnie się pomylił. Margaret Byrne nie zginęła dlatego, że mogła zidentyfikować Jeremygo Bishopa. Mogła powiedzieć, że to nie Jeremy Bishop był zabójcą.

Patrzyli na siebie nawzajem oddaleni o dwa metry zięjącej lśniącej białej przestrzeni, a deszcz bębnił o dach nad ich głowami.

Thorne drgnął i obaj odwrócili się, gdy usłyszeli sygnał pagera. Przypomniawszy sobie, że Anne miała dziś mieć dyżur. Pager znajdował się w jej torebce leżącej na podłodze opodal.

Zanim sygnał ucichł, Thorne wpadł na coś jeszcze. Ten telefon, który wykonał przy Margaret Byrne; Bishop dzwonił do ojca, aby upewnić się, czy ten pojechał na dyżur. Sprawdzał, czy był w domu. - Przesłałeś ojcu sygnał na pager tej nocy, kiedy zginęła Alison. Przypuszczalnie siedziałeś na zewnątrz, czekając, aż się zjawi, aby zapewnić mu prawie niepodważalne alibi i by jego nazwisko znalazło się na liście podejrzanych. - Bishop uśmiechnął się skromnie. - Tak samo było z kradzieżą preparatu w Leicester...

Bishop wszedł mu w słowo. - Tak, ewidentnie to była pomyłka. Jak do tego doszedłeś?

Thorne przeniósł wzrok na Anne. *Wszystko będzie dobrze.* - Anne na to wpadła.

Bishop uśmiechnął się. - Jestem pod wrażeniem. Ale jak sam stwierdziłeś, dzięki temu nazwisko mojego ojca znalazło się na liście podejrzanych. To był haczyk. Wzbudził twoje zainteresowanie...

Bez wątpienia.

- To nie miało prawa się udać, James. Sprawa była poszlakowa. Brakowało prawdziwych, niezbitych dowodów.

- Ale ty się tym ani trochę nie przejąłeś, prawda, Tom?

Thorne milczał, lepki język przylepił mu się do podniebienia.

Nagle Bishop uśmiechnął się. Thorne zauważył, że jego palce przyjęły odpowiednie ułożenie, a na twarzy pojawił się wyraz pełnego uniesienia oczekiwania.

- To mój ulubiony fragment, Tom. Wszystko się od tego zaczyna.

Mięśnie klatki piersiowej Bishopa zafalowały, gdy zaczął ścisnąć tętnicę szyjną Rachel. Thorne przypomniał sobie Hendricksa prezentującego na nim tę technikę. Mieli około dwóch minut, aż przestanie oddychać.

Thorne popatrzył na Anne. Na jej twarzy odmalowała się desperacja. Z jej gardła dobyło się ciche skomlenie.

Ocal moją córkę.

Thorne nie wiedział, jak miałby to zrobić. Nie ulegało wątpliwości, że Bishop zabijał, gdy było to konieczne. Dłonie, które na ich oczach wyciskały z Rachel życie, były równie groźne jak zabójcza broń. Mógł skrócić jej kark w ułamku sekundy...

Thorne czuł się jak skamieniały. Bezużyteczny. Jak mumia.

Minęło już dziesięć sekund. Język wysunął się jej z ust.

- Jak miałoby go to zranić, James? Jak miałby przez to cierpieć?

Bishop milczał. Jego usta poruszały się bezgłośnie, gdy odliczał w myślach sekundy.

- To ci nie zwróci matki, James! - zawołał Thorne. Wszystko, aby wywołać reakcję, aby tylko przestał. James pogrążył się w głębokim skupieniu, przygotowując się na najtrudniejszy moment, kiedy dziewczyna przestanie oddychać. Manipulacja.

Czas płynął. Thorne czuł umykające sekundy, podobnie jak oddech Rachel omiatający jego twarz, kiedy tak stał sparaliżowany i bezużyteczny

Blagam, Tommy...

Helen?

To tylko dziecko...

Co mogę zrobić? Co mogę zrobić, do cholery?

I nagle głos z dołu: - James?

Reakcja Bishopa. Reakcja na głos ojca. Może strach? Na jego twarzy i całym ciele odmalowało się napięcie. W palcach również...

- James? Widziałem, jak odjeżdżasz z Anne. Co się dzieje? Wszystko w porządku? Ktoś sforsował drzwi frontowe...

Minęło pół minuty.

Nie sposób było stwierdzić, co James robi, skoro zjawił się tu jego ojciec, ale Thorne nie miał wyboru.

Upłynęło dziewięćdziesiąt sekund. Rachel była już na wpół martwa. Thorne krzyknął: - Bishop! Jesteśmy tu, na górze!

Jeremy Bishop pojawił się na poddaszu niczym duch wychodzący na scenę przez klapę w podłodze. Obraz stał się pełniejszy, gdy krew odpłynęła mu z twarzy, a w oczach zgasło światło.

Thorne wiedział już, jak tamten będzie wyglądał po śmierci.

- O Boże... James? - Wychylił się do przodu i przez chwilę Thorne sądził, że Bishop zemdleje. W ostatniej chwili zorientował się, że ojciec próbował zbliżyć się do syna, i wyciągnął rękę, aby go zatrzymać.

Bishop łypnął gniewnie na niego i nagle, jakby budził się ze snu, pokiwał powoli głową i zaczęło do niego docierać to, co działo się dokoła.

Anne. Rachel. James.

Thorne widział, jak syn patrzy na ojca spode łba. Jeszcze najwyżej minuta.

Głos Jamesa brzmiał jak głos dziecka, szyderczo, buńczucznie. - Co to ma być? Zgroza? Oburzenie? A może zdziwienie, że wiem, jak to zrobić? To dość skomplikowana procedura sama w sobie, zważywszy że nie potrafiłem sprostać oczekiwaniom, jakie miałeś wobec mnie. Zważywszy że byłem dla ciebie wielkim rozczarowaniem.

- Proszę...

James wrzasnął. - Zamknij się! Stul dziób, do cholery!

Oczy Rachel wywróciły się w oczodołach. Sześćdziesiąt sekund, a może nawet mniej...

- Zawsze chciałem cię o coś zapytać. Kiedy konkretnie zacząłeś wierzyć w to, co robisz? Kiedyś na pewno myślałeś to samo co oni wszyscy. To znaczy na temat ludzkiego ciała. Wierzyłeś w te wszystkie bzdury o cudzie wzorca i skuteczności. Chryste, jestem wdzięczny, że uświadomiłeś mi, jaki to cholerny szajs. Twoja wiara w technologię

była całkiem inspirująca, zdajesz sobie z tego sprawę? Naprawdę inspirująca. Przykro mi, że nie mogłem odwzajemnić pokładanej we mnie wiary na polu akademickim. Ale nawet gdy pokpiłem sprawę, gdy zawałiłem wszystko i nie zostałem wielkim lekarzem, nadal wierzyłem we wszystko, co robiłeś. - Zaczął płakać. - I wciąż pamiętam to, czego mnie nauczyłeś.

Łzy przestały płynąć równie nagle, jak się pojawiły, a głos odzyskał wewnętrzną moc. - A więc, kiedy to się stało? Kiedy zacząłeś uważać, że ludzkie ciało to bezwartościowy chłam? Czy wtedy, gdy przekonałeś się, jak łatwo można nim manipulować z pomocą prochów? Jak można je spowolnić i ukształtować, gdy naszprycujesz je środkami uspokajającymi? Czy wtedy była taką żoną, jakiej zawsze chciałeś? Po prochach? Ja i Becks nazywaliśmy ją Śpiącą Królowną, wiedziałeś o tym? Becks mówiła, że za każdym razem, kiedy widywała się z lekarzem, odpływała jak Śpiąca Królowna po ukłuciu szpikulcem przy kądzieli...

Oddech Rachel stał się płytszy, wolniejszy. Pół minuty..

- Nie, chyba wiem, kiedy to się stało. Wtedy, gdy zobaczyłeś, jak łatwo można je uszkodzić, zgadza się? Jakie jest krucho i delikatne. Jak łatwo odłamki szkła mogą pociąć skórę albo jak niewiele trzeba, by zmiażdżyć lub wgnieść klatkę piersiową. A może i jedno, i drugie. Kiedy zobaczyłeś, jak środki uspokajające rozluźniają ciało, spowalniając reakcje, czy to na ostrym dyżurze, czy po wypadku, i stają się celem dla czegoś ważniejszego. Tak, to miałoby sens. Nazwałbym to momentem przełomowym, twoją iluminacją, nieprawdaż? Od tej pory widziałeś już tylko, jak pacjenci rozkładają się na twoich oczach. Jak się rozpadają, gniją i umierają szybciej, niż byłeś w stanie ich połatać, pozszywać, sklecić do kupy. Wpojono ci bardzo ważną prawdę. Może jedną z najważniejszych. Kiedy ją poznałeś, zacząłeś przekazywać ją nam. A potem już tylko dokręcałeś śrubę...

Rachel przestała robić wdechy Już tylko od czasu do czasu z ledwością wydychała powietrze.

- Tak bardzo chciałbym ujrzeć cię w więzieniu. Widzieć, jak twoja skóra żółknie, kości wapnieją, a nadzieję obracają się w pył. Jesteś

miękki i próżny, więzienie zabijałoby cię bardzo wolno. A wówczas przekonałbyś się, jak kruche i delikatne jest twoje ciało... Jakie jest nietrwale, tato...

Thorne już nie słyszał, aby Rachel oddychała.

James Bishop zamknął oczy i wyszeptał: - Dobranoc, Śpiąca Królewno...

Anne Coburn krzyknęła. Ten ryk dobył się z jej trzewi i nagle pokój wypełnił się hałasem i ruchem. Jeremy Bishop rzucił się naprzód, wykrzykując imię syna, jakby przywoływał go do porządku. James zareagował instynktownym posłuszeństwem jak przerażone dziecko, odskakując w tył, zdejmując dłonie z Rachel i pozwalając, by bezradnie runęła do przodu na twarz.

Thorne podbiegł do dziewczyny i rozpaczliwie zaczął szukać pulsu.

No dalej...

Wyczuł puls. Wciąż oddychała. Podniósł ją, przeniósł na drugi koniec pokoju i delikatnie ułożył obok matki. Anne spojrzała na niego, iskierki w jej oczach wciąż były silne, a ulga odzwierciedlała się w każdej z łez spływającej po jej policzkach i skapującej na twarz córki.

Nastąpiła chwila spokoju.

Słyszał tylko bębnienie deszczu, jakby niewidzialna dłoń wbijała w dachówki powyżej piętnastocentymetrowe gwoździe.

Thorne odwrócił się, by ujrzeć Jeremyego Bishopa podchodzącego powoli do syna; ręce rozłożył szeroko, jego twarz wyglądała jak maska śmierci.

James cofnął się w stronę wózka z instrumentami, potrącił go i wózek odtoczył się z cichym klekotem. Chłopak znieruchomiał i uśmiechnął się, pochylając głowę w bok, i nagle jego ręka szerokim, pełnym gracji łukiem uniosła się. Zupełnie jakby chciał w szarmancki sposób wykonać ukłon. Ruch ten był tak nonszalancki, jak gdyby James chciał podrapać się po łopacie. Thorne spostrzegł błysk stali w dłoni na sekundę przed tym, jak krew buchnęła z jego rozplątanej tętnicy szyjnej.

- Nie... - Szept Jeremy ego Bishopa mógłby zburzyć dom.

Thorne oparł się o białoną ścianę i patrzył, jak James osuwa się na kolana, a tuż obok przykleka jego ojciec. Jeremy zacisnął dłoń na szyi syna, ale krew wypływała spomiędzy jego palców, ściekała mu po ramionach i rozlewała się w coraz szerszą kałużę na wyszorowanych do białości deskach podłogi.

Przepływała od jednej deski do drugiej.

Jeremy odwrócił się do Thorne'a z twarzą upstrzoną kropelkami posoki i włosami lśnącymi szkarłatem. - Wezwij karetkę. Ściągnij tu kogoś. - W jego głosie pobrzmiwała nuta desperacji. Na twarzy malowało się błaganie. Podobnie jak na obliczu jego syna.

James Bishop spojrział na Thorne'a i w jego oczach pojawiła się prośba, aby pozwolił mu umrzeć. Chłopak chciał patrzeć na twarz ojca i widzieć zmieniające się jego rysy, w miarę jak krew nieubłaganie wypływała z jego ciała. Chciał skonać, rozkoszując się cierpieniem ojca.

Thorne był skłonny pozwolić mu na to.

Jeremy szlochał, ale zdołał jeszcze wychrypić: - Na miłość boską, Thorne...

I nagle, gdy Thorne pomyślał, aby po prostu posiedzieć i popatrzeć, jak James Bishop wykrwawia się na śmierć, wyobraził sobie Maggie Byrne i Bishopa obserwującego, jak życie wysącza się z niej na tanią tandetną koldrę.

Równocześnie przypomniał sobie obietnicę złożoną Alison Willetts.

Śmierć byłaby dla niego zbyt łatwym wyjściem. Thorne dopilnuje, aby skurwiel stanął przed sądem i trafił za kratki. Zamierzał patrzeć, jak nadzieje Jamesa Bishopa obracają się w pył.

Jeremy szlochał, nie mogąc się opanować; ręce, którymi mocno obejmował szyję syna, były śliskie od krwi.

Thorne raz jeszcze spojrział na Anne i zszedł na dół, opuszczając biały pokój. Znalazł się na schodach i zbiegł po nich, by wyjść na ulicę, gdzie, jak miał nadzieję, powinien już czekać Holland.

CZEŚĆ CZWARTA

CISZA

Nie zrozumcie mnie źle. Cieszę się, że on nie żyje.

Nie posiadam się z radości. Więzienie, dobra rzecz, ale nie mogłabym tu leżeć, wiedząc, że on jest gdzieś tam, pisze autobiografię, puszy się jak paw i najprawdopodobniej wyjdzie z paki jeszcze przed pięćdziesiątką. Albo że siedzi w jakimś zakładzie, przekonując wszystkich, że jest psychicznie chory, paradując w miękkich kapciach, sklejjąc modele samolotów i wspominając kobiety, które zamordował.

Wspominając to, co zrobił mnie.

Chrzanić to, dobrze, że nie żyje. Gdybym mogła opuścić to miejsce choć na jeden dzień, no wiecie, w specjalnej furgonetce, i mogłabym pojechać, dokąd zechcę, chciałabym zobaczyć jego grób. Z oczywistych względów nie mogłabym na nim zatańczyć, ale ucieszyłabym się gdybym mogła choć na nim poleżeć. Gdyby mnie położono na jego grobie, leżałabym, dotykając twarzą ziemi, i snuła mroczne myśli, które przesączaając się do ziemi, przeżerałyby się przez jego trumnę jak trucizna.

Cieszę się, że nie żyje. Ze jest sztywny i nieruchomy jak ja.

Nie, nie jak ja. Przecież nie drapie jak oszalały w wieko trumny, prawda? Nie zdiera sobie palców do kości, próbując się wydostać. Nie jest dokarmiany dożylnie. Nie oddycha przez respirator.

A skoro już o tym mowa - bez zmian. Nie reaguję na antybiotyki, nie mogę liczyć, że w najbliższym czasie odłączą mnie od respiratora. Najwyraźniej do zapalenia płuc dołączyła jeszcze jakaś infekcja grzybiczna. Wirusy i grzybica. Zupełnie jakbym stała się pożywką...

Nie mogę pogodzić się z faktem, że jemu o to właśnie chodziło.

Wybrał dla mnie taki los, a sam wybrał śmierć.

Powiem wam, co jest w tym wszystkim najzabawniejsze. Jestem niezłomną optymistką. Naprawdę. Możecie w to nie wierzyć i wiem, że miewałam ostatnio huśtawki nastroju, ale nie możecie mnie za to winić. Sami tego spróbujcie. Połóżcie się na wznak i wpatrujcie w

sufit, aż oczy zaczną wam łzawić, wyobraźcie to sobie. Wyobraźcie sobie, że jesteście półżywi i na wpół martwi, ale te dwie połówki nijak się nie chcą połączyć. Raczej znoszą się, wykasowują.

Nielatwo jest być szczęśliwą przez cały czas.

Jestem optymistką. Ale kiedy tu tak leżę, nie myślę już o sobie jak o istocie ludzkiej. Jak o osobie z dala od ludzi. Nie byłoby mi żal siebie z tego powodu, ale nawet tego również nie czuję. Czuję się jak obiekt muzealny.

Obiekt stworzony przez niego.

Po tym wszystkim nie wierzę już w Boga ani nic takiego. Przykro mi, ale tak właśnie jest, zresztą nigdy nie byłam wierząca. Wierzę w rzeczy takie, jakie są. W to, jaka jestem. Wierzę, że ludzie są zdolni do największych potworności, takich jak to, co on zrobił mnie, i w to, że niektórzy ludzie mogą czynić dobro.

Chciałabym zrobić coś dobrego. Chciałabym zrobić cokolwiek.

Większość ludzi nie ma wyboru, jeżeli chodzi o pewne rzeczy. Nie z własnego wyboru są nieszczęśliwi, ubodzy tracą dzieci albo dostają raka. Ale takie jest właśnie życie, czyż nie? To jedna wielka loteria. To samo odnosi się do nas wszystkich. Ale on postanowił zabijać ludzi i zdecydował, że mi to robi, odebrał mi moje życie i dał w zamian takie, jakie jego zdaniem powinnam mieć. Później zaś, gdy był już na to gotowy i zdecydowany, sam wybrał dla siebie rodzaj śmierci...

Anne w przyszłym tygodniu powinna chyba wrócić do pracy. Musimy porozmawiać.

Niewiele mogę zrobić, ale nadal jestem w stanie wybierać. Chcę móc wypowiedzieć swoje zdanie w tej sprawie.

Nie mogę pozwolić, aby on wygrał.

25.

Thorne'owi nie udało się dotrzymać słowa co do łoży Hendricks nie był zadowolony, ale mecz i tak pokazywano na Sky i ostatecznie zgodził się poprzestać w zamian na sześciopak u taniego piwa i dania na wynos zamówionego w Bengal Lancer.

Nie było wielkiego pojednania, pogodzenia się czy wybaczenia. Hendricks zadzwonił, gdy tylko usłyszał, co się stało, i rozmawiali przez dłuższą chwilę. To było wszystko, czego potrzebowali.

Od tamtej pory upłynął prawie miesiąc.

Kiedy James Bishop zmarł na stole operacyjnym, Thorne obwiniał za to siebie. Jednak autopsja ujawniła w ciele denata narkotyk i Thorne zrozumiał, że nawet gdyby zareagował szybciej, rezultat byłby taki sam. Warfarin. Preparat przepisywany przy pewnego rodzaju zaburzeniach pracy serca i płuc oraz, jak na ironię, mający zapobiegać udarom mózgu. Antykoagulant. Lek zapobiegający powstawaniu zakrzepów.

Nie mieli pewności, ale przypuszczali, że przyjmował go co najmniej od kilku miesięcy Czy od początku to sobie zaplanował? Czy brał ten preparat na wypadek, gdyby sprawy przybrały taki właśnie obrót? Gdyby wszystko miało rozegrać się w trójkącie - on, jego ojciec i skalpel?

Nigdy się tego nie dowiedzą.

Podobnie jak nigdy się nie dowiedzą, kto powiadomił o tej sprawie prasę, choć Thorne przypuszczał, że była to robota Bishopa. To on był odpowiedzialny za przeciek, zrobił to, aby udroźnić kanały przepływu informacji. Kiedy w zasłonie tajemnicy powstało dostatecznie dużo solidnych dziur, był w stanie dowiedzieć się o wiele więcej na temat rozwoju dochodzenia. Siatka, dzięki której Bishop otrzymywał informacje, była skomplikowana, rozchodziła się we wszystkie strony i w różnym tempie. Należeli do niej sam Thorne, Jeremy Bishop, Anne i oczywiście Rachel, z którą James spotykał się od jakiegoś czasu.

Nie podeszła do egzaminów poprawkowych.

Anne nie była pewna, czy Rachel w ogóle wróci jeszcze do szkoły i czy ona sama powróci do pracy. Tak powiedziała kilka tygodni temu. Thorne często z nią rozmawiał zaraz po tamtej nocy na poddaszu u Bishopa, ale później już nie. Wielokrotnie o niej myślał, zawsze jednak zastanawiał się przy tym, czy jego głupota była w jakiś sposób powiązana z tym, co się stało. Czy był odpowiedzialny za to, że Anne i Rachel znalazły się wtedy na poddaszu?

To jedno z pytań bez odpowiedzi, którymi lubił się zadręczać.

Poza tym tamtego wieczoru nie zrobił nic, aby Anne pomyślała o nim przychylniej. Zero heroizmu. Tylko ci, co zginęli, i ci, którzy omal nie umarli.

Może któregoś dnia zadzwoni do niego. To musiało wyjść od niej.

Wiedział, że trochę potrwa, zanim sińce zbledną, ale on czuł się już znacznie lepiej. Pomylił się i wiedział, że jeszcze nieraz mu się to przydarzy. To była pocieszająca myśl. Pomylił się tak cudownie i przerażająco zarazem, ale prawdę mówiąc, miał wrażenie, jakby zdjęto ciężką na nim kłutwę.

Ta porażka wbrew pozorom mogła go ocalić.

A Helen, Susan, Christine, Madeleine i Leonie? Dziewczęta jak na razie ucichły. Thorne wiedział, że nie umilkły, gdyż zaznały spokoju, zostały pomszczone czy coś w tym rodzaju. Nie wierzył w takie bzdury. Był święcie przekonany, że ich milczenie było tylko tymczasowe. Kiedy przyjdzie czas, znów zaczną jazgotać. One albo im podobne.

Akurat teraz nie miały mu nic do powiedzenia.

Patrzył przez kilka sekund otępiały i zdezorientowany, jak Hendricks zeskoczył z sofy i zaczął tańczyć po całym pokoju. Spojrzał na telewizor akurat w chwili, by zobaczyć powtórkę. Arsenal strzelił gola, kolejne punkty diabli wzięli. Jeszcze jeden gwóźdź do trumny całego sezonu.

Jeszcze jedna rzecz, przez którą Tom Thorne czuł się zrezygnowany.

EPILOG

Alison i Anne postanowiły przyspieszyć bieg wydarzeń.

Cały proces został szczegółowo ustalony i nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości. Był żmudny, ale to oczywiste, gdy niektórych decyzji trzeba być stuprocentowo pewnym. Nie było miejsca na wątpliwości czy, broń Boże, zbędny pośpiech. Ugoda. Pieczęćka drugiego konsultanta i na koniec przesłuchanie przed obliczem sędziego. Proces miał konkretne, niezbędne etapy

Rozwód, opieka nad dziećmi, przemoc w rodzinie. Sąd rodzinny zajmował się wieloma sprawami i Alison nie otrzymała szczególnych przywilejów. Wręcz przeciwnie, jej sprawa została raczej uznana za mniej istotną od innych. Dlatego wszystko się przeciągało. Alison rozmawiała z nią po raz pierwszy przed dwoma tygodniami, teraz zaś, po wylaniu morza łez, po wielu długich kłótniach i przewyciężeniu wątpliwości, Anne Coburn odnalazła w sobie siłę i determinację, aby zrobić to, o co ją poproszono.

Aby pomogła przyjaciółce.

Puściła wszystko w ruch, ale dla Alison to było stanowczo zbyt wolno.

Anne ruszyła w stronę oddziału intensywnej terapii, idąc wolno, noga za nogą, ale nie zatrzymując się ani na chwilę. Zbierała w sobie siły.

Z Jeremym było już lepiej, ale to i tak jeszcze trochę potrwa. Romans, który łączył go z jedną z młodszych lekarek, został zakończony na kilka dni przed śmiercią Jamesa, ale nawet gdyby był przy nim ktoś, w kim mógłby znaleźć oparcie i pocieszenie, Anne też chciałaby być obok niego. Teraz był samotny i zdesperowany, a ich trwająca od dwudziestu pięciu lat znajomość oznaczała, że zawsze będzie w pobliżu, gotowa, by mu pomóc.

Z tego samego powodu już nigdy nie spotka się z Tomem Thorne'em. Zupełnie jakby ich dwoje przeżyło katastrofę samolotu pilotowanego przez Thorne'a. Oboje czuli ulgę, ale nie byli w stanie spojrzeć sobie nawzajem w oczy. Poczucie winy, wyrzuty sumienia i złe wspomnienia nie mogły stanowić trwałego fundamentu przyszłości.

Jej przyszłością była Rachel.

Alison kilka tygodni wcześniej została przeniesiona do innego pokoju, w końcu korytarza. Znajdował się on z dala od pokoju pielęgniarek, a co za tym idzie, nikt jej nie będzie przeszkadzał.

Anne otworzyła drzwi. Alison nie spała i ucieszyła się na jej widok. Podeszła do okna i zaciągnęła zasłony. Pokój był urządzony jeszcze bardziej spartańsko i funkcjonalnie niż poprzedni. Anne przypominała sobie na wpół zwiędłe kwiaty, które Thorne przyniósł tamtego dnia; zastanowiła się przez chwilę, gdzie teraz był i jak się czuł. Zamknęła oczy, odegnała od siebie jego obraz i powróciła do Alison.

Przez kilka minut śmiały się i płakały, zanim Anne zabrała się do pracy. Ruchy miała szybkie, ciche, profesjonalne. Zdjęła czujnik tlenomierza przypięty do palca Alison i podpięła go pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do własnego przewodu. Choć o tym nie mówiono, większość lekarzy wiedziała, że spowoduje to krótkie spięcie w urządzeniu alarmowym i jego sygnał nie zabrmi, kiedy respirator zostanie wyłączony. Za dwadzieścia minut, a może mniej, gdy już będzie po wszystkim, ponownie go podłączy i na nowo uruchomi respirator. To był pomysł Alison. Nie podejmuj zbędnego ryzyka, niech to wygląda naturalnie.

Nie spieprz sobie przez to kariery, słonko.

Anne podeszła do respiratora i uniosła plastikową pokrywę chroniącą znajdujące się pod nią przyciski, jakby były guzikami do odpalania pocisków atomowych. Spojrzała na łóżko. Alison już zamknęła oczy

Cokolwiek można było powiedzieć o śmiechu wartym życiu, jakie Alison wiodła przez ostatnie miesiące, było ono wytyczane przez niecichnący ani na chwilę akompaniament dźwięków: szumy, syki,

buczenie i odgłosy kapiących kropel. Bez przerwy. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Życie zdefiniowane przez hałas.

James Bishop skazał ją na taki los, lecz Alison nie zamierzała pozostać jego ofiarą. Nie chciała nią dłużej być.

Teraz nareszcie hałas ucichł.

Anne Coburn mogła mieć tylko nadzieję, że Alison zechce utrzymać się przy życiu dostatecznie długo, by móc nacieszyć się tą ciszą.

OD AUTORA

Moje badania na temat zespołu zamknięcia potwierdziły ponad wszelką wątpliwość jedno: a mianowicie, że nie istnieje coś takiego jak typowy przypadek. Na pewno nie ma czegoś takiego jak typowe wyzdrowienie, jeżeli w ogóle kiedykolwiek do niego doszło.

W związku z tym swobodne podejście do tematu związane z ramami czasowymi, procedurą itp. zostało wykorzystane przeze mnie wyłącznie dla dobra niniejszej opowieści lub wynika z popełnionych przeze mnie, skądinąd niezamierzonych, błędów.

Niezamierzone są także wszelkie pejoratywne sugestie co do skuteczności, oddania czy zaangażowania zawodowego personelu medycznego któregośkolwiek ze szpitali wymienionych w tej książce. Krytyczne komentarze na temat fatalnego stanu publicznej służby zdrowia nie są skierowane przeciwko jej pracownikom, lecz raczej przeciwko stosowanym praktykom i biurokratom, którzy korzystając w najlepsze z prywatnej opieki medycznej, uparcie odmawiają dofinansowania budżetu placówek państwowych w nadziei, że umrze on cichą i spokojną śmiercią.

Mark Billingham, 2000